

Z E S Z Y T Ó S M Y

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1965

ZESZYTY HISTORYCZNE
VIII

BIBLIOTEKA "KULTURY" 

Tom CXVII

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTYTUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,

91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi
par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.)

Z E S Z Y T Ó S M Y

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1965

Podajemy do wiadomości Czytelników „Zeszytów Historycznych”, że ukazują się one dwa razy do roku: w styczniu i w sierpniu. *Cena pojedynczego egzemplarza wynosi F. 15 (dol. 3,-; 22/-)*. Prenumeratorzy KULTURY korzystają ze specjalnej 50% zniżki. Opłacając z góry abonament „Zeszytów Historycznych” otrzymują *dwa* „Zeszyty” w cenie jednego.

Prenumeratorzy KULTURY mogą zgłaszać abonament „Zeszytów Historycznych” bezpośrednio w redakcji KULTURY albo u przedstawicieli.

POLSKOŚĆ BATTLE OF BRITAIN

Przed dwudziestu pięciu laty — w lecie i jesieni 1940 roku — toczyła się nad kanałem angielskim i wyspami brytyjskimi pierwsza w historii wielka bitwa powietrzna znana powszechnie pod nazwą *Battle of Britain*. Od wyniku tej bitwy zależały jednak nie tylko losy Wielkiej Brytanii, lecz również dalszy bieg drugiej wojny światowej, a co za tym idzie, losy Europy, jeśli nie całego świata. Znaczenie tej bitwy należy rozpatrywać na tle ambitnych i wcale nie tak szaleńczych jakby się wydawało planów Hitlera wyłożonych w jego „Mein Kampf”. Zdawali sobie z tego dobrze sprawę Brytyjczycy i neutralni wówczas jeszcze Amerykanie; rozumieli grozę położenia Polacy, których wówczas na wyspie było już blisko 30 tysięcy¹.

Bitwa powietrzna miała być preludium do inwazji wysp brytyjskich. Dla Niemców podstawowym celem bitwy było zdobycie panowania w powietrzu, bez którego próba inwazji musiała skończyć się klęską. Celem obrony powietrznej W. Brytanii było nie dać się pobić i zadać przeciwnikowi takie straty które zmusiłyby go do zaniechania planów inwazji.

Po ciężkich zmaganiach, w których zwycięstwo niemal do końca października wisiało na włosku, obrońcy osiągnęli swój cel. Po raz pierwszy od chwili napadu na Polskę Niemcy ponieśli klęskę. Mit o niezwyciężalności Niemiec został poważnie zachwiany. *Battle of Britain* była zwrotnym punktem drugiej wojny

1. Według artykułu płk. dypl. J. Łunkiewicza pt. „Ewakuacja Polskich Sił Zbrojnych z Francji w czerwcu 1940 roku” (*Bellona*, IV/1956), z Francji przybyło 24 tysięcy żołnierzy, w tym ponad 6 tysięcy lotników; dodając do tej liczby 2 tysiące lotników, którzy byli już w R.A.F.V.R. oraz marynarzy polskich i ludność cywilną, otrzymujemy około 30 tysięcy Polaków.

światowej. Niemcy, z małymi wyjątkami, nie rozumieli tego wówczas, jednak w kilka lat po wojnie historycy niemieccy i pisarze wojskowi uznali to za fakt niekwestionowany.

Na zwycięstwo obrony złożyło się wiele czynników; omówię je w dalszych punktach tych rozważań. Każdy z nich był ważny, uzupełniały się wzajemnie i tylko ich suma mogła dać zwycięstwo, nie może jednak ulegać wątpliwości, że czynnik ludzki — w tym wypadku piloci myśliwscy i dowództwo kierujące bitwą obronną — odegrały główną rolę.

Rolę pilotów myśliwskich określił dobrze Winston Churchill w słowach: „Nigdy na polu konfliktów ludzkich tak wielu nie zawdzięczało tak dużo tak małej garstce”².

Istotnie była to garstka obrońców wolności. Było ich w różnych okresach bitwy od 600 do 900. W okresie największego natężenia bitwy *co ósmy* w tej garstce był Polakiem, a w październiku, gdy obrona działała już niemal ostatkiem sił i przechodziła ponownie groźny kryzys, *co piąty* pilot obrony był Polakiem.

Ten znaczny odsetek Polaków oraz ich postawa i ich zwycięstwa powietrzne przyczyniły się walcie do zwycięstwa i nadały bitwie obronnej charakter wspólnego czynu zbrojnego — brytyjsko-polskiego.

Zwycięstwo w *Battle of Britain* jest zarówno zwycięstwem narodu polskiego jak Brytyjczyków. Uzasadnienie polskości Bitwy o Wielką Brytanię jest celem niniejszego artykułu.



29 października 1945 r. nastąpiło w Warszawie otwarcie wystawy *Royal Air Force*. Marszałek Sir Sholto Douglas wygłosił przy otwarciu przemówienie z którego przytaczam kilka wyjątków. Nie wiem czy przemówienie marszałka Douglasa było przetłumaczone i ogłoszone w prasie krajowej, wiem natomiast, że rocznica Bitwy o Wielką Brytanię nie jest, niestety, święcona przez Polaków w kraju ani za jego granicami tak jak być powinna — nie tylko na równi z innymi polskimi zwycięstwami, ale na ich czele. W dużej mierze ponosi za to winę nasze piśmiennictwo, które zupełnie zaniedbało, jakby zapomniało o tym zwycięstwie. Nie znalazł się ani polski Fred Majdalany, ani lotniczy Wańkowicz, który by uwiecznił *Battle of Britain* podobnie jak ci zrobili to dla Bitwy o Monte Cassino. Może pisarze polscy znajdą natchnienie w tych prostych słowach starego lotnika brytyjskiego.

2. „Never in the field of human conflicts was so much owed by so many to so few”.

„Istnieje uderzające podobieństwo między historią *Royal Air Force* i historią Polskich Sił Powietrznych. Obie rozpoczęły walkę w beznadziejnej sytuacji liczebnej przewagi nieprzyjaciela. Obie poniosły początkowe klęski — w Waszym wypadku bardzo tragiczną. Obie trwały w swej wierze bez względu na to co się działo, a złączywszy się nabrały sił i wydajności aż wreszcie ich przewaga w powietrzu stała się absolutna. My w Wielkiej Brytanii jesteśmy bardzo dumni z tej garstki pilotów myśliwskich którą nazywamy *The Few* — tej małej garstki młodych ludzi, którzy uratowali nas i może świat, w *Battle of Britain*, w sierpniu i wrześniu 1940 roku. Wśród najlepszych z nich byli polscy piloci myśliwscy. Lecz rok przedtem Wy, w Polsce, mieliście również prawo być dumni z Waszych Niewielu — a byli oni nawet mniej liczni od naszych. W dziewiętnastu dniach zaciętej kampanii we wrześniu 1939 roku mieliście tylko siedem dywizjonów myśliwskich — stopięćdziesiąt samolotów przeciwko całej potęgze Luftwaffe. Piloci tych dywizjonów walczyli z zapalem i nieustraszoną odwagą które stały się wzorem dla wszystkich naszych późniejszych bitew powietrznych. Mówiono mi, że dziewięćdziesiąt procent z nich zginęło, ale ich duch — duch Polski — nigdy nie zginął, a ci co pozostali — połączyli się z nami by dalej walczyć. Mogę Wam zaręczyć, że byliśmy radzi przyjąć ich. Nie tylko był nam wtedy potrzebny każdy lotnik, ale szczególnie brak nam było pilotów myśliwskich z takim zapalem i przedsiębiorczością jakie Wasi piloci okazali”.

„Umowy między naszymi rządami nie były jeszcze, o ile wiem, podpisane i przypieczętowane, lecz Wasi lotnicy nie czekali na gwarancję i na podpis. Dwa pełne polskie dywizjony były stworzone: 302. Poznański i 303. Kościuszkowski. Inni polscy piloci myśliwscy służyli w dywizjonach R.A.F. Razem z nami latali oni dzień po dniu i wymietli Niemców z nieba. Kontynuowali oni obronę Warszawy i Westerplatte. W *Battle of Britain* polscy piloci zestrzelili 273 nieprzyjacielskie samoloty. Stanowili oni małą część niewielkich sił, które stawiały wówczas czoło Luftwaffe, lecz może da Wam to pewne pojęcie o ich osiągnięciach jeśli powiem, że oni sami zestrzelili piętnaście procent strat poniesionych przez Luftwaffe...

Wasi piloci dokonali wielkich rzeczy nad Warszawą w 1939 roku; my w Wielkiej Brytanii nie zapomnimy tego co dokonali oni nad Londynem i Południową Anglią w 1940 roku. Gdy Churchill wygłaszał pamiętne słowa: „Nigdy w dziedzinie konfliktów ludzkich tak wielu nie zawdzięczało tak dużo tak małej garstce” — mówił o polskich myśliwcach zarówno jak o naszych własnych pilotach”.

„Polacy dzielili z nami straty i zwycięstwa. Byli wierni hasłu wysztemu na ich sztandarze: „Miłość żąda ofiary”. Z miłości dla ojczyzny byli gotowi w razie potrzeby ofiarować swe życie po to by Polska mogła znowu być wolna. Byli oni również wierni naszemu hasłu — hasłu *Royal Air Force* — *Per ardua ad astra*” (Przez trud do gwiazd). Poprzez twardy znój wojny walczyli dalej, aż ujrzeli razem z nami gwiazdy Zwycięstwa”.

Rezultaty i znaczenie bitwy

Rezultaty bitwy były dla obu stron doniosłe, zarówno w dziedzinie strategii, jak i w sferze moralnej.

Brytyjczykom zwycięstwo przyniosło zażegnanie groźby inwa-

zji i zabezpieczenie baz morskich i lotniczych, dało im możność prowadzenia działań wojennych w Afryce Północnej i cztery lata czasu na przygotowanie inwazji Europy. Po wejściu Stanów Zjednoczonych A.P. do wojny, wyspy brytyjskie stały się bazą anglo-amerykańskich sił powietrznych które w 1942 r. rozpoczęły planowe działania zmierzające do zniszczenia niemieckiego potencjału wojennego i odizolowania przyszłego pola bitwy we Francji.

Dla Niemców podstawowym rezultatem bitwy był fakt pozostawienia na swoim zapleczu niepokonanego przeciwnika, któremu dali czas na wylizanie się z ran i przygotowanie odwetu. Hitler pisał w „Mein Kampf”, że niemiecka polityka dążąca do zdobycia nowych terenów w Europie (*Lebensraum*) mogła mieć tylko jednego sprzymierzeńca — Wielką Brytanię, toteż głównym błędem Hitlera było — jak to określił pisarz angielski gen. J.F.C. Fuller³ — niezrozumienie, że nieprzyjazna Anglia może się okazać „najniebezpieczniejszym wrogiem” i dlatego powinien był skupić cały swój wysiłek na pobiciu Anglii.

Pisarze niemieccy są na ogół zgodni w ocenie rezultatów bitwy i jej znaczenia.

Były szef sztabu Luftwaffe z 1944 r. gen. Werner Kreip pisze w swej pracy⁴, że wydanie i prowadzenie bitwy było wielkim błędem Hitlera, gdyż nie osiągnięto żadnego z kolejnych celów: sparaliżowania dowozu morskiego do Anglii, przygotowania inwazji przez zniszczenie lotnictwa obrony, zdeorganizowania przemysłu brytyjskiego przez nocne bombardowania, natomiast Luftwaffe poniosła dotkliwe straty, których do końca wojny nie nadrobiła.

Georg Feuchter w swej książce⁵ pisze, że gdy Niemcy przerwali bitwę uznając ją za przegraną, zapadło nie tylko rozstrzygnięcie bitwy, lecz również „ostateczne rozstrzygnięcie dalszego biegu drugiej wojny światowej”. Stwierdza również, że bitwa zużyła Luftwaffe i obniżyła jej morale do tego stopnia iż nigdy już nie odzyskała sił i wartości posiadanych przed bitwą.

Historyk wojskowy gen. Kurt v. Tippelskirch w swej historii⁶ drugiej wojny światowej tak ocenia bitwę:

„Bitwa nad Anglią miała zupełnie inny przebieg od spodziewanego. Pozbawiła ona Luftwaffe wiele jej najlepszych substancyj. Jej poszar-

3. J.F.C. Fuller: *The second world war*, Londyn, 1948.

4. *The fatal decisions*, dzieło zbiorowe pod redakcją gen. por. Z. Westphala, rozdział I „Bitwa o W. Brytanię”, Londyn, 1956.

5. Georg W. Feuchter: *Geschichte des Luftkrieges, Entwicklung und Zukunft*, Atheneum Verlag, Bonn, 1954.

6. Gen. Kurt v. Tippelskirch: *Geschichte des zweiten Weltkrieges*, Atheneum Verlag, Bonn, 1951.

panym związkom udało się wprawdzie przywrócić ich siłę liczebną, ale wskutek ubytku tylu wartościowych załóg i późniejszych stałych wysiłków, Luftwaffe już nigdy nie osiągnęła dawnej wydajności bojowej”.

Tippelskirch podaje również mało znany fakt, mianowicie, że Luftwaffe wyruszyła na podbój Rosji Sowieckiej mając w pierwszej linii tylko 1300 samolotów, zatem o 700 mniej aniżeli użyto przeciw Polsce w 1939 r. Był to oczywiście jeden ze skutków *Battle of Britain*.

Adolf Galland, ostatni dowódca lotnictwa myśliwskiego Luftwaffe, pisze w swej książce⁷, że *Battle of Britain* była „zwrotnym momentem wojny” i — co może ważniejsze z moralnego punktu widzenia — „zniszczyła mit o niezwyciężalności Niemiec”.

Po stronie brytyjskiej najtrafniej może określił znaczenie bitwy — już w czasie wojny, bo w 1942 r. — sędziwy marszałek J. Smuts. W mowie do parlamentu angielskiego (21.10.1942) powiedział on:

„Pobicie Luftwaffe w tym największym kryzysie uratowało nie tylko Londyn i Wielką Brytanię, ale, wierzę w to silnie, całą sprawę Sprzymierzonych i przyszłość świata”.

Po dwudziestu pięciu latach trudno jest wżyć się w nastrój panujący w czasie bitwy i zrozumieć ogromne znaczenie moralne jakie zwycięstwo miało na całym świecie. Przed bitwą wydawało się wszystkim, że nic nie stoi na przeszkodzie zrealizowania zamiaru podboju świata przez butny *Herrenvolk*. Wszak cała prawie Europa była w rękach Hitlera. Po upadku Anglii przyjdzie kolej na Rosję, mówiono ze złowróżbnym przekonaniem, a za parę lat Hitler sięgnie na drugą półkulę. Toteż zwycięstwo w *Battle of Britain* podniosło na duchu cały wolny świat. Po błyskawicznych zwycięstwach Niemców spotkała pierwsza klęska; okazało się, że można ich pobić. Obudziły się nowe nadzieje.

Sprawie polskiej udział naszych pilotów w bitwie oddał wielkie usługi. Wspaniałe zwycięstwa naszych pilotów — podawane co dnia przez radio i prasę — roznosiły sławę imienia Polski do wszystkich części świata i najodleglejszych zakątków. Co dnia głośiły one światu „Jeszcze Polska nie zginęła!” A wszystkim naszym rodakom, nie tylko w wolnym świecie, ale i tym cierpiącym pod zaborcami, i tym gnębionym w więzieniach i łagrach sowieckich, (bo i tam docierały wieści o bitwie), echa zwycięstw polskich skrzydeł nad Anglią były najpiękniejszą kotysanką do snu i podnieętą do marzeń o lepszej przyszłości.

7. Gen. Adolf Galland: *The first and the last*, Londyn, 1955.

Odczuliśmy również praktyczne skutki zwycięstwa. Postawa naszych pilotów i personelu technicznego, zwycięstwa powietrzne i doskonała praca obsługi technicznej, wzbudziły szacunek i zaufanie naszych sprzymierzeńców do Polskich Sił Powietrznych, odtąd udzielali nam oni wszelkiej pomocy w rozwoju naszego lotnictwa, zwłaszcza pod koniec wojny w związku z naszymi planami rozbudowy P.S.P. na powrót do kraju. „Wielka” polityka państw zachodnich, pod presją naszego wschodniego sąsiada, przekreśliła nasze zamierzenia, ale nie było w tym winy naszych przyjaciół w mundurach. Dzięki ich wpływom rządy sprzymierzonych udzieliły nam wszelkiej pomocy w pokojowym rozśiedleniu się na wyspach brytyjskich i w Ameryce.

Działania obronne w powietrzu

Chcąc należycie ocenić wielkość zwycięstwa w *Battle of Britain* należy uprzytomnić sobie charakter działań obronnych w powietrzu.

Broni się ten, kto jest słabszy, ale ostateczne zwycięstwo można osiągnąć tylko działaniami zaczepnymi. Toteż obrona była zawsze działaniem przejściowym, mającym dać czas potrzebny do przygotowania działań zaczepnych — własnych, na innym kierunku czy froncie, lub sprzymierzeńca. Na ziemi obrona jest łatwiejszą formą działania, pozwala bowiem mniejszymi siłami związać lub powstrzymać na czas dłuższy przeważające siły przeciwnika. Jest to możliwe przez odpowiednie wykorzystanie terenu, naturalnych i sztucznych przeszkód, ogni zaporowych itp. Toteż teoretycznie nacierający musi mieć co najmniej trzykrotną przewagę liczebną i ogniową dla przełamania obrony. W praktyce często i taka przewaga nie wystarcza, w szczególnie korzystnym dla obrony terenie. Przykładem z ostatniej wojny jest krwawa bitwa o Monte Cassino.

Obrona w powietrzu jest trudniejszą formą działania, trzeba się bowiem bronić na wszystkie strony, nie można kanalizować ruchu sił przeciwnika, nie ma się uprzedzenia o czasie i kierunku ataku (dzięki rozpoznaniu i przygotowaniu artyleryjskiemu, jak na ziemi), co w rezultacie powoduje, że obrona w powietrzu wymaga dużych sił i nastawionych na kilka kierunków. Utrzymywanie patroli obronnych w powietrzu choćby w ciągu kilkunastu godzin na dobę jest zdecydowanie nieekonomiczną formą działania i wymaga dużych sił.

Jedynym rozwiązaniem zasadniczych trudności obrony jest sieć dozoru powietrza, tj. sieć posterunków wykrywających

w porę kierunki i wysokość nalotu nieprzyjacielskich samolotów; odpowiednie powiązanie dozorowania z siecią dowodzenia daje obronie szanse spotkania i zwalczania nieprzyjaciela.

Wkrótce po pierwszej wojnie światowej zrozumiano w Anglii, że bezpieczeństwo Zjednoczonego Królestwa w przyszłym konflikcie zbrojnym będzie zależało przede wszystkim od obrony powietrznej, toteż studiowano zagadnienie sieci dozorowania bez przerwy. Stworzono specjalną organizację obserwacji powietrza (*Air Observer Corps*) którą włączono do dowództwa lotnictwa obrony (*Air Defence of Great Britain*), zbudowano podziemną sieć telefoniczną dla lotnictwa obrony itd. Jednak w miarę wzrostu szybkości samolotów okazało się, że środki wykrywania samolotów — aparaty nasłuchowe, obserwacja wzrokowa (lornetki) i łączność telefoniczna — były nader prymitywne i nie dawały czasu wystarczającego na dokładne określenie nalotu, poderwanie myśliwców i nakierowanie ich do walki przed dolotem do wyspy nieprzyjacielskich samolotów. Wobec tego w latach 1932-1934 zwrócono się o pomoc do naukowców, którzy w wielkiej tajemnicy zabrali się do pracy. Rezultatem studiów i doświadczeń był *radar*, który w 1936 roku dał zadawalające wyniki. Nieliczne tylko grono wtajemniczonych wiedziało, że za kilka lat brytyjskie lotnictwo myśliwskie będzie mogło skutecznie i ekonomicznie działać w obronie wysp dzięki wiadomościom o nieprzyjacielskich samolotach znajdujących się jeszcze sto mil przed brzegami W. Brytanii. Jednocześnie wprowadzono w lotnictwie myśliwskim aparaty radiofoniczne, osiągając tym możność bezpośredniej komunikacji ośrodków kierowniczych z samolotami i między samolotami.

(Nasza Brygada Pościgowa, zorganizowana wiosną 1939 roku, przygotowała do obrony Warszawy własną sieć dozorowania, która, pomimo prymitywnych i zawodnych nieraz środków technicznych, działała w czasie pierwszych siedmiu dni kampanii dość sprawnie).

Przygotowania do bitwy

Niemcy nie poczynili w czasie pokoju żadnych przygotowań do bitwy powietrznej o Wielką Brytanię, ani do inwazji wysp. Brak jakichkolwiek planów w tym zakresie można różnie tłumaczyć. Możliwe, że Hitler lekceważył W. Brytanię jako przeciwnika, może liczył, że po jego błyskawicznych zwycięstwach osamotniona w Europie Anglia pójdzie na ugodę czy może nawet zostanie jego partnerem przeciw Rosji, mógł też liczyć na wygłodzenie Anglii przez blokadę morską.



Wbrew przewidywaniom i obawom Brytyjczyków, lotnictwo niemieckie nie wykonało żadnych wypraw przeciw wyspom w czasie Kampanii Wrześniowej, a później wykryto tylko sporadyczne naloty rozpoznawcze. Pierwszą ofiarę bombardowania lotniczego zanotowano dopiero 16 marca 1940 r. (w Bridge of Waith) w czasie atakowania przez samoloty niemieckie floty w Scapa Flow. Na samą Anglię padły pierwsze bomby niemieckie dopiero 9 maja 1940 r. (pod Canterbury), a 24 maja Niemcy bombardowali pierwsze miasto angielskie (Middlesbrough).

16 lipca Hitler wydał dyrektywy do przygotowania lądowania w Anglii, nakazując ukończenie przygotowań na połowę sierpnia. Termin ten przesuwano dwukrotnie, wreszcie 12 października 1940 r. odłożono go — rzekomo na później, w rzeczywistości nie wrócono do planu inwazji nigdy.

Przygotowanie inwazji w ciągu kilku tygodni było oczywistą niemożliwością, tak ze względów materiałowych, jak i sztabowych. Pisarze niemieccy twierdzą, że nikt z zainteresowanych wyższych dowództw nie wierzył w zamiar inwazji na serio. Wkrótce po wojnie generałowie niemieccy (Rundstaedt, Kleist, Blumentritt i inni) wysunęli tezę, że Anglię uratowała niechęć Hitlera do najazdu wysp i do upokorzenia Brytyjczyków (!), przez wymuszenie na nich haniebnego pokoju. Należy tę tezę włożyć między bajki. W aktach znalezionych po wojnie jest tekst przemówienia generała Jodla na tajnej odprawie w listopadzie 1943 r.; między innymi powiedział on:

„Lądowanie w Anglii było przygotowane w najdrobniejszych szczegółach, przy użyciu niestety improwizowanych środków przewozowych, nie mogło jednak być urzeczywistnione zanim Brytyjskie Siły Powietrzne nie zostały pobite. Ale tego nie zdołaliśmy osiągnąć... Nie podobna było przedłużać śmiertelnego wykrwawiania się Luftwaffe w walkach nad Anglią wobec czekającej nas wojny z Rosją”.

Wielu sztabowców Luftwaffe rozumiało też, że lotnictwo niemieckie nie nadawało się do działań zaczepnych samodzielnie prowadzonych przeciw silnemu przeciwnikowi. Nie odpowiadała takiej roli cała struktura Luftwaffe i wyszkolenie, a przede wszystkim samoloty: bombowce miały za mały zasięg, za mały udźwieg bomb, a myśliwców było za mało dla osłony wypraw bombowych.

W 1934 roku, w rok po dojściu Hitlera do władzy, angielskie sfery rządzące zostały zaalarmowane przez przedstawicieli lotnictwa (wielu lotników było w obu izbach) narastającą groźbą wojny powietrznej na skutek szybkiej rozbudowy lotnictwa niemieckiego. Zabrano się z całą energią do skomplikowanego zespołu zagadnień lotniczych, stawiając na pierwszym miejscu lotnictwo myśliwskie i przemysł lotniczy. Rozpoczęła się tak zwana

przez pisarzy angielskich „paniczna rozbudowa R.A.F.” (*the panic expansion of the R.A.F.*) oraz reorganizacja przemysłu, który rozwinięto przez tzw. „wytwórnie — cienie” (*shadow factories*).

W związku z wynalezieniem radaru, zmieniono plan obrony, rozpoczęto budowę (w 1936 r.) sieci stacyj radarowych i ośrodków dowodzenia lotnictwem, odpowiednio wyposażonych w środki łączności radiowej i telefonicznej oraz olbrzymie stoły-mapy, na których konwencjonalnymi znakami przesuwanymi przez obsługę odtwarzano sytuację w powietrzu z minuty na minutę, zgodnie z meldunkami od stacyj radarowych i komendantów lotnisk oraz dowódców dywizjonów w powietrzu. Rozpoczęto stałe ćwiczenia ataku i obrony wysp. Jednocześnie trzeba było zwiększyć ilość dywizjonów myśliwskich i na gwałt dać im nowe samoloty, bo te były dopiero w fabrycznych próbach (Hurricane i Spitfire). Trzeba było rozwinąć szkolnictwo lotnicze, zarówno dla pilotów jak i dla personelu technicznego, a przede wszystkim trzeba było wypełnić stany jednostek, co przy zaciągu ochotniczym i znanej niechęci Anglików do służby wojskowej nie było rzeczą łatwą. W tym zakresie dużą rolę odegrały w przyszłości tzw. eskadry uniwersyteckie i kluby lotnicze. Należy podkreślić, że sprawę rezerw lotniczych, w szczególności oficerów pilotów i oficerów technicznych, Anglicy rozwiązali w sposób nowoczesny, zrywając z nierozsądną tradycją: każdy ochotnik mający średnie wykształcenie i fachowe wykształcenie, a więc pilota lub technika (w jakiegokolwiek dziedzinie użytecznej w lotnictwie), zostawał bez większych formalności podporucznikiem — bez odbywania rocznej szkoły podchorążych i dwóch czy czterech lat powoływań na ćwiczenia rezerwy. Dzięki temu kadry oficerskie wypełniły się szybko w 1939 roku.

W drugiej połowie 1938 roku zaczęły nadchodzić do linii Hurricane'y, doskonałe samoloty, uzbrojone w 8 karabinów maszynowych i radiostację. Przemysł lotniczy jednak przechodził okres dużych trudności i nawet po „rozkręceniu się”, w 1940 r., wydajność wytwórni była za mała na pokrycie strat.

Plan obrony wysp wymagał ogromnego nakładu pracy i czasu, toteż po trzech latach, gdy 1 września 1939 r. Niemcy napadli na Polskę, do wykończenia przygotowań było jeszcze daleko. Nie było jeszcze stacyj radarowych na wschodnim wybrzeżu Anglii i na północno-wschodnich brzegach (Środkowa Anglia i Szkocja), nie było nic na zachodzie (na zachód od linii Bristol - Portsmouth); w lotnictwie myśliwskim brak było jednej trzeciej pilotów do pełnego stanu dywizjonów, a z planowanych 60 dywizjonów było tylko 40, z których prawie połowa miała jeszcze

stary sprzęt. Lotnictwo bombowe, mające być rozwijane w drugiej dopiero kolejności, liczyło zaledwie 250 samolotów, zupełnie przestarzałych typów.

Dzięki Kampanii Wrześniowej, która przeciągnęła się do połowy października i spowodowała prócz dość poważnych strat znaczną dezorganizację niemieckich sił zbrojnych, Wielka Brytania i Francja zyskały 8 miesięcy cennego czasu, gdyż sztab Wehrmachtu udowodnił Hitlerowi całkowitą nierealność rozpoczynania kampanii na zachodzie przed wiosną 1940 roku. Francja czasu tego nie potrafiła wykorzystać, natomiast Wielka Brytania zdążyła wykończyć plan obrony powietrznej niemal „na ostatni guzik”, aczkolwiek brak było rezerwy pilotów myśliwskich i wydajność wytwórni samolotów była nadal niewystarczająca w stosunku do przewidywanych (które — jak się okazało — były nadzwyczaj trafne) strat.

Pomimo oporu ze strony dowództwa obrony powietrznej W. Brytanii, rząd brytyjski wysłał do Francji lotnictwo ekspedycyjne w którym było 10 dywizjonów myśliwskich na Hurricane'ach. Dalszym naleganiom francuskim na zwiększenie lotnictwa oparto się jednak w maju 1940 roku stanowczo. W rezultacie we Francji stracono 250 samolotów myśliwskich i kilkudziesięciu pilotów.

W lipcu 1940 r., przed rozpoczęciem bitwy, obrona miała 42 dywizjony (22 Hurricane'ów i 20 Spitfire'ów), a do pełnego stanu brak było 190 pilotów. Toteż przybywających z Francji polskich lotników przyjęto z otwartymi ramionami.

Pierwszy okres bitwy

Bitwa rozpoczęła się 10 lipca 1940 r.; jej pierwszy okres trwał do 18 sierpnia i nosi nazwę bitwy o kanał i południowe wybrzeże, Luftwaffe atakowała bowiem w tym okresie żeglugę przybrzeżną, porty i lotniska w południowej Anglii.

Luftwaffe była zorganizowana w pięć flot, po dwa korpusy każda. W działaniach przeciw W. Brytanii brały udział trzy floty, 2, 3 i 5, w składzie zwiększonym, razem 7 korpusów, z których jeden był w Norwegii; korpus z Norwegii brał udział w następnych dwóch okresach bitwy. W sumie użyto około 2500 samolotów.

W 42 dywizjonach R.A.F. było 672 samoloty, z czego 504 czynnych, reszta w bezpośredniej rezerwie.

Wobec braku pilotów w dywizjonach myśliwskich, już w maju wezwano pilotów innych rodzajów lotnictwa do zgłaszania się na ochotnika na przeszkolenie myśliwskie. Z naszych pilotów

bombowych w R.A.F.V.R. zgłosiło się czterech. Oni też brali udział w lipcu w bitwie.

13 lipca rozpoczęto formowanie 302 Dywizjonu Poznańskiego pod dowództwem ppłk. Mieczysława Mümlera (dowódcy dywizjonu Poznańskiego w Kampanii Wrześniowej; dywizjon ten miał największą ilość zestrzeleń — 31); większość żołnierzy dywizjonu pochodziła z 3-go pułku lotniczego w Poznaniu. W dywizjonie było 16 oficerów i 157 szeregowych polskich oraz 7 oficerów i 13 podoficerów brytyjskich. Bazą dywizjonu było lotnisko Leconsfield (Baverley).

2 sierpnia na lotnisku pod Londynem — Northolt — rozpoczęto organizowanie 303 Dywizjonu Warszawskiego im. Kościuszki. Dowódcą dywizjonu był mjr. Zdzisław Krasnodębski, który w Kampanii Wrześniowej dowodził dywizjonem Warszawskim w Brygadzie Pościgowej. Dywizjon liczył w tym dniu 14 oficerów i 135 szeregowych polskich oraz 4 oficerów i 6 podoficerów brytyjskich. Personel dywizjonu pochodził z Brygady Pościgowej, głównie z dywizjonów Warszawskich.

Szkolenie naszych pilotów było szybkie i gładkie; główną trudnością do pokonania była sprawa języka angielskiego, gdyż o ile rozkazy na ziemi łatwo było wydawać po polsku, mając tłumaczy na lotniskach, o tyle sprawa kierowania dywizjonami w powietrzu wydawała się Brytyjczykom bardzo trudna do opanowania.

W obu dywizjonach już w pierwszym dniu rozpoczęto loty na szkolnych samolotach myśliwskich Master, a po dwóch — trzech dniach pierwsi piloci zaczęli loty na Hurricane'ach. Godzinami całymi uczono co dnia Polaków języka angielskiego, kodów łączności itd. ale wszystko szło sprawnie i po dwóch tygodniach zaczęto loty w szykach, kluczach, eskadrach i dywizjonach. Anglicy byli zadowoleni z szybkich postępów i po czterech tygodniach dywizjony weszły do walki, 302 Poznański 15 sierpnia, 303 Kościuszkowski 31 sierpnia.

To zasilenie obrony dwoma dywizjonami było w samą porę, gdyż w drugiej połowie sierpnia przejawiał się pierwszy kryzys bitwy po stronie brytyjskiej; straciła ona trzystu pilotów, zabitych i rannych, a nasilenie działań nieprzyjacielskich wzrastało.

23 sierpnia, po pięciodniowej przerwie w nalotach, rozpoczął się drugi okres bitwy, zwany Bitwą o Londyn. W okresie tym Polacy mieli odegrać wybitną rolę.

Tymczasem jednak już w sierpniu brak pilotów w linii skłonił ministra lotnictwa Sir Archibalda Sinclaira do dwukrotnego zwrócenia się do Inspektora P.S.P. gen. Ujejskiego z nagłą prośbą o przyspieszenie dostaw polskich pilotów do dywizjonów brytyjskich. W sierpniu też liczba polskich pilotów w jednostkach

R.A.F. wzrosła do 46. Doszkalali oni się krótko w dywizjonach i brali udział w bitwie.

W dalszych miesiącach nie tylko utrzymywano liczbę naszych pilotów w dywizjonach R.A.F. lecz zwiększano ją stale. Była to konieczność którą nasze władze całkowicie rozumiały i na którą, pomimo zastrzeżeń na przyszłość, godziły się. W owym czasie gorących walk i natężenia pracy w całym lotnictwie obrony, formowanie nowych dywizjonów (polskich czy innej narodowości) było wprost niemożliwe, zarówno ze względu na trudności organizacyjne, jak i sprzętowe i wyszkoleniowe. Piloci po prostu odchodzili do dywizjonów i po kilku dniach wypełniali przerzedzone szeregi pilotów operacyjnych.

Za pierwszy okres bitwy przyznano polskim pilotom służącym w dywizjonach brytyjskich 29 samolotów zniszczonych i kilka uszkodzonych. Pierwsze zwycięstwo polskie zostało zapisane w dniu 19 lipca 1940 r.; por. Antoni Ostowicz wspólnie z brytyjskim kolegą P/O. Newling zestrzelił koło Brighton samolot niemiecki typu Heinkel 111. Ten sam oficer otworzył listę naszych strat: w dniu 11 sierpnia por. Ostowicz zginął w walce; w tym samym dniu został również zestrzelony śp. kpt. Michał Stęborowski, a następnego dnia śp. kpt. inż. Wilhelm Pankratz.

302 Dywizjon Poznański odniósł swoje pierwsze zwycięstwo w dniu 21 sierpnia, zestrzeliwując samolot typu Junkers 88.

Wyprzedzając dalszy opis bitwy należy tu wyjaśnić, że szczęście wojenne które sprzyjało Dywizjonowi Poznańskiemu w Kampanii Wrześniowej, w Anglii nie uśmiechało się doń: niemal cały czas dywizjon był w północnym sektorze obrony, do którego Niemcy raczej rzadko przylatywali; tylko przez 10 dni dywizjon działał bezpośrednio w obronie Londynu i w tym też czasie odniósł większość swoich zwycięstw.

Drugi okres bitwy

24 sierpnia rozpoczął się drugi okres bitwy; trwał on do 27 września i był okresem największego wysiłku Luftwaffe. W tym czasie przygotowania niemieckie do inwazji wysp były już ukończone, a Luftwaffe miała zadać obronie ostateczny cios i zapewnić przewagę w powietrzu. Stąd też w okresie tym użyto całości sił, łącznie z flotą powietrzną stojącą w Norwegii. Tak więc we wrześniu — w rocznicę kampanii w Polsce — rozstrzygały się losy bitwy. I w tym właśnie miesiącu oba polskie dywizjony wyróżniły się wspaniałymi działaniami.

Od 26 sierpnia do 9 września Niemcy co dnia bombardowali

lotniska i zbiorniki materiałów pędnych, ośrodki dowodzenia lotnictwem, stacje radarowe, powodując bardzo poważne uszkodzenia. Trzy lotniska najdalej wysunięte na południowy wschód od Londynu, mianowicie Manston, Hawkinge i Limpne, musiano przejściowo porzucić, gdyż nie nadawały się do użytku. Szczególnie dotkliwe były zniszczenia lotnisk na których mieściły się dowództwa sektorów.

Niemcy nie docenili rozmiarów szkód jakie zadali obronie i w dniu 7 września popełnili jeden ze swoich zasadniczych błędów: przestawili swój główny wysiłek na bombardowanie Londynu. Wedle opinii angielskich, dalsze usilne kontynuowanie zwalczania lotnisk mogło być dla obrony katastrofalne.

Pod względem taktyki nalotów Niemcy jednak wyciągnęli słuszne wnioski z doświadczeń pierwszego okresu bitwy. Odtąd bombowce szły na wysokim pułapie, powyżej 5 tysięcy metrów, obstawione bezpośrednią osłoną myśliwską z boków, z góry i z tyłu, a ponadto każdą wyprawę poprzedzało zgrupowanie myśliwców lecące powyżej głównego zgrupowania. Całość leciała w dwóch lub trzech falach. W każdym zgrupowaniu było myśliwców więcej od bombowców. Wszystkie te ubezpieczenia współpracowały ze sobą sprawnie. W rezultacie obrona miała teraz duże trudności w podziale własnych sił i odpowiednim nakierowywaniu ich, a myśliwcy w powietrzu mieli znacznie większe trudności — w porównaniu z pierwszym okresem bitwy — w dobraniu się do bombowców.



Wejście 303 Dywizjonu do działań poprzedził niespodziewany przypadek: 30 sierpnia w czasie lotu ćwiczebnego wspólnie z bombowcami angielskimi typu Blenheim, por. Ludwik Paszkiewicz — nie mając odpowiedzi od dowódcy dywizjonu (prowadził oficer angielski) na swój meldunek — oderwał się od szyku i dołączywszy do toczącej się walki między myśliwcami brytyjskimi a niemieckimi bombowcami, zestrzelił swojego pierwszego Dorniera. Po powrocie na lotnisko Squadron Leader Kellet udzielił por. Paszkiewiczowi upomnienia za wykroczenie przeciw dyscyplinie lotu, a równocześnie pogratulował mu dobrze wykonanego ataku. Od następnego dnia dywizjon był już dywizjonem operacyjnym.

31 sierpnia wieczorem, a więc pod koniec pierwszego dnia oficjalnych działań bojowych, dywizjon w składzie 6 samolotów został poderwany i naprowadzony na Niemców w rejonie na północ od Londynu (koło Luton) gdzie były bombardowane za-

kłady Vauxhall. W tej pierwszej swojej walce dywizjon zestrzelił 6 Messerschmittów 109 (jedno z tych zwycięstw odniósł oficer Anglik). Druga eskadra, również poderwana, nie napotkała nieprzyjaciela. Odtąd co dnia dywizjon Kościuszkowski miał spotkania i zwycięstwa, a straty ponoszone — choć bolesne — były niezwykle małe w stosunku do zwycięstw.

1 września sierżanci Frantisek i Rogowski zestrzelili po jednym Me-109, a podporucznicy Henneberg i Ferić mieli przyznane po jednym prawdopodobnie zniszczonym. 3 września dopisano do listy zniszczonych samolotów jednego Heinkla 111. 5 września dywizjon odniósł osiem zwycięstw pewnych: zestrzelił 5 Me-109 i 3 Ju-88. Por. Łapkowski został w tym dniu zestrzelony, ale mimo że był ranny, uratował się na spadochronie.

Dzień 6 września był dniem wielkich zwycięstw i zarazem pierwszych dużych strat. Dywizjonowi przyznano 7 samolotów niemieckich zniszczonych, straty natomiast wyniosły 6 samolotów. Na szczęście straty w pilotach były małe: obaj dowódcy dywizjonu — mjr. Krasnodębski i S/L Kellet — byli zestrzeleni i ranni, mjr. Krasnodębski poważnie, Kellet lekko; zestrzeleni i ranni byli sierżanci Karubin i Rogowski, skakać musieli F/L Forbes i sierż. Frantisek, ale nie odnieśli obrażeń.

Polskim dowódcą dywizjonu został por. Witold Urbanowicz, który wyróżnił się już cechami doskonałego pilota i dowódcy w powietrzu. Wkrótce stał się, jednym z „asów” lotnictwa obrony.

7 września dywizjon odniósł rekordową ilość zwycięstw: jedenaście Dornierów i trzy Messerschmitty zniszczone. Aż czterech pilotów zapisało sobie po dwa zwycięstwa w tym dniu: por. Aleksander Gabszewicz, ppor. Jan Zumbach, sierżanci Szaposznikow i Wojtowicz. Ciężko ranny por. Daszewski odwieziony został do szpitala — tak więc dywizjon stracił jednego pilota a odniósł 14 zwycięstw. Następnego rana dywizjon otrzymał depezę od Naczelnego Wodza następującej treści:

„Przekazuję Eskadrze 303 gratulacje z powodu wczorajszego dnia walki. Życzenia te przesłał na moje ręce minister lotnictwa p. Archibald Sinclair. Obok słów Jego Królewskiej Mości Jerzego VI, zawartych w odpowiedzi do Prezydenta Rzeczypospolitej, jest to drugie z kolei uznanie wielkich zalet bojowych jakimi się wyróżniają lotnicy polscy. Walcząc od niedawna rycersko obok sławnych kolegów brytyjskich, poszczycić się już dzisiaj mogą poważnymi sukcesami. Ich czyny są jedyną godną Polaka odpowiedzią na ostatnie kłamstwa propagandy niemieckiej”.

W jednej z wypraw 7 września brał udział marszałek Herman Goering; w godzinach popołudniowych samoloty niemieckie w dwóch falach, w sumie ponad 400 maszyn, bombardowały Londyn; widząc spustoszenie i pożary w Londynie, Goering miał się

wyrazić, że była to historyczna godzina w której zadano nieprzyjacielowi cios w samo serce. Istotnie skutki bombardowania wyglądały groźnie: na przestrzeni kilku mil po obu stronach Tamizy paliły się składy portowe, w ogniu były domy i ulice metropolii. A jednak nastrój w Londynie był doskonały: bez wątpienia dzięki wiadomościom podawanym co kilka godzin przez prasę i radio o nowych zestrzeleniach powietrznych najeźdźców.

303 Dywizjon był w tym dniu użyty wspólnie z trzema brytyjskimi przeciw wyprawie 40 bombowców niemieckich osłanianych ze wszystkich stron przez myśliwców. Wysoko nad Londynem, prawie na 7 tysiącach metrów, wprowadzone zostały do walki wszystkie cztery dywizjony. Dywizjony Spitfire'ów zaatakowały górną osłonę, dywizjon brytyjski na Hurricane'ach związał się z bezpośrednią osłoną, a 303 Dywizjon w zwartym szyku trójek znurkował na tył zgrupowania bombowców. Polacy odnieśli największą ilość zwycięstw ze wszystkich dywizjonów użytych w tym dniu. Miało się to powtórzyć jeszcze kilka razy w bitwie.

11 września, w obronie Londynu przyznano pilotom polskim 19 i ½ samolotów niemieckich zestrzelonych na pewno i jeden uszkodzony: z tej liczby 303 Dywizjonowi przypadło znowu 14 (9 Messerschmittów, 4 Heinkle, 1 Dornier).

Na okres od 15 do 26 września został 302 Dywizjon Poznański przesunięty z 12 Grupy Myśliwskiej do 11 Grupy, na lotnisko Duxford. Wreszcie Poznaniacy mieli okazję wziąć udział w „żniwach londyńskich”.

Niedziela 15 września 1940 r. była według ówczesnej oceny przełomowym dniem bitwy. Przed południem wystartowały 23 dywizjony myśliwskie, z których tylko dwa nie doszły do walki, a po południu 29 dywizjonów z których 28 walczyło. Brytyjczycy dzień ten porównują z bitwą pod Trafalgarem. Churchill wyraził się że w dniu tym miały miejsce najwspanialsze i najbardziej owocne ze wszystkich dotychczasowych walk i że mimo licznej przewagi niemieckiej kraj mógł odtąd oczekiwać z rosnącym zaufaniem rozstrzygnięcia bitwy.

Straty niemieckie w tym dniu były w rzeczywistości nie tak duże jak je oceniała obrona — wynosiły bowiem 56 samolotów zniszczonych i 21 uszkodzonych, razem 77, a nie 185 jak podawali oficjalnie Brytyjczycy — ale załamanie się zaciętości Niemców i ich morale stało się oczywiste. Odtąd formacje Luftwaffe unikały walki, a będąc zaatakowane zrzucały bomby przed osiągnięciem celu i zwracały do bazy.

Dzień 15 września był prawdziwym świętem Lotnictwa Polskiego: pilotom polskim przyznano 26 zestrzeleń pewnych, 6 prawdopodobnie zestrzelonych i 2 uszkodzone samoloty niemieckie.

Ogólna urzędowa liczba zestrzeleń przyznanych dywizjom 302 i 303 była większa, gdyż zaliczono do zwycięstw również samoloty zastrzelone przez pilotów brytyjskich służących w naszych dywizjonach. Piloci polscy 302 dywizjonu mieli 8 zestrzeleń pewnych i 5 prawdopodobnych, piloci polscy 303 dywizjonu 15 pewnych i 1 prawdopodobnie, a piloci polscy w dywizjonach angielskich 3 pewne zestrzelenia i 2 samoloty uszkodzone. Straty własne były dwóch pilotów poległych: kpt. Chłopik z 302, sierż. Brzozowski z 303 dywizjonu. Ogółem więc piloci zestrzelili w tym pamiętnym dniu prawie połowę samolotów straconych przez Luftwaffe.



Dziwnym trafem ten wielki dzień naszych myśliwców zbiegł się ze świętem naszych bombowców: właśnie w nocy z 14 na 15 września dywizjony bombowe, 300 Ziemi Mazowieckiej i 301 Ziemi Pomorskiej, wykonały swoje pierwsze loty bojowe z wyspy.

Battle of Britain była z punktu widzenia obrony przede wszystkim bitwą lotnictwa myśliwskiego, nie należy jednak zapominać, że brały w niej udział pośredni również inne rodzaje lotnictwa. Nasze dywizjony bombowe wykonywały bombardowania portów inwazyjnych, w których Niemcy gromadzili statki i barki oraz sprzęt potrzebny do inwazji. Działania te wprawdzie nie miały wpływu na przebieg bitwy, były jednak ważne z punktu widzenia przygotowywanej inwazji wysp.



18 września 303 dywizjon startował na alarm, ale nie doszło do spotkania z nieprzyjacielem. Po wylądowaniu dywizjon dowiedział się, że Naczelny Wódz oczekiwał ich powrotu aby udekorować osobiście pierwszych kawalerów Orderu Virtuti Militari. Srebrne Krzyże V. M. kl. V. otrzymali: porucznicy Urbanowicz, Henneberg, Januszewicz, Łapkowski, Pisarek, Paszkiewicz; podporucznicy Zumbach, Daszewski, Ferić i Łokuciewski; sierżanci Karubin, Szaposznikow, Wünsche i Frantisek; pośmiertnie śp. sierż. Wojtowicz. Major Krasnodębski był dekorowany przez Naczelnego Wodza w szpitalu. Poza tym gen. Sikorski dekorował Krzyżami Walecznych: por. dr. Wodeckiego, sierż. Rogowskiego, oraz przekazał dowódcy dywizjonu Krzyże Walecznych dla pole-

głych, śp. por. Cebrzyńskiego i śp. sierż. Brzozowskiego. (Por. dr. Wodecki odznaczył się odwagą i poświęceniem w czasie bombardowania lotniska, uwijając się między samolotami i udzielając pierwszej pomocy rannym).

Po uroczystości dywizjon wystartował ponownie na alarm, po południu po raz trzeci. W ostatnim locie dywizjon zestrzelił jednego Dorniera, a sierż. Frantisek jeszcze jednego Me-109. Sierż. Frantisek, Czech, służył w naszym lotnictwie już w Polsce i pozostał w 303 Dywizjonie do końca. Był on czołowym zwycięzcą i jednym z trzech pilotów obrony którzy w jednym locie zestrzelili po 5 samolotów. Drugim był Polak, sierż. Antoni Głowacki⁸, który służył w brytyjskim dywizjonie, trzecim był Anglik.

W tym samym dniu, 18 września, 302 Dywizjon Poznański odniósł siedem zwycięstw, zestrzeliwując 5 Ju-88, 1 Do-215 i Do-17, ponadto miał przyznane 3 samoloty prawdopodobnie zniszczone. Obaj dowódcy, S/L Satchell i ppłk. Mümler, zestrzelili po jednym Niemcu i zgodnie meldowali po wylądowaniu o brawurowym działaniu całego dywizjonu.

Prasa angielska i B.B.C. we wrześniu niemal codziennie podawały wiadomości o polskich zwycięstwach. Naczelny dyrektor B.B.C. przesłał 303 Dywizjonowi list gratulacyjny tej treści:

„Wy używacie powietrza dla waszych wspaniałych wyczynów, my dla głoszenia o nich światu. Niech żyje Polska!” (Podpisał: F.W. Ogilvie).

20 września Król Jerzy VI nadał pierwsze brytyjskie odznaczenie bojowe obcokrajowcowi w drugiej wojnie światowej — był nim sławny już sierż. Józef Frantisek, dekorowany *Distinguished Flying Medal'em*. Szef sztabu R.A.F. Marszałek Newall przesłał Frantiskowi odręczny list gratulacyjny z tej okazji.

26 września Król Jerzy VI przyjechał na lotnisko Northolt i był świadkiem startu 303 Dywizjonu na lot bojowy. Odjeżdżając Król polecił powiadomić Go telefonicznie o wynikach walki naszego dywizjonu. Dywizjon został skierowany na Portsmouth, bombardowany właśnie przez Niemców. Po powrocie dywizjonu złożono Królowi meldunek: 303 Dywizjon zestrzelił na pewno 11 samolotów niemieckich i jeden prawdopodobnie.

Następnego dnia, czyli w ostatnim dniu bitwy o Londyn, 303 Dywizjon zestrzelił 12 samolotów niemieckich — w tej liczbie swój setny — stracił jednak pilota który odniósł pierwsze zwycięstwo dywizjonu: śp. Ludwika Paszkiewicza, mianowanego pośmiertnie kapitanem.

W dniu tym zanotowano szczytowy wysiłek Luftwaffe, która

8. Skończył wojnę w stopniu kapitana i jako dowódca dywizjonu.

wysłała na Londyn 850 samolotów. Odtąd nasilenie dziennych wypraw mało wyraźnie.

Trzeci okres bitwy

Niemal raptowne przerwanie dziennych ataków na Londyn pod koniec września nie było wcale jednoznacznie ze zmniejszeniem się wysiłku Luftwaffe i lotnictwa obrony. Niemcy zmienili swoją taktykę, i celem ich odtąd było wyczerpanie obrony nękającymi nalotami. Ataki w dzień były wykonywane przez Messerschmitty 110, dwusilnikowe myśliwce, którym podwieszano bomby. Myśl tę podjęli w następnym roku sprzymierzeni stwarzając jednostki tzw. myśliwców-bombowych (*fighter-bomber squadrons*). Nieduże wyprawy Me 110 latały na wysokościach od 6 do 9 tysięcy metrów, fala za falą, z małymi przerwami. Powodowało to stały i bardzo duży wysiłek lotnictwa obrony, a jednocześnie zmalały szanse spotkań, toteż walk było znacznie mniej aniżeli w poprzednich okresach. Tymczasem jednak R.A.F. poniósł duże straty w pilotach (ponad 300) i w sprzęcie których uzupełnienie natrafiało na poważne trudności. Szkoły, pracując niemal stale pod zagrożeniem, wypuszczały niewielu nowych pilotów, a wytwórnice miały wydajność zaledwie 4 samoloty dziennie. Z tych też powodów liczba polskich pilotów w dywizjonach R.A.F. wzrosła w październiku do 73, a w listopadzie do 89. W tych miesiącach co piąty pilot obrony był Polakiem.

Ponadto Niemcy wykonywali nocne bombardowania obiektów przemysłowych i miast angielskich, a że R.A.F. miał wówczas słabe i dość prymitywne wyposażone lotnictwo myśliwskie nocne, Luftwaffe na ogół odnosiła sukcesy w nocy bez większych strat.

Wskutek tej dziennej i nocnej działalności Luftwaffe cała organizacja obronna była przeciążona nieprzerwaną pracą i pod koniec października ogół personelu — zarówno w jednostkach walczących jak i w sztabach i ośrodkach dowodzenia — był u kresu swych sił fizycznych i przechodził silne napięcie nerwowe. Na szczęście dla obrony, Niemcy w dniu 31 października właściwą bitwę przerwali. Decyzja do przerwania zapadła już 12 października, ale o tym w Anglii oczywiście nie wiadomo. Niemcy uznali się za pokonanych, odłożyli plan inwazji wysp brytyjskich „do wiosny” i zajęli się przygotowaniami do wojny z Rosją Sowiecką.

Pomimo tego nocne działania Luftwaffe kontynuowano. W nocy 14/15 listopada było znane powszechnie bombardowanie

miasta Coventry w czasie którego uległ zniszczeniu cały środek miasta włącznie z katedrą. Okres od listopada 1940 do 11 maja 1941 pisarze brytyjscy określają jako „Drugą Bitwę o W. Brytanię”. Ostatnia wyprawa uderzyła na Londyn w nocy 11 maja 1941, a po niej nastąpiła ponad roczna przerwa w działaniach Luftwaffe przeciw Wielkiej Brytanii.



303 Dywizjon Kościuszkowski nie walczył już w październiku, będąc z powodu strat przeniesiony do spokojniejszego wycinka obrony, na odpoczynek.

5 października 302 Dywizjon Poznański odniósł nowe duże zwycięstwo; dywizjon zniszczył 9 samolotów niemieckich na pewno i 3 prawdopodobnie. Bohaterem dnia był sierżant Siudał, który zestrzelił 3 samoloty pewne. W dniu tym zginął jeden z „asów” dywizjonu, por. Wojciech Januszewicz.

Decyzja przerwania bitwy powzięta 12 października była ostatnim z szeregu błędów niemieckiego kierownictwa. Niemcy nie zdawali sobie sprawy, że właśnie w drugiej połowie października mieli większą przewagę liczebną nad obroną aniżeli przy rozpoczęciu bitwy. Stan Luftwaffe z 19 października 1940 wykazywał następujące ilości czynnych samolotów: 879 bombowych, 711 myśliwskich jednosilnikowych, 247 myśliwskich dwusilnikowych, razem 1837. Tymczasem lotnictwo brytyjskie dysponowało tylko 25 dywizjonami myśliwskimi pełnowartościowymi do walki dziennej, a stan doświadczonych pilotów w linii był o jedną trzecią mniejszy od stanu z lipca. Faktycznie więc Luftwaffe miała w połowie października sześciokrotną przewagę liczebną nad R.A.F.

Dane statystyczne

Poniższe dane statystyczne pochodzą z powojennej dokumentacji obu stron: różnią się one dość znacznie od danych ogłaszanych w czasie bitwy przez obie strony. Z wielu przyczyn, zupełnie zrozumiałych, przeceniano dość mocno straty przeciwnika, a ukrywano własne rzeczywiste straty.

Ogółem straty brytyjskie od 10 lipca do 31 października 1940 r. wyniosły 481 pilotów poległych, 422 rannych (z których wielu nie nadawało się już do służby) i 915 samolotów zniszczonych.

Luftwaffe straciła 1733 samoloty zniszczone i 643 uszkodzo-

ne (które nadawały się do naprawy). Straty personelu latającego — szacunkowe — wyniosły około 3000.

W porównaniu ze stanem wyjściowym straty brytyjskie były znacznie większe od strat niemieckich, wynosiły bowiem około 150 %, natomiast niemieckie około 53 %. Ten stosunek strat potwierdza charakterystykę działań obronnych i zaczepnych w powietrzu podaną we wstępie.

Polskie zwycięstwa i straty

Ogólne osiągnięcia polskich pilotów w czasie *Battle of Britain* były następujące:

	zestrzelenia		niemieckie
	pewne	prawdo- podobne	samoloty uszkodzone
302 Dywizjon Poznański	16	10	1
303 Dywizjon Warszawski	110	9	6
Piloci w dyonach R.A.F.	77 $\frac{1}{2}$	16	6
Razem:	203 $\frac{1}{2}$	35	36 = 274

Większość strat Niemcy ponieśli w okresie bitwy o Londyn; odliczając zwycięstwa naszych pilotów w pierwszym okresie — których jak wiemy było 29 — otrzymujemy 174 samoloty niemieckie zniszczone w drugim i trzecim okresie, co stanowiło prawie szóstą część zadanych Niemcom strat. Widzimy więc, że słusznie Marszałek Sholto Douglas w swym przemówieniu powiedział, że Polacy sami zadali Niemcom 15 % strat. (Pamiętać należy, że w październiku zwycięstw było niewiele, a 303 Dywizjon nie brał już udziału w walkach).

Obok dużej ilości zwycięstw powietrznych istotną wartość udziału Lotnictwa Polskiego w *Battle of Britain* stanowiło zasilenie obrony pilotami w krytycznym okresie bitwy. Ponad stu pilotów w pierwszej linii wzmożyło obronę samą swoją obecnością, swoim duchem zaczepnym i zapałem oraz swoimi zwycięstwami. Toteż nie ma przesady w twierdzeniu, że polscy myśliwcy przechylili szalę zwycięstwa na rzecz obrony.

Kilku lotników brytyjskich w swoich raportach służbowych i w książkach, względnie wspomnieniach, z bitwy podkreśliło duży moralny wpływ jaki piloci polscy wywierali na swoich brytyjskich kolegów. Urzędowe sprawozdanie z bitwy — *Battle of Britain*, Air Ministry Pamphlet 156, z sierpnia 1943 — przytacza jako dowód zaciętości i nieustępliwości polskich myśliwców walkę jak stoczył śp. sierż. Karubin w dniu 5 września 1940 r.

Po zestrzeleniu jednego Me-109 sierż. Karubin zaatakował drugiego, który już się dymił i nurkował do ziemi. Karubin ścigał Niemca na pełnej szybkości i doszedłszy na odległość skutecznego strzału otworzył ogień; po krótkiej serii okazało się że wy-czerpała się już amunicja karabinów maszynowych Hurricane'a i Niemiec uciekał bezkarnie. Ale Karubin — jak meldował — zdenerwował się tym i przekraczając czas lotu dozwolony na pełnych obrotach silnika dogonił Niemca i zbliżył się do niego tak, że niemal dotykały się skrzydła obu samolotów i piloci zajrzeli sobie w oczy. Pilot niemiecki nerwowo nie wytrzymał i na pełnej szybkości uderzył w ziemię i zapalił się.

Straty własne były następujące:

302 Dywizjon	— 7 pilotów poległo
303 Dywizjon	— 6 pilotów poległo
w dywizjonach R.A.F.	— 13 pilotów poległo
zmarło z ran odniesionych w walkach	— 7 pilotów.

Razem: 33 pilotów.

Z porównania strat własnych z ilością przyznanych zestrzeleń wynika, że na jednego poległego polskiego pilota wypada 6 zniszczonych niemieckich samolotów.

Zestawienie największych ilości pewnych zestrzeleń przyznanych naszym pilotom jest następujące: sierż. Frantisek — 17, por. Urbanowicz — 15, sierż. Głowacki — 8, por. Henneberg — 8 i ppor. Zumbach — 8. Tych pięciu pilotów zestrzeliło więc 56 samolotów nieprzyjacielskich, czyli więcej niż jedną czwartą ogółu zestrzelonych przez naszych pilotów. Należeli oni do elity „asów” obrony Wielkiej Brytanii.

Zakończenie

Słyszy się czasem lub czyta opinie fotelowych strategów upraszczające zagadnienie *Battle of Britain* do twierdzenia, że Anglię uratował kanał, lub radar.

Nie tylko kanał, ale i morza nie uratowały w przeszłości państw i całych kontynentów od najazdów. Na nic by się Anglikom nie przydał kanał gdyby nie przygotowali obrony powietrznej. Ten sam kanał w 1944 roku nie uratował Niemców od inwazji północnej Francji przez siły anglo-amerykańskie.

Radar był oczywiście bardzo ważnym czynnikiem powodzenia obrony, można powiedzieć bez przesady, że zwiększył kilkakrotnie wydajność słabych sił lotnictwa obronnego, ale w tym właśnie rzecz, że Anglicy rozumieli potrzebę sieci dozoru powietrza, że szukali rozwiązania tego trudnego problemu, a nie

siedzieli beczynnie w fotelach licząc na to, że ich Kanał uratuje.

Istota zwycięstwa w Bitwie o Wielką Brytanię leży — moim skromnym zdaniem — w tym, że pomimo sześcioletnich przygotowań kanału i radaru, zwycięstwo mogło być przechylić się na stronę Niemców, gdyby, *po pierwsze*, Kampania Wrześniowa nie odwlekała rozpoczęcia bitwy o 10 miesięcy, *po drugie*, gdyby lotnictwo obronne R.A.F. nie zostało w sierpniu zasilone stu polskimi pilotami.

Franciszek KALINOWSKI

AKT PIERWSZY DRAMATU (dok.)

Rząd w dniach francuskiej klęski

10 czerwca 1940 Sikorski opuścił Angers — „tymczasową stolicę Polski” zawiadamiając Prezydenta i rząd, że udaje się na front. Nikomu nie powierzył pełnienia w swoim zastępstwie funkcji premiera. Zlecił jedynie Zaleskiemu przewodniczenie na posiedzeniach Rady Ministrów.

W nocy z 13 na 14 czerwca Zaleski dowiaduje się od dr. Ludwika Rajchmana, że rząd francuski postanowił ewakuować rząd polski z Angers do Libourne. Informuje o tym zaraz Prezydenta. Proponuje naradę rządu w siedzibie Prezydenta w Pignerolles. Odbywa się ona 14 czerwca z udziałem Prezydenta. Prócz Zaleskiego obecni są ministrowie i podsekretarze stanu: Sosnkowski, Strasburger, Stańczyk, Kot, Graliński i Popiel. W czasie posiedzenia dołączają: Stroński i Kukiel.

Paryż jest już w rękach niemieckich. Obrady wypełniają tylko sprawy ewakuacyjne. Czy wszystkie? Nie. Wyłączono z nich ewakuację wojsk polskich, znajdujących się poza frontem walk. Wiceminister Kukiel poinformował bowiem obecnych, że nie jest w stanie podjąć w tej sprawie odpowiednich kroków ze względu na nieobecność Naczelnego Wodza i niemożność nawiązania z nim kontaktu.

Jeszcze tegoż dnia Prezydent, rząd i wyżsi urzędnicy opuścili samochodami Angers udając się do Libourne. Nazajutrz, 15 czerwca, Zaleski konferował w Bordeaux z premierem francuskim. Reynaud doradzał ewakuację rządu polskiego do Wielkiej Brytanii. Rada Ministrów po wysłuchaniu sprawozdania Zaleskiego uchwaliła przeniesienie rządu do Anglii. Na wniosek Kota postanowiono, że Prezydent i minister spraw zagranicznych udadzą się tam niezwłocznie. Inni ministrowie pozostaną w Libourne,

czekając na Sikorskiego z którym wciąż nie udało się nawiązać łączności.

W czasie dyskusji Zaleski zaproponował, by drugi urzędujący wiceminister spraw wojskowych, gen. Modelski, udał się z nim nazajutrz do Bordeaux dla omówienia wszystkich spraw ewakuacyjnych zarówno z władzami francuskimi, — jak i z ambasadorem Wielkiej Brytanii przy rządzie Polskim. Modelski odmówił zasłaniając się brakiem instrukcji Naczelnego Wodza. Zaleski zwrócił się wówczas z tą samą prośbą do Sosnkowskiego, najstarszego rangą generała broni. Sosnkowski podzielił jednak punkt widzenia obu wiceministrów.

10 czerwca — po 6-ciu dniach daremnych wysiłków — Prezydent skomunikował się wreszcie z Sikorskim. Chwilę tę tak opisuje August Zaleski:

„Dopiero około północy tegoż dnia udało się Prezydentowi RP nawiązać komunikację telefoniczną z gen. Sikorskim, który znajdował się w Vichy — miejscu postoju francuskiej kwatery głównej. Byłem obecny przy rozmowie Prezydenta z premierem. Pan Prezydent wezwał generała do jak najszybszego powrotu wobec krytycznej sytuacji w jakiej znalazł się rząd z powodu klęski Francji. Gen. Sikorski przez czas jakiś nie dał się przekonać. Sądząc z odpowiedzi Pana Prezydenta wnioskowałem, że generał Sikorski twierdził, że nie może przybyć do Libourne, gdyż nazajutrz ma widzieć się z gen. Weygandem. Gdy Pan Prezydent powiadomił generała, że gen. Weygand znajduje się w Bordeaux, gen. Sikorski tłumaczył, że nie może wyjechać natychmiast bo nie ma samochodu. P. Prezydent powiedział mu, że powinien pomimo to za wszelką cenę natychmiast wyjechać, choćby zarekwirovanym autem. Wreszcie generał uległ i obiecał przyjechać nazajutrz po całonocnej podróży”.

Gloryfikator Sikorskiego A. Romer usiłuje tłumaczyć w swej broszurze powody nieobecności generała w siedzibie Prezydenta i rządu.

„W Libourne — pisze — dokąd rząd R.P. schronił się 15 czerwca po przyjeździe z Angers, generał był tylko krótko. Jeździł on przez 2 tygodnie wzdłuż frontu na wschodzie Francji, odwiedzając kolejno oddziały polskie, do których mógł się dostać”... „Ewakuacja rządu z Angers, acz przygotowana od pewnego czasu — pisze mgliście Romer — została zarządzona ostatecznie przez Radę Ministrów, zwołaną w nocy z 13 na 14 czerwca na żądanie Prezydenta Raczkiewicza w jego rezydencji Pignerolles. Prezydent nie krył się już wówczas z zalem do generała o rzekomy brak kontaktu i pozostawienie jego z rządem w sytuacji nieświadomości, że niebezpieczeństwo jest tuż”. Pretensja Prezydenta „była zupełnie nieuzasadniona, ponieważ prof. Kot z polecenia generała wszystko miał gotowe do wyruszenia”...

Wywód Romera ani nie wyjaśnia bliżejjazd Sikorskiego „wzdłuż frontu na wschodzie Francji” ani powodów braku kontaktu z Prezydentem i rządem. Natomiast Romer przyznaje, że

„generał do ostatniej chwili nie chciał wierzyć w załamanie Francji”.

Ale 17 września — gdy zjawił się w Libourne — nikt nie miał głowy do analizowania przyczyn jego długotrwałej nieobecności. Wszyscy odetchnęli z ulgą, że się w ogóle znalazł. Przede wszystkim jego zatroskani przyjaciele jak Stroński, pełni obaw, czy zachowanie się Sikorskiego nie przesądzi o jego dalszej karierze politycznej.

Tempo wypadków tego dnia było zawrotne. Powstał rząd Pétaina. Rząd Polski dowiedział się z głośnika radiowego, że sędziwy marszałek Francji zwrócił się do Niemców z propozycją zawieszenia broni. Propozycja zapowiadała kapitulację Francji.

Zaleski w towarzystwie sekretarza generalnego MSZ, J. Ciechanowskiego, udał się do Bordeaux. Wiadomości, które przywiózł po rozmowie z nowym ministrem spraw zagranicznych Baudouin'em brzmiały ponuro. Tymczasem ambasador brytyjski, sir Howard Kennard, zawiadomił go, że rząd JKM. zaprasza Prezydenta Raczkiewicza z rządem do Anglii i że zarezerwowano już miejsca dla Prezydenta, szefa kancelarii Prezydenta, ministrów: Zaleskiego, Ciechanowskiego i ich rodzin.

Wróciwszy z Bordeaux do Libourne Zaleski udał się na rozmowę z premierem. Sikorski wciąż jeszcze nie podzielał pesymistycznych ocen Zaleskiego na temat sytuacji Francji. Zaaprobował jednak uchwałę Rady Ministrów, dotyczącą wyjazdu do Anglii Prezydenta i Ministra Spraw Zagranicznych. Jeszcze tegoż dnia obaj udali się na pokład brytyjskiego krążownika „Arctusa”.

W Libourne odbyło się tymczasem posiedzenie rządu pod przewodnictwem Sikorskiego. Prócz premiera biorą w nim udział: Sosnkowski, Haller, Strasburger, Stroński, Seyda, Kot i Kukiel. I na tym posiedzeniu nie mówi się o porachunkach z przeszłością. Za to w podnieconej atmosferze klęski francuskiej zaczynają występować pierwsze oznaki porachunków pomiędzy członkami rządu.

Ten inny rozdział porachunkowy otwiera, oczywiście, Kot. Porusza sprawę wyjazdu z Francji dwóch ministrów: Spraw Zagranicznych i Opieki Społecznej oraz swego kolegi partyjnego wiceministra MSZ dr. Gralińskiego. Zarzuca im, że opuścili Francję bez zapewnienia ciągłości pracy podległych im resortów w czasie dalszego przebywania rządu we Francji. Nie pozostał właściwie nikt upoważniony do prowadzenia agend. Przebywających jeszcze w Libourne ambasadorów i ministrów akredytowanych przy rządzie polskim pozbawiono kontaktu z ministerstwem spraw zagranicznych. W tej sytuacji dalsze rozmowy z rządem francu-

skim będą się mogły odbywać przez premiera. Zarówno rzesze uchodźców na niezajętym przez Niemców obszarze Francji, jak wszyscy urzędnicy, których nie da się ewakuować, znaleźli się bez opieki właściwego ministra.

Sikorski wyjaśniał, że nie miał nigdy wątpliwości co do konieczności niezwłocznego wyjazdu z Francji Głowy Państwa. Stał na stanowisku pozostawienia „wolnej ręki” ministrom. Uważał jednak, że nie może być przerwy w działalności resortów. Z tego względu jednoczesny wyjazd dwóch ministrów i dwóch podsekretarzy, nie da się niczym usprawiedliwić. Będą z tego wyciągnięte konsekwencje.

Sikorski zreferował rządowi swe rozmowy — jak się wyrażał — z „przybitym sytuacją” Pétainem. Marszałek Francji był zaskoczony oświadczeniem Sikorskiego, że Polska będzie dalej walczyć. Francja — stwierdził dopiero teraz — najwidoczniej zupełnie się załamała. Trzeba więc przerzucić się do Wielkiej Brytanii. Ambasador Kennard zaproponował mu wyjazd z Prezydentem, ale odmówił. Powiedział, że nie opuści większości Polaków bez zaopiekowania się ich losem.

Stroński domagał się zajęcia wyraźnego stanowiska w sprawie dalszej woli walki. Należy rozprawić się — mówił — z tendencjami wychodzącymi od niektórych członków Rady Narodowej. Mają one na celu próbę podjęcia bezpośrednich rozmów z Niemcami, względnie za pośrednictwem Włoch. Musimy sobie zdać sprawę — mówił — z ciężaru odpowiedzialności, jaki na siebie bierzemy. Nie może ulegać wątpliwości, że wyrok historii uzna za jedynie właściwą decyzję dalszej walki, podobnie jak uznał słuszność decyzji księcia Poniatowskiego ocalenia honoru narodu.

Kot zgłosił wniosek o zaproszenie na wspólne posiedzenie z rządem obecnych w Libourne członków Rady Narodowej. Wyповідаł się także za odrzuceniem pomysłów szukania rozmów z Niemcami. Jako zwolenników tych pomysłów wymieniał S. Mackiewicza i T. Bieleckiego. Przechodząc do spraw ewakuacyjnych zaatakował znowu resort Zaleskiego. Niestety — mówił — ze strony MSZ istniała tendencja do maksymalnego wykorzystania możliwości wyjazdowych urzędników tego resortu i ich rodzin.

Premier reasumując dyskusję oświadczył, że zwołuje na dzień następny obecnych w Libourne członków Rady Narodowej na wspólne posiedzenie z rządem.

Posiedzenie rządu rozpoczęło się 18 czerwca o 10.30 rano z udziałem Sikorskiego, Sosnkowskiego, Hallera, Kota, Strasburgera, Strońskiego, Seydy oraz Kukiela. Były to ostatnie obrady

rządu polskiego na ziemi francuskiej. Wspólne obrady z Radą Narodową zaczęły się z małym opóźnieniem, o godzinie 11m45. Przewodniczył im Mikołajczyk.

Oba posiedzenia odbyły się w atmosferze podniecenia. Nikt już nie wątpił w klęskę militarną Francji. Mówiło się wyłącznie o sprawach ewakuacyjnych. Incydent, który rozegrał się pomiędzy posiedzeniem rządu i wspólnym posiedzeniem rządu z członkami Rady Narodowej świadczył o nabrzmiewających konfliktach wewnętrznych.

Doszło do krótkiej rozmowy między T. Bieleckim, prezesem Stronnictwa Narodowego i wiceprzewodniczącym Rady Narodowej a Sikorskim. Bielecki postanowił zareagować na zarzuty jakoby wypowiadał się za szukaniem porozumienia z Niemcami. Odcinał się od pomysłów proniemieckich Mackiewicza, który zaklinał wszystkich, nie wyłączając Prezydenta, by zostali we Francji i szukali dróg porozumienia z Trzecią Rzeszą. Bielecki pozostawał we Francji, uważał jednak, że Prezydent i rząd muszą jak najszybciej opuścić kraj opanowywany przez wroga. Dał temu wyraz w rozmowie pożegnalnej z Prezydentem, gdy ten opuszczał Francję.

Pragnąc jak najszybciej sprostować stawiane mu zarzuty (miał je także powtarzać Kukiel), Bielecki zaraz po Radzie Ministrów podszedł do premiera. W obecności Sosnkowskiego powiedział, że pogłoski o jego rzekomych zamiarach porozumienia z Niemcami są kłamstwem. Dodał, że będzie czynnie reagował jeśli się dowie, kto je rozsiewa. Usłyszawszy to Sikorski zawołał: „Dziękuję Panu” i długo ścisnął dłoń Bieleckiego. Bielecki zdziwiony tak wylewną reakcją nic nie odpowiedział i udał się na posiedzenie Rady Narodowej.

Tymczasem Prezydent znalazłszy się na krążowniku brytyjskim postanowił załatwić kilka pilnych spraw.

18 czerwca wysłał do króla Jerzego VI depeszę z prośbą o ułatwienie ewakuacji wojska polskiego z Francji, podając jego dyslokację i liczbę. Nie mógł wówczas przewidzieć, że depesza ta nie dotrze do Króla, bo tak zarządził Sikorski. Nazajutrz, 19 czerwca Raczkiewicz podpisał akt wyznaczający swego następcę. Skłoniły go do tego dwie okoliczności. Znajdował się na krążowniku narażonym w każdej chwili na atak niemiecki, a wyznaczony 16 października 1939 roku następca, generał K. Sosnkowski zostawał w zagrożonej przez wroga Francji. Zarządzenie brzmiało:

„Na podstawie art. 24 ust. 1 Ustawy Konstytucyjnej wyznaczam p. Edwarda Raczyńskiego, ambasadora RP w Londynie, na następcę prezydenta Rzeczypospolitej na wypadek opróżnienia się urzędu Prezydenta Rzeczypos-

politej przed zawarciem pokoju. Z chwilą ogłoszenia niniejszego zarządzenia — zarządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z dn. 16 października 1939 o wyznaczeniu generała Kazimierza Sosnkowskiego na następcę Prezydenta Rzeczypospolitej, traci moc obowiązującą”.

Tegoż dnia Prezydent skierował do ambasadora RP w Londynie Edwarda Raczyńskiego jeszcze drugą depeszę:

„W związku z zarządzeniem z daty dzisiejszej, w którym wyznaczyłem Pana następcą Prezydenta RP, dając Panu równocześnie telegraficzne instrukcje w tej sprawie, pragnę dodać do nich co następuje. Gdybym zginął, a gen. Sosnkowski nie mógł objąć mego urzędu, na skutek czego urząd Prezydenta RP przeszedłby na Pana, a znajdujący się przy moim boku min. August Zaleski ocalał, wtedy życzeniem moim byłoby, ażeby z rąk Pana on objął urząd Prezydenta R.P.”.

Wszystkie te akty usprawiedliwiały okoliczności wojenne. Dramatyczna depesza Sosnkowskiego (numer 1282) wysłana drogą radiową z Francji 19 czerwca o godzinie 20-tej wieczorem maluje obraz tych chwil. Depesza skierowana była do Prezydenta i Naczelnego Wodza.

W rozmowach z Pétainem, Weygandem i Darlanem — informował Sosnkowski —

„uzyskałem w myśl rozkazu niepewną obietnicę wywiezienia pełniących obowiązki rządu i znacznej liczby osób cywilnych okrętami francuskimi... Nalegać... na szybki wyjazd rządu i Rady Narodowej, nawet środa. Natychmiastowa pomoc angielska ze względu na ogólnikowość obietnic — niezbędna. Niepokój o Bretanię, skąd ze względu na sytuację niczego wywozić nie podejmujemy się. Obawa, by wszystko nasze nie przepadło. Nasi orientowali się na Brest — Sosnkowski”.

Przebywając na „Arehusie”, jeszcze na wodach Francji, Prezydent nie orientował się co robi premier i Naczelnny Wódz. Do Londynu Prezydent dojechał dopiero 21 czerwca wieczorem. Wraz z Prezydentem przybyli: Łepkowski, Piotrowski, mjr. Skarbek, ministrowie: Zaleski i Strasburger. Wśród oczekujących Prezydenta na stacji Paddington znaleźli się przybyli już wcześniej, bo 20 czerwca z Le Verdon członkowie rządu: Stańczyk, Popiel, Graliński i Falter. Zaliczano ich potem do „najsłabszych ewakuatorów”.

Od 17 do 20 czerwca „Arehusa” znajdowała się w porcie Le Verdon. W tym właśnie czasie, 18 czerwca, premier udał się samolotem w towarzystwie przybyłego z Londynu dr. J. Retingera do stolicy Wielkiej Brytanii dla odbycia rozmów z premierem Churchillem, Edenem i lordem Halifaxem. W wyniku ich Sikorski złożył rządowi brytyjskiemu 19 czerwca następujące *aide-mémoire*:

Rząd Polski, uważając klęskę Niemiec za główny cel wojny, nie ma zamiaru stwarzania trudności, które mogłyby stać się przeszkodą w dyskusjach pomiędzy Rządem brytyjskim a Rządem sowieckim, nawiązanych z okazji mianowania Sir Stafford Crippsa ambasadorem w Moskwie. Z drugiej jednak strony Rząd Polski jest zdecydowany nie szczędzić żadnego wysiłku, aby polepszyć tragiczną sytuację ludności polskiej, znajdującej się pod okupacją sowiecką. Jest on zdania, że spełnienie tego warunku umożliwiłoby zużytkowanie cennych elementów wyszkolonych rezerw oraz oficerów znajdujących się na tych obszarach jak również poza nimi (jeńcy wojenni więzieni na terytorium sowieckim) w celu tworzenia za zgodą władz sowieckich armii polskiej w liczbie około 300.000 ludzi do zużytkowania jej przeciw Niemcom.

W obecnym stanie rzeczy Rząd Polski pozwala sobie zasugerować przydzielenie do personelu Wielko-Brytyjskiej ambasady w Moskwie, w charakterze nieoficjalnym i poufnym, osoby polskiej narodowości, której obowiązkiem byłoby zapoznanie się z sowieckim punktem widzenia oraz możliwościami zrealizowania wyżej wspomnianego projektu. Osoba ta, wybrana przez Rząd Polski spośród ludzi znających dokładnie warunki sowieckie i mentalność rosyjską, mogłaby równocześnie być użyteczną sir Stafford Crippsowi w wykonaniu jego misji.

Rząd sowiecki oczywiście winienby być poinformowany przez Ambasadę Brytyjską o istotnym charakterze tej osoby.

Rozumie się samo przez się, że uwagi wypowiedziane w obecnym *Aide-Mémoire*, nie mogą być interpretowane jako zawierające rezygnację z niepozywalnych praw Państwa Polskiego naruszonych przez agresję Związku Sowieckiego”.

Autorami dokumentu byli J. Retinger i S. Litauer, postacie agenturalne, nie mające żadnych tytułów do formułowania stanowiska rządu polskiego. Pierwotny tekst przez nich przygotowany zmodyfikował ambasador PR w Londynie E. Raczyński, lecz nie zmieniło to istotnej treści dokumentu⁹.

Sikorski ochłonawszy nieco po swej błyskawicznej podróży uprzytomnił sobie, że samowolne wysłanie tego dokumentu może na niego ściągnąć zarzuty. Postanowił je uprzedzić. Nazajutrz po przybyciu Prezydenta do Londynu, zaatakował Zaleskiego. Skierował do niego list, w którym pisał:

„Proszę Pana Ministra, ażeby nie podejmował ani nie wydawał żadnych zasadniczych decyzji politycznych, dotyczących jego resortu, bez uprzedniego porozumienia się ze mną. Obecnie zajęty jestem całkowicie ewakuacją Polaków z Francji. Po ewakuacji nadejdzie czas na rozmowy polityczne. Decyzje najpilniejsze, gdy o naszej polityce zagranicznej mowa, powziąłem w czasie, gdy Ministerstwo zamknęło się własnowolnie na okrętach angielskich, zaniedbując najkardynalniejsze obowiązki — ze szkodą dla sprawy. Zezhee Pan Minister zapoznać się z tymi dyrektywami za pośrednictwem

9. Według Raczyńskiego postulat zaniechania przez Sowiety przesładowania ludności polskiej oraz nienaruszalności granic został przez niego wprowadzony do tekstu memorandum.

ambasadora Raczyńskiego i attaché wojskowego, którzy dysponują odpisami wysłanych przeze mnie depesz...”

Treść i ton były niezwykle. Zaleski zareagował natychmiast, odwzajemniając się Sikorskiemu pięknym za nadobne w liście z 23 czerwca.

W pierwszej części formułował pod adresem premiera niedwuznaczny zarzut, że w najcięższych chwilach rząd nie miał możliwości utrzymania kontaktu ze swym szefem.

„Łączności z Panem Premierem — pisał — nie było, poza jednostronną od niego, mianowicie: 11 i 12 czerwca otrzymano od Pana Premiera dwa telefonogramy i list, polecający nie śpieszyć się z ewakuacją, gdyż sytuacja jest dobra na froncie i nadal się poprawia”.

Brak było łączności również 14 i 15 czerwca, gdy Zaleski dowiedział się w Bordeaux, że sytuacja jest beznadziejna.

„Dopiero 16 czerwca — pisał dalej — dostałem od Pana Premiera list, z którego wynikało, że Pan Premier nie orientował się zupełnie w sytuacji ani wojskowej ani politycznej”.

W dalszym ciągu odpowiedzi atakował tajny memoriał Sikorskiego doręczony rządowi brytyjskiemu, gdy Prezydent i on przebywali jeszcze we Francji na krążowniku brytyjskim:

„W tym czasie — pisał Zaleski — Pan Premier ulegając namowom rządu angielskiego, który na wiadomość, że generał Sikorski jest w niebezpieczeństwie, skierował samolot do jego dyspozycji, z tego samolotu skorzystał i stanął w Anglii dnia 18 b.m., to jest zaledwie w kilkanaście godzin po moim wyjeździe z Libourne. Tego dnia i dnia następnego MSZ. funkcjonowało w Libourne i w żadnym razie nie mogło znajdować się w Londynie, gdzie urzędował Pan Premier.

W liście swoim wzywa mnie Pan Premier do zaprzestania jakichkolwiek decyzji dotyczących mego resortu bez uprzedniego porozumienia się z nim, dodając, że „po ewakuacji nadejdzie czas na rozmowy polityczne”. Otóż stwierdzam kategorycznie, że nigdy nie podejmowałem, ani nie wydawałem żadnych zasadniczych decyzji politycznych bez uprzedniego porozumienia się z gabinetem lub co najmniej z Panem Premierem. Natomiast z przykrością stwierdzić muszę, że Pan Premier bez porozumienia ze mną niejednokrotnie pobierał i przeprowadzał daleko idące decyzje, jak to miało miejsce choćby teraz, gdy Pan Premier mimo, iż sam twierdzi, iż czas na rozmowy polityczne przyjdzie po ewakuacji, bez decyzji rządu złożył notę rządowi brytyjskiemu, obiecując mu utworzenie 300.000 armii w Rosji Sowieckiej. Otóż muszę stwierdzić, iż Rzeczpospolita Polska znajduje się w stanie wojny tak samo z Rosją Sowiecką jak i z Niemcami, że Rosja Sowiecka zajęła olbrzymią część terytorium Rzeczypospolitej, że nie ma żadnych danych na to, aby Rosja Sowiecka miała zmienić swój stosunek do nas ani do Niemiec (czego dowodem dzisiejszy, rosyjski komunikat) i że wreszcie taka armia tylko o tyle powstać może w Związku Sowieckim o ile Sowiety dojdą do przekonania, że będzie ona dostatecznie zbolszewizowana,

aby służyć za narzędzie do przyłączenia Polski jako kraju związkowego — do Rosji Sowieckiej. Rosja nie byłaby państwem komunistycznym, gdyby zgodziła się na tworzenie u siebie armii przejętej ideałami patriotycznymi, tak jak nie można sobie wyobrazić tworzenia za zgodą Rządu Polskiego armii komunistycznej w Polsce. Jeżeli wiadomość o tym dojdzie do Polski, to może tam powstać takie zamieszanie pojęć, że mogą znaleźć się ludzie, którzy pokuszają się o tworzenie armii polskiej pod zaborem niemieckim. Bo i czymże gorszy jest zaborca niemiecki od moskiewskiego?

Szczęśliwy jestem, że Ministerstwo Spraw Zagranicznych będące pod moim kierownictwem nie wzięło udziału w tym akcie i nie ponosi zań odpowiedzialności, choćby miało dlatego 'zamykać się własnowolnie na okrętach angielskich', na które zresztą były cztery ataki bombowców: A ile było ataków na samoloty Pana Generała?" — kończył z ironią Zaleski.

Odpowiedź Zaleskiego była merytorycznie słuszna. Ton — złośliwy i kpiący. Następstwem takiej wymiany listów mógł być wybuch konfliktu, otwierającego przesilenie gabinetowe niemal nazajutrz po przybyciu polskich władz państwowych do Londynu. Tego Sikorski pragnął uniknąć zdając sobie sprawę z nastrojów niezadowolenia nie tylko wśród uchodźców cywilnych lecz i wojskowych. 24 czerwca wydał tzw. okólnik-rozkaz. Nastroje te nazywał szkodliwym, a nawet zabójczym „zgiełkiem emigracyjnym”. Domagał się „spokoju, taktu i trochę „względu na sprawę publiczną”. Groził znowu „konsekwencjami” tym, którzy stawiają zarzuty. Zapewniał w okólniku, że zroszczy się o wszystkich. Usprawiedliwiał błędy popełnione w czasie ewakuacji z Francji — „błyskawicznym tempem” wydarzeń.

Postanowiono konflikt zażegnać. Zdaje się, że odegrał w tym z jednej strony rolę Prezydent wpływając na Zaleskiego, z drugiej Sosnkowski hamując Sikorskiego. Po dwóch dniach pobytu w Londynie, rano 23 czerwca, Sikorski zjawił się u Prezydenta. Tegoż jeszcze dnia Prezydent podejmował śniadaniem Sikorskiego i Sosnkowskiego. Uczestnicy śniadania odbyli potem „dłuższą konferencję”. Następnie Prezydent przyjął Zaleskiego. Tematem rozmów była wymiana listów między premierem i ministrem spraw zagranicznych oraz sprawa memorandum złożonego przez Sikorskiego rządowi brytyjskiemu.

24 czerwca niebezpieczeństwo przesilenia minęło. W liście z tej daty Zaleski pisał do Sikorskiego:

„Stosownie do życzenia Pana Generała odsyłam przy niniejszym liście jego do mnie z 22 b.m. za Nr. Lp. 6/40 z tym, że Pan Generał również na własne życzenie zwrócił mi odpowiedź moją na ten list z dn. 23 b.m.”

Manewr Sikorskiego skończył się porażką. Zaleski jako minister spraw zagranicznych otrzymał pełną satysfakcję. Jemu bowiem przypadło w udziale wycofanie memoriału złożonego Bry-

tyjczykom. W czasie rozmów na ten temat u Prezydenta Sikorski wykręcał się jak mógł. Twierdził, że w *aide-mémoire* wyrażał tylko „luźne przypuszczenia”. Dowodził, że przecież w pewnych okolicznościach tworzenie armii polskiej „na terenie sowieckiej okupacji mogłoby się stać aktualne”. Nie mógł się oczywiście przyznać, że zgodził się na treść memoriału Litauera-Rettingera pod wpływem nastroju chwili, kiedy uprzytomnił sobie, że po klęsce Francji stał się Wodzem Naczelnym bez armii. Pragnął ją odzyskać. I dlatego uległ podszeptom obu agenturalnych postaci. Ostatecznie musiał się z tym pogodzić, że Zaleski w rozmowie z Halifaxem podejmie próbę wycofania jego *aide-mémoire*.

Samowolny krok polityczny premiera i treść złożonego władzom brytyjskim dokumentu zaalarmowały Prezydenta. Po raz pierwszy zadał sobie pytanie, czy Sikorski może być nadal szefem rządu. Eksperci M.S.Z. — na pewno nie bez wiedzy Prezydenta, a może na jego zlecenie — przygotowali krytyczną analizę *aide-mémoire*. Analizę, nazwaną „rozbiorem politycznym”, ujęto w siedem punktów. „Rozbiór” zwraca m.in. uwagę na fakt, że *aide-mémoire* złożono w czasie, gdy — jak to potwierdzają komunikaty TASS’a — Związek Sowiecki łączy z Niemcami „stosunek nie tylko neutralności ale przyjaźni”. Autorzy „rozbioru” pisali w punkcie 4-tym:

„Poza niczym zresztą niegwarantowanym dezyderatem ewentualnego użycia utworzonej w ten sposób armii przeciwko Niemcom, propozycja uzależniona jest od jednego tylko warunku wstępnego, tj. polepszenia „sytuacji tragicznej”, w której znajduje się ludność polska pod okupacją sowiecką. Innymi słowy, gdyby rząd brytyjski pod wpływem okoliczności widział się zmuszonym do uczynienia próby skaptowania sobie Rosji bez względu na cenę, przynajmniej jeśli o nas chodzi, to na podstawie *aide-mémoire*’u z 19 VI miałyby możliwość zaproponowania rządowi sowieckiemu poboru 300.000 oficerów i żołnierzy polskich, nawet gdyby rząd sowiecki nie miał jeszcze zamiaru wypowiedzenia wojny Niemcom, — w zamian jedynie za nieskonkretyzowaną obietnicę ulżenia losowi ludności polskiej, np. w postaci zaprzestania prześladowań i wywożenia w głąb Rosji, pomocy aprowizacyjnej i sanitarnej etc. Wykonanie takich obietnic nie byłoby oczywiście gwarantowane niczym, chociażby dlatego, że uzyskanie jakichkolwiek gwarancji realnych jest w danej sytuacji całkowicie niemożliwe z oczywistych przyczyn technicznych”.

„Propozycja nie wspomina też o tym — brzmiał punkt 5-ty „rozbioru” — ażeby armia utworzona na jej podstawie miała być armią narodową, polską, pod polskim dowództwem naczelnym, a tym więcej, jaki byłby stosunek tego naczelnego dowództwa do naczelnego dowództwa sowieckiego. Zresztą armia taka dla oczywistych przyczyn technicznych byłaby pod każdym względem, a przede wszystkim pod względem uzbrojenia, uzależniona od armii sowieckiej, przewyższającej ją także i pod względem liczebnym przynajmniej 30-krotnie, jest przeto rzeczą jasną, iż także i tutaj o najmniejszej bodaj gwarancji samodzielności nie mogłoby być mowy”.

Prócz „rozbioru politycznego” opracowanie ekspertów zawierało jeszcze dwa zdania, zatytułowane: „Sytuacja formalna”.

„*Aide-mémoire* złożone zostało z polecenia gen. Sikorskiego bez porozumienia się z Radą Ministrów a w szczególności bez wiedzy i zgody Ministra Spraw Zagranicznych. Wreszcie o zamiarze złożenia go, ani o jego treści nie był powiadomiony Prezydent RP — wbrew obowiązującej umowie październikowej, w której rząd zobowiązał się do nieprzedsięwzięcia żadnych ważniejszych kroków bez jego wiedzy”.

Było teraz rzeczą pewną, że otoczenie Prezydenta wyzyska *aide-mémoire* w rozgrywce z Sikorskim. Memoriał niejako dopełnił serię błędów popełnionych przez premiera i naczelnego wodza w dniach francuskiej klęski. Abstrahując od treści był, po zakazie doręczenia przez ambasadę polską w Londynie depeszy wysłanej przez Prezydenta z pokładu „*Arethusy*” do króla Jerzego VI, już drugim aktem samowoli.

Obciążony nimi stanie Sikorski na ziemi brytyjskiej, by rozpocząć drugi rozdział swej działalności na uchodźstwie. Wł. Półbóg-Malinowski pisze, że w „środowisku rozbitków wyrzuconych na angielski brzeg wrzało jak w ulu na Sikorskiego i jego rząd”. „Ze wszystkich stron sypały się najgwałtowniejsze zarzuty i oskarżenia. Krążyły listy otwarte, najsurowiej osądzające cały francuski okres rządów, a zwłaszcza sprawę zaprzepaszczenia wojska oraz przebieg ewakuacji”.

To prawda, że wśród uchodźców wojskowych i cywilnych wrzało w tym czasie jak w ulu. Ale przyczyny fermentu nie były wyłącznie politycznej natury. Kryzys zaufania do rządu dopiero dojrzewał, lecz jeszcze nie dojrzał. Załamanie Francji uderzyło uchodźców jak obuchem po głowie. Ledwo zaczęli „przyzwyczajać” się do Francji, w której widzieli pierwszy i ostatni etap swej wędrówki do Polski, musieli w popłochu uciekać przed wrogiem do innego, zupełnie nieznanego kraju. W niespełna osiem, czy dziewięć miesięcy musieli po raz wtóry „przerabiać” drogę wrześniowej ucieczki. W dodatku na wyspie brytyjskiej nic nie przypominało kontynentu. Z nielicznymi wyjątkami, nikt nie znał języka angielskiego. Na domiar złego przygotowania wojenne Brytyjczyków robiły na rozbitków polskich przygnębiające wrażenie. Uchodźcy narzekają na rząd i naczelnego wodza, ale przede wszystkim przybici są klęską Francji i gnębi ich myśl, że taką samą klęskę może ponieść kraj, do którego los ich rzucił.

Zdają sobie sprawę z tych nastrojów przeciwnicy polityczni Sikorskiego. Prędzej niż mogli przypuszczać dochodzą do wniosku, że zbliża się chwila rozprawy. Należy — mówią — kuć żelazo póki gorące, póki ludzie są rozczarowani i klną na swą

tułaczą dolę. Trzeba je podsycać, mówiąc o błędach premiera i rządu. Zwłaszcza piłsudczykom, należącym do loży obrządku szkockiego, śpieszy się do politycznego pojedynku z Sikorskim.

Czy można jednak w końcu czerwca i pierwszych dniach lipca 1940 roku mówić o zorganizowanym froncie opozycji przeciwko Sikorskiemu? Front taki ogranicza się w tym czasie jedynie do kilkudziesięciu wolnomularzy „szkockich” i polityków ulegających ich wpływowi. „Szkoci” gorączkowo nawiązują częstsze kontakty z piłsudczykami w wojsku, z oficerami usuniętymi z czynnej służby, z cywilami wśród których pełno jest piłsudczyków. Odnawiają już nawiązane we Francji kontakty z członkami Stronnictwa Narodowego, z oenerowcami i falangistami. I ci także mają dosyć dyktatorskich metod Sikorskiego i jego otoczenia. Dopiero teraz myślą „szkoci” o zorganizowaniu elementów opozycyjnych pod hasłem zmiany rządu na zasadach prawdziwej, a nie fikcyjnej jedności narodowej. Przeważają wśród nich młode roczniki, liczne zwłaszcza w wojsku. Deklarują lojalność wobec Prezydenta i gotowość poddania się jego każdej decyzji.

W tym stosunku do Głowy Państwa widać skutek zabiegów samego Prezydenta. Po dojściu do zdrowia nie próżnował. Niemal do ostatniej chwili swego pobytu we Francji przyjmował nieustannie w Pignerolles polityków różnych kierunków politycznych, działaczy społecznych, wojskowych, duchownych, pisarzy i dziennikarzy. Bywał u Prezydenta Kot, Mikołajczyk, Lieberman, Strasburger, Kukiel, Modelski, Stańczyk, Seyda, Ciołkosz, Pragier, Bielecki, Folkierski, Haller, Mackiewicz, Kuncewiczowa, Z. Nowakowski i wielu, wielu innych.

Prezydent odwiedza zgrupowania oddziałów wojska. Udziela się organizacjom polskim we Francji. Dzięki osobistemu wdziękowi zdobywa sobie popularność. Słowem odrabia czas stracony w okresie choroby, który Sikorski wykorzystywał dla spopularyzowania własnej osoby i tworzenia faktów dokonanych. Świadom tej korzystnej przemiany, nabiera coraz bardziej pewności, że może liczyć na poparcie, jeśli nie większości, to dużej części uchodźców i że uda mu się ich zmobilizować wokół siebie.

Zmobilizować do czego? Czy do usunięcia Sikorskiego siłą ze stanowiska premiera lub naczelnego wodza — jeśli nie usłucha jego decyzji? Nie myśli o tym ani Raczkiewicz ani jego otoczenie. Na obcej ziemi nie miejsce na zamachy stanu. Chodzi o mobilizację opinii. Przy jej pomocy i pod jej naciskiem chce usunąć od rządów mafijną klikę skupioną wokół osoby Sikorskiego, rozporządzającą wtyczkami w wojsku, w Stronnictwie Ludowym, PPS-ie i Stronnictwie Pracy.

Jedna tylko myśl trapi Raczkiewicza i „szkotów”. Chodzi o Sosnkowskiego. Czy w decydującej chwili stanie po stronie Prezydenta? Prezydent zdaje sobie sprawę z autorytetu jakim Sosnkowski cieszy się w wojsku i kołach oceniających krytycznie działalność Sikorskiego. Wie, że Sosnkowski może przeważać szalę zbliżającej się rozprawy i ułatwić w drodze legalnej reorganizację rządu. W rządzie Sikorskiego jest postacią pierwszoplanową. Nie tylko ze względu na autorytet jaki go otacza, ale ze względu na odpowiedzialny resort na Kraj, którym kieruje. Piastuje ponadto godność następcy Prezydenta Rzeczypospolitej. Tymczasem w ostatnich dniach francuskiej klęski, kiedy zachowanie się generała Sikorskiego budzi nawet ciche rozczarowanie wśród tak oddanych mu ludzi jak Stroński, Sosnkowski jest nienagannie lojalnym współpracownikiem premiera i naczelnego wodza. Na dramatycznej Radzie Ministrów w Libourne 18 czerwca, niczym nie zdradza swego krytycznego stosunku do Sikorskiego. A choć rozumie, że kilkudniowa nieobecność Sikorskiego nie da się usprawiedliwić, nie chce również wydawać żadnych zarządzeń ewakuacyjnych bez instrukcji Naczelnego Wodza.

21 czerwca krążownik brytyjski „Arethusa” wiozący Prezydenta dopłynął szczęśliwie do brzegów Anglii. Tegoż dnia wieczorem na dworcu londyńskim wita Prezydenta RP król Jerzy VI w otoczeniu dygnitarzy brytyjskich i polskich. Na dworcu nie ma przybyłych już przedtem samolotem z Francji Sikorskiego i Sosnkowskiego. Tłumaczą się zmęczeniem. Nieobecność obu skomentują Prezydent i Zaleski jako jeszcze jeden dowód rzekomego porozumienia wiążącego obu generałów.

Nie umie sensu tego porozumienia rozwikłać Raczkiewicz we Francji, choć Sosnkowski odwiedza go stale i spędza z nim długie godziny na rozmowach o wszystkich sprawach państwowych. Nie może dociec jego źródeł w Londynie. A przecież już nazajutrz po przyjeździe Prezydenta do Anglii, 22 czerwca, Sosnkowski zjawia się u niego w hotelu Claridge na długą rozmowę. 23 czerwca widzą się dwukrotnie, potem 25-go i 28-go czerwca, 2-go lipca — słowem okazji do zorientowania się w stanowisku Sosnkowskiego jest wiele. Dopiero 8-go lipca gdy Raczkiewicz skieruje rozmowę na temat Sikorskiego, tj. w czasie kiedy na poufnych konwentyklach zapadła już decyzja udzielenia dymisji Sikorskiemu, dowie się co o tym Sosnkowski myśli.

Dlaczego Prezydent tak późno ujawnił swe zamiary Sosnkowskiemu? — Wiele przemawia za tym, że dawał wiarę wersjom o „pakcie” obu generałów. I może dlatego nie chciał przedwcześnie informować Sosnkowskiego o zapadłych decyzjach, któ-

rych śladów na próżno byłoby szukać w dzienniku czynności Prezydenta, w zapiskach czynionych na jego zlecenie, czy w pozo-
stawionych przez Łukasiewicza. Być może, że liczył na szczęśli-
wy zbieg okoliczności który sprawi, że przesilenie wywołają po-
lityczni sprzymierzeńcy Sikorskiego, a on rozwiąże je w roli naj-
wyższego arbitra. Miał niewątpliwie do tego podstawy.

List Łukasiewicza

Pierwsze posiedzenie Rady Ministrów w Londynie odbyło się 26 czerwca. Nie było na nim jeszcze ani Hallera ani Seydy. Przedostali się z Francji nie do Anglii, lecz do Portugalii.

Najpierw premier złożył sprawozdanie z rozmowy jaką poprzedniego dnia miał z Churchillem. Churchill zapewnił go, że Wielka Brytania i Polska złączone są teraz ze sobą na życie i śmierć. Następnie Sikorski ocenił sytuację wojskową. Atak niemiecki na wyspę — mówił — może nastąpić w każdej chwili. Hitler oblicza rzekomo kampanię angielską tylko na trzy tygodnie. Ma się zacząć od zablokowania kanału minami. Wstępna część przemówienia zakończył akcentem optymistycznym. Zachwycał się dyscypliną Anglików i twierdził, że wyspa przypomina warowny obóz.

Bardziej niepokoiły go nastroje wśród przybyłych na wyspę Polaków. Poświęcił dużo czasu temu tematowi. Powaga sytuacji — dowodził — wymaga zlikwidowania atmosfery intryg i plotek, jaka się rozpanoszyła w Londynie. Wydano już odpowiednie zarządzenia. Należy jednak wciąż pilnie baczyć, aby elementy nie mające poczucia honoru, nie popsuky nam w Anglii opinii i nie pograżyły statku, na którym mamy płynąć ku lepszej przyszłości. Sosnkowski zrobił uwagę, że uspakajanie uchodźców wymagać będzie użycia przez rząd właściwych środków.

Chcąc dać dobry przykład Sikorski postanawia zacząć rozbicie porządków od rządu. Informuje Radę Ministrów, że zaraz po przybyciu do Londynu, poruczył Sosnkowskiemu opracowanie projektu reorganizacji aparatu rządowego. Wyjaśnia ministrom na czym reorganizacja ma polegać. Mają być skasowane dwa ministerstwa: Opieki Społecznej i Sprawiedliwości. Prócz Prezydium Rady Ministrów pozostaną: Ministerstwo Spraw Wojskowych, MSZ., Ministerstwo Skarbu oraz Ministerstwo Informacji i Dokumentacji.

Przeciwko projektowi skasowania Ministerstwa Opieki zareagował natychmiast Stańczyk. Zgłosił „zasadnicze zastrzeżenia” w sprawie likwidacji resortu i przekazania jego agend Prezydium

Rady Ministrów. Sosnkowski starał się wyjaśnić zaperzonemu koledze powody przemawiające za likwidacją Ministerstwa Opieki. Sikorski, przechodząc do porządku nad zastrzeżeniem Stańczyka, zapowiedział powołanie już na następnym posiedzeniu 6 lipca specjalnej komisji w sprawie reorganizacji rządu. Stańczykowi zaś doradzał, by się z nią porozumiał.

W ciągu kilku dni dzielących oba posiedzenia Rady Ministrów wzrosły jeszcze bardziej nastroje niezadowolenia wśród koalicji rządowej. Rozповідаł o nich najwięcej Stańczyk.

Jego pewne siebie wystąpienia skłoniły Kota do odbycia kilku rozmów z przybyłym już do Londynu Adamem Ciołkoszem, sekretarzem Komitetu Zagranicznego PPS-u. Rozmowy odbywały się w hotelu przy New Cavendish Street, w którym Ciołkosz zamieszkał. Nie trwały długo. 3 lipca na zaciemnionej ulicy przejechał Ciołkosza samochód. Przez kilka dni walczył ze śmiercią. Długi okres rekonwalescencji przykuł go do łóżka. W zbliżających się wydarzeniach nie mógł odegrać czynnej roli.

Otóż w jednej z rozmów Kot zaczął nalegać, by PPS zgodziła się na zastąpienie w rządzie Jana Stańczyka innym socjalistą — Alojzym Adamczykiem. Kot zarzucał Stańczykowi, że nie wypełnił w czasie ewakuacji z Francji ciężących na nim obowiązków. Ciołkosz nie polemizował z tym zarzutem. Sam bezskutecznie nakłaniał Stańczyka w Libourne, by przed zaokrętowaniem i wyjazdem do Anglii wsiadł z nim do auta i objechał miasta pełne uchodźców polskich, jak Tuluzę. Ciołkosz odrzucił sugestię Kota, nie widząc żadnych korzyści z zastąpienia Stańczyka Adamczykiem. W tym duchu wypowiedział się na posiedzeniu Komitetu Zagranicznego. Wniosek Ciołkosza przyjęto.

Jeszcze jedna okoliczność wpłynęła na tę decyzję. Komitet Zagraniczny dowiedział się, że Sikorski badał u Anglików, jak odnieśliby się do rządu polskiego bez socjalistów. Poinformował o tych sondażach Ciołkosza jego osobisty przyjaciel, ówczesny sekretarz międzynarodowego wydziału Labour Party William Gillies. Przy tej okazji Ciołkosz dowiedział się mało pochlebnych rzeczy o swym koledze partyjnym. Stańczyk zwracał się do ministra Hugh Daltona wybitnego labourzysty o interwencję u Sikorskiego, by nie usuwał go z rządu. Dalton odmówił. Uważał, że nie może interweniować w obronie ministra, który okazał się *inefficient*.

Z rozmów z Kotem Ciołkosz odniósł wrażenie, że Sikorski, świadom jest błędów popełnionych w dniach klęski francuskiej i pragnie z nich wyciągnąć jakieś konsekwencje. Istotnie chciał zredukować rząd do trzech osób, nie związanych z partiami. Pomyśl spotkał się jednak z opozycją stronnictw. PPS wysunęła

własną koncepcję rządu, złożonego z pięciu ministrów partyjnych z Sikorskim na czele. Przede wszystkim jednak chodziło Sikorskiemu o zwalenie na innych odpowiedzialności za niedawną przeszłość. Raz na PPS, której przedstawiciel w rządzie okazał się tchórzem, to znowu na członka Stronnictwa Ludowego, Gralińskiego, którego chciał utracić ludowiec Kot.

W czasie spotkań z Ciołkoszem Kot twierdził, że szykuje się „spisek sanacyjny” z udziałem Zaleskiego, Gralińskiego, Sosnkowskiego i... Stańczyka. Jednego ze „spiskowców” — Gralińskiego — łączyły z Ciołkoszem zażyłe stosunki osobiste. Często rozmawiali o tym co się dzieje na emigracyjnej górze. Graliński nie wspominał nigdy o żadnym spisku, natomiast opowiadał wiele o intrygach Kota skierowanych przeciw niemu. Kot, wiedząc, że cieszy się zaufaniem Zaleskiego, chce go usunąć ze stanowiska wiceministra Spraw Zagranicznych.

W kilka dni po ostatniej rozmowie z Ciołkoszem postanowił zareagować na zarzuty stawiane mu przez Kota. Przed posiedzeniem Rady Ministrów 6 lipca „szkoci” znali już treść listu, jaki tegoż dnia Graliński wysłał do Kota.

W dniu dzisiejszym — pisał w nim — zawiadomił mnie P. August Zaleski, Minister Spraw Zagranicznych R.P., że oświadczył mu Pan, iż prosiłem P. Kennarda, Ambasadora Wielkiej Brytanii przy Rządzie R.P., o interwencję na moją rzecz.

Z P. Kennardem nie rozmawiałem od wyjazdu z Libourne, ani też w żadnej sprawie bezpośrednio lub pośrednio do niego się nie zwracałem.

Oświadczenie Pana jest więc niezgodne z prawdą, a użyte w akcji prowadzonej przez Pana jest kłamstwem bezprzykładnym.

Z uwagi na dobro sprawy Polski mam zamkniętą drogę, zarówno do sądu zwyczajnego, jak i do reakcji bezpośredniej na jaką postępowanie Pana zasługuje.

Nie pozostaje mi więc nic innego, jak stwierdzić, że popełnił Pan hańbiące Pana oszczerstwo, niegodne człowieka honoru.

Z góry oświadczam, że na każde życzenie gotów jestem stawić się przed Sądem Honorowym”.

Protokoły drugiego posiedzenia Rady Ministrów w Londynie, które ciągnie się przez dwa dni (6 i 8 lipca) nie wspominają o konflikcie Kot-Graliński. Ale zatarg ten wpłynął na temperaturę obrad. Wiadome było również, że Stańczyk nie dał za wygraną i że w razie skasowania jego resortu Polska Partia Socjalistyczna opuści rząd.

Posiedzenie 6 lipca zaczęło się od drażliwych tematów. Niektórzy ministrowie zgłaszali zastrzeżenia do protokołu posiedzenia gabinetu odbytego 17 czerwca w Libourne. Zastanawiano się również nad tym, czy pierwsze posiedzenie Rady Ministrów w

Londynie było formalne. Lecz w tej wstępnej fazie debat najważniejszej brzmiała zapowiedź Zaleskiego złożenia na piśmie wyjaśnień dotyczących ataków na jego resort.

Sikorski czując narastającą atmosferę podniecenia starał się oddziaływać uspakajająco. Zapewniał ministrów, którzy pośpiesznie opuścili Francję, że ambasador Kennard gotów jest wziąć na siebie odpowiedzialność za przynaglanie ich do wyjazdu. Aby udobruchać Stańczyka tłumaczył, że o zniesieniu Ministerstwa Opieki Społecznej rozstrzygnie dopiero formalna uchwała Rady Ministrów. Sprawa będzie jeszcze omawiana w 8-ym punkcie porządku dziennego. A w ogóle do niczego Stańczyka nie zobowiązywał. Radził mu jedynie porozumieć się w sprawie dalszych losów jego resortu z komisją Sosnkowskiego.

Interwencja Sikorskiego odniosła skutek o tyle, że ministrowie — zgodnie z porządkiem obrad — przystąpili do składania sprawozdań ze swych czynności w dramatycznych dniach klęski francuskiej.

Cykl ich otworzył premier. Swój niejako rachunek sumienia rozpoczął od 17 czerwca, tj. dopiero od chwili, gdy po kilku dniach nieobecności zjawił się w Libourne. Najpierw usprawiedliwiał się. Dowodził, że katastrofa Francji zaskoczyła wszystkich i że nikt nie mógł przewidzieć jej rozmiarów. Zawiódł — mówił — naród francuski, żołnierz, armia. Dowodził teraz, że nie było we Francji ani woli walki, ani woli zwycięstwa. Myślano tylko o łatwej obronie w cieniu linii Maginota. Zawiedli wodzowie francuscy do których Polacy mieli pełne zaufanie. Wywód o Francji zakończył, że nie jest winą dowództwa polskiego, iż oddziały polskie we Francji znalazły się w tak straszliwej sytuacji. Zamknął przemówienie akcentem pocieszenia, mówiąc, że w każdym razie — „honor nasz został w pełni ocalony”.

Sprawozdanie Sosnkowskiego obejmowało mniej więcej ten sam okres. Od 15 czerwca tj. od chwili, gdy Prezydent wezwał go do Libourne stał na stanowisku, że: 1) rząd nie może pobierać żadnych zasadniczych decyzji przed przyjazdem premiera; 2) należy zwrócić się do Króla Jerzego i Churchilla o przyjęcie wojska polskiego; 3) rząd nie może *in corpore* opuszczać Francji nie załatwiwszy spraw ewakuacyjnych. Przyjechawszy do Libourne Sikorski — mówił Sosnkowski — powiedział, że na podstawie listy złożonej przez ambasadora Kennarda miał jechać z Sikorskim do Anglii Prezydent i minister Spraw Zagranicznych. Chcąc załagodzić istniejące w tej sprawie kontrowersje Sosnkowski dodał, że „utrwalił się pogląd, pozostawiający ministrom wolną rękę w sprawie wyjazdu”.

18 czerwca — opowiadał Sosnkowski — we wczesnych go-

dzinach popołudniowych, gen. Sikorski odleciał samolotem do Londynu, poruczając mu zastępstwo na terenie Francji. Ewakuacją ludności cywilnej zajął się Kot, ewakuacją wojska przy pomocy Modelskiego — Kukiel. Sosnkowski koordynował całość akcji ewakuacyjnej. Szczegółowo opisywał dramatyczne spotkania z gen. Dénainem, marszałkiem Pétainem, gen. Weygandem i admirałem Darlanem. Powróciwszy z nich do Libourne wysłał do Londynu depeszę wyrażającą wątpliwość w szczerość obietnic francuskich oraz przekonanie, że tylko pomoc angielska może rozwiązać problem ewakuacji.

Nazajutrz, 19 czerwca, zaczęły się „niepokojące objawy” w postaci szykan i utrudnień ze strony władz francuskich. Doszedł więc do wniosku, że sytuacja staje się groźna, gdyż rząd francuski po prostu pragnie unieruchomić wojsko polskie i nie dopuścić do jego wyjazdu. W związku z tym 19 czerwca i w nocy z 19 na 20 odbyła się ożywiona wymiana depesz pomiędzy nim i przebywającym w Londynie premierem i Naczelnym Wodzem. 19 czerwca miał trudności z odszukaniem niektórych wyższych urzędników MSZ-tu. 20 czerwca o godzinie 20-ej Sikorski przybył samolotem z Londynu do Libourne. Nazajutrz Sikorski i Sosnkowski z grupą oficerów sztabu odlecieli do Anglii. Uratowanie resztek wojska polskiego we Francji — kończył Sosnkowski — zawdzięczać należy przede wszystkim pomocy angielskiej wyjedнанey przez generała Sikorskiego, po drugie — przypadkowi, tj. zwolnieniu tempa ofensywy niemieckiej.

Inaczej wypadło sprawozdanie Kota. Sosnkowski nikogo nie atakował, Kot atakował wielu i z wrodzoną sobie pasją. Sypał jak z rękawa nazwiskami. Po samolikwidacji Ministerstwa Opieki Społecznej — mówił — zapanował chaos. Galiński opuścił Francję przed ministrem Zaleskim. Inny wysoki urzędnik MSZ — J. Wszelaki szukał również bezpieczeństwa na statku brytyjskim. Zniknęli urzędnicy Chałupczyński i Kraczkiewicz, konsulowie w Marsylii i Tuluzie. Pozostał tylko Zabiello. MSZ zawiodło na całej linii. Zawiodł również PCK z Jurkiewiczem na czele. Prawie wszystkie osoby które miały opiekować się uchodźcami uciekły. Podobnie zachowali się Zdziechowski, Czapski, Lubecki. Pojechali do Lourdes w charakterze zarządu PCK, akredytowanego przy rządzie francuskim. Nie tylko — jak się Kot wyrażał — „zwiali”, lecz potem Zdziechowski domagał się jeszcze, by go akredytowano w Madrycie. Ks. Kaczyński oświadczył, że jedzie do Hiszpanii i żadnych obowiązków na siebie brać nie może. Nie pomagał Frąckowiak. Tylko kilka osób (Wojdat, Rutkowski i Bitner) zachowało się właściwie. Trzeba było — grzmiał Kot — pocieszać zrozpaczone rzesze. Ludzie nie mogąc dostać

się na statki odgrzali się, że jak wrócą do Polski powiedzą, iż gorzej się działo aniżeli w Kutach czy Zaleszczykach. Wokół takich ludzi, jak Zdziechowski, Czapski, Zubecki i S. Mackiewicz wytworzyła się atmosfera defetystyczna oddziaływująca żarliwie na uchodźców. Po Kocie zabrał głos Zaleski. Bronił swego resortu. Zarzucał Kotowi, że w jego mniemaniu on tylko zrobił dobrą robotę.

Sikorski pamiętając o konflikcie Graliński-Kot i o stanowisku Stańczyka w sprawie likwidacji jego resortu złąkł się, by la-da chwila nie wybuchnął jeszcze spór między Zaleskim a Kotem. Zwrócił się więc do ministrów aby zbytnio nie rozważkowali spraw związanych z historią ostatnich dni Francji.

Lecz Kot nie uspokoił się. Oświadczył, że będzie się domagał usunięcia ze służby państwowej wszystkich, którzy w chwili załamania Francji nie wykazali charakteru. Jest w posiadaniu deklaracji Stronnictwa Ludowego, podpisanej przez prezesa Mi-kołajczyka. Deklaracja zapowiada usunięcie się ludowców z Rady Narodowej w razie niewyciągnięcia konsekwencji w stosunku do osób, które zawiodły. Co więcej, grozi wycofaniem się z rządu.

W czasie ewakuacji — głosiła deklaracja Stronnictwa Ludowego z 6 lipca — „znalazły się osoby w aparacie urzędniczym, które nie wykazały ani dyscypliny dostatecznej, ani należytego poczucia obowiązkowości i charakteru”. Odbiło się to ujemnie na nastrojach społeczeństwa. „Wzmożone ataki zwolenników systemu sanacyjnego na terenie angielskim i próby dezorganizacji dokonywane przez nich tak w wojsku jak i wśród ludności cywilnej, szkodzące niesłychanie sprawie Polski, są powszechnym zjawiskiem”. Podejmowane są próby „uciekania się o pomoc do obcych w obronie zagrożonych posad”. Zważywszy to wszystko, w wypadku niewyciągnięcia najostrzejszych konsekwencji wobec tych, którzy sieją destrukcję i szkodzą sprawie polskiej, przejawiają brak dyscypliny i nielojalnie uciekają się o jakąkolwiek pomoc uboczną do obcych — „złożymy swoje mandaty w Radzie Narodowej i zwrócimy się do naszego przedstawiciela w rządzie o złożenie swego mandatu do rąk pana Premiera”.

Nie ulega wątpliwości, że Sikorski był najdokładniej poinformowany o treści deklaracji. Sprawa była omówiona w gronie wypróbowanych przyjaciół. A Sikorski uspokajając ministrów chciał powstrzymać jakiś nieoczekiwany wybuch, który mógł uniemożliwić odczytanie deklaracji Stronnictwa Ludowego.

Jaki był cel tej deklaracji? Chodziło o zastraszenie PPS, że Stronnictwo Ludowe gotowe jest samo wywołać przesilenie, aby pozbyć się z rządu niewygodnych premierowi ministrów. Błąd taktyczny Sikorskiego i Kota polegał jednak na tym, że wybrał

niewłaściwy moment. Wpychał oburzonych socjalistów w ramiona opozycji. Otoczenie Prezydenta zacierało ręce.

Drugą część posiedzenia Rady Ministrów, 8 lipca, rozpoczęło przemówienie Sikorskiego na temat reorganizacji ministerstw i urzędów. Projekt kasował trzy ministerstwa. Agendy Ministerstwa Spraw Wojskowych ma przejąć sztab generalny. Zamiast Ministerstwa Sprawiedliwości ma być utworzony referat w Prezydium Rady Ministrów. W miejsce Ministerstwa Opieki Społecznej powstanie dział opieki, również w Prezydium. Znaczyło to, że zlikwidowane resorty, podlegać będą bezpośrednio premierowi. Cel tak pomyślanej reformy nie budził wątpliwości. Chodziło o skumulowanie w rękach premiera przed generalną rozprawą z opozycją maksymalnej ilości urzędów.

Kiedy Sikorski skończył, Stańczyk złożył natychmiast w imieniu PPS sprzeciw w sprawie skasowania Ministerstwa Opieki Społecznej. Gdyby do tego doszło PPS nie mogłoby brać udziału w rządzie. Wszystko tak wygląda — mówił — jakby cała reorganizacja była wymierzona przeciwko istnieniu tego ministerstwa. PPS musi uznać to bądź za szykanę, bądź też za manewr przesłaniający inne nieporozumienia wewnętrzne w rządzie. Wywody Stańczyka poparł słabo Popiel. Zniesienie Ministerstwa Opieki — mówił — może wywołać „ujemne wrażenie” w Labour Party.

Odpowiedział Popielowi Sosnkowski. Przestrzegał przed wszystkim, co mogłoby tworzyć precedens liczenia się gdy chodzi o wewnętrzne sprawy polskie z obcymi wpływami. Polemizując następnie ze Stańczykiem zastrzegł się przeciwko pomawianiu komisji, której przewodniczy o tendencje polityczne. Komisja pracowała od 22 do 24 czerwca. Podchodziła do sprawy reorganizacji ministerstw i urzędów wyłącznie od strony rzeczowej i organizacyjnej. I tylko te względy — zapewniał Sosnkowski — przeważały decyzje na rzecz zniesienia Ministerstwa Opieki. Te same względy przesądziły o likwidacji Ministerstwa Spraw Wojskowych. Nie jest jeszcze pewne, czy będzie utrzymane Ministerstwo Informacji i Dokumentacji. Sosnkowski przemawiał wprawdzie w tonie koncyliacyjnym, merytorycznie jednak popierał wniosek Sikorskiego. W zakończeniu oświadczył, że udział PPS w rządzie uważa za konieczny.

Widząc, że nawet rzeczowe argumenty Sosnkowskiego nie odnoszą skutku, zabrał ponownie głos Sikorski. Przez chwilę uniósł się. Nie podobna — mówił — dyskutować pod groźbą partyjnego ultimatum. Chcąc jednak zażegnać konflikt z PPS zgłosił propozycję powołania „Komitetu Opieki” w którym Minister Stańczyk posiadałby takie same stanowisko jakie ma Sosn-

kowski w Komitecie dla Spraw Krajowych. Nie powstrzymał się przy tym od uwagi, że resort opieki społecznej nie może być monopolem jednej partii. Wreszcie odroczył głosowanie nad całą sprawą do rozmowy z wiceprezesem Rady Narodowej dr. H. Liebermanem, kolegą partyjnym Stańczyka.

Zamknawszy dyskusję opuścił posiedzenie. Przewodnictwo objął Sosnkowski. Rada Ministrów zatwierdziła ostatecznie projekt reorganizacji ministerstw i urzędów, pozostawiając na razie w zawieszeniu likwidację Ministerstwa Opieki.

Jedna z uchwał powziętych na tym posiedzeniu zmierzała do tego, by przeszkodzić dalszemu napływowi uchodźców z Francji do Anglii. Doradzała „niezagrożonym” powrót do Kraju lub do państw w których mieliby zapewnione utrzymanie. Wieść o tej uchwale szybko dotarła do uchodźców, niespokojnych o los swych bliskich, którzy zostali w zajętej przez Niemców Francji. Przyczyniło się to do dalszego wzrostu nastrojów opozycyjnych wobec rządu.

Zdawał sobie z nich sprawę Prezydent i jego doradcy. Wiedział co się dzieje w bez mała 17-tysięcznej rzeszy żołnierzy, w której znalazło się 5 tysięcy oficerów w czym aż 19 generałów i 85 pułkowników. Docierały też do wojska często wyolbrzymiane pogłoski, że Sikorski z Kotem przygotowują się do robienia wielkich czystek w korpusie oficerskim.

Doradcy Prezydenta nalegali wciąż, by nie tracić czasu. Przekonywali, że należy wyzyskać atmosferę ogólnego niezadowolenia i zatarg Sikorskiego z socjalistami, aby doprowadzić do radykalnej zmiany rządu. W tym duchu oddziaływał na Prezydenta obdarzony dużym temperamentem politycznym Juliusz Łukasiewicz. Choć był w stałym kontakcie z Raczkiewiczem jego wizyty — podobnie jak innych „podejrzanych” w oczach Sikorskiego — nie były notowane w dzienniku czynności Prezydenta R.P. Ale pod datą 30 czerwca znajduje się w dzienniku wzmianka, że „P. Prez. przyjął byłego ambasadora w Paryżu, p. Łukasiewicza”. Może Raczkiewicz doszedł do wniosku, że wobec zbliżającej się rozprawy z Sikorskim nie ma już powodu ukrywania jego kontaktów z człowiekiem uważanym przez Sikorskiego za głównego inspiratora akcji opozycyjnej.

Łukasiewicz od czasów studenckich należał do fanatycznych zwolenników Piłsudskiego. Gdy u schyłku pierwszej wojny przyjechał z Petersburga do Warszawy uchodził za jednego z pupiłůw ówczesnego przedstawiciela Rady Regencyjnej w Rosji — Aleksandra Lednickiego. Być może, iż pod jego wpływem zbliżył się do masonerii. W okresie dwudziestolecia dużą część życia spędził na placówkach dyplomatycznych. Był posłem w Rydze,

we Wiedniu, w Moskwie, a w ostatnich latach przed wojną ambasadorem R.P. w Paryżu. W początkach listopada 1939 roku Sikorski usunął go z tego stanowiska.

Nie potrafił siedzieć bezczynnie. Nawiazywał już w Paryżu kontakty polityczne. Znalazłszy się w Londynie uważał, że nie należy zwlekać i że trzeba usunąć z rządu Sikorskiego. Chciał aby na czele gabinetu stanął August Zaleski, względnie otoczony powszechnym autorytetem Kazimierz Sosnkowski.

Na wieść o konflikcie socjalistów z Sikorskim wykańczał gorączkowo przygotowywany kolegiąlnie długi akt oskarżenia Sikorskiego. Ostatnie retusze robił w czasie gdy odbywało się dwudniowe posiedzenie rządu. Nie wahał się podpisać aktu własnym nazwiskiem. Był przekonany, że jego list otwarty do Prezydenta będzie bombą, która wzruszy systemem budowanym przez Sikorskiego i doprowadzi do kulminacyjnego punktu pierwszego aktu emigracyjnego dramatu, tj. do formalnego zwolnienia Sikorskiego z urzędu premiera.

List Łukasiewicza miał datę 8 lipca. Zaczynał się od słów:

„Czcigodny Panie Prezydencie. W nowej, decydującej prawdopodobnie fazie kataklizmu dziejowego w którą weszliśmy na skutek katastrofalnej kapitulacji Francji, naczelne nasze zadanie polegające na utrzymaniu konstytucyjnej ciągłości Naczelnych Władz Państwowych będzie mogło być spełnione tylko w tym wypadku, jeśli oblicze moralne i postawa polityczna naszych organów rządzących będzie odpowiadała niespożytym wartościom moralnym i ideowo politycznym, których wyrazem jest bezprzykładnie ofiar-na, bohaterska i męczeńska walka całego naszego Narodu z obu barbarzyńskimi okupantami”.

Ostatnie tygodnie — pisał Łukasiewicz — „przyniosły, nies-tety, bardzo poważne wypadki, które każą wątpić czy „bez bardzo radykalnych zmian” da się to zadanie osiągnąć. Następnie w kilku punktach wyliczał te wypadki i opatrywał obszernymi komentarzami.

Zaczynał od nagłego wyjazdu Sikorskiego 19 czerwca do Londynu, dokąd udał się „bez wiedzy Prezydenta RP i Ministra Spraw Zagranicznych A. Zaleskiego” i gdzie „na własną rękę” złożył rządowi angielskiemu memorandum dotyczące tworzenia armii polskiej w Rosji.

„Formalnie i merytorycznie rzecz biorąc — pisał Łukasiewicz — gen. Sikorski jako premier Rządu Polskiego i Naczelny Wódz zgłosił w ten sposób gotowość paktowania z wrogiem z którym Polska jest w stanie wojny i który, okupując prawie połowę jej terytorium, znęca się nad naszymi rodakami równie barbarzyńsko jak Niemcy, deportując w głąb Rosji i na Sybir, dziesiątki tysięcy naszej młodzieży i inteligencji”.

Tę „samodzielną dyplomację gen. Sikorskiego” „należycie

skwalifikował” minister Zaleski i poczynił kroki aby wobec Anglików „osłabić skutki” samodzielnego wystąpienia premiera. Mając na myśli Pétaina — pisał Łukasiewicz — nikt nie może mieć pewności, czy „gen. Sikorski nie będzie gotów jutro do pakowania z Hitlerem za pośrednictwem swych wypróbowanych przyjaciół francuskich”.

W punkcie drugim były ambasador analizował zachowanie się premiera w ostatnich dwóch tygodniach katastrofy francuskiej. Łukasiewicz stwierdzał, że od 9 do 17 czerwca przebywał poza siedzibą Rządu *quelque part en France*. A choć Sikorski utrzymywał, że był na froncie „nie było w każdym razie wiadomości, aby brał osobiście udział w bitwach toczonych przez naszą pierwszą dywizję”. „W przeciągu tego czasu premier Sikorski wykazał natomiast przerażający i zgubny dla interesów polskich brak orientacji w rozwoju sytuacji we Francji”... „Nie wydał żadnych zarządzeń dla ratowania naszych wojsk pozostających we Francji”. W chwili zaś gdy Francji groziła okupacja niemiecka współpracownicy gen. Sikorskiego z min. Kotem na czele „zamiast przydbać o to, by ratować nasze wojska, urzędników i uchodźców i złoto Banku Polskiego demagogicznie i głośno stwierdzali, że kto myśli o ewakuacji jest panikarzem i tchórzem”. Kot już w Angers sabotował zarządzenia ewakuacyjne. Ostatecznie „gros urzędników i uchodźców pozbawione jakiegokolwiek opieki pozostało we Francji”.

Punkt trzeci listu zaczynał Łukasiewicz od tego, że „katastrofa wojenna francuska musiała się stać również katastrofą dla naszych wojsk we Francji”. Analizując sytuację w jakiej znalazły się poszczególne jednostki wojska polskiego w tygodniach załamania się Francji — pisał — że w rezultacie „wojska nasze nie zostały ewakuowane do Anglii, a przedostały się tu głównie zdekompletowane formacje tyłowe i szkoleniowe w ilości około 15.000 ludzi. Pomimo to gen. Sikorski w przemówieniu radiowym do Kraju miał odwagę stwierdzić, iż znaczna część wojsk polskich z Francji została uratowana i ewakuowana do Anglii”. Znalazłszy się na wyspie Sikorski od dwóch tygodni „nie znalazł chwili czasu, aby zajrzeć osobiście do naszych obozów w Anglii i zaopiekować się rozbitkami”.

Następny punkt listu poświęcił losowi opuszczonych przez rząd uchodźców cywilnych. „Znaczna ich większość — pisał — została rzucona na pastwę losu we Francji, częściowo pod okupacją niemiecką”. Uzupełniając „obraz działań premiera i Naczelnego Wodza gen. W. Sikorskiego w przeciągu ostatniego miesiąca” — przypominał dwa fakty.

Jeden wiązał się z przekazaniem Sikorskiemu przez Łuka-

siewicza jeszcze jako ambasadora RP w Paryżu, organizacji i dowództwa armii polskiej we Francji. Odkryło się to 28 września. Łukasiewicz zażądał wówczas od Sikorskiego słowa, że odda się pod rozkazy Sosnkowskiego, jeśli ten zdoła przedostać się do Francji. Sikorski uroczyście wyraził na to zgodę, po czym zrobił wszystko, aby gen. Sosnkowskiego całkowicie od wojska usunąć.

Drugi fakt dotyczył stosunku Sikorskiego do „wkładu wojskowego, politycznego i moralnego Polski do wspólnej walki z Niemcami”. Łukasiewicz zarzucał Sikorskiemu, że „od pierwszego dnia swych rządów” — „prowadząc pod formalnym hasłem „jedności narodowej” politykę ustawicznej, manifestacyjnej wojny domowej” oskarżał o klęskę w wojnie z Niemcami i Rosją Sowiecką — „wyłącznie Rząd Polski i Naczelne Dowództwo, przechodząc do porządku dziennego nad brakiem jakiejkolwiek pomocy i współdziałania wojskowego ze strony obu naszych aliantów”. Przyczynił się przez to „do poważnego obniżenia zarówno moralnego jak politycznego i wojskowego autorytetu i *prestige*’u Polski”. Głównym elementem postępowania Sikorskiego „była zacietrzewiona krytyka wszystkiego co się w Polsce działo”...

Zamykając akt oskarżenia „ośmiomiesięcznej działalności premiera” Łukasiewicz dodawał, że fakty przez niego przytoczone, znane są szerokiemu gronu Polaków przebywających w Anglii, pozbawionych tymczasem wszelkiej możności swobodnego wypowiedzenia się. Należy utrzymać — pisał — „własną rolę, którą Polska spełniała już w miesiącach poprzedzających konflikt, oraz w momencie jego wybuchu, stawiając pierwszą opór imperializmowi Niemiec”.

List Łukasiewicza podzielał jak bomba. Otoczenie Sikorskiego nie przypuszczało, że opozycja zdobędzie się na tak szczegółowo umotywowany i bezwzględny akt oskarżenia. Nie przypuszczało, że jego odpisy zaczną natychmiast krążyć wśród uchodźców. Dopiero teraz Sikorski uprzytomnił sobie, że zbliża się decydujące uderzenie opozycji. Ale wciąż jeszcze nie wierzył, że nastąpi tak szybko i że w roli jej rzecznika wystąpi Prezydent Rzeczypospolitej.

Kot prowokuje ustąpienie socjalistów z rządu — Prezydent domaga się usunięcia Kota i Strasburgera

Każdy dzień po ogłoszeniu listu Łukasiewicza obfitował w wydarzenia zapowiadające zbliżanie się kryzysu. Tylko mętne

ich echa docierały do uchodźców cywilnych i wojskowych. Rozgrywki toczyły się bowiem bądź w gmachu ambasady R.P. w Londynie, gdzie znalazły przytułek władze rządowe, bądź w siedzibie Prezydenta lub premiera i Naczelnego Wodza, lub też w czterech ścianach pokoi hotelowych, zamieszkałych przez polityków polskich.

Zaczęła się nowa faza osobistego konfliktu: Kot-Graliński. Przerodził się on w konflikt między dwoma odłami Stronnictwa Ludowego. Większość stronnictwa popierała Kota, mniejszość — Gralińskiego.

9 lipca zastępcy honorowi Zygmunta Gralińskiego, obaj „szkoci”, Tadeusz Tomaszewski z PPS i Zygmunt Nagórski z SL sporządzili tzw. protokół jednostronny w sprawie między Gralińskim i Kotem. Kot nie zareagował na list Gralińskiego z 6 lipca. Nie tylko to. 8 lipca o godzinie 4-tej po południu zwymyślał go publicznie na ulicy kiedy opuszczał gmach ambasady R.P., mieszczący się na Portland Place i przechodził jezdnię. Graliński, by uniknąć publicznej burdy, przeszedł na drugą stronę ulicy. Natychmiast zawiadomił o zajściu swych zastępców honorowych. Ci sporządzili protokół jednostronny, przesyłając jego odpis Prezydentowi. Protokół stwierdzał, że opinie szerzone przez Kota o zachowaniu się Gralińskiego w czasie ewakuacji z Francji, są bezprzykładnym kłamstwem. Z kolei Kot wytoczył sprawę zastępcom Gralińskiego: Nagórskiemu i Tomaszewskiemu.

Ale zatarg w łonie Stronnictwa Ludowego był tylko jednym z wielu — wcale nie najważniejszych — symptomów zbliżającego się kryzysu. List Łukasiewicza zawierający niezwykle ostrą charakterystykę „ośmiomiesięcznej działalności premiera Sikorskiego od pierwszego do ostatniego tygodnia”, zapoczątkował łańcuch dalszych wystąpień jego przyjaciół politycznych z Prezydentem na czele. Nawet w skąpych i niezwykle ostrożnie redagowanych notatkach o rozmowach Prezydenta prowadzonych w tym czasie, wyczuwa się napiętą atmosferę. Ciekawy jest korowód osób, jakie przyjmuje Raczkiewicz.

10 lipca przed południem zjawiają się w następującej kolejności: Seyda, Sikorski, Haller. Po południu b. premier M. Kościółkowski, również piłsudczyk „szkockiego” autoramentu, Z. Nowakowski, wybitny pisarz, członek Rady Narodowej, Zaleski, a na ostatku, o godzinie 10-tej wieczorem, Sosnkowski.

Seyda tłumaczy Prezydentowi przyczyny późnego przybycia z Portugalii do Anglii. Prezydent chce go zjednać. Zapewnia, że ani przez chwilę nie dawał wiary plotkom o politycznych powodach opóźnienia przyjazdu ministra. Był pewien, że Stronnictwo Narodowe nigdy nie wejdzie na drogę szukania porozumienia z

niemieckim najeżdżcą. Notatka nie wspomina ani słowem o tematyce przesileniowej, choć wydaje się nieprawdopodobne, aby o niej nie mówiono.

Natomiast temat ten nie był poruszany w rozmowie z Sikorskim. Sikorski referował Prezydentowi umowę z Anglią, wyrażając nadzieję, że po jej zawarciu łatwiej będzie tworzyć „zaplecze” dla wojska polskiego w Kanadzie. Odpowiedź Prezydenta nie brzmiała przyjemnie. Przypomniawszy Naczelnemu Wodzowi obowiązek szybkiego uporządkowania stosunków panujących w obozach wojskowych. Warunki rozlokowania i wyżywienia — narzekał Prezydent — są bardzo niezadawalniające. Tworząc oddziały wojska należy pozostawić na uboczu sprawy takich czy innych przekonań. Powinien decydować wyłącznie wzgląd na wojskową wartość materiału ludzkiego jakim się rozporządza.

Haller, podobnie jak Seyda, dostał się później od innych członków rządu do Londynu z Lizbony. Też się tłumaczył. Białda, że nikt go we Francji nie informował o możliwości wyjazdu na statku angielskim. Narzekał na chaotyczność ewakuacji wojska i ludności cywilnej. Zapiski o wizycie Hallera nie wspominają tematyki przesileniowej. Pewno jej Prezydent nie poruszał.

Notatka o wizycie Kościółkowskiego pośrednio na nią wskazuje. Kościółkowski dowodził, że należy coś zrobić, by odprężyć nastroje wśród uchodźców. Prezydent zapewniał go, że zwrócił właśnie uwagę Naczelnego Wodza na konieczność jego wyjazdu do obozów wojskowych. Sikorski zamierza to uczynić w najbliższej przyszłości. Na razie wysłał gen. Kukiela.

Nowakowski mówił również o nastrojach wśród uchodźców. Podkreślał konieczność wpływania, by przestali myśleć o waśniach i rozpoczęli pracę pod sztandarem jedności narodowej.

Rozmowa z Zaleskim odbyła się o ósmej wieczorem. Z zapisek nie wynika, by mówiono o zbliżającym się kryzysie. Zaleski informował Prezydenta o pertraktacjach w sprawie ewakuacji uchodźców do Kanady, dla których nie ma w Anglii zatrudnienia. Uderzającą lakoniczność notatki nasuwa domniemanie, że treścią jej były głównie sprawy przesileniowe. Ale Prezydent wolał nie zostawiać śladu intymnej wymiany zdań o planach na najbliższe dni jakie snuł ze swym doradcą i przyjacielem.

Inaczej ujął relację o ostatniej wizycie. Poleciał zapisać, że omawiał z Sosnkowskim sprawy związane z wystąpieniem ludowców i stanowiskiem socjalistów. Socjaliści — mówił Prezydent — nie godzą się na odebranie im Ministerstwa Opieki Społecznej jeśli (poza MSZ) zasiadać będą w gabinecie inni ministrowie posiadający teki. Wiadomości o nieporozumieniach w rządzie przedostały się już na zewnątrz. Dlatego w rozmowach

z przedstawicielami ugrupowań politycznych podkreśla stale konieczność utrzymania zasady rządów jedności narodowej.

Zapiski z 11 lipca ograniczają się do dwóch krótkich wzmianek. Pierwsza brzmi: „List do Premiera z żądaniem ustąpienia z rządu ministra Kota i ministra Strasburgera”. Druga wspomina, że o godzinie 12 min. 15 Prezydent przyjął Stanisława Mikołajczyka, urzędującego prezesa Rady Narodowej.

Oczywiście nie ma w zapiskach słowa o posiedzeniu Rady Ministrów jakie się w tym dniu odbyło. Sikorski przybył na nie zdenerwowany. Myśl o wczorajszej wizycie u Prezydenta nie dawała mu spokoju. Miał złe przeczucia. Mimo to udawał spokojnego. Twierdził, że nastroje w wojsku są na ogół dobre. Za to niezwykle gwałtownie zaatakował zachowanie się we Francji 3-ej dywizji i jego dowódcy. Jedyna nasza dywizja w której materiał ludzki okazał się nieodpowiedni — to trzecia, dowodzona przez płk. T. Zieleniewskiego. Mówił o zdrazieckim zachowaniu się dowódcy.

Aby przeciwstawić obrazowi rzekomej zdrady inny obraz, Sikorski odczytał raport nadeszły z niewoli niemieckiej od pewnego oficera polskiego. Raport odradzał tworzenie w Kraju woj-ska podziemnego, a to „dla uniknięcia dwutorowości”. Niewymieniony z nazwiska oficer składał hołd rządowi Sikorskiego i wyrażał gotowość wszystkich oficerów odpowiadania przed sądem za zachowanie się we wrześniu 1939 roku.

Roztoczył potem obraz propagandy uprawianej przez niewykrytych sprawców przy pomocy „żółtych ulotek”. Autorzy ulotek usiłują wmówić w społeczeństwo uchodźcze jakoby Żydzi rozporządzali w rządzie olbrzymimi wpływami. Śledztwo jest w toku¹⁰. Kot uzupełnił wywody premiera uwagą, która miała uwy-puklić nieznosną atmosferę panującą wśród uchodźców. Na ko-ronnego świadka wybrał radcę narodowego Arkę Bożka ze Ślą-

10. „Żółte ulotki” rozpowszechniali młodzi ze Stronnictwa Narodowe-go znajdujący się przeważnie w wojsku. Sprawiało to wiele kłopotu star-szyźnie w rodzaju Seydy. Podobnie jak w londyńskim organie młodych Stronnictwa „Jestem Polakiem”, również i w ulotkach nie brakowało ak-centów antysemitów i antymasońskich. Między innymi atakowano Litau-era, Retingera i konsula generalnego K. Poznańskiego. Pod naciskiem Seydy „Jestem Polakiem” przestało z czasem wychodzić. Stronnictwo Na-rodowe zaczęło wydawać własny organ, którego redaktorem został M.E. Ro-jek. W pierwszych miesiącach pobytu na wyspie młodzież endecka rozwi-jała w wojsku ożywioną akcję której Sikorski starał się przeciwdziałać. W grudniu 1940 r. odbyło się zorganizowane przez nią zebranie w St. An-drews. Przemawiał na nim członek najwyższych instancji partyjnych i Rady Narodowej prof. W. Folkierski. Po tym zebraniu Sikorski wydał za-kaz urządzania zebrań tego rodzaju w wojsku.

ska Opolskiego. Bożek przed wojną wisiał u klamki wojewody M. Grażyńskiego, teraz był tak samo „oddany” — Kotowi i Sikorskiemu. Otóż ów autorytet miał oświadczyć, że pragnie złożyć godność członka Rady Narodowej, ponieważ nie znajduje dla siebie w Londynie „pola działania”...

Sprawozdanie premiera z rozmów z Mikołajczykiem i Liebermanem nie brzmiało optymistycznie. Sikorski zgłaszał projekt kompromisowego załatwienia sporu z PPS. Proponował utworzenie komitetu dla spraw opieki ze Stańczykiem na czele. Komitet posiadałby własne biuro. W skład jego weszliby reprezentanci dwóch resortów: minister skarbu Strasburger i minister spraw zagranicznych Zaleski. Sikorski prosił ministrów o przyjęcie projektu. Tłumaczył, że chodzi o „uniknięcie przesilenia” i zachowanie rządu jedności narodowej.

Na propozycję Sikorskiego zareplikował Kot. Oświadczył, że jest związany deklaracją Stronnictwa Ludowego. Mając na myśli Stańczyka dowodził, że rząd nie może kryć tych, którzy nie spełnili swego obowiązku wobec uchodźstwa. Odbiłoby się to szerokim echem w Kraju. Uchodźstwo ma żal do rządu. Ci, którzy uciekli powinni ponieść odpowiedzialność niezależnie od zajmowanego stanowiska. Intrygi znajdujące nawet odbicie w inspiracjach prasowych trzeba zlikwidować. Stronnictwo Ludowe pragnie zapewnić sobie powrót do Kraju w atmosferze czystej. Dlatego odrzuca kompromisy. Nie możemy się ugiąć — mówił Kot — pod terrorem PPS. Upieranie się przy Stańczyku jako przedstawicielu tego stronnictwa w rządzie uniemożliwia kompromis. Resort opieki w najkrytyczniejszej chwili zawiodł na całej linii. Kot zastrzegał się przeciwko oddaniu Stańczykowi przewodnictwa w proponowanym przez premiera Komitecie.

Sikorski znowu prosił o przyjęcie projektu. Należy rozstrzygnąć sprawę unikając rekryminacji związanych z okresem ewakuacji. Sugerował powołanie specjalnej komisji ministerialnej z gen. Hallerem na czele, która zajęłaby się dochodzeniami, odnoszącymi się do tego okresu. Rozprawiał się z agitacją, „zmierzającą do zdyskredytowania rządu”. Zarzucają — mówił — że rząd urządził nowe Zalesczyki! Jest to podłość! Rząd „jako całość” spełnił swój obowiązek. Dopiero interwencje rządu doprowadziły do zarządzeń ewakuacyjnych na szerszą skalę. Zasługa sprawnego dokonania ewakuacji przypada gen. Sosnkowskiemu, ministrowi Kotowi i gen. Kukielowi. Jeśli intrygi antyrządowe nie ustaną — podniecał się — wyciągnę konsekwencje i nikogo nie oszczędzę. Robi się nawet nagonkę na moją osobę. Wymieniano m.in. Ciechanowskiego. Niech nikt

nie przesadza swych wpływów na gruncie angielskim, gdzie bez wątpienia najwyżej ceni się autorytet szefa rządu Rzeczypospolitej. Apelowal do Kota, aby zgodzil się na proponowany przez niego kompromis.

Zabrał głos „bohater” posiedzenia — Stańczyk. Krytyka działalności resortu opieki — mówił — jest bezpodstawna. Sąd o tej działalności należy wyłącznie do stronnictwa czyli do PPS. Opinia Kota jest mu obojętna. Zgodziłby się na likwidację swego resortu, gdyby równocześnie skasowano inne ministerstwa.

Po deklaracji Stańczyka Stroński pośpieszył z wyrażeniem słów uznania dla dobrej woli premiera, chwając jego „wspaniały gest pojednawczy”. W ten sam ton uderzył Seyda. Dodał jednak, że jest „przerażony” atmosferą, jaką zastał w Londynie.

Przewodnictwo obrad znowu na pewien czas objął Sosnkowski. Wypowiedział się za projektem premiera. Tak samo Zaleski. „Łoża” nie chciała zdradzać przedwcześnie swych zamiarów. Poparcie Stańczyka czy choćby wstrzymanie się od głosu byłoby krokiem nieopatrzonym.

Gdy Sikorski powrócił na posiedzenie przystąpiono do głosowania. Rada Ministrów przeszła do porządku dziennego nad argumentami Stańczyka. Nawet argument, że „PPS musi być w rządzie uprawniona, a nie tylko tolerowana”, nie zrobił na obecnych wrażenia. W głosowaniu wszyscy, z wyjątkiem Kota, wypowiedzieli się za wnioskiem premiera. Kot wstrzymał się od głosu. Stańczyk głosował przeciw. Zabrał jeszcze raz głos i powiedział, że wobec wyniku głosowania musi opuścić posiedzenie. Treść powyższej przez rząd uchwały zakomunikuje zarządowi stronnictwa. Zgłosi podanie o dymisję na ręce Prezydenta. Będzie to równoznaczne z wycofaniem się PPS z rządu jednności narodowej.

Kot triumfował. Sikorski nie podzielał nastroju swego przyjaciela. Rozumiał, że stanowisko PPS ułatwia akcję tych, którzy pragną doprowadzić do przesilenia. Nie mylił się. Nazajutrz 12 lipca o godz. 1-ej po południu otrzymał od Prezydenta list nośzący datę 11 lipca. Pierwsze zdania listu brzmiały:

„Panie Generale,

„Od chwili mego przyjazdu do Londynu minęło prawie trzy tygodnie. W ciągu tego czasu obserwowałem bacznie sytuację, wynikłą w polskim środowisku uchodźczym, zarówno cywilnym jak wojskowym — na tle okoliczności wśród których dokonała się ewakuacja tego środowiska do Anglii”.

„Zarówno spostrzeżenia w ten sposób uczynione jak szereg innych przyczyn skłania mnie do uznania reorganizacji rządu, zapowiedzianej przez Pana Generała w Jego „okólniku-rozkazie” z dn. 24-go czerwca, za sprawę niecierpiącą zwłoki”.

„Po dojrzałej i wszechstronnej rozwadze sądzę, że rozpocząć się ona winna od ustąpienia pp. ministra Skarbu dr. Henryka Strasburgera i ministra prof. Stanisława Kota”.

W sprawie zarzutów skierowanych pod adresem ministra Skarbu Prezydent pisał, że „na pana Strasburgera, jako ministra Skarbu, spada odpowiedzialność za sytuację w jakiej się znalazł zapas złota Banku Polskiego, wyratowany z Polski we wrześniu roku zeszłego, dzięki zarządzeniom ówczesnego rządu i władz Banku Polskiego”.

Prezydent przypominał, że zawsze wskazywał na konieczność przeniesienia złota do Anglii, Kanady, względnie Stanów Zjednoczonych. O to samo zwracał się już 11-go kwietnia 1940 do dyrektora Banku Polskiego. Również na posiedzeniu Rady Ministrów 28-go maja podkreślał konieczność wywiezienia z Francji złota i jego zabezpieczenia. Strasburger zapewniał wtedy, że wszystko jest na jak najlepszej drodze. Tymczasem w czerwcu — pisał Prezydent — „wbrew najbardziej elementarnej ostrożności”, skoncentrowano cały zapas w jednym porcie francuskim do czego minister Skarbu dołączył jeszcze złoto FON’u.

„Odpowiedzialność — pisał Prezydent — która w związku z tą sprawą w obliczu Narodu i Państwa obciążała ministra skarbu, który jeszcze na radzie ministrów odbytej w Pignerolles w dniu 14-go czerwca br. oświadczył, że złoto jest zabezpieczone, jest tego rodzaju, że dalsze pozostawienie jego w rządzie uważam za niemożliwe”.

A oto opinia Prezydenta o ministrze Stanisławie Kocie:

„...Wielokrotnie w ciągu ostatnich miesięcy zwracałem uwagę Pana Generała na to, że brak umiaru, taktu i karności obywatelskiej oraz stała tendencja do wykraczania poza swoje kompetencje, sprawiają, że nie tylko nie jest on zdolny do harmonijnej współpracy, ale przeciwnie stanowi źródło zadrażeń, waśni i niepokojów, co w połączeniu z jego brakiem opanowania, staje się przyczyną wrażeń, że załatwia on sprawy pod kątem widzenia nie rzeczowym, lecz personalnym. Szczególnie jaskrawo cechy te wystąpiły w jego projektach w związku z dekretem o utworzeniu „Komisji dla badania przyczyn klęski poniesionej przez Polskę we wrześniu 1939 r.”, z których wynikało, że pragnie on z tego dekretu uczynić narzędzie do pobawiania Polaków na uchodźstwie obywatelstwa polskiego”.

Gdy projekty te nie zostały zrealizowane, Kot wygłosił na Radzie Ministrów przemówienie, że „uważa za niewłaściwe” — wstępne uzgadnianie projektu dekretu z Prezydentem. W tych warunkach — zdaniem Prezydenta — kierowane przez Kota Prezydium Rady Ministrów, nie spełnia zadania koordynacji pracy różnych urzędów. Dowodem tego fatalna ewakuacja władz państwowych z Francji. Kot nie rozumiejąc sytuacji hamował ewakuację. Zajmował takie stanowisko w Libourne, gdy premier francuski prosił 15-go czerwca nasze ministerstwo spraw zagranicznych, aby ewakuowało urzędników do Anglii. Wskutek tego z

300 miejsc na statku angielskim, postawionych 17-go czerwca przez władze brytyjskie do dyspozycji rządu polskiego, wykorzystano jedynie 80.

Prezydent nie chce dociekać przyczyn dla których na naradę ewakuacyjną w Libourne 17-go czerwca 1940-go roku przybyli tylko ministrowie Zaleski, Stańczyk, oraz podsekretarze: Falter, Graliński, Kot i Popiel. Faktem jest, że zarówno ministrowie i urzędnicy jak i członkowie Rady Narodowej, rozproszyli się między Libourne, Lourdes, Bayonne, a część udała się do Lizbony.

„Tym bardziej jednak — pisał dalej Prezydent — zmuszony jestem ocenić kampanię, prowadzoną przez ministra Kota od chwili jego przyjazdu do Anglii, przeciwko szeregowi osób w nader brutalnej formie, kampanię, która kulminowała w zarzucaniu podsekretarzowi stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych uciekanie się do pomocy obcej. W tym stanie rzeczy uważam dalsze uczestniczenie ministra Kota w rządzie R.P. za szczególnie szkodliwe także i ze względu na to, że wciągnął on w ten sposób do polskich spraw wewnętrznych kwestię stosunku do organów sprzymierzonego państwa, na terenie którego się znajdujemy”.

List Prezydenta do premiera nie był pisany od ręki. Był również produktem zbiorowym. Na pewno w jego przygotowaniu współpracowali Łepkowski, Piotrowski, Łukasiewicz, Tomaszewski i Graliński.

Jedno jest pewne. Chcąc wyzyskać sprowokowany przez Kota konflikt z PPS-em postanowiono rozłożyć akcję ofensywną na dwa etapy. Dlatego na razie Prezydent domagał się usunięcia z gabinetu dwóch ministrów, najbardziej zdyskredytowanych w oczach uchodźców: Strasburgera, odpowiedzialnego za skarb państwa i Kota, mającego opinię intryganta i „złego ducha” Sikorskiego. Żądanie to zbiegło się w czasie z posiedzeniem Rady Ministrów, na którym Stańczyk zapowiedział wycofanie się PPS z rządu i Rady Narodowej. Zdawało się, że opuszcza gabinet stronnictwo, bez którego utrzymanie fikcji rządu jedności narodowej będzie niemożliwe. Prezydent domagał się ustąpienia dwóch ministrów, z których jeden reprezentował w rządzie Stronnictwo Ludowe. Przesilenie rządowe można więc było uważać za otwarte bez uciekania się na razie do ostatecznego kroku, jakim było udzielenie dymisji premierowi.

12 lipca posypały się listy pogłębiające kryzys. Zaleski odpowiadał premierowi na list w którym domagał się „przesłuchania p. ministra Ciechanowskiego” i żądał, aby urzędnicy MSZ zaprzestali „rozsiewania, a nawet powtarzania fałszywych i niezgodnych z rzeczywistością pogłosek o rzekomym braku przewidywania z mojej strony i ze strony rządu w ostatnich trzech tygodniach i o nie wywiezieniu wojska oraz osób cywilnych z Fran-

cji". Zaleski polemizował w swej odpowiedzi z zarzutem skierowanym przeciwko sekretarzowi generalnemu MSZ p. Ciechanowskiemu „o rozwijanie jakoby w kołach angielskich akcji podważającej autorytet obecnego rządu". Pisał, że Ciechanowski z najwyższym oburzeniem zaprotestował przeciw temu zarzutowi. Jeśli premier go nie cofnie ustąpi ze swego stanowiska.

12 lipca dr Herman Lieberman pisał do Prezydenta:

„Obecne warunki zniewalają mnie do zrzeczenia się godności Wiceprezesa i Członka Rady Narodowej. Proszę uprzejmie o łaskawe zwolnienie mnie z powyższej godności.

Dziękując z głębi serca za zaufanie, jakim darzyć mnie raczył Pan Prezydent na powyższym swoim stanowisku, na którym zawsze kierować się starałem sumieniem i miłością dla nieszczęśliwej naszej Ojczyzny, łączę wyrazy najszczerzego poważania”.

W tym samym dniu Prezydent otrzymał od Stańczyka pismo rezygnacyjne.

„Wobec uchwały Rady Ministrów z dnia 11-go lipca br., która pozbawiła mnie resortu ministra Opieki Społecznej, podaję się do dymisji i proszę o zwolnienie mnie z urzędu Ministra Rzeczypospolitej Polskiej.

Czynię to zgodnie z jednomyślną wolą stronnictwa, które reprezentowałem w rządzie.

List tej samej treści wysyłam równocześnie do Pana Prezesa Rady Ministrów”.

Na znak solidarności z Liebermanem i Stańczykiem zgłosili ustąpienie urzędnicy ministerstwa opieki społecznej, członkowie PPS: Alojzy Adamczyk, dr Ludwik Grosfeld, Emanuel Frejd i Józef Beloński.

Posiedzenie rządu 12 lipca, na którym nie było już Stańczyka, rozpoczął Sikorski od sprawy nowelizacji umów polsko-brytyjskich. Wszystko zostało uzgodnione z Brytyjczykami — mówił. Postulaty polskie uwzględniono w pełni. Jest to wielki sukces. Uzyskałszy — podkreślał Sikorski — lepsze warunki, niż z Francją.

Stroński i Seyda złożyli podziękowanie Sikorskiemu i Sosnowskiemu. Omówiono jeszcze sporną sprawę uznania za rząd Komitetu czechosłowackiego w Londynie, po czym przystąpiono do spraw wewnętrznych.

Atmosfera od początku była podniecona. Ministrowie wiedzieli już o liście Prezydenta do premiera. Niektórzy znali jego pełny tekst, inni tylko wniosek dotyczący obu ministrów. Dla wszystkich było jasne do czego Prezydent zmierza. Z napięciem oczekiwano, co powie premier.

Sikorski zaczął od pojednawczego gestu wobec Zaleskiego.

Poinformował ministrów, że otrzymał list z którego wynika, iż Ciechanowski kategorycznie zaprzecza rozsiewanym o nim pogłoskom. Wobec tego uważa sprawę za wyjaśnioną. Potem odczytał pismo Prezydenta, a następnie projekt swej odpowiedzi. Oświadczył, że domaga się od Rady Ministrów odpowiedzi na pytanie, czy się solidaryzuje ze stanowiskiem, jakie zajął w projekcie.

Pierwszy zabrał głos Stroński. Mówił, że charakter listu Prezydenta w interesie „dobra sprawy” wyklucza wszelką dyskusję nad jego treścią. Rada Ministrów jest niewątpliwie zgodna w uznaniu zasług obu ministrów, których ustąpienia domaga się Prezydent. Odnosi się to zarówno do sprawy ewakuacji ludności polskiej z Francji jak i zabezpieczenia złota.

Przemówienie Strońskiego nie było dla nikogo niespodzianką. Czekano teraz co powie Sosnkowski i jak się zachowa Zaleski. Sosnkowski zaproponował tylko zmianę zakończenia projektu odpowiedzi. Wypowiadał się za opuszczeniem ustępu o zobowiązaniach przyjętych przez Prezydenta wobec rządu w chwili obejmowania urzędu. Radził zastąpić go akcentem, podkreślającym znaczenie jakie rząd przywiązuje do unikania wszelkich przesileni w obecnej tragicznej sytuacji celem utrzymania jedności narodowej. Jedność tę — mówił Sosnkowski — można osiągnąć tylko na drodze wzajemnych ustępstw w duchu porozumienia z Prezydentem, rządem i Radą Narodową. Seyda wypowiedział się za poprawką Sosnkowskiego, podnosząc ewakuacyjne zasługi Kota. Zaleski milczał.

Na tym wyczerpano dyskusję, po czym Rada Ministrów przyjęła zmiany proponowane przez Sosnkowskiego. Sikorski zamykając posiedzenie stwierdził, że rząd jednomyślnie zsolidaryzował się z jego listem do Prezydenta.

W zapiskach prowadzonych na zlecenie Prezydenta dzień 12 lipca wygląda pracowicie.

O godzinie 10-ej rano przybył ambasador E. Raczyński. Informował Prezydenta o „zaniepokojeniu brytyjskich kół oficjalnych” wieściami o ustąpieniu z rządu ministra Stańczyka. Po Raczyńskim przyszedł Zaleski. Prezydent zlecał, by wyjaśniał Brytyjczykom, że zmierza do „utrzymania w organizacji rządu szerokiej platformy jedności narodowej”.

Lieberman zjawił się po ciężkim ataku serca. Nie taił oburzenia z powodu naruszenia przez premiera porozumienia zawartego z nim w okresie organizowania rządu. Następnie zapoznał Prezydenta ze swą korespondencją z Sikorskim. Wobec spaczenia przez premiera warunków porozumienia prezes Lieberman „wy-

klucza możliwość dalszej z nim współpracy”. Niezależnie od ustąpienia ministra Stańczyka zgłasza dymisję ze stanowiska członka prezydium Rady Narodowej.

Prezydent odpowiedział, że nie mógłby akceptować rządu jedności narodowej bez udziału socjalistów. Z tych samych powodów nie może przyjąć dymisji prezesa Liebermana ze stanowiska reprezentanta PPS w Prezydium Rady Narodowej, chyba, że stronnictwo wydeleguje innego przedstawiciela. Ale takie wyjście uważałby za wysoce niepożądane ze względu na walory osobiste i autorytet jakim cieszy się Lieberman.

Ciekawie brzmią zapiski o wizycie Sosnkowskiego. Przybył do Prezydenta o pierwszej po południu. Rozmowa była długa. Objęła „sprawy związane z powstałym przesileniem”.

„W razie nie dojścia do porozumienia — czytamy w notatce — Pan Prezydent uważa za konieczne objęcie przewodnictwa rządu przez generała Sosnkowskiego. Generał wskazał, że w obecnej sytuacji trudno by mu było podjąć się tej misji, gdyż rozładowanie atmosfery jest nadzwyczaj utrudnione przez to, że Narodowa Demokracja jest bez przewodnictwa, ludowcy — skłócenie, a z samymi socjalistami trudno prowadzić rząd. Jeśliby sytuacja wywołała konieczność utworzenia nowego gabinetu, generał sugeruje powierzenie misji jego utworzenia Zaleskiemu”.

Z zapisek wynika dalej, że obaj rozmówcy omawiali wszystkie elementy „powstałego przesilenia”, to znaczy, zarówno deklarację Stronnictwa Ludowego, dymisję Stańczyka jak i wymianę listów Prezydenta z Sikorskim. Według relacji Sosnkowskiego Prezydent oznajmił mu, że utworzył przesilenie wysyłając list do premiera, w którym żądał usunięcia ministrów: Kota i Strasburgera. Odpowiedź Sosnkowskiego była wypunktowana:

Po pierwsze:

„Pogląd mój — mówił Prezydentowi — na osobę pana Kota i na rolę przezeń odgrywaną jest Prezydentowi dobrze znany. Tym niemniej nie mogę nie wyrazić żalu, że Prezydent przed wysłaniem listu nie naradził się ze mną. W moim rozumieniu list do Sikorskiego stanowi krok błędny, a ponadto niepotrzebny, gdyż przesilenie rozpoczęły same stronnictwa. Właśnie w tym dniu socjaliści zgłosili gremialnie wystąpienie z zespołu rządowego, przy czym zarysował się ostry konflikt pomiędzy nimi a p. Kotem. W interesie sprawy byłoby na pewno lepiej, gdyby Prezydent wystąpił w roli regulatora i arbitra, nie zaś inicjatora kryzysu”.

Po drugie:

„Przesilenie w tym zwłaszcza czasie jest szkodliwe na zewnątrz. Może ono też zagrozić sprawie odbudowy sił zbrojnych i zawarciu umów wojskowych, a w każdym razie skomplikować sytuację pod tym względem.

Po trzecie:

„Należy utrzymać na zewnątrz zasadę jedności narodowej i solidarności stronnictw wobec obcych. Prezydent powinien zlecić wyrównanie sytuacji premierowi, a w razie jego niepowodzenia powierzyć misję tworzenia jednemu ze stronnictw, zaczynając od socjalistów. Dopiero gdyby żadnemu z nich nie udało się stworzyć rządu jedności narodowej można by pomyśleć o bezpartyjnym rządzie osobistości i powierzyć misję jego utworzenia komuś spoza stronnictw”.

Po czwarte:

„W każdym bądź razie — kończył Sosnkowski — raz jeszcze proszę o wygrodenie mej osoby i ponownie daję wyraz swemu pragnieniu pracy w wojsku, na stanowisku liniowym”.

W toku całej rozmowy Sosnkowski zwracał Prezydentowi znowu uwagę na brak „Spielraumu” politycznego oraz podkreślał, że robiąc przesilenie z własnej inicjatywy, Prezydent ułatwia swym oponentom grę straszakiem — „sanacja redivivus”. Już dzisiaj zwolennicy Sikorskiego krzyczą na całe gardło, że przy Prezydencie „sanacyjnym” jeszcze „sanacyjny” premier — to więcej aniżeli mogą znieść: Kraj i stronnictwa.

„Co do mnie — mówił Sosnkowski — z natury sprawowanej przeze mnie funkcji oraz na podstawie licznych raportów i doniesień znając sytuację krajową muszę, niestety, stwierdzić, że nienawiść do tak zwanej „sanacji” jest czynnikiem rzeczywistym, ciągle istniejącym i grającym z siłą niezmienną w Kraju i wśród stronnictw i społeczeństwa. Można wątpić, czy klęska Francji, druzgocące porażki armii belgijskiej, holenderskiej, francuskiej i brytyjskiej, wpłyną w Polsce na zmianę stosunku społeczeństwa do katastrofy wrzesniowej, na rozładowanie nastrojów, które osiągnęły napięcie zgoła irracjonalnej pasji. Trzeba czasu i to dość długiego, aby nastroje te złagodziły i uległy częściowej choćby zmianie”.

„W istniejących warunkach — stwierdzał wyraźnie Sosnkowski — jestem przeciwny koncepcji rządu osobistości. Symbol jedności narodowej gra, wedle mego zdania nadal i na zewnątrz i na wewnątrz i grać będzie dopóki nasze cele wojny nie zostaną osiągnięte”.

Raczkiewicz słuchał Sosnkowskiego z uczuciem zawodu. Nie zgadzał się z jego subtelną analizą. W przekonaniu Raczkiewicza górowała w niej niechęć do usuwania Sikorskiego ze stanowiska premiera i do naruszania fikcji „jedności narodowej”. Toteż przeszedł do porządku dziennego nad sugestiami generała.

Ostatnia w tym dniu rozmowa ze Stańczykiem utwierdziła go w słuszności tej decyzji. Stańczyk oburzał się na premiera z powodu jego zatargu z Liebermanem. Zapewniał Prezydenta, że dopóki nie będą uwzględnione warunki Liebermana nie cofnie dymisji.

Po rozmowie z Sosnkowskim tym większe znaczenie przywiązywał do zapewnień Stańczyka. Wierzył — wbrew Sosnkowskiemu — że przesilenie spowodowane ustąpieniem socjalistów z rządu weszło już w stadium rozstrzygające. Nie wątpił, że przyszły premier bez trudu zaakceptuje stanowisko PPS w sprawie utrzymania Ministerstwa Opieki Społecznej. Wydawało mu się wreszcie, że między nim a socjalistami panuje całkowita zgoda w sprawie konieczności zmiany systemu rządów Sikorskiego.

13 lipca, w sobotę Sikorski zjawił się u Prezydenta, aby go osobiście poinformować o treści swej odpowiedzi i zrobić gest pojednawczy. Miało nim być przeproszenie Prezydenta przez Kota za obraźliwe „wycieczki”, na jakie sobie stałe wobec głowy państwa pozwalał.

Wizyta nie dała wyników. Mówią o tym suche zdania zapisek.

„W rozmowie z premierem — wobec tego, że premier nie skorzystał z propozycji uczynionej w liście Prezydenta z 11 lipca porozumienia się z nim — Pan Prezydent zapowiedział odpowiedź pisemną na list Premiera. Premier uznał za niesłuszne zarzuty wysunięte przez Pana Prezydenta w stosunku do ministra Kota i Strasburgera za działalność których bierze odpowiedzialność na siebie i zaproponował wreszcie, że minister Kot mógłby przeprosić Pana Prezydenta”.

Wizytę premiera poprzedziło zjawienie się Zaleskiego. Po bytności Sikorskiego Zaleski przyszedł znowu. Przeciwnicy Sikorskiego czuwali. Po drugiej rozmowie z Prezydentem Zaleski mógł stwierdzić, że nic się nie zmieniło, że kryzys pogłębia się i zbliża się kulminacyjny moment przesilenia.

Odpowiedź premiera na list Prezydenta nosi datę 13-go lipca. Sikorski stwierdza w niej na wstępie, że całą sprawę rozważył najdokładniej i poddał również — „rozwadze Rady Ministrów”.

Broniąc ministra Skarbu komunikował, że właśnie 11-go lipca otrzymał wiadomość o uratowaniu złota polskiego. W sprawie Kota pisał: „To prawda, że Pan Minister Kot domagał się stanowczo ustalenia odpowiedzialności winowajców straszliwej klęski Polski po chełpliwych, a nędznych rządach”. Według Sikorskiego takie same stanowisko zajęła Rada Ministrów i Rada Narodowa. Najradykałniej spośród ministrów występował Stańczyk. „Niechaj mi będzie wolno — pisał dalej — stwierdzić z całą stanowczością, że godzenie w człowieka, który domaga się odpowiedzialności za straszliwe winy poprzednich rządów, gdy jednocześnie uczestnicy tych win zajmują nadal stanowiska państwowe i docierają nawet do najbliższego otoczenia Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, byłoby czymś najzupełniej niepojętym”. Sikorski

broniał również Kota za jego działalność ewakuacyjną. Dowodził, że dbał, by nie było zarzutu — „przodowania w popłochu”. Rząd spełnił obowiązek „dotrwania do końca”. Tej myśli dała wyraz Rada Ministrów, odbyta 18-go czerwca w Libourne — „pod moim przewodnictwem”. „Uratowaliśmy zawiązek armii, co rozstrzyga o naszej przyszłości. Bez wypełnienia tego kardynalnego obowiązku nie byłoby dla nas miejsca w Londynie”.

W tej sytuacji nie może „w trybie konstytucyjnym” przedstawić wniosku o zwolnienie ministrów: Kota i Strasburgera. A na podstawie pisma Prezydenta musi stwierdzić „z prawdziwym żalem i zaniepokojeniem”, że wiadomości dochodzące do Prezydenta „są nieścisłe, przedstawiane mu fałszywie i ze złą wolą”. Odpowiedzialny za to jest m.in. „urząd Pana Prezydenta”.

List Pana Prezydenta — pisał Sikorski — „nappełnił mnie szczerą troską”. Tym bardziej, że nadszedł niemal w tym samym czasie, gdy otrzymał od premiera Wielkiej Brytanii ostateczne teksty umów polsko-brytyjskich. „Ujrzałem wtedy — kończył — niezwykle jasno przepaść bezdenną, jaka dzieli nasze właściwe zadania, zajmujące całą moją uwagę, od małych zabiegów, którymi ludzie niesumienni wazą się zaprzętać uwagę Pana Prezydenta”... „Reorganizacja Rządu i aparatu rządowego winna być dokonywana w zgodnym porozumieniu Prezydenta, Rządu i stronnictw politycznych”.

Sikorski nie tylko więc bronił obu ministrów, których usunięcia domagał się Prezydent. Odmawiał wręcz Prezydentowi postawienia „w trybie konstytucyjnym” wniosku o ich zwolnienie. Atakował otoczenie Prezydenta, a pośrednio jego samego, podtrzymując na całej linii konieczność kontynuowania porachunkowego kursu z przedwrześniową przeszłością.

Całą niedzielę 14-go lipca wypełniły gorączkowe narady obu stron. Sikorski naradzał się z najbliższymi przyjaciółmi: Kotem, Kukielem, Mikołajczykiem, Strasburgerem, Strońskim oraz gronem oddanych mu oficerów. W siedzibie Prezydenta działo się podobnie, choć milczą o tym zapiski. Mowa w nich tylko, że Prezydent otrzymał list od premiera, uchylający „wszelkie ugodowe załatwienie sprawy” i potwierdzający „w bardzo stanowczej formie” jego pozytywny stosunek do Kota i Strasburgera. Zapiski wymieniają osoby, które tego dnia przed południem odwiedziły Prezydenta: Gralińskiego, Zaleskiego, Raczyńskiego i biskupa J. Gawlinę. Gawlina przybył ostatni. O rozmowach popołudniowych i wieczornych nie ma słowa. A przecież odwiedziło Prezydenta jeszcze wiele osób, czynnie zaangażowanych w akcję na rzecz przesilenia.

Obu stronom chodziło o socjalistów. Sikorski robił wszystko, aby zlikwidować konflikt z PPS, nieopatrznie sprowokowany przez Kota, i skłonić Stańczyka do cofnięcia dymisji. „Łoża”, na odwrót, dążyła do podtrzymania konfliktu. Rozumowała, że ułatwia on przyspieszenie reorganizacji rządu na zupełnie nowych podstawach, tzn. z udziałem innych, jak np. Seyda, przedstawicieli Stronnictwa Narodowego i z udziałem innego, proprezydencckiego garnituru ludowców, będących w wewnętrznej opozycji do Kota i Mikołaczka.

W ostatnich dniach poprzedzających dymisję Sikorskiego Sosnkowski trzymał się jeszcze bardziej na uboczu. Obserwował tylko poczynania obu stron. W niedzielę 14 lipca musiały one nasuwać wniosek, że w ofensywie jest raczej Prezydent i jego otoczenie, w defensywie — Sikorski ze swymi zwolennikami.

Tej właśnie niedzieli wystosował do Prezydenta długi list jego szef kancelarii cywilnej minister dr S. Łepkowski. Nawiązując do listu Sikorskiego do Prezydenta w którym podtrzymał opinię, że urząd Prezydenta w pierwszym rządzie odpowiada za rzekomo niezgodne z prawdą informowanie głowy państwa i dopuszczanie do niego ludzi kierujących się nierzetelnymi pobudkami, pisał:

„Nie czuję się powołany do rozważania przyczyn dla których generał Sikorski nie wyraził mi swego braku zaufania w sposób, który mogłem uważać za pomiędzy nim a sobą przewidziany i umówiony”.

W zakończeniu Łepkowski prosił Prezydenta o zwolnienie z zajmowanego stanowiska.

List Łepkowskiego uzupełniał obraz nieustannej wojny podjazdowej prowadzonej z otoczeniem Prezydenta od pierwszych dni emigracyjnych. Lecz nie tylko o to chodziło jego autorowi. Prosząc Prezydenta o zwolnienie z urzędu Łepkowski stwarzał dodatkowy element grający na rzecz przesilenia.

Wszystkie te wystąpienia potęgowały konsternację wśród zwolenników Sikorskiego. Uznali, że trzeba na nie wreszcie zareagować i że przede wszystkim nie można dłużej pozostawiać bez odpowiedzi listu Łukasiewicza. Redakcji jej podjął się gen. M. Kukiel.

Odpowiedź Kukiela z 16-go lipca nie wyczerpywała jednak nawet drobnej części rozległej tematyki, składającej się na treść memorandum Łukasiewicza. Kukiel bronił siebie. „Poza niesłychanymi w zuchwałym rozmijaniu się z prawdą oskarżeniami pod adresem Wodza Naczelnego — pisał — są tam napomknienia o tym jakobym ja, jako jego zastępca w dniach 12-go-17-go czerwca br., opóźniał ewakuację naszych wojsk, tłumacząc się brakiem

rozkazów". Powołując się na świadectwo francuskiego generała L. Faury, Kukiel tłumaczył się z postawionego mu przez Łukasiewicza zarzutu, niewykonania zadań ewakuacyjnych.

„Wykonanie — pisał — zawiodło częściowo z dwóch przyczyn: z powodu sprzecznych z planem rozkazów dowódców francuskich, którym gen. Faury nie zdołał skutecznie się przeciwstawić oraz z powodu zupełnego załamania się niektórych dowódców polskich, graniczącego u niektórych (płk. Zieleniewski, płk. Jaklicz) ze zdradą”.

Na obszerną dokumentację stwarzaną przez zwolenników przesilenia z Prezydentem na czele, Sikorski i jego najbliżsi usiłowali więc odpowiadać własną dokumentacją. Ale tworzyli ją w pośpiechu.

Sikorskiego pochłaniała zresztą w tym czasie tylko jedna sprawa. Za wszelką cenę dążył do zlikwidowania konfliktu z PPS-em. Rozumiał, że wytrąci do z rąk przeciwników atut kapitalnej wagi. 15 lipca wystosował do Stańczyka list z propozycjami, które oznaczały odwrót ze stanowiska, jakie dotychczas zajmował. O propozycjach tych pisał do Stańczyka, że umożliwiają „Panu Ministrowi cofnięcie rezygnacji ze stanowisku Ministra, powodując tym samym pozostanie PPS w obozie Jedności Narodowej”.

Na odbytej nazajutrz Radzie Ministrów Sikorski odczytał list dodając, że załatwia on pozytywnie kryzys z socjalistami. Dawał również wyraz przeświadczeniu, że wszyscy ministrowie zsolidaryzują się z treścią listu. Osłabianie się dziś wewnętrznymi sporami — mówił — byłoby samobójstwem. „Zwracam się do członków rządu — kończył — by uczynili wszystko dla całkowitego powrotu w łonie rządu ducha zaufania i solidarności, który dał tyle dobrych rezultatów w ciągu ubiegłych miesięcy”...

Rada Ministrów zaakceptowała list Sikorskiego. Uchwaliła także reasumpcję swej uchwały z 13 lipca o reorganizacji Ministerstwa Opieki. „Kompromis” sprowadzał się do tego, że Stańczyk zachowywał tytuł ministra pełniąc funkcję kierownika biura opieki społecznej. Uchwałę powzięła Rada Ministrów jednomyślnie. Tylko Kot wstrzymał się od głosowania.

Bezpośrednio po załatwieniu konfliktu z PPS zabrakł głosu Strońskiego, proponując wniesienie na porządek dzienny sprawy listu Łukasiewicza. Twierdził, że stanowi on „tak niesłychane wystąpienie, że wymaga odpowiedniego załatwienia”. Strońskiego poparł Kot, dodając, że „tego rodzaju wicherzenia nie mogą pozostać bezkarne”.

Wystąpienia obu ministrów zapowiadały, że Sikorski wytrąciwszy przeciwnikom ważki atut zamierza nie zwlekając przy-

stąpić do rozprawy z opozycją, przede wszystkim z Łukasiewiczem. Zamykając dyskusję nie omieszkał wyrazić żalu, że Prezydent nie zawiadomił go o treści listu Łukasiewicza. Zgodził się skwapliwie na propozycję Strońskiego. Zapowiedział wniesienie sprawy listu Łukasiewicza już na najbliższe posiedzenie Rady Ministrów. Wyznaczono je na 19 lipca o 10 m. 30 rano.

W posiedzeniu Rady Ministrów 16 lipca nie brał udziału minister Spraw Zagranicznych August Zaleski.

Wiadomość o udanej likwidacji konfliktu z PPS-em musiała teraz z kolei wywołać konsternację wśród przeciwników premiera. Wskazują na to zapiski z rozmów Prezydenta odbytych tegoż dnia.

Likwidacja sporu Sikorskiego z socjalistami wypełniła rozmowę z pierwszym politykiem, który zjawił się u Prezydenta. Był nim towarzysz partyjny Stańczyka, Adam Pragier, członek „łóży”. Pragier tłumaczył Prezydentowi, że wszystkie posunięcia PPS są skutkiem — „nikłej reprezentacji stronnictwa na terenie Anglii”. Charakteryzując zaś stosunki w PPS-ie ubolewał, że istnieją w nim dwie grupy. Zbliżona do niego nie jest w stanie zapewnić sobie decydującej przewagi nad pozostałą.

Zaraz po Pragierze przyjął Prezydent Stańczyka. Stańczyk informował Prezydenta o likwidacji przesilenia wywołanego jego ustąpieniem. Postulaty PPS zostały uwzględnione. Stronnictwo rozumie — mówił Stańczyk — że decydującą rolę w całej sprawie odegrał Prezydent domagając się utrzymania jedności narodowej. Stańczyk zapewniał Prezydenta, że pozostając w rządzie będzie dążył do unormowania stosunków w łonie koalicji i stosunku rządu do Prezydenta.

Deklaracja Stańczyka musiała rozczarować Prezydenta. Nie zachwycало go zwłaszcza przypisywanie mu głównej zasługi w zlikwidowaniu konfliktu rządu z PPS-em. Przeciwnie, był tym zmartwiony. Likwidacja krzyżowała plan, który postanowił zrealizować.

Po Stańczyku, w południe, przybył Zaleski. Przypuszczalnie po to, aby bezpośrednio po rozmowach Prezydenta z obu socjalistami przeanalizować wspólnie wytworzoną sytuację. Zaleski musiał być zaniepokojony taktycznym zwycięstwem Sikorskiego, ale nie dawał za wygraną. Wprowadzał teraz do rozgrywki z Sikorskim swoją osobę. Krótka notatka o jego wizycie mówi, że informował Prezydenta o trudnościach sprawowania swego rządu. Premier obciąża go nieustannie różnego rodzaju zarzutami, raz — ustnie, innym razem pisemnie. Była w tym zapowiedź rezygnacji z zajmowanego stanowiska.

Jak wyglądały 16 lipca popołudniowe przyjęcia u Prezydenta

— nie wiadomo. W zapiskach znajduje się tylko wzmianka o drugiej wizycie Stańczyka. Trwała długo, bo od 9 do 11 m. 30 wieczór. Czy Prezydent nie usiłował nakłonić Stańczyka, aby wrócił z drogi porozumienia z Sikorskim? Nie jest to wykluczone, choć zapiski nic o tym nie mówią. Natomiast streszczają poglądy prezydenta o premierze, którymi uznał za wskazane podzielić się w tymże dniu ze Stańczykiem.

„Prezydent zaznaczył — czytamy w notatce — że stojąc bezwzględnie na stanowisku jedności narodowej, nie uważa za możliwe tolerować nadal układu stosunków, godzących w zasadę jedności narodowej i wytwarzających atmosferę jaskrawo doprowadzającą do systemu dyktatury. Temu systemowi Prezydent przeciwstawił się przy formowaniu rządu w październiku w Paryżu. Minister Stańczyk, dzieląc całkowicie poglądy Prezydenta, zaznaczył ze swej strony, że PPS najkategoryczniej się sprzeciwia tendencjom dążącym do wytworzenia systemu dyktatury”.

Na pewno deklaracja solidarności poglądów PPS z poglądami Prezydenta na sprawę rządów dyktatorskich Sikorskiego nie była tym, czego się Prezydent spodziewał po drugiej wizycie Stańczyka. Natomiast fakt, że bez żadnych obłonek skwalifikował dążenia Sikorskiego dowodził, że niezrażony taktycznym zwycięstwem premiera, zdecydowany jest w dalszym ciągu na otwarcie przesilenia.

O zdeterminowanym stanowisku Prezydenta musiał wiedzieć Sikorski. Przewidując dalszą akcję swych przeciwników, postanowił przede wszystkim zmobilizować powolną mu w większości Radę Narodową. 16 lipca, pełniący obowiązki prezesa Rady St. Mikołajczyk, zwołał posiedzenie na 18 lipca o godzinie 10 m. 30 rano. Rozesłane zawiadomienie zawierało następujący porządek dzienny: 1) Sprawy Prezydium Rady Narodowej, 2) Sprawy komisji Rady Narodowej, 3) *Exposé* pana premiera generała Sikorskiego, 4) Dyskusja nad *exposé*.

Pragnąc jak najszybciej przypieczętować fakt ostatecznej likwidacji konfliktu z PPS-em Sikorski jeszcze tegoż dnia zwrócił się do Stańczyka o zwołanie koordynacyjnego komitetu ministrów w sprawie opieki społecznej. Od ministra Spraw Zagranicznych domagał się „energicznego współdziałania” w zakresie zagadnień, związanych z opieką nad uchodźcami. Prosił również Sosnkowskiego, tytułując go „zastępcą Prezesa Rady Ministrów” o zwołanie Komitetu Politycznego. Pragnął i na tym forum omówić dalsze fazy konfliktu z opozycją. Aby przekonać swych przeciwników, że działa zdecydowanie, postanowił przywołać do porządku Zaleskiego. Przyjął go 17-go lipca rano. Robił mu wymówki, że nie był na ostatnim posiedzeniu Rady Ministrów, na którym m.in. rozważano sprawę opieki nad uchodźcami. Jeśli są

w tej dziedzinie trudności — pouczał Zaleskiego — to usuwanie ich zależy wyłącznie od ministerstwa spraw zagranicznych, „które powinno by przejawiać więcej inicjatywy w tym przedmiocie”.

Likwidacja konfliktu z PPS-em nie odprężyła więc atmosfery. Przeciwnie, z godziny na godzinę stawała się coraz bardziej napięta. Obie strony mobilizowały siły, przygotowując się do ostatecznej rozprawy. Słowa Prezydenta wypowiedziane do Stańczyka, że nie uważa za możliwe tolerowania układu stosunków godzących w zasadę jedności narodowej, zapowiadały dalszą jego akcję. Doszło do niej w czwartek 18 lipca.

Prezydent zwalnia Sikorskiego ze stanowiska premiera

W rozmowie 13 lipca Prezydent uprzedził Sikorskiego, że odpowie pisemnie na jego list w którym brał w obronę Kota i Strasburgera i odmawiał zwolnienia obu ministrów. Wiedział już wtedy, że ta odpowiedź będzie zawierała dymisję Sikorskiego z urzędu prezesa Rady Ministrów. Do ostatka jednak decyzję otaczał tajemnicą. Orientowało się w niej tylko grono wtajemniczonych z Zaleskim na czele i cieszący się zaufaniem Prezydenta, jego lekarz osobisty, dr Jedlewski. Wiedział również o postanowieniu Prezydenta Sosnkowski, ale nie przypuszczał, że Raczkiewicz zrealizuje zamiar, któremu był przeciwny. Liczył, że w każdym razie go o tym uprzedzi.

Trudno powiedzieć co zadecydowało, że Prezydent wybrał czwartek 18 lipca na wysłanie listu. Wiele przemawia za tym, że wiadomość o zwołaniu na ten dzień przed południem posiedzenia Rady Narodowej z zapowiedzianym *exposé* Sikorskiego. Nie ulegało wątpliwości, że Sikorski wykorzysta to forum, by przejść do generalnego ataku na swych przeciwników. Ponadto 18 lipca Sikorski w imieniu rządu miał parafować umowę wojskową z rządem brytyjskim. Ten fakt doniosłej wagi, który przedstawiał jako osobiste osiągnięcie, stanowił poważny argument w rozprawie z opozycją.

Przemówienie Sikorskiego było gwałtownym atakiem na opozycję i równocześnie próbą samoobrony.

Sikorski zaczął od uwagi, która miała usprawiedliwić jego oceny sytuacji polityczno-wojskowej w chwili gdy już nikt nie wątpił w załamanie się sprzymierzeńca Polski.

„Niesłychane w dziejach, nieoczekiwane przez nikogo zapadnięcie się militarne Francji — mówił — zaskoczyło wszystkich... Nikt nie przypuszczał, ażeby imperium francuskie zrezygnowało z walki”.

W „małym, zatrutym świecie emigracji londyńskiej” pojawiły się głosy jakoby zatracił armię polską we Francji. Odpierając ten zarzut Sikorski uciekał się nawet do argumentów naiwnych. Oświadczył na przykład, że Niemcy we Francji „nie szli naprzód bez boju”, wobec czego nie mogło być mowy o wycofywaniu oddziałów polskich w czasie toczącej się bitwy! Krok taki byłby w pojęciu wojskowym zdradą... „byłby wyzyskany przez Francję dla wytłumaczenia poniesionej przez nią klęski” i „nikomu innemu tylko nam przypisano by katastrofę”. Podobnie brzmiał wniosek Sikorskiego. „Gdybym był wydał wojskom walczącym rozkaz opuszczenia frontu, nie byłibyśmy dzisiaj w W. Brytanii jako rząd sprzymierzony i jako ceniona tak bardzo za swoją lojalność rycerska armia sojusznica”.

Podkreślał, że w przełomowym tygodniu, między 11 i 16 czerwca, był „na froncie”, wśród „swoich żołnierzy” „do ostatniej chwili”. Miał być na froncie również 14 czerwca w drugiej dywizji, choć wiadomo, że go tam nie było. Nie mógł więc wydać jej rozkazu, by w razie otoczenia przebijając się do Szwajcarii. Po raz pierwszy o wycofaniu drugiej dywizji powiedział 19 czerwca przez radio, gdy przyleciał z Francji do Londynu.

Rada Narodowa zaakceptowała wywody premiera i naczelnego wodza. Przyjęła „z zadowoleniem do wiadomości parafowanie wojskowej umowy polsko-angielskiej”. Stwierdzała również, że „zmiany na stanowisku naczelnych władz Rzeczypospolitej byłyby w obecnej chwili szkodliwe dla Polski”. Stanowisko „namiastki parlamentu” rozgrzeszało Sikorskiego z podejmowania prób reorganizacji rządu.

Opuszczał posiedzenie Rady Narodowej w doskonałym nastroju. Bezpośrednio po nim udał się do hotelu Dorchester na śniadanie, zorganizowane przez majora Casaleta, łącznika między władzami brytyjskimi i polskimi. Prócz Sikorskiego i gospodarza wzięli w śniadaniu udział: minister Spraw Zagranicznych W. Brytanii lord Halifax, ambasador R. Raczyński, nieodłączny tołumacki polskiego premiera dr Retinger oraz sekretarz Mallet.

„Na tym śniadaniu — pisał Raczyński w swej książce „W sojusznym Londynie” — Sikorski był jak najbardziej szarmancki i zadowolony z siebie. Opowiadał jak tego samego ranka na Radzie Narodowej miał wielkie powodzenie i jak skorzystał z tej okazji, aby napiętnować małych intrygantów i politycznych spekulantów szerzących szkodliwe kłamstwa przeciw jego rządowi”.

„Lord Halifax — notuje Raczyński — nie zareagował na te uwagi, ograniczył się tylko do wyrażenia ogólnego *pium desiderium*, aby Polacy w Anglii unikali sporów i rozgrywek. Przedstawicielstwo brytyjskie przy rządzie polskim interweniowało w tym duchu u premiera Sikorskiego (amb. Kennard, konsul Savery)”. Wzbudziło to niezadowolenie Sikorskiego gdyż

przypisywał to *démarche* intrygom naszego ministerstwa Spraw Zagranicznych, ministra Zaleskiego, a zwłaszcza Ciechanowskiego, tym bardziej, że Kennard wysunął w rozmowie myśl rozdzielenia godności premiera i naczelnego wodza”.

Pium desiderium lorda Halifaxa było bodaj jedynym zgrzytem w czasie śniadania. Przed 3-ą po południu wszyscy się rozeszli. Ambasador Raczyński, odprowadzany przez mjr. Casaleta, udał się do ambasady, gdzie zastał ministra Zaleskiego, który przejściowo urzędował w gabinecie radcy ambasady. Zaleski poinformował Raczyńskiego, że Prezydent powołał go na stanowisko premiera i pokazał podpisaną przez Prezydenta nominację. „Na podstawie art. 13 punkt c Ustawy Konstytucyjnej — brzmiało pismo nominacyjne — mianuję Pana Ministra Prezesem Rady Ministrów”.

Tymczasem Sikorski wprost ze śniadania udał się do tzw. „prezydium”, czyli do swego mieszkania przy 54, Upper Grosvenor Street. Czekali go tu z codziennym, „normalnym meldunkiem” dwaj oficerowie: niedawno mianowany szef sztabu Naczelnego Wodza płk. Klimecki i ppłk. Krubski. Wkrótce zjawił się z listem od Prezydenta mjr. Stanisław Skarbek. Prócz listu przynosił krótkie pismo tej treści:

„Na podstawie art. 13 punkt c Ustawy Konstytucyjnej odwołuję Pana Generała z urzędu Prezesa Rady Ministrów”.

List datowany 18 lipca Prezydent rozpoczynał m. in. takimi zdaniami:

„Pismo Pana Generała z dnia 13 bm. odczytałem z głębokim zdziwieniem. Nie będę oczywiście wchodził w ocenę jego tonu, stylu i słownika. Zastrzec się jednak muszę na wstępie przeciwko tym jego ustępom, które dotyczą mojego „urzędu przybocznego”.

„Przechodząc do rzeczowej treści pisma Pana Generała stwierdzić muszę przede wszystkim, iż mija się ona w całej rozciągłości z przedmiotem pisma mojego z dnia 11. bm.”.

„W szczególności poza ogólnikowym i gołosłownym stwierdzeniem, że „docierające do mnie wiadomości są nieściśle i przedstawiane fałszywie i ze złą wolą”, nie zawiera ono sprostowania lub wyjaśnienia żadnego z przytoczonych przeze mnie faktów. Nie daje też merytorycznej odpowiedzi na żaden z postawionych przeze mnie Ministrowi Skarbu i Ministrowi Kotowi zarzutów.

„Stwierdza Pan Generał natomiast, „że Pan Minister Skarbu o każdym swym kroku zawiadamiał Prezesa Rady Ministrów”. Wynika stąd, że odpowiedzialność wobec Państwa i Narodu za skutki tego, że zapas złota Banku Polskiego oraz złoto FON znalazło się wbrew naszej woli, a nawet bez naszej wiedzy, na terytorium Francuskiej Afryki Zachodniej, we władaniu rządu Marszałka Pétain’a, ponosi nie tylko, jak dotąd sądziłem, Minister Skarbu, ale także i Pan Generał”.

„Uradowuję się z całego serca, jeśli ziszczą się wiadomości, o których Pan Generał powiada, „że stwierdzają, że dzięki energicznemu zabiegom Rządu wydobyto złoto z rąk kraju najbardziej wierzyielskiego i zagrożonego”. To, co mi o tym dotąd wiadomo, nie pozwala mi jednak niestety podzielić opinii Rady Ministrów o pomyślnym załatwieniu sprawy złota, zważywszy, że w najlepszym wypadku grozi nam utrata poważnej jego części. Jakikolwiek jednak obrót weźmie ta bolesna sprawa, nie zmieni to w niczym mojej oceny tego, co w związku z nią zostało zrobione podczas pobytu Rządu RP we Francji, a może jedynie wpłynąć na moje zapatrywanie odnośnie tego, kto za to odpowiedzialność ponosi”.

Przechodząc do sprawy Kota Prezydent pisał:

„W żadnym słowie mojego pisma nie zrobiłem Min. Kotowi zarzutu z tego, że domagał się stanowczo ustalenia odpowiedzialności winowajców straszliwej klęski Polski. Nie mogłbym tego uczynić chociażby dlatego, że sam podpisałem dekret o powołaniu Komisji w związku z tą odpowiedzialnością. Natomiast Pan Generał ani jednym słowem nie wspomina o tych zarzutach, które Panu Ministrowi Kotowi postawiłem i które podtrzymuję, a w szczególności, że z dekretu tego pragnął uczynić instrument pozbawiania obywatelstwa Polaków na uchodźstwie i to bynajmniej nie winnych, lub choćby tylko podejrzanych o winę w związku ze straszną klęską Polski, ale wszystkich, którzy byli wezwani do dokonania pewnych czynności przez Komisję, w mniemaniu tej Komisji nie wywiązali się z nich należycie; że postąpił, zresztą nie po raz pierwszy, niełojalnie, oświadczając na Radzie Ministrów, że wstępne uzgadnianie projektów dekretów Prezydenta R.P. z tymże Prezydentem R.P. uważa za niewłaściwe, że dalej był i jest stałą przyczyną zamętu, waśni i niepokoju, czego ostatnim przykładem jest wywołany przez niego kryzys na stanowisku Ministra Opieki Społecznej, w rezultacie którego przedstawiciele PPS wystąpili z Rządu, urzędów i Rady Narodowej, przez co zasada jednoci narodowej została naruszona — że wreszcie spowodował rozdźwięk nawet wśród przedstawicieli własnego stronnictwa, zarzucił członkowi K.W. PSL, podsekretarzowi stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych uciekanie się do pomocy obcej w osobistej sprawie, a gdy ten ostatni odpierając ten zarzut wyciągnął stąd konsekwencje i oświadczył gotowość poddania sprawy orzeczeniu sądu honorowego, zeliży go publicznie na bruku obcego państwa w sposób nie licujący z godnością członka Rządu i profesora wyższej uczelni”.

Wiele miejsca zajmują w liście Prezydenta sprawy ewakuacyjne. „Pan Generał — czytamy — przeciwstawia możliwości ewakuacji 350 osób, „o których wspomina Pan Prezydent” — cyfrę 30.000 ludzi, którzy w rezultacie zostali do Anglii wywiezieni. Dodaje Pan Generał do tego, „że w ten sposób uratowaliśmy zawiązek armii, co rozstrzyga o naszej przyszłości. Bez wypełnienia tego kardynalnego obowiązku nie byłoby dla mnie miejsca w Londynie. Pamiętając o tym nie mogę dopuścić do odwracania tej sprawy i kierowania zarzutów tam właśnie, gdzie jest szczególna zasługa”.

Brzmi to w ten sposób, że Prezydent RP myślał o uratowaniu owych 350 osób, a Pan Generał o trzydziestu tysiącach.

Zważywszy, że ogromną większość pośród nich stanowią oficerowie i żołnierze i ich rodziny — byłoby to skądinąd zupełnie naturalne, gdyż Pan Generał jest Naczelnym Wodzem.

„Dla działalności prawdy historycznej zmuszony jestem jednak stwierdzić, iż rzecz miała się wręcz odwrotnie”.

Przytoczywszy starania jakie podejmował wraz z rządem w sprawie ewakuacji poczynając od posiedzenia Rady Ministrów 14 czerwca w Pignerolles, Prezydent pisał:

„Wracając do sprawy ministra Kota, nie wątpię, że ze swej strony uczynił wszystko na co go stać było w dziedzinie ewakuacji cywilnej, poczynając od dnia 18 czerwca. Nie zmniejsza to w niczym jego odpowiedzialności za to, czego w tej dziedzinie przed tą datą nie zrobiono, a czego się już po tym odrobić nie dało”.

Na dowód Prezydent powoływał się na fakty nie szczędząc krytycznych uwag o zachowaniu się premiera i Naczelnego Wodza.

„Dopiero w świetle powyższych rozważań ocenić można należycie że kampanię prowadzoną na terenie londyńskim w związku z terminami wyjazdu poszczególnych osób z Francji... kampanię, której przerwanie nakazane zostało przez Pana Generała na moje żądanie w jego „okólniku-rozkazie” z dnia 24 czerwca, a którą podjął na nowo Min. Kot po swoim przyjeździe do Londynu”.

W zakończeniu obszernego listu Prezydent pisał:

„Pismo Pana Generała z dnia 13 maja bm. nie ogranicza się do sprawy min. Kota i Strasburgera, tak jak ona przeze mnie postawiona została w piśmie z dnia 11 bm. w którego zakończeniu, zgodnie z postanowieniem moim w jesieni 1939 r., że działać będę w sprawach państwowych w porozumieniu z Panem Generałem jako Prezesem Rządu Jedności Narodowej — prosiłem Pana Generała o niezwłoczne porozumienie się ze mną.

Pan Generał nie tylko porozumienia tego nie podjął, ale przeciwnie, bez porozumienia się ze mną przeprowadził na Radzie Ministrów uchwałę odrzucającą *a limine* — choć jak to wyżej wykazałem bezzasadnie — postulat mój celowych zmian w Rządzie, postulat który zresztą w żadnej mierze z zasadą Rządu Jedności Narodowej, do której utrzymania niezmiennie nadal dążyć zamierzam, w sprzeczności nie stoi.

W ten sposób Pan Generał odrzucił porozumienie się ze mną, do którego był Pan zobowiązany, unicestwiając przez to jednostronnie łączącą go ze mną umowę.

Co więcej Pan Generał nie porozumiał się ze mną również zanim dopuścił do złamania zasady Rządu Jedności Narodowej przez wystąpienie przedstawiciela PPS.

Zważywszy, że Pan Generał także i przedtem już nie dotrzymał zobowiązania nie działania w sprawach państwowej wagi bez porozumienia się z Prezydentem RP, składając rządowi angielskiemu, bez uprzedzenia o tym nie tylko Prezydenta RP, ale i Rady Ministrów, a w szczególności Ministra Spraw Zagranicznych, *aide-mémoire* z dnia 19 czerwca, zawierające

sugestie utworzenia przy współudziale władz sowieckich z oficerów i żołnierzy polskich znajdujących się na okupowanym przez Sowiety terytorium RP, względnie na terytorium Związku Sowieckiego, armii powołanej do współdziałania z państwem, z którym Rzeczpospolita znajduje się w stanie wojny;

Zważywszy wreszcie, że w piśmie z dnia 14 bm., powiadając, że 'reorganizacja prac i urzędów Rady Ministrów należy całkowicie i wyłącznie do kompetencji Rady Ministrów oraz mojej (tj. Pana Generała)', odwrócił Pan, w oczywistej sprzeczności z naszą umową, stanowisko wyrażone ostatnio jeszcze w zakończeniu pisma Pana Generała z dnia poprzedniego, a mianowicie 'że reorganizacja Rządu i aparatu rządowego winna być dokonana w zgodnym porozumieniu Prezydenta, Rządu i Stronnictw politycznych' — dodając, że nie tylko ma Pan nadal do Pana Ministra Kota najpełniejsze zaufanie, ale że jego 'wytrwała praca na tym właśnie stanowisku (tj. Prezydium Rady Ministrów) jest dla sprawy polskiej niezwykle cenna i pożyteczna', przez co stwierdza Pan Generał, że dąży do utrwalenia stanu rzeczy, o którym Pan wie, że go nadal tolerować nie mogę, gdyż utrudniał on i utrudnia sprawną i harmonijną pracę ministrów resortowych i politycznych — przeto uważam iż odzyskałem w stosunku do Pana Generała pełną swobodę działania, kierując się odtąd jedynie głosem mojego sumienia.

W imię słuszności dodać pragnę, że wiele tego zła, którego niektóre symptomy poruszyłem powyżej, a którego skutkiem jest tak szkodliwa dla sprawy polskiej atmosfera, która w uchodźczym środowisku naszym, zarówno cywilnym jak i wojskowym zapanowała, wynikało stąd, że podczas gdy kierowane faktycznie przez P. Min. Kota Prezydium Rady Ministrów okazywało stale tendencję do odgrywania roli czynnika nadrzędnego w stosunku do Ministrów resortowych i politycznych — Panu Generałowi nawał pracy Naczelnego Wodza i Ministra Spraw Wojskowych nie pozwalał, jak Pan to słusznie w piśmie swoim podkreśla, na systematyczne i skuteczne zajmowanie się innymi sprawami. Okazało się raz jeszcze, jak dalece niewłaściwe jest skupienie w jednym ręku funkcji Naczelnego Wodza i Prezesa Rady Ministrów — słusznie tak obce ustrojom i zwyczajom zachodnich demokracji. Kumulacja taka bowiem, niezależnie od innych niepożądanych konsekwencji, wytwarza dokoła siebie z reguły zamiast atmosfery harmonijnej współpracy podejrzenie o dyktatorskie zakusy. Jest to oczywiście szczególnie szkodliwe w obliczu Rządu przedstawicieli stronnictw — Rządu Jedności Narodowej, którego utrzymanie uważam za sprawę niezmiernie wagi dla naszego państwa i narodu. Toteż gdy jesienią zeszłego roku obie najważniejsze funkcje kierownicze skupiały się w ręku Pana Generała, miało to być, jak Pan pamięta, jedynie na krótki, przejściowy okres czasu.

Rozważywszy głęboko wszystko co z przedłużenia się tego okresu wynikało, postanowiłem zakończyć go zwalniając Pana Generała w załączonym piśmie z urzędu Prezesa Rady Ministrów i powierzając ten urząd Panu Augustowi Zaleskiemu, Ministrowi Spraw Zagranicznych".

Obraz sytuacji skreślony przez Prezydenta bliski był prawdy. W wiele lat potem, nawet ostrożni autorzy „Polskich Sił Zbrojnych w drugiej wojnie światowej” w tomie drugim tego wydawnictwa przyznają, że załamanie się Francji

„u wielu Polaków, zarówno w kraju jak i na obczyźnie, wywołało wstrząs równy nieomal wstrząsowi przeżytemu po klęsce wrześniowej. Jed-

nocześnie w znacznej części opinii polskiej złagodziła ostrość oceny ludzi obciążonych odpowiedzialnością za tę klęskę. Co więcej, dla wielu tych ludzi katastrofa Francji stała się usprawiedliwieniem, czy pewnego rodzaju rehabilitacją, z czym w pewnym stopniu godził się nieznaczny odłam opinii polskiej. Spóźniona ewakuacja i jej połowiczny skutek, niepewne losy polskiego złota, które zostało wywiezione na krążowniku francuskim i w owym czasie znajdowało się w faktycznej dyspozycji rządu Pétaina, oraz *aide-mémoire* w sprawach rosyjskich, złożone rządowi brytyjskiemu po konferencji Sikorski-Churchill 19 czerwca, stanowiły przedmiot zarzutów stawianych gen. Sikorskiemu jako szefowi Rządu”.

Wróćmy jednak do mieszkania Premiera na Upper Grosvenor Street, gdzie składali naczelnemu Wodzowi „codzienny mel-dunek” dwaj pułkownicy: Klimecki i Krubski. Według ppłk. Krubskiego Sikorski czytając list Prezydenta był „silnie wzburzony”. Wiadomość, że Prezydent udziela dymisji Sikorskiemu ze stanowiska szefa rządu „zupełnie zaskoczyła” obu pułkowników.

Premier, nie myśląc ani przez chwilę o poddaniu się decyzji Prezydenta, natychmiast przystąpił do kontrakcji. Wydał odpowiednie zlecenia Klimeckiemu oraz zwołał do ambasady — jak zauważa Raczyński — „już właściwie nielegalne posiedzenie Rady Ministrów”. Ponadto zaalarmował wszystkich swych przyjaciół politycznych z prof. Kotem i gen. Kukielem na czele. Klimecki ze swej strony zawiadomił grupę oficerów, aby o godz. 19.15 stawili się w stroju służbowym najpierw w hallu hotelu Redbourne. Znajdowali się w tej grupie: ppułkownik Krubski, majorzy: Protasewicz, Dziewanowski, Gralewski, Bragiel oraz porucznicy: Szostakiewicz i Podoski.

Jakież były następstwa alarmu, zarządzanego przez premiera?

„Na wiadomość o tym — piszą autorzy „Polskich Sił Zbrojnych” — w jednej ze sal ambasady odbyło się zebranie kilkunastu oficerów pod przewodnictwem gen. Kukieła.

Gen. Kukiel poinformował obecnych o zarządzanej przez Prezydenta zmianie na stanowisku premiera i omówił ujemne skutki, jakie ta zmiana w ówczesnej chwili może wywołać w kraju oraz w stosunkach z rządem brytyjskim, z którym właśnie tego dnia parafowano umowę wojskową. W konkluzji gen. Kukiel zaproponował wybranie delegacji, która zgłosiłaby się do desygnowanego premiera i *starła się go przekonać*, aby w wytworzonym położeniu zrzekł się misji tworzenia rządu. Na zwrócenie się przewodniczącego do obecnych, czy kto chce zabrać głos w tej sprawie, nikt się nie zgłosił. Natomiast na ochotnika do delegacji wystąpili: szef sztabu N.W. płk. dypl. J. Krubski i mjr. dypl. M. Protasewicz. Oficerowie ci udali się do ministra Zaleskiego, który urzędował w gmachu ambasady.

Płk. Klimecki przedstawił siebie i towarzyszących mu oficerów jako delegację wyłonioną na zebraniu oficerów garnizonu Londyn. Minister Zaleski delegację przyjął. Płk. Klimecki przedstawił min. Zaleskiemu ujemne skutki, jakie dla sprawy Polski, w opinii korpusu oficerskiego, wywo-

ła w chwili obecnej zmiana na stanowisku szefa rządu. Min. Zaleski podkreślał, że wojsko do polityki nie powinno się mieszać. Płk. Klimecki oświadczył, że o ile min. Zaleski nie zrzeknie się misji tworzenia rządu, to za następstwa spadnie na niego odpowiedzialność. Ostatnie oświadczenie min. Zaleskiego brzmiało, że postąpi tak, jak mu każe sumienie”.

Zebranie w ambasadzie trwało krótko, skoro już o godz. 19 m. 40 trójosobowa delegacja zjawiła się w gabinecie Zaleskiego prosząc o rozmowę. Według Zaleskiego wyszła wprost z gabinetu gen. Kukiela, który również urzędował w ambasadzie.

Przebieg rozmowy zawiera notatka sporządzona przez delegatów. Autorzy mieli świadomość, że dopuścili się czynu karygodnego. Nie tylko chodziło o to, że mieszają się do polityki. Choć działali w porozumieniu z Naczelnym Wodzem, wiedzieli, że wypowiadają posłuszeństwo Prezydentowi, który w myśl obowiązującej konstytucji jest najwyższym zwierzchnikiem polskich sił zbrojnych. Niewątpliwie więc stylizowali notatkę, aby czyn swój choć w części usprawiedliwić.

„Pułkownik Klimecki — pisali autorzy notatki — oświadczył co następuje:

„Przyszliśmy do Pana Ministra jako przedstawiciele oficerów, znajdujących się w Londynie w Naczelnym Instytucjach Wojskowych. Nie wątpię, że cała Armia Polska myśli tak samo jak my. Prosimy Pana Ministra i apelujemy do Niego, aby w tak ciężkiej sytuacji zechciał nam pomóc i nie przyjmował stanowiska premiera. Zwracam się do Pana Ministra dlatego, żeby nie mieszać do tych spraw Pana Prezydenta R.P., który jako Głowa Państwa reprezentuje majestat Rzeczypospolitej.

Motywy naszego kroku są następujące:

a) Jesteśmy na obcym gruncie i wprowadzenie tak dalece idących zmian w chwili obecnej na najwyższych stanowiskach państwowych wywarłoby jak najfatalniejsze wrażenie w Anglii i obniżyłoby wartość naszą w oczach sojuszników.

b) Generał Sikorski jest człowiekiem, który w długotrwałym wysiłku ciężką swoją pracą i jej pozytywnymi wynikami, zdobył sobie pełne zaufanie zarówno wśród wojska, jak i w społeczeństwie, w kraju i w Anglii.

c) Usunięcie Generała Sikorskiego od steru polityki wywołałoby bardzo poważne przesilenie w kraju, który wierzy w Jego Osobę i mogłoby pociągnąć za sobą fatalne następstwa w postaci utworzenia w kraju rządu pro-niemieckiego, co złamałoby jedność narodową i wywołało zgubne skutki dla Polski.

d) Wedle danych jakie posiadamy, fakt zwolnienia Generała Sikorskiego ze stanowiska Premiera miał miejsce wbrew opinii większości Rządu Jedności Narodowej.

e) Fakt usunięcia Generała Sikorskiego ze stanowiska Premiera pociągnąć mógłby i dalsze konsekwencje w postaci zwolnienia Go ze stanowiska Naczelnego Wodza i wyznaczenia na to stanowisko osoby niepowołanej, na przykład gen. Dąb-Biernackiego lub podobnego mu człowieka. Byłoby to strasznym ciosem dla Armii i przekreśliłoby całkowicie nie tylko jej organizację w Anglii, ale i jej moralne zespolenie.

Jednocześnie oświadczam, że gdyby Pan Minister naszej prośby nie usłu-

chał, nie cofniemy się przed żadnymi środkami, włącznie do najostrzejszych, żeby do zmiany na tym stanowisku nie dopuścić”.

Na powyższe oświadczenie płk. Klimeckiego minister Zaleski odpowiedział:

„Jestem zaskoczony wizytą Panów, byłem właśnie w trakcie namyślenia się jak mam postąpić, nie wiem zresztą jeszcze czy uda mi się utworzyć nowy rząd i właśnie w tym momencie przychodzicie Panowie i grozicie mi jakimś buntem wojskowym, jakimś represjami”.

Na to płk. Klimecki oświadczył:

„Widzę, że Pan Minister nas nie rozumiał, nie jest to żaden bunt wojskowy, nie przyszliśmy wcale by grozić Panu Ministrowi osobiście — odwrotnie — przyszliśmy z prośbą do Pana Ministra, by Pan Minister zechciał pomóc nam w tej ciężkiej chwili odmawiając przyjęcia proponowanego stanowiska Premiera.

W każdym razie oświadczam raz jeszcze, że nie cofniemy się przed żadnymi środkami, włącznie do najostrzejszych, by do tego nie dopuścić”.

Tak w ujęciu delegatów wyglądał przebieg ich trzynastominutowej rozmowy z Zaleskim. Gdyby wystąpienie oficerów ograniczyło się tylko do prośb i wezwań uzasadnianych pobudkami obywatelsko-patriotycznymi (pomijając słuszość czy bezzasadność przytaczanych przez nich motywów) można byłoby je usprawiedliwić. Ale jak dwukrotnie stwierdzają autorzy notatki nie tylko zjawili się u ministra Zaleskiego by prosić i apelować. Przyszli, by mu grozić. Zaleski właściwie ocenił wystąpienie delegacji. Jeden z jej członków opowiadał później, że „był on bardzo wzburzony i kwalifikował wystąpienie delegatów jako niedopuszczalne mieszanie się wojska do polityki”. Żegnając się z oficerami miał powiedzieć: „Zrobię to, co będzie mi nakazywało sumienie”.

Inaczej niż członkowie delegacji opisuje przebieg dramatycznej rozmowy z Zaleskim w swych notatkach pamiętnikarskich ogłoszonych w trzecim tomie paryskich „Zeszytów Historycznych” płk. Leon Mitkiewicz.

Świadectwo Mitkiewicza ówczesnego szefa Oddziału II w Sztabie Naczelnego Wodza, powinno być o tyle ciekawe, że należał do zwolenników Sikorskiego i był — jak twierdzi — wyznawcą jego prorosyjskich koncepcji politycznych. Z zapisek Mitkiewicza wynika, że wiadomości o wydarzeniach 18 lipca czerpał z pierwszej ręki, bo od pułkowników: Klimeckiego, Krubskiego i Mareckiego.

Według Mitkiewicza Klimecki zaalarmował „kilkunastu

starszych oficerów przeważnie z Oddziału III. Sztabu N.W. i w nocy opanował gmach ambasady w Londynie”.

„Płk. Klimecki i oficerowie — pisze Mitkiewicz — zmusili Zaleskiego pod groźbą użycia argumentów oręża do pisemnego złożenia niezwłocznie otrzymanej nominacji. Rozmowa płk. Klimeckiego z ministrem Zaleskim była niezwykle ostra i dramatyczna. Klimecki działał bardzo zdecydowanie — minister Zaleski poddał się i napisał żądane zobowiązanie. W grupie oficerów III Oddziału Sztabu N.W., użytych przez płk. Klimeckiego byli: ppłk. dypl. Jerzy Krubski, mjr. dypl. Michał Protasiewicz, ppłk. dypl. Andrzej Marecki, ppłk. dypl. Bronisław Noel i kilku innych, których nazwisk nie zapamiętałem. Cały przebieg tej akcji opowiadany mi był następnego ranka przez samego płk. Klimeckiego, oraz przez płk. Mareckiego... Rozmawiałem dzisiaj (19 lipca, przyp. autora) bardzo długo z płk. Klimeckim i ppłk. Krubskim — obaj twierdzą, że musieli wziąć na siebie odpowiedzialność, aby zapobiec poważnym, kompromitującym nas politycznym następstwom — powrotu sanacyjnego Rządu R.P.”.

Do tego opisu wydarzeń płk. Mitkiewicz dodaje, że „czyn płk. Klimeckiego i oficerów Sztabu N.W.” — miał wielkie znaczenie polityczne. Uniemożliwił bowiem powrót do władzy grupy zwolenników rządów przedwrześniowych „z ich całą polityką, a przede wszystkim z polityką zagraniczną”. W obecnej sytuacji grupa ta — pisze Mitkiewicz — mogłaby poszukiwać *modus vivendi* z Niemcami i organizować akcję przeciwko Rosji Sowieckiej! Dla przeprowadzenia podobnej polityki usunięcie gen. Sikorskiego byłoby absolutnie niezbędne, bowiem generał reprezentuje od dawna, jeszcze przed wybuchem wojny, wręcz przeciwny kierunek polityczny i jest on przedstawicielem obozu skupiającego przeważającą większość Polaków, celem którego jest zdecydowana walka przeciw Niemcom”.

Nikt z najzagorzalszych zwolenników Sikorskiego nigdy takich twierdzeń nie wypowiadał ani o nim ani o jego przeciwnikach. Wszyscy, z nielicznymi wyjątkami, do których należał przebywający wówczas we Francji Stanisław Mackiewicz, stali na stanowisku bezkompromisowej walki z Niemcami. Bezasadność opinii płk. Mitkiewicza uwydatnia jego twierdzenie, że w lipcu 1940 roku gen. Sosnkowski miał być „przywódcą” przeciwnego Sikorskiemu obozu politycznego. Wynikałoby z tego, że i Sosnkowskiego zalicza do tych, którzy w jego mniemaniu gotowi byliby pójść na porozumienie z hitlerowskimi Niemcami!

Ale na tym nie kończą się „rewelacje” płk. Mitkiewicza. Zdaniem jego Prezydent Raczkiewicz w związku z wystąpieniem wojskowych miał w nocy z 18 na 19 lipca złożyć oświadczenie o swoim ustąpieniu.

„Następcą Prezydenta, zgodnie z konstytucją z 1935 jest gen. Kazimierz Sosnkowski — pisze Mitkiewicz. Informuję mnie, że gen. Sosnkow-

ski odmówił objęcia Prezydentury R.P. w razie ustąpienia Raczkiewicza i przez to dał dowód, że popiera Raczkiewicza w żądaniu ustąpienia Sikorskiego”.

O tej rewelacji można tyle tylko powiedzieć, że złych miał informatorów szef Oddziału II, płk. Mitkiewicz, a o nim samym źle świadczy, iż takie nonsensy mógł brać poważnie.

Niewzruszony buntowniczą zajawą wojskowych Zaleski kontynuował rozmowy w sprawie utworzenia gabinetu. Nie wymieniając nazwisk opowiadał jak to konferował z socjalistami i ludowcami, którzy zastrzegli sobie czas do porozumienia się z władzami partyjnymi. Rozmawiał również z Sosnkowskim, który — według Zaleskiego — wyraził zgodę na objęcie w gabinecie stanowiska wicepremiera i ministra Spraw Wojskowych.

Między konferencjami Zaleski zaszedł na krótko z żoną i swym sekretarzem Szydłowskim do restauracji francuskiej na Jermyn Street. I tu — jak mówił — „ku wielkiemu zdziwieniu” zobaczył Sikorskiego „pogrążonego w rozmowie z Sosnkowskim”. Towarzyszył obu dr Retinger. Widok obu generałów poczytał za zły omen.

Kiedy późnym wieczorem przybył do Prezydenta, aby złożyć sprawozdanie ze swych konsultacji spotkał Sosnkowskiego. Wychodził od Raczkiewicza. Prezydent powitał Zaleskiego słowami: „Sosnkowski wycofał się ze wszystkiego”. Miało to, według Zaleskiego, znaczyć, że generał cofnął swą zgodę na objęcie w jego rządzie obu stanowisk — wicepremiera i ministra Spraw Wojskowych. Ponieważ Prezydent do udziału Sosnkowskiego w nowym rządzie przywiązywał zasadnicze znaczenie, Zaleski zrozumiał, że sprawa jest przegrana.

Dziennik czynności Prezydenta inaczej oddaje wydarzenia tego wieczoru. Sosnkowski przybył do Prezydenta o 20 m. 30 wieczorem. O 21 m. 15 Zaleski. Prezydent „odbył z obu ministrami konferencję”. Notatkę kończy krótki dopisek: „Poważny nalot na przedmieścia, zwłaszcza na Croydon”...

Raczkiewicz dopiero w godzinach popołudniowych zaczął się niepokoić o wyniki misji Zaleskiego. Ranek zeszedł na przygotowaniach związanych z wysłaniem listu zwalniającego Sikorskiego ze stanowiska szefa rządu. Po 12-ej odbył w Hotelu Claridge przeszło dwugodzinną rozmowę z generałem Hallerem, a bezpośrednio po niej bezmała godzinną z innym członkiem rządu — ministrem Seydą. Poinformował obu o swej decyzji i przekonywał o konieczności zmiany na stanowisku premiera. Dopiero po wysłaniu listów do Sikorskiego wezwał do siebie Zaleskiego. Konferował z nim godzinę do 16 m. 30, nie wiedząc jeszcze o kontrakcji podjętej przez Sikorskiego i jego otoczenie.

Dowiedział się o niej dopiero około godziny 20-tej. Wkrótce potem przyjął Sosnkowskiego, który zobrazował mu sytuację i poinformował o rozmowach jakie prowadził z Zaleskim, Sikorskim i delegatami zbuntowanych wojskowych. Proponował swą mediację celem zlikwidowania przesilenia. O rozmowie z Sosnkowskim napisze Prezydent nazajutrz w liście do Zaleskiego.

„Wieczorem przybył do mnie gen. broni Sosnkowski i wyraził przekonanie, iż wobec możliwości nieobliczalnych następstw kryzys winien być zlikwidowany, zważywszy w szczególności, że u Pana Ministra, w jego biurze, w ambasadzie R.P. w Londynie, zjawił się szef Sztabu Głównego płk. Klimiecki w towarzystwie dwóch innych oficerów i oświadczył Panu, że jeśli Pan nie zaniecha tworzenia nowego rządu, to korpus oficerski wyciągnie stąd najdalej idące konsekwencje”.

Mediacja Sosnkowskiego przyniosła błyskawiczne wyniki. Już nazajutrz 19 lipca Prezydent podpisał dwa pisma urzędowe. W jednym zwalniał ministra Zaleskiego z powierzonej mu przed dwudziestu czterema godzinami funkcji, w drugim mianował znowu gen. Sikorskiego premierem rządu.

O zakończeniu przesilenia 18 lipca i jego konsekwencjach czytamy w „Polskich Siłach Zbrojnych”.

„Wieczorem tego dnia gen. Sosnkowski zgłosił się do Prezydenta R.P. doradzając mu ponowne mianowanie prezesem Rady Ministrów generała Sikorskiego.

Dnia następnego Prezydent Raczkiewicz odwołał nominację A. Zaleskiego na premiera i z powrotem powierzył ten urząd gen. Sikorskiemu.

W związku z interwencją oficerów u min. Zaleskiego gen. Kukiel zrezygnował ze stanowiska podsekretarza stanu w M.S. Wojsk. Rezygnacja została przyjęta”.

Finał wydarzeń 18 lipca musiał być ciężkim przeżyciem dla Prezydenta. Miał świadomość, że zadano cios podważający autorytet głowy państwa. Prezydent musiał ustąpić pod presją zamachowców działających z inicjatywy i przy czynnym współudziale zdymisjonowanego premiera. Musiał ugiąć się przed groźbą użycia siły przez oddanych premierowi i naczelnemu wodzowi oficerów. Jedyną odpowiedzią na tę groźbę byłoby złożenie urzędu w ręce swego następcy gen. Sosnkowskiego. Nie uczynił tego. Wiedział, że następcą nie zdradza najmniejszych chęci objęcia stanowiska Prezydenta gdyż uważa obecnie wszelkie zmiany na naczelnych stanowiskach za szkodliwe dla sprawy polskiej. Ostatecznie zgodził się dalej współpracować z człowiekiem, który na jego decyzję odpowiedział buntem.

Był to równocześnie cios zadany otoczeniu Raczkiewicza z lożą „szkocką” na czele. Na jej poufnych konwentykłach dojrział

plan usunięcia Sikorskiego z urzędu premiera i zreorganizowania rządu na zasadach nie fikcyjnej, lecz prawdziwej jednności narodowej. Przypuszczając, że niezadowolenie z rządów Sikorskiego jakie po klęsce francuskiej ogarnęło szerokie koła uchodźców cywilnych i wojskowych daje gwarancje powodzenia planu, „szkoci” zlekceważyli swych konkurentów z innej łoży wolnomularskiej. Sądzi, że Sikorski nie wypowie posłuszeństwa Głowie Państwa. Może łudzili się do końca, że Sosnkowski postawiony wobec faktu dokonanego — dymisji Sikorskiego, wyzbędzie się zastrzeżeń jakie wypowiadał na temat przesilenia.

Toteż po likwidacji kryzysu „szkoci” na długo przycichną. Dopiero tragiczna śmierć Sikorskiego latem 1943 roku otworzy przed nimi perspektywy politycznego odegrania się na emigracyjnej scenie.

Mediacja Sosnkowskiego

Jaki był stosunek Sosnkowskiego do dwóch zwalczających się ośrodków politycznych, jak oceniał błędy Sikorskiego, dlaczego był przeciwny przesileniu, jaki w jego ujęciu był przebieg 18 lipca i na czym polegała akcja mediacyjna, którą rozwinął?

Pochłonięty całkowicie sprawami swego resortu, Sosnkowski trzymał się w całym francuskim emigracyjnym okresie konsekwentnie z dala od wszelkich rozgrywek wewnętrznych. Dopiero gdy wskutek klęski militarnej Francji siedziba władz polskich znalazła się w Libourne, zaczął zwracać baczniejszą uwagę na uparcie krążące pogłoski o — jak mu się zdawało — wyścigu do Londynu dwóch ośrodków nietyle politycznych, co personalnych. Przypuszczał, że każdy z nich pragnie jak najspieszniej zabezpieczyć sobie wpływy u nowych gospodarzy, tj. u Brytyjczyków, w związku ze spodziewaną w dalszej przyszłości rozgrywką o ster rządów na obczyźnie.

Do czołowych przedstawicieli jednego „ośrodka personalnego” zaliczał m.in. ministra Spraw Zagranicznych A. Zaleskiego, b. ambasadora R.P. we Francji J. Łukasiewicza oraz szefa kancelarii cywilnej prezydenta dra S. Łepkowskiego; do drugiego premiera i naczelnego wodza gen. W. Sikorskiego i jego otoczenie z prof. S. Kotem na czele oraz przebywającego w Londynie dra J. Retingera.

Lecz na razie krążącym pogłoskom o politycznych planach obu tych ośrodków Sosnkowski nie dawał wiary. Zaczął je baczniej obserwować dopiero 17 czerwca.

W dniu tym — opowiada Sosnkowski — spadł nieoczekiwanie do Libourne na hydroplanie brytyjskim, dosłownie jak z

nieba, Retinger z Londynu. Nie dając nawet dokończyć śniadania Sikorskiemu zabrał go tym samym hydroplanem do Anglii. Pośpiech był tak niezwykle, że Sosnkowski ledwo zdążył w przedpokoju restauracyjnym wepchnąć Sikorskiemu do ręki notatkę, zawierającą podstawowe dane planu ewakuacyjnego resztek wojska polskiego z portów francuskich na wyspy brytyjskie. Plan ten został opracowany na podstawie wskazówek Sosnkowskiego. Gdy przyjechał do Libourne oficerowie sztabu gen. Sikorskiego zwracali się do niego o dyrektywy. Byli pozbawieni łączności z Naczelnym Wodzem. Sikorskiego wtedy jeszcze w Libourne nie było.

W tym samym czasie krążownik brytyjski „Arethusa”, na którego pokładzie znajdował się Prezydent W. Raczkiewicz, A. Zaleski, S. Łepkowski oraz jeszcze kilku członków rządu, stał wciąż pod parą w porcie Le Verdon. Choć polscy pasażerowie krążownika przebywali na nim już od 24 godzin, „Arethusa” wyruszyła w drogę dopiero w nocy z 18 na 19 czerwca.

Z jednej strony przedłużający się postój krążownika wiozącego Prezydenta a z drugiej błyskawiczny odlot Sikorskiego do Londynu narzucały przypuszczenie, że pogłoski o wyścigu dwóch ośrodków mogą mieć głębsze podstawy i że może — jak głosiła jedna z pogłosek — w otoczeniu Prezydenta rzeczywiście kiełkuje myśl otwarcia kryzysu rządowego w związku z przebiegiem kampanii francuskiej.

Sosnkowski wiedział, że polskie dowództwo naczelne nie było wolne od błędów w czasie tej kampanii. Źródłem ich była głównie mylna, nacechowana urzędowym optymizmem, ocena rzeczywistości wojennej. Wskutek tego jednostki wojska polskiego znalazły się w katastrofalnej sytuacji, a cała ewakuacja zarówno politycznego jak i militarnego stanu posiadania Polaków we Francji była dziełem pośpiesznej improwizacji.

Sosnkowski uważał zawsze za błąd kardynalny (czemu nieraz dawał wyraz w rozmowach z Sikorskim) zgodę naczelnego dowództwa na odśrodkowe i rozbieżne usytuowanie polskich sił zbrojnych (I-ej dyw. grenadierów, 2-ej dyw. piechoty i brygady pancernej) wzdłuż południowej osi operacyjnej Wschód-Zachód, podczas gdy aparat rządowy, zwierzchnie ciała polityczne, centralne instytucje tyłowe sił zbrojnych oraz kierownictwo wojskowe łącznie z Ministerstwem Spraw Wojskowych i sztabem Naczelnego Wodza, rozlokowano na osi równoległej, lecz na skrajnej północy, wzdłuż wybrzeża atlantyckiego. Temu niefortunnnemu układowi przypisywał w znacznej mierze katastrofalną sytuację, w jakiej w dniach klęski francuskiej znalazło się wojsko polskie oraz trudności, które skomplikowały ewakuację jego resztek.

Refleksje te narzucały wiele analogii z wrześniem 1939 r. w Polsce. A przecież w polityce wewnętrznej Sikorskiego ów wrzesień był głównym i stale używanym argumentem w walce z przeciwnikami. Klęska francuska mogła przeciwnikom Sikorskiego nasuwać myśl o rewanżu za metody dyskryminacyjne, stosowane przez niego wobec zwolenników rządów przedwrześniowych.

Dopiero więc w dramatycznych dniach Libourne Sosnkowski zaczął zdawać sobie sprawę z możliwości starcia się dwóch ośrodków zdążających do Londynu. Był temu starciu przeciwny. Uważał, że w obliczu nowej katastrofy zadanie główne i istotne sprowadza się do pytania, co należy robić aby w sytuacji wytworzonej klęską Francji jak najlepiej ustawić sprawę polską na Zachodzie, kontynuując równocześnie walkę z Niemcami i polski wkład do wojny. Obawiał się słowem, że atmosfera wzajemnych animozji personalnych czy partyjnych zaciemni, względnie zdeformuje bezsporne zadania, jakie stanęły przed władzami polskimi, udającymi się do Anglii.

Nie było jednak czasu na spokojną analizę niepokojących obserwacji. Sikorski odlatując nagle do Londynu powierzył Sosnkowskiemu trudne zadanie kierowania z Libourne ewakuacją resztek wojska do Anglii. Już 20 czerwca powrócił z Londynu i w nocy z 20 na 21 czerwca odleciał do Anglii, zabierając ze sobą Sosnkowskiego. Krążownik „Arethusa” dobił do brzegów brytyjskich dopiero dzień później.

W Londynie prezydent Raczkiewicz niemal codziennie wzywał Sosnkowskiego do swej tymczasowej siedziby w hotelu Claridge. Już z pierwszych rozmów przeprowadzonych z prezydentem generał odniósł wrażenie, że stosunki między Raczkiewiczem i Sikorskim wchodzą w stadium krytyczne i że prezydent znajduje się pod pełnym wpływem kół, których rzecznikiem był jego szef kancelarii, Łepkowski. Wrażenie rychło przemieniło się w pewność. Nie ulegało wątpliwości, że koła te zechcą wyzyskać koniunkturę spowodowaną klęską Francji, aby zrewanżować się Sikorskiemu za tolerowanie i podsycanie przez niego i jego otoczenie „szalów antysanacyjnych”, kiedy to „wylewano dziecko razem z kąpielą”.

Pod koniec czerwca, w jednej z długich rozmów, prezydent dał wyraz głębokiemu niezadowoleniu z powodu memoriału, jaki Sikorski złożył rządowi brytyjskiemu.

Prezydent dowodził, że niektóre zwroty memoriału mogą być kiedyś, przy rozstrzyganiu zagadnień terytorialnych, wykorzystane przeciwko Polsce. Mówiąc o memoriale Raczkiewicz

nie taił swego wzburzenia. Po raz pierwszy oznajmił wtedy Sosnkowskiemu, że zastanawia się poważnie nad zmianą rządu.

Sosnkowski inaczej oceniał zagadnienie. Uważał, że w zmieniających kolejach wojny sama myśl tworzenia kiedyś, w przyszłości, wojska polskiego w Rosji, może stać się aktualną. Sama przez się nie jest więc skandalem za jaki Prezydent ją uważa. Gdyby zmieniła gruntownie sytuacja wojenno-polityczna umożliwiła nawrót do tej koncepcji, kardynalnym warunkiem jej realizacji musiałoby być uznanie nienaruszalności granic wschodnich Rzeczypospolitej.

Ponadto — mówił Sosnkowski Prezydentowi — zadanie tworzenia wojska polskiego w Rosji byłoby w ogóle "tak drażliwe w wykonaniu, tak najeżone pułapkami natury moralnej i politycznej, że wybór wykonawcy owego zadania, wykonawcy zasługującego na bezwzględne zaufanie, byłby niezwykle trudny, wymagający wszechstronnego i głębokiego rozważenia". Natomiast poruszenie sprawy tworzenia wojska polskiego w Rosji już teraz, w czerwcu 1940 roku, uważa z politycznego punktu widzenia za przedwczesne i niebezpieczne. Dlatego doradzał prezydentowi niezwłoczne złożenie przez ambasadora E. Raczyńskiego rządowi brytyjskiemu formalnej deklaracji odwołującej, względnie kategorycznie prostującej te dwuznaczne ustępy i zwroty memorandum, które mogłyby okazać się w przyszłości szkodliwe.

W sprawie ewentualnej zmiany rządu Sosnkowski wyłożył Prezydentowi wszystkie wątpliwości. Sugerował przed podjęciem decyzji dokładne zbadanie elementów związanych z wykonalnością planu. Przypominał, jak to przedstawiciele stronnictw politycznych, wchodzących do rządu, interpretują porozumienie w sprawie wykonania prerogatyw Prezydenta, przewidzianych w konstytucji kwietniowej. Uważał, że opierając się na tej interpretacji będą na pewno przeciwni wszelkiej zmianie na którą Sikorski i rząd nie wyrażą zgody. Wysuwał wreszcie wątpliwości, czy istnieją w ogóle szanse utworzenia takiego rządu, którego skład nie spowodowałby niebezpiecznych reperkusji w Kraju i szkodliwych komplikacji na gruncie brytyjskim. Ewentualne przesilenie mogłoby mieć przebieg gwałtowny i przyjąć formy drastyczne, które u wstępu działania na nowym terenie obniżyłyby wobec obcych powagę naczelnych władz polskich i sprawy przez nie reprezentowanej.

Choć poglądy wyrażane przez Prezydenta w czasie tej rozmowy zapowiadały wyraźnie możliwość przesilenia, Sosnkowski nadal w to nie wierzył. Współpracując lojalnie z premierem i naczelnym wodzem dbał w dalszym ciągu o to, aby swą postawą nie pogłębiać istniejących zdrażnień i tarć. Ale ta właśnie postawa nieangażującego się w rozgrywki wewnętrzne bezstronnego

obserwatora spowodowała, że Sosnkowski nie orientował się w napięciu tych tarć.

8 lipca Sosnkowski został zaproszony do Prezydenta na wieczór. Prezydent zatrzymał go na obiedzie. Sosnkowski był najzupełniej zaskoczony tym, co z ust Prezydenta usłyszał. Raczkiewicz powiedział mu, że przesilenie rządowe już się właściwie rozpoczęło. Mówiąc to miał na myśli deklarację ministra Opieki Społecznej, S. Stańczyka, złożoną na Radzie Ministrów. Deklaracja zapowiadała wycofanie się P.P.S. z porozumienia stronnictw i z rządu wobec uchwały zapadłej na Radzie Ministrów, zalecającej zniesienie Ministerstwa Opieki Społecznej.

Raczkiewicz nie ukrywał, że tym razem zamierza postawić sprawę mocno i nieustępliwie. Przyznawał, że z trudem pobiera decyzję, ale gdy ją raz poweźmie — trwa przy niej z całą stanowczością. Wykorzysta więc otwarte już przesilenie, aby domagać się rozdziału władzy politycznej od wojskowej, skupionej w rękach Sikorskiego. W pewnej chwili Prezydent zapytał Sosnkowskiego, czy chciałby ewentualnie stanąć na czele nowego rządu, a jeśli nie, jakie stanowisko pragnąłby dla siebie.

Odpowiedź Sosnkowskiego brzmiała niedwuznacznie. Zasadę rozdziału władzy politycznej od wojskowej — mówił — uważa za słuszną. Od chwili gdy w październiku 1939 roku przybył do Paryża, tak właśnie ujmował sprawę i zdania swego nie zmienił. Natomiast w dalszym ciągu nie jest zwolennikiem przesileni rządowych, nie widzi bowiem na obczyźnie — jak się wyrażał — politycznego „Spielraumu”.

Nie ma tu opinii do której można by się odwołać w sposób skuteczny. Egzekwowanie poza Krajem obowiązującej konstytucji musi z natury rzeczy opierać się o dobrą wolę stron, zwłaszcza, że Prezydent wyraził 30 września 1939 roku zgodę na ograniczenie swych prerogatyw konstytucyjnych. Ponadto — mówił Sosnkowski — względy wewnętrzne wymagają utrzymania zasady jedności narodowej. Może być od tej zasady tylko jeden wyjątek, a mianowicie gdy chodzi o konflikt w tak wielkich sprawach jak niepodległość czy całość terytorium państwowego. Wreszcie nie byłoby łatwo w istniejących warunkach zastąpić ekipę opartą o stronnictwa polityczne inną, o węższej z natury rzeczy podstawie politycznej, i raczej urzędniczą.

Wniosek ostateczny ujmował Sosnkowski następująco: należy przeprowadzić zasadę podziału władzy *à l'amiable*, to znaczy za wiedzą i zgodą premiera Sikorskiego i w porozumieniu ze stronnictwami rządowymi. Uważa, że powstały warunki sprzyjające załatwieniu jej w taki sposób.

Jeśli chodzi o propozycję objęcia szefostwa nowego rządu

Sosnkowski prosił Prezydenta, aby w tych warunkach nie brał jego osoby w rachubę. Gdyby się okazało, że kierowanie robotą wojskową w Kraju z Londynu będzie zbyt trudne lub wręcz technicznie niewykonalne, a udanie się jego do Kraju uniemożliwione przez opory polityczne — prosił o liniowy przydział wojskowy.

Argumenty Sosnkowskiego nie przekonały Raczkiewicza. W dziesięć dni po tej rozmowie Prezydent udzielił dymisji premierowi Sikorskiemu. Przebieg przesilenia rychło potwierdził słuszość wielu przewidywań Sosnkowskiego.

Według Sosnkowskiego hasło do rewolty przeciwko dymisji udzielonej gen. Sikorskiemu dali przede wszystkim oficerowie sztabu Naczelnego Wodza. Obsadzili oni *manu militari* gmach ambasady RP na Portland Place. Nieukrywanym zamiarem tej obsady było niedopuszczenie ewentualnych, nowych gospodarzy do objęcia gmachu. Junta oficerska, nazywana ozdobnie „delegacją”, udała się z *zajawą* do ministra Zaleskiego.

Obchodząc poszczególnych członków rządu przedstawiciele junty zjawili się również u Sosnkowskiego. Prosił go o interwencję u Prezydenta. Dowodzili, że opór reprezentowany przez delegatów obejmuje całość wojska ewakuowanego z Francji i stacjonowanego w Szkocji.

Sosnkowski był wstrząśnięty całą sprawą. W ówczesnych warunkach był przeciwnikiem przesilenia. Osobiście był urażony, że Prezydent zignorował sugestie, które formułował w rozmowie 11 lipca. Rewolta junty przypominała mu pałacowe rewolucje południowo-amerykańskie. W dodatku miała miejsce na obcym terenie, u progu nowego okresu walki o sprawę polską, w obliczu fatalnego obrotu wypadków światowych oraz hiobowych wieści z kraju, z terenu obu okupacji. Sosnkowski usiłował wypływać uspokajająco na delegatów junty. Byli jednak tak podnieceni, że perswazje Sosnkowskiego trafiały w próżnię. Tragizm sytuacji polskiej, na którą kładł nacisk wzywając oficerów do opamiętania, stawał się w ustach oficerów jedynie argumentem przeciwko otwartemu przez Prezydenta przesileniu.

Rozmowa jaką w tym dniu odbył z Zaleskim, przekonała ostatecznie Sosnkowskiego, że Prezydent popełnił błąd.

Zaraz na wstępie Zaleski powiedział Sosnkowskiemu, że myślał, iż to on zostanie premierem. Skoro stało się inaczej proponuje, aby generał objął w jego gabinecie stanowisko „prawdziwego wicepremiera”. Była to aluzja do zachowania się Sikorskiego, który tworzył pozory, że Sosnkowski jest wicepremierem, ale nigdy sprawy nie postawił wyraźnie. Alternatywnie proponował również Sosnkowskiemu ambasadę w Waszyngtonie. Zapytał

wreszcie, czy przyjąłby naczelne dowództwo. Twierdził, że jeśli chodzi o rząd pragnie go stworzyć przy współudziale stronnictw. Nie chce w nim widzieć Kota. Natomiast dla Strasburgera rezerwuje stanowisko szefa biura przydziałnego.

W odpowiedzi Sosnkowski wyjaśnił przede wszystkim, że w stosunku do wielu postawionych mu pytań wypowiedział się już w rozmowie z Prezydentem. Nie reflektuje na stanowisko szefa rządu. Naczelne dowództwo przyjąłby tylko wtedy, gdyby w zgodnym porozumieniu prezydenta, rządu i stronnictw, doszło do rozdziału funkcji politycznych i wojskowych na szczeblu najwyższym, a generał Sikorski wybrałby dla siebie stanowisko premiera. Nie reflektuje na ambasadę w Waszyngtonie, gdyż nie zamierza po raz drugi przerabiać smutnych i upokarzających doświadczeń poczynionych wiosną w Angers, gdy Sikorski chciał się go pozbyć. Reflektuje natomiast w dalszym ciągu na stanowisko dowódcze w alternatywach, które kilka dni temu przedstawił Prezydentowi.

W sprawie udziału w rządzie Zaleskiego oświadczył, że zgodziłby się wejść do rządu, lecz tylko w tym wypadku, gdyby Zaleski misję swoją zdołał uzgodnić ze stronnictwami i gdyby pozyskał ich współpracę. Dodał, że szczerze w to wątpi. Wobec tego wszelkie omawianie jego ewentualnej funkcji rządowej uważa za „na razie przedwczesne”.

Jeśli chodzi o Kota, to nie łatwo będzie się go pozbyć, skoro Stronnictwo Ludowe właśnie jego wydesygnuje jako swego przedstawiciela w rządzie. A bez ludowców socjaliści także do rządu nie wejdą.

Sosnkowski poinformował jeszcze Zaleskiego o swych opiniach wyrażonych niedawno Prezydentowi, przede wszystkim, że otwierając przesilenie Prezydent wybrał błędną drogę. Względy na sytuację zewnętrzną i wewnętrzną powodują, że wszelkie przesilenie jest nie na czasie, a w istniejących warunkach nawet szkodliwe. Rozdział władzy politycznej i wojskowej jest zagadnieniem, które powinno być rozwiązane jako sprawa zasadnicza, bez wysuwania personaliów i bez wywoływania przesilen. Otwarcie przesilenia z inicjatywy Prezydenta jest omyłką, zarówno ze względu na warunki chwili, jak ze względów merytorycznych i taktycznych. Decyzja Prezydenta świadczy o wadliwej ocenie terenu brytyjskiego, którego właściwości powinny być chyba Zaleskiemu dobrze znane.

Rozmowa przekonała Sosnkowskiego, że Zaleski zwrócił się wprawdzie o współpracę do PPS i Stronnictwa Narodowego, lecz spotkał się z kategoryczną odmową. Odmowa Stronnictwa Ludowego i Stronnictwa Pracy brzmiała niemniej kategorycznie.

Jeśli chodzi o PPS, Zaleski do ostatka liczył na poparcie ministra Stańczyka, który przejściowo zadarł z Kotem i Sikorskim. Podobnie łudził się, że otrzyma pomoc swego najbliższego współpracownika w MSZ, ludowca, dra Z. Gralińskiego. Tymczasem Gralińskiego uważano w Stronnictwie Ludowym, którym rządził niepodzielenie duumwirat Kot — Mikołajczyk, za pół-sanatora.

Uprzymiśnawszy sobie, że nie tylko mowy nie ma o tym, aby któreś ze stronnictw wzięło udział w rządzie Zaleskiego, ale że w razie forsowania zamierzonej zmiany grozi otwarty zatarg ustrojowy, a w konsekwencji powstanie dwóch rządów ze wszystkimi skutkami w stosunkach wewnętrznych i międzynarodowych, Sosnkowski postanowił działać. Nie miał wątpliwości, że Prezydent i Zaleski stanęli w obliczu impasu. Zaleski mógł — i to raczej w teorii — utworzyć jedynie rząd urzędniczy, złożony wyłącznie lub prawie wyłącznie z osobistości wywodzących się z okresu przedwojennego, a więc z ludzi, do których słusznie czy niesłusznie ówczesna opinia przyklejała miano „sanacji”.

Ale nawet pomijając ten wzgląd nasuwało się pytanie zasadnicze. Jakie byłyby skutki powstania rządu Zaleskiego gdyby Sikorski postanowił urzędować dalej przy poparciu stronnictw i wojska, a przynajmniej jego większości?

Na terenie międzynarodowym nowy rząd powitano by bez entuzjazmu. Można by było spodziewać się, że w wielu stolicach zachodnich przestano by się liczyć z konstytucją polską i z prawami Prezydenta Rzeczypospolitej. Zadanie odtworzenia wojska byłoby co najmniej wysoce utrudnione.

Wreszcie — wzgląd najważniejszy. W przekonaniu Sosnkowskiego zmiana rządu nie byłaby zrozumiana w kraju. Można było raczej oczekiwać, że spotkałaby się niemal z powszechnym potępieniem. W tych warunkach akcja tworzenia podziemnych sił zbrojnych oraz rozpoczęte już zjednoczenie w ramach ZWZ licznych chaotycznych inicjatyw i konspiracyjnych partykularzy, uległoby co najmniej poważnemu zahamowaniu, a najprawdopodobniej rozbiću.

Względ ostatni dotyczył zakresu bezpośrednich prac Sosnkowskiego i jego odpowiedzialności jako ministra dla spraw kraju. On tworzył ZWZ i był jego komendantem głównym przez cały okres pobytu rządu polskiego we Francji.

Ważąc wszystkie te argumenty Sosnkowski doszedł ostatecznie do przekonania, że jest jego moralnym obowiązkiem jak najszybsze interweniowanie u Prezydenta i sugerowanie mu likwidacji kryzysu przybierającego formy gorszące, a dla sprawy polskiej wyraźnie szkodliwe. Otwierał się przecież nowy okres walki o Polskę z terenu Wielkiej Brytanii. Rozgrywki polskie

mogły lada chwila przesiąknąć na zewnątrz. Co więcej, mogły być oddane przez samych Polaków pod arbitraż obcy. Sosnkowski pamiętał dobrze wydarzenia z jesieni 1939 roku, kiedy to rząd francuski, informowany przez Sikorskiego i jego zwolenników, ingerował rozstrzygająco w sprawy suwerennego państwa i wywierał presję na załatwienie po jego myśli następstwa na urządzie prezydenta. W razie przeciągania się kryzysu należało się obawiać, że może grozić nowa seria interwencji obcych i upokorzeń narodowych, jako nieuchronny skutek odebrania wszelkiej powagi zwierzchnim władzom polskim na obczyźnie. W opisie przesilenia, oczywiście odpowiednio „ufryzowanym”, przesłanym w pierwszej połowie sierpnia przez Kota do Kraju na ręce emisariusza Kańskiego, była wiadomość, potwierdzająca obawy jakie Sosnkowski żywił 18 lipca 1940 roku. Kot stwierdzał w raporcie, że doszło do interwencji lorda Halifaxa¹¹. Halifax miał rzekomo oświadczyć prezydentowi, że „dymisja Sikorskiego 18 lipca wraz z listem pełnym zarzutów i nominacja Zaleskiego na premiera” byłaby „katastrofą dla sprawy Polski”. Choć prezydent o tej interwencji nigdy Sosnkowskiemu nie wspomniał, fakt jej wydawał mu się więcej niż prawdopodobny.

Sosnkowski przybył do Prezydenta i w obecności Zaleskiego wyraził opinię, że w interesie sprawy należy kryzys zlikwidować, a przy tej sposobności osiągnąć zmianę tzw. umowy

11. W krajowym „Prawie i Życiu” (18. 8. 58) ukazał się artykuł Tadeusza Nowińskiego pt. „Sprawa Generała Sikorskiego, Akt trzeci i ostatni, Wielka Brytania”. T. Nowiński przypisuje likwidację przesilenia interwencji angielskiej. „Przy czynnym udziale zmontowanego przez Anglików O II Szt. N. W. — pisze Nowiński — sanacja organizuje zamach polityczny przeciwko Sikorskiemu zarzucając mu — całkiem zresztą słusznie — zaprzepaszczenie we Francji 3 i 4 dywizji piechoty oraz Brygady Podhalańskiej, utratę naszego złota oraz brak umiejętności przewidywania. Zamierzony „pucz” ma wszelkie szanse powodzenia. Pozycja Sikorskiego w rządzie i wojsku jest bardzo niepewna”.

Nowiński pisze dalej: „W tym momencie jednak wkraczają Anglicy. Nie pragną oni bynajmniej obalenia Sikorskiego. Wystarczy im, by Sikorski wiedział, że nie ma oparcia u swoich rodaków. Jego poparcie — to oni i nikt więcej. Drobną sugestią — i oto nagle Mitkiewicz, Gano i Żychoń (oficerowie wywiadu polskiego — przyp. autora) sami stają się obrońcami Sikorskiego. Nacisk oficerów na Zaleskiego, wycofanie się ze sprawy Sosnkowskiego i Sikorski pozostaje jako „zwycięzca” na placu boju. Nie ma on tym razem wątpliwości, komu zawdzięcza tę zmianę. Podobne zagrożenie zostanie mu stworzone w czasie rokowań ze Związkiem Radzieckim i wreszcie w roku 1943 u Andersa na Bliskim Wschodzie”.

Również W. Pobóg-Malinowski w „Najnowszej Historii Politycznej Polski” (okres 1939-1945) uważa, że decydującą rolę w likwidacji kryzysu odegrała dyskretna, „życzliwa” rada Anglików, którzy po doświadczeniu z „memoriałem” Sikorskiego inspirowanym przez Litauera, woleli jego widzieć na stanowisku premiera a nie Zaleskiego.

paryskiej, względnie ustalić właściwą jej interpretację. Rządzące pod wodzą Sikorskiego stronnictwo tak zwanego „czworoboku”, interpretowały ją w ten sposób, że zmiana rządu wymaga uprzedniego uzgodnienia z premierem, a więc jego *placet*. Był to bezsensowny dziwoląg, według którego premier stawał się nieusuwalny i miał być zmieniony tylko wtedy, gdyby sam postanowił ustąpić.

Z przebiegu rozmowy Sosnkowski wyniósł wrażenie, że Prezydent i Zaleski byli w głębi duszy radzi z jego interwencji. Dawał im możliwość wycofania się z „zachowaniem twarzy” ze ślepej uliczki, w którą zabrnęli. Opór na argumenty wysuwane przez Sosnkowskiego zakrawał raczej na chęć ratowania pozorów. Ostatecznie bez większych trudności obaj dali się przekonać.

Prezydent mógł oczywiście odrzucić sugestie Sosnkowskiego. Nie zrobił tego jednak, gdyż był zbyt uczciwym człowiekiem, aby nie widzieć słuszności jego wezwań do likwidacji kryzysu. Zaleski ustąpił z tajoną niechęcią. Sosnkowski opuszczając gabinet Prezydenta nie miał wątpliwości, że Zaleski będzie przedstawiał inicjatywę Sosnkowskiego w świetle jak najbardziej niekorzystnym. Tak rzeczywiście było.

Punktacja porozumienia pomiędzy prezydentem i Sikorskim, względnie rządem *in statu dimissionis* opracowana przez Sosnkowskiego miała siłą rzeczy charakter kompromisu. Ulegała w dalszych rozmowach zmianom. Lecz w przekonaniu Sosnkowskiego nie tylko zakończyła szybko groźne dla sprawy przesilenie, ale odbyła się bez uszczerbku dla prezydenta Raczkiewicza i ministra Spraw Zagranicznych A. Zaleskiego. Pozytywną konsekwencją likwidacji były również zdaniem mediatora rozmowy ze stronnictwami w sprawie interpretacji umowy paryskiej. Zakończył je tzw. „list Liebermana” Oznaczał niewątpliwą poprawę w stosunku do stanu rzeczy, istniejącego poprzednio¹².

12. Przykładem fałszowania historii jest wydana w Warszawie książka pod tytułem „Byłem adiutantem gen. Andersa”. Autor jej J. Klimkowski, o roli gen. K. Sosnkowskiego w przesileniu pisze m. innymi: „Gdyby wykażał zdecydowanie, mógłby z łatwością objąć stanowisko naczelnego wodza. Jeśli tak się nie stało — to wskutek typowej dla niego bierności w decydujących momentach. Poprzednio brał on czynny udział w całym moralnym i konspiracyjnym przygotowaniu akcji. Natomiast, gdy już się zaczęła decydująca rozgrywka, uchylił się od wzięcia w niej udziału, czym mimo woli ogromnie ją osłabił, gdyż nikt nie znał jego właściwych zamierzeń i nie znane było jego stanowisko w wypadku, gdyby naprawdę powstała potrzeba użycia siły. Gen. Sosnkowski przyglądał się w ostatnim momencie wszystkiemu z daleka, jakby wyczekiwał, kto zwycięży... Toteż gdy min. Zaleski pod naciskiem wycofał się z premierostwa, a prezydent Raczkiewicz cofnął dymisję udzieloną gen. Sikorskiemu — gen. Sosnkowski zachował się w dalszym ciągu tak, jak by o niczym nie wiedział”.

Pierwotny tekst porozumienia między Prezydentem i premierem ujęty w pięć punktów uwzględniał przynajmniej w pewnym zakresie postulat Prezydenta. Nie uwzględniał jednak postulatów naczelnego, a mianowicie — oddzielenia władzy politycznej od wojskowej, skupionej w rękach Sikorskiego.

Ale w toku dalszych rozmów mediacyjnych Sosnkowskiego okazało się, że projekt w ogóle nie odpowiada Sikorskiemu. Został więc poważnie zmieniony. Przede wszystkim zmienione zostały punkty drugi i czwarty, na których zależało Prezydentowi. Chodziło o zasadę ścisłego określenia podziału funkcji w rządzie, aby nie była dawana „przewaga jednemu ministrowi nad drugim”. Zdanie to wiązało się z następnym, skierowanym przeciwko Kottowi, że „zgodnie z poglądem większości stronnictw stanowisko ministra Prezydium Rady Ministrów należy uznać za zbędne”. Podstawowe dla Prezydenta znaczenie miał punkt 4-ty projektu, w którym zaprzeczał, jakoby porozumienie zawarte przez niego z rządem w październiku 1939 r. „mogło dotyczyć wyrzeczenia się przez Prezydenta prawa odwoływania szefa rządu”.

Już więc nazajutrz 19 lipca — używając długiego określenia mediatora — „punktacja zasad zaakceptowanych przez Pana Prezydenta i Pana Premiera na podstawie których nastąpiło zlikwidowanie przesilenia gabinetowego” — miała odmienną treść. Prezydent rezygnował ze swych postulatów rozumiejąc, że w wytworzonej sytuacji walka o nie jest beznadziejna. E. Raczyński w książce „W sojusznicy Londynie” pisze:

Prezydent wycofał swój memoriał, który był największym kamieniem obrazu, tym większym, że znajdowały się w nim zwroty zapożyczone z memoriału Łukasiewicza, nie cofnął natomiast *niekontrasygnowanej* dymisji generała Sikorskiego. Udzielił natomiast również *niekontrasygnowanej* dymisji premierowi Zaleskiemu i powołał ponownie generała Sikorskiego. W ten sposób była i koza cała i wilk syty. Prerogatywa Prezydenta była w zasadzie uszanowana, w praktyce zaś naruszona... Postanowiono przy sposobności chwili rzecz tę ponownie rozważyć. Poza tym zdecydowano także rozważyć decentralizację pachnącej dyktaturą kompetencji Prezydium. A więc „rozparcelowano” Kota. Na razie jednak zostało wszystko po dawnemu, to znaczy, że kryzys ze swej ostrej postaci powrócił do dawnego stanu chronicznego”.

Ostateczny tekst „punktacji” odczytał Sikorski na krótkim posiedzeniu Rady Ministrów wieczorem 19 lipca. Nie brał w nim udziału Zaleski. Protokół z tego posiedzenia głosił:

„Prezes Rady Ministrów podaje do wiadomości, że przesilenie wywołane udzieleniem dymisji Rządowi przez Pana Prezydenta R.P. i powierzeniem misji tworzenia nowego Rządu p. Augustowi Zaleskiemu, zostało zlikwidowane dzięki pośrednictwu Min. Sosnkowskiego. Pan Prezydent wycofał list do gen. Sikorskiego oraz powołuje rząd w dotychczasowym składzie z tą różnicą, że teka Ministra Sprawiedliwości zgodnie z wnioskiem Premiera, zostaje powierzona Ministrowi Seydzie.

Podstawa na której doszło do likwidacji przesilenia została Rządowi zakomunikowana w sposób następujący:

1. Pan Prezydent przyjmuje do wiadomości, iż sprawa oddzielenia władzy wojskowej od politycznej będzie podjęta w trybie narad Prezydenta Rządu i Stronnictw.

2. Pan Prezydent powierzy tworzenie nowego Rządu Generałowi Sikorskiemu.

3. Będzie utrzymana zasada jedności narodowej, która powinna być oparta na zgodnej i harmonijnej współpracy stronnictw, na głębokim wzajemnym zaufaniu członków Rządu, oraz na lojalnym stosunku do Prezydenta, nacechowanym dbałością o powagę urzędu Głowy Państwa.

4. Prezydent przyjmuje do wiadomości zapowiedź Premiera iż w łonie Rady Ministrów będą przeprowadzone obrady nad reorganizacją Rządu, i to w duchu, aby podział kompetencji i funkcji był ściśle określony i nie dawał przewagi jednemu ministrowi nad drugim.

5. Sprawa porozumienia osiągniętego pomiędzy Prezydentem i Rządem po objęciu urzędu Prezydenta będzie z jego inicjatywy wszechstronnie rozważana przez Prezydenta, Rząd i Stronnictwa.

6. Będzie surowo skarcone wystąpienie oficerów, którzy wobec Ministra Zaleskiego zagrozili najdalej idącymi konsekwencjami, jeśli nie zrzeknie się on misji zleconej przez Prezydenta. Będą powzięte wszelkie środki aby na przeszłość podobne wystąpienia, godzące w podstawy praworządności nie mogły się powtórzyć”.

W chwili ciężkiego zawodu i upokorzenia, Raczkiewicz dał upust sentymentom dla człowieka z którym jak najściślej współpracował. 19 lipca, gdy plan reorganizacji rządu leżał w gruzach napisał do Zaleskiego list, w którym stwierdził, że w obliczu sytuacji wytworzonej wystąpieniem wojskowych gen. Sosnkowski doradzał mu ponowne mianowanie gen. Sikorskiego prezesem Rady Ministrów po ustaleniu „pewnych warunków” wysuniętych przez niego i zaproponował swoją mediację między Prezydentem i gen. Sikorskim.

„Warunki te — przyznawał Prezydent w zakończeniu listu — zostały z pewnymi zmianami przedstawionymi mi dnia 19 lipca rano przez gen. Sosnkowskiego i Min. Seydę, akceptowane przez gen. Sikorskiego w tekście, który ze swej strony aprobował i z którym Pana Ministra niezwłocznie zapoznałem. W tym stanie rzeczy misja Pana została zakończona. Podziękowanie Panu Ministrowi, nawet najserdeczniejsze za wszystko co w związku z tym przesileniem uczynił, uważałym za niewystarczające.

Pragnę stwierdzić, że za gotowość z jaką postawił się Pan do dyspozycji Prezydenta R.P. w sytuacji, w której względ na dobro publiczne wymagał ofiarnego i odważnego działania, należy się Panu wdzięczność, której zawsze Panu dochowam”.

Cóż się działo bezpośrednio po likwidacji konfliktu?

Obu stronom, zwłaszcza Prezydentowi, chodziło przede wszystkim o uspokojenie Ignacego Paderewskiego. 21 lipca, via poselstwo polskie w Bernie, Łepkowski depešował z polecenia Prezydenta do Riond Bosson Morges. *Crise terminé tout restera*

sans changement. — „Kryzys zakończony, wszystko pozostaje bez zmian”.

W odpowiedzi Paderewski depeszował do Raczkiewicza i Sikorskiego. Wyrażał radość z załatwienia kryzysu. Mimo uniknięcia — jak się wyrażał — „katastrofy” uważał za konieczne wypowiedzieć opinię o tym co się działo.

„Do chwili powrotu do Kraju — brzmiały słowa Paderewskiego — i normalnych warunków życia państwowego są Panowie nierozdzielnie związani najświętszym zadaniem odbudowy Ojczyzny. Różnice, które mogą Panów dzielić, są w obecnej sytuacji tak dla Narodu nieistotne, że nikt by nie zrozumiał i nie wybaczył ich ujawnienia się na zewnątrz. Bez względu na osobę zwycięzcy w jakichkolwiek rozgrywkach, musiałbym uważać nasz układ za zerwany i zgłosić moje ustąpienie”.

Depeszę kończył życzeniami „zgodnej pracy dla Polski, opartej na pełnym zaufaniu i wzajemnym zrozumieniu”.

Sikorski w roli zwycięzcy ściśle zastosował się do życzenia Paderewskiego, by sprawy przesilenia nie ujawniać. Sam zresztą dbał o to w obawie, by nie pogłębić wśród uchodźców atmosfery niezadowolenia. „Sprawa zamachu płk. Klimeckiego — zapisze 19 lipca płk. Mitkiewicz — trzymana ma być w tajemnicy. W Londynie istotnie mało kto o tym wie”...

12 lipca ukazał się w Londynie pierwszy numer „Dziennika Polskiego”. Uchodźcy, przeważnie nie znający języka angielskiego, rzucili się na pismo, którego brak odczuwali. Ale z „Dziennika” nie mogli się niczego dowiedzieć o zbliżającym się kryzysie rządowym. Dopiero 19 lipca dowiedzą się czytelnicy urzędówki o przemówieniu wygłoszonym przez premiera dnia poprzedniego na Radzie Narodowej, w którym malował obraz swych wyczynów w klęskowych dniach Francji. „Dziennik” przytaczał odpowiedzi premiera krytykom ewakuacji.

„Jeśli w tych warunkach znajdują się ludzie, którzy krytykują jej organizację, przebieg oraz wyniki, to nie liczą się oni z pobudkami obiektywnymi. Ich wyłącznym motywem jest zawiść i chęć odegrania się wbrew najoczywistszym faktom, stwierdzającym odwrotny stan rzeczy”.

Rozkaz Sikorskiego całkowitego przemilczenia przesilenia i towarzyszących mu okoliczności wypełniła urzędówka dokładnie. Toteż większość uchodźców cywilnych i wojskowych nie wiedziała o przesileniu. Mogła się urządzać w nowych warunkach w przekonaniu, że „góra” polityczna świeci przykładem zgody, a premier i wódz naczelny — jak pisał „Dziennik” — jest „niezłomnym i wiernym swym przyrzeczeniom mężem stanu”. Tymczasem o zgodzie nie było mowy. „Punktacja” przyjęta przez Prezydenta oznaczała jego kapitulację. Nie usuwała żadnego z

niedomagań systemu rządów. Torowała drogę dalszym, niekontrolowanym działaniom Sikorskiego i oddanych mu ludzi. Przekreślała postulat oparcia rządów na emigracji nie na fikcji „jedności narodowej”, lecz na jak najszerszej podstawie, uwzględniającej wszystkie kierunki polskiej myśli politycznej.

Choć przesilenie zostało zlikwidowane, ludzie oddani Sikorskiemu i on sam nie mogli wybaczyć Prezydentowi i Zaleskiemu roli, jaką w nim odegrali. Chcieli się obu pozbyć. Gotowi byli nawet oddać urząd Prezydenta w ręce jego następcy — Sosnkowskiego. W parę tygodni po kryzysie paru członków rządu — każdy z osobna — zwracało się do niego z takimi sugestiami. Na pewno czynili to z wiedzą Sikorskiego. Sosnkowski odrzucał jednak propozycje objęcia urzędu Prezydenta.

Z nowymi propozycjami w parę miesięcy po przesileniu wystąpił Sikorski. Kilkakrotnie i usilnie namawiał Sosnkowskiego, aby został ministrem spraw zagranicznych. I tę ofertę generał odrzucił, uważając, że Zaleski bardziej od niego nadaje się na to stanowisko. Ponadto objęcie resortu spraw zagranicznych byłoby w przekonaniu Sosnkowskiego naruszeniem podstaw mediacji których był autorem. Wreszcie nie chciał się stać narzędziem zemsty Sikorskiego. Rozumiał, że Sikorski proponując mu tekę ministra spraw zagranicznych zamierza ubić dwie sroki za jednym zamachem: pozbyć się z rządu Zaleskiego, a jego usunąć od kierownictwa robotą wojskową w Kraju. Cały pomysł jeszcze we Francji był stałą *idée fixe* profesora Kota o czym Sosnkowski wiedział. Podszeptom Kota przypisywał zaktualizowanie pomysłu w parę miesięcy po przesileniu.

Podjmując się mediacji Sosnkowski działał w przekonaniu, że jest to konieczne ze względu na dobro sprawy. Była to jego osobista decyzja. Żadnym wpływom nie ulegał. Czy wybrał drogę właściwą? Czy wbrew sobie nie przyczynił się do utrwalenia jednostronnych rządów Sikorskiego i jego zwolenników, gotowych jak się w rok później okaże do zawierania upakarzającego układu ze Związkiem Sowieckim? — Jedno jest pewne, że działając na rzecz likwidacji przesilenia, nie kierował się żadnymi osobistymi ambicjami. Był przekonany, że spełnia swój obowiązek obywatelski w zgodzie ze swym przekonaniem i sumieniem.

W rok po przesileniu — nowe przesilenie

Zaczęły się posiedzenia rządu. 24 lipca Radzie Ministrów przewodniczył Sosnkowski. Część posiedzenia poświęcono dysku-

sji nad „dokonaną reorganizacją naczelnych władz i urzędów rządu polskiego”. Nic na pozór nie wskazywało, by po szybkiej likwidacji przesilenia na wewnętrznym horyzoncie emigracyjnym miały się znowu gromadzić chmury.

Tymczasem tak było. Otoczenie Sikorskiego myślało o odwecie. Szybko zapomniało o zarzutach zawartych w obu listach Prezydenta i Łukasiewicza. Oceniało te wystąpienia jako produkty zwykłej „intrygi sanacyjnej”, nad którymi nie warto się zastanawiać. Ani Sikorski ani żaden z jego najbliższych współpracowników nie poczuwali się do żadnej winy. Winnymi byli ci, którzy poważyli się „spiskować” przeciwko jednemu nietykalnemu autorytetowi — premierowi i naczelnemu wodzowi.

O takiej postawie „zwycięzców” świadczy dalszy ciąg sprawy trzech oficerów, którzy 18 lipca pojawili się u Zaleskiego i, zgodnie z „punktacją”, mieli być „surowo skarceni”. Treść punktacji znał doskonale jeden z najbliższych przyjaciół Sikorskiego gen. dyw. M. Kukiel¹³. — Mimo to w liście z 25 lipca do premiera deklarował solidarność z wystąpieniem oficerów pisząc:

„W związku z wypadkami sprzed tygodnia trzech wyżsi oficerowie, należący do najwybitniejszych w wojsku polskim, zostali pociągnięci do odpowiedzialności za swą interwencję u ministra Zaleskiego i ukarani.

Nie zamierzam podawać w wątpliwość formalnego przewinienia tych oficerów. Solidaryzuję się jednak z ich pobudkami i intencjami i poczuwam do moralnej współodpowiedzialności.

13. Trudno się jest zorientować w stopniach wojskowych M. Kukieła. Od czasów paryskich do 1 lipca 40 r. występuje jako generał brygady. Jest wtedy pierwszym zastępcą Ministra Spraw Wojskowych. Drugim zastępcą jest płk. dypl. Izidor Modelski. 1 lipca, a więc już w Londynie, Sikorski mianuje Kukieła jedynym swoim zastępcą, a Modelskiego mianowanego w Paryżu 3 maja 40 r. generałem brygady — generałem do zleceń. W Londynie Kukiel jest już generałem dywizji, choć trzeciomajowy „Dziennik Personalny” takiego awansu nie zawiera. Najwidoczniej został mianowany generałem dywizji osobnym rozkazem, nie ogłoszonym w „Dzienniku Personalnym”. Gdy Naczelny Wódz i Minister Spraw Wojskowych mianuje Kukieła z dniem 1 lipca 40 r. (31 lipca 40 r., L. dz. 372/V/40) zastępcą Ministra Spraw Wojskowych przy nazwisku Kukieła umieszczony jest już stopień generała dywizji.

7 maja 40 roku (L. dz. 1667/tjn G. M.) Kukiel wydaje rozkaz w sprawie nabożeństw żałobnych w rocznicę śmierci Józefa Piłsudskiego, przypadającą 12 maja. Rozkaz ten podpisał jeszcze jako pierwszy zastępca Ministra Spraw Wojskowych w stopniu generała brygady. Ten — jak go określano — „salomonowy” rozkaz miał taką treść:

„W związku z nadchodzącym dniem 12 maja dochodzą wiadomości o prywatnych inicjatywach nabożeństw żałobnych za śp. Marszałka Piłsudskiego, a także za poległych w maju 1926 roku w obronie Konstytucji. Pan Generał, Wódz Naczelny zgadza się na udział w tych nabożeństwach wojskowych, którym to uczucie dyktuje, nie życzy zaś sobie żadnych nakazów ani zakazów”.

Uznaję w pełni, że wojsko nie ma prowadzić polityki, ani się do niej mieszać. Nie znaczy to jednak, by wojskowi mogli być obojętni i patrzeć biernie, gdy przez czyjąś nieopatrność sprawie polskiej grozi katastrofa. Tak właśnie zaś, jako katastrofę grożącą, ocenił sytuację Prezydent Paderewski. Tak oceniliśmy ją przed tygodniem my wojskowi.

Wojskowi polscy nie są bezdusznymi żołdakami, by nie mieli — widząc groźne niebezpieczeństwo — przeciwstawiać się złemu i niewątpliwie najlepší polscy żołnierze uczynią to w każdym podobnym wypadku, bez względu na następstwa jakie stąd osobiście mogłyby wyniknąć.

Z faktu ukarania wspomnianych oficerów muszę przeto wyciągnąć osobiście konsekwencje, prosząc Pana Generała o przedstawienie Panu Prezydentowi Rzeczypospolitej mej prośby o dymisję ze stanowiska wiceministra spraw wojskowych i podsekretarza stanu”.

Pierwsze zdanie listu mogło budzić wrażenie, że trzej oficerowie, których Kukiel określa jako „należących do najwybitniejszych w wojsku”, zostali istotnie pociągnięci do odpowiedzialności i rzeczywiście ukarani. Było publiczną tajemnicą, że owo „ukaranie” sprowadziło się do czczej formalności.

Wydaje się, że tylko jeden z uczestników delegacji miał wątpliwości co do swego zachowania się 18 lipca, których — jak wynika z listu — gen. Kukiel nie podzielał. Dla Kukielego wszystko było w porządku, z wyjątkiem „formalnego przewinienia”. Natomiast ppłk. Jerzy Krubski rozumiał, że jego udział w delegacji był czynem nielojalnym wobec zwierzchnika polskich sił zbrojnych, tj. Prezydenta. Sumienie żołnierza i obywatela nie dawało mu spokoju.

Według jego relacji w tydzień po przesileniu członkowie trójosobowej delegacji wezwani zostali do raportu przez Naczelnego Wodza i służbowo ukarani za mieszanie się do spraw politycznych”. O tym jaki był wymiar kary Krubski nie wspomina¹⁴.

Relacjonując o delegacji u Zaleskiego stwierdza, że w kilka tygodni potem Prezydent wezwał go do siebie. Rozmowa trwała dwie godziny. Prezydent pytał się o motywy, jakimi kierowała się grupa wojskowych oraz czy działała pod wpływem jakichś czynników politycznych. Krubski wyjaśnił Prezydentowi, że według jego najgłębszego przekonania głównym motywem wystąpienia była troska o sprawę i że akcja oficerów miała charakter samorządny. Krubski zakończył prośbą, aby Prezydent odstukał w fotel i dał mu „rozgrzeszenie”. Raczkiewicz odstukał jak w konfesjonale i powiedział: „Rozumiem Pana i wiem, że Pan Pułkownik działał wyłącznie z pobudek ideowych”.

14. Członkowie delegacji oficerskiej otrzymali awansy. Płk. Klimecki awansował na generała. Protasiewicz i Krubski otrzymali również wyższe stanowiska i wyższe stopnie wojskowe.

Prezydent chcąc podkreślić, że sprawę uważa za wyczerpaną zatrzymał pułkownika Krubskiego na kolacji w intymnym gronie rodzinnym. Krubski pragnął po przeżyciach ostatnich tygodni odpocząć na pewien czas od Londynu. Prosił o przeniesienie do Szkocji, co się też stało.

1 sierpnia odbyło się przyjęcie u generałostwa Sikorskich. Wśród zaproszonych znaleźli się dwaj „ukarani” uczestnicy trójosobowej delegacji — pułkownik Klimecki i podpułkownik Krubski. Na przyjęcie przybył również Zaleski. Witając się z osobami stojącymi obok obu pułkowników podawał wszystkim rękę. Nie podał ręki pułkownikom. Dotknięci tym wysłali Zaleskiemu, każdy osobno, po dwóch zastępców honorowych. Po spotkaniu zastępców obu stron i wyjaśnieniach stwierdzono, że sprawa została załatwiona honorowo.

Na przyjęciu nie było trzeciego uczestnika delegacji, majora dypl. Protasewicza. Wśród kolegów majora krążyły pogłoski że i on nie został ukarany, lecz, przeciwnie, odznaczony za udział w delegacji do Zaleskiego. Rzeczywiście w kilka tygodni po przesileniu gen. Sikorski nadał mu krzyż srebrny *Virtuti Militari* 5-ej klasy. Ppłk. Krubski zaprzecza tym pogłoskom. Jego zdaniem odznaczenie było zasłużoną nagrodą za czyn wyjątkowej odwagi. Zrzucony ze spadochronu, major Protasewicz wziął udział na terenie Niemiec w akcji wysadzenia ważnego obiektu wojskowego. Opowiedział o niej płk. Krubskiemu w końcu czerwca. Krubski zameldował o tym gen. Sikorskiemu.

Akt obywatelskiej skruchy Krubskiego, okazany najwyższemu zwierzchnikowi sił zbrojnych, był jednak wypadkiem odoosobnionym. Zarówno wśród oddanych Sikorskiemu wojskowych, jak polityków, dominowały nastroje pewnych siebie zwycięzców. Wyrazem tych nastrojów była wydana 27 lipca „Opinia Stronnictw Jedności Narodowej” w sprawie wzajemnego stosunku władz naczelnych i wewnętrznej organizacji prac rządu.

„Opinia Stronnictw” musiała być nowym rozczarowaniem dla Prezydenta, jeśli żywił jeszcze jakieś złudzenia co do postawy takich ludzi, jak Stańczyk czy Seyda. Stronnictwa odkładały sprawę rozdziału władzy politycznej od wojskowej *ad calendas graecas*. Wykluczały zmianę na stanowisku prezesa Rady Ministrów. Wypowiedziały się za oddaniem resortu ministerstwa Spraw Wewnętrznych prof. Kotowi. Ograniczały swobodę ruchów ministra Spraw Zagranicznych Zaleskiego. Przypominały Prezydentowi porozumienie paryskie, które w interpretacji Sikorskiego miało wyłącznie na celu ograniczanie prerogatyw Prezydenta. Tzw. interpretacja Liebermana, dotycząca punktu piątego „punktacji” likwidującej przesilenie, którą Sosnkowski uważał za

jedno z pozytywnych osiągnięć swej mediacji, nic w interpretacji Sikorskiego realnie nie zmieniała. Adam Romer twierdzi wprawdzie, że redakcja tego punktu usankcjonowała „prawo Prezydenta do ingerowania w prawa rządu”. W gruncie rzeczy tak nie było. Interpretacja, na którą Lieberman otrzymał zgodę czterech stronnictw popierających Sikorskiego, nie wprowadzała żadnej istotnej zmiany w mechanizmie rozwiązywania kryzysów rządowych na emigracji, gwarantującym nieusuwalność Sikorskiego, Lieberman pisał:

„W razie potrzeby zamianowanie nowego prezesa Rady Ministrów nastąpić winno na podstawie porozumienia osiągniętego między Prezydentem, rządem i stronnictwami”. Nominację tę — „poprzedzić winno, tak jak we wszystkich państwach opartych na ustroju demokratycznym, porozumienie się ze stronnictwami i ustępującym premierem”. Dopiero po takiej konsultacji Prezydent (według Liebermana) mógł ustalić „linię” po której „kroczyć powinna polityka rządu” i dobrać wtedy „odpowiednią osobistość jako nowego premiera”.

„Ingerencja” Prezydenta w sprawie powołania nowego szefa rządu była więc w dalszym ciągu uzależniona od zgody na kandydaturę nie tylko stronnictw ale również „ustępującego premiera” czyli Sikorskiego. Każdy, kto trzeźwo oceniał stworzony przez niego system rządów, umocniony jeszcze szybką likwidacją przesilenia, nie mógł się łudzić, że osiągnięcie takiego porozumienia będzie w praktyce wykluczone. W razie nowego kryzysu rządowego Prezydent miał dalej tylko dwie alternatywy do wyboru: bądź ugiąć się przed Sikorskim i większością oddanych mu stronnictw, bądź też złożyć swój urząd.

Ustępując na całej linii pod naciskiem Sikorskiego i mianując ministrów pod jego dyktando, Prezydent wysłał 29 lipca do wiceprezesa Rady Narodowej Liebermana pismo następującej treści:

„Panie Prezesie, W związku z listem Pana z dnia 12. bm. pragnę wyrazić nadzieję, że zechce Pan nadal sprawować godność wiceprezesa i członka Rady Narodowej. Rozumiem, że obecnie warunki są szczególnie ciężkie i że wymagają całej patriotycznej ofiarności, której w ciągu swego życia dał Pan tyle dowodów. Rozumiem jednak również do jakiego stopnia Pańskie wielkie doświadczenie, umiar i równowaga potrzebne są sprawie o którą dbam przede wszystkim, — a mianowicie sprawie Jedności Narodowej w której upatruję symbol i gwarancję ducha wolności demokratycznej opartej na równym poszanowaniu prawa przez Rząd i obywateli — jakim, wierzę, że będzie rządziła się przyszła Polska”.

Listem tym, w którym brzmiała nuta rezygnacyjnej melancholii kończył Prezydent wymianę korespondencji związanej z załamaniem się jego planu reorganizacji rządu.

Sikorski triumfował. Na Radzie Ministrów odbytej tego dnia referował projekt reorganizacji rządu. Odtąd — mówił —

w Radzie Ministrów będzie po jednym ministrze, reprezentującym swe stronnictwo. Resort ministra Prezydium Rady Ministrów zostaje zniesiony. Projekt — mówił dalej — załatwia negatywnie postulat oddzielenia władzy politycznej i wojskowej, zjednoczonej w osobie premiera. Przewodniczący stronnictw uznali taki rozdział w zasadzie, teoretycznie za wskazany w przyszłości, lecz w czasie wojny praktycznie niedopuszczalny.

Oświadczenie Sikorskiego przesądzało więc na okres trwania wojny kumulację obu stanowisk w jego ręku. Na próżno byłoby szukać uzasadnienia takiego stanowiska w porozumieniu zawartym przez Raczkiewicza przed objęciem urzędu Prezydenta. Ale po likwidacji przesilenia nikt nie polemizował z oświadczeniami Sikorskiego. Zaleski miał usta zamknięte, a stronnictwa rządowe z zadowoleniem przyjęły do wiadomości fakt, że w równym stopniu obdarzono je tekami ministerialnymi.

Po zreferowaniu projektu reorganizacji premier kolejno „wnosił” o zaakceptowanie jego propozycji personalnych. Po czym pozwolił się wygadać ministrom i przeszedł do następnego punktu, to jest do spraw zagranicznych.

Ostatni punkt porządku dziennego dotyczył innej sprawy. Rada Ministrów uchwaliła projekt dekretu Prezydenta o zmianie dekretu z 30 listopada 1939 o odpowiedzialności oficerów za działalność w czasie kampanii wrześniowej. Rząd rozszerzał ten dekret na ostatnią kampanię wojenną. Oznaczało to pośrednie przyznanie, że nie wszystko było w porządku w czasie załamania się Francji. Ale naprawdę chodziło tylko o zachowanie pozorów.

Posiedzenie Rady Ministrów 29 lipca było dla Sikorskiego ostatecznym zamknięciem rozdziału przesilenia. Miał odtąd pewność, że nie grozi mu ani nowa próba reorganizacji rządu ani alternatywa wyboru między stanowiskiem naczelnego wodza i premiera rządu.

Niepokojąco brzmiały informacje Zaleskiego. Wieści nadchodzące z Moskwy nie budziły żadnych wątpliwości, że Rosja zachowuje się na okupowanych ziemiach wschodnich Rzeczypospolitej tak, jakby już były jej własnością. Brak jednomyślności rządu w tej sprawie otwierał możliwość nowych tarć wewnętrznych, tym razem na tle polityki zagranicznej.

Dla Sosnkowskiego posiedzenie rządu było może ostrzeżeniem, że zapewnienia składane mu przez Sikorskiego w dramatycznym dniu 18 lipca nigdy nie będą respektowane, że upojony zwycięstwem przestaje się liczyć z krytyką i gotów jest dalej rozprawiać się z tymi, którzy się ośmielali ją głosić. Przykład takiej rozprawy dał przyjaciel Sikorskiego, Kot.

W miesiąc po posiedzeniu Rady Ministrów — 28 sierpnia — odbyło się w Londynie walne zebranie Stronnictwa Ludowego. Chodziło o powzięcie uchwały w sprawie członka stronnictwa podsekretarza stanu w M.S.Z. dr Zygmunta Gralińskiego. Zebranie uchwaliło:

1) Udzielić surowej nagany dr Gralińskiemu, 2) Zawiesić dr Zygmunta Gralińskiego w prawach członkowskich Stronnictwa Ludowego na przeciąg jednego kwartału, tj. do dnia 22 listopada 1940 roku. 3) Doręczyć sentencję orzeczenia Panu Prezydentowi Rzeczypospolitej i Panu Prezesowi Rady Ministrów generałowi Sikorskiemu. W razie niepodporządkowania się dr Zygmunta Gralińskiego powyższemu orzeczeniu — wykluczyć go z grona członków Stronnictwa Ludowego.

Profesor Stanisław Kot w nowej roli ministra Spraw Wewnętrznych szykował się do wielkiej batalii. Porachunek z Gralińskim miał być tylko wstępem. Ostrzył broń, by uderzyć w odpowiedniej chwili w Prezydenta i całe jego otoczenie. Chciał udaremnić rozrost sieci organizacyjnej Stronnictwa Narodowego na emigracji. Szykował się do rozprawy z młodymi narodowcami różnych odcieni. Nie znosił wewnętrznej opozycji w PPS-sie. A piłsudczyków, gdyby mógł, zamknąłby w obozach odosobnienia. W tych zamiarach swego przyjaciela i doradcy orientował się doskonale Sikorski.

Nie zdawał sobie z nich sprawy sędziwy patron tych, którzy zaliczali się do tzw. Frontu Morges — Ignacy Paderewski. Darzył bezgranicznym zaufaniem Sikorskiego. Z troską o zwartość ośrodka rządowego, któremu Sikorski przewodził, z ulgą przyjął wiadomość o likwidacji przesilenia i zapewnienie, że — „wszystko pozostanie bez zmian”. 19 sierpnia wystosował do Prezydenta list w którym pisał:

„Panie Prezydencie, nasza racja stanu, a nawet całe nasze istnienie, nasze możliwości na przyszłość i możność działania obecnie, uzależnione są od utrzymania w całej pełni, z całą powagą i godnością, tego symbolu naszej jedności, trwałości naszych poczynań i praw do samodzielnego bytu państwowego — jakimi są dwa połączone nazwiska Pana Prezydenta i generała Sikorskiego. Jest to warunek *sine qua non*, zarówno dla umęczonego ponad ludzkie siły Kraju, jak i dla zagranicy, a w pierwszym rzędzie Wielkiej Brytanii”.

Czy prezydent Raczkiewicz podzielał opinię Paderewskiego, że jego nazwisko połączone z nazwiskiem Sikorskiego jest nie tylko symbolem polskiej jedności w czasie wojny, lecz nawet praw do samodzielnego bytu państwowego? Gdyby był tego zdania, nie zwalniałby przed miesiącem Sikorskiego z urzędu prezesa Rady Ministrów. Nie zmienił swej opinii i teraz. To prawda,

że dalej liczył się z autorytetem moralnym wielkiego patrioty, ale trzeźwo oceniał jego sądy, kształtowane pod wpływem najbliższych mu ludzi z „frontu Morges”. Po świeżej klęsce poniesionej w starciu z Sikorskim, nie chciał jednak podejmować dyskusji z Paderewskim. Przeciwnie, zapewniał, że poglądy jego w pełni podziela. Ale nie łudził się, że jeśli Sikorski nie zmieni swego postępowania nowe spięcie będzie nieuniknione. W najbliższym tylko gronie dawał temu wyraz. Nieraz mówił swemu przyjacielowi i osobistemu sekretarzowi, inż. Piotrowskiemu, że gdyby znowu miało dojść do starcia,łoży swój urząd, lecz nie ustąpi.

Na razie wołał o tym nie myśleć. Z radością powitał inicjatywę wielkiej debaty rządu nad wytycznymi polskiej polityki zagranicznej. Uważał ją za pilnie niezbędną. Nie mógł się pozbyć obaw, które wzbudziło w nim *aide mémoire*, złożone 19 czerwca przez Sikorskiego rządowi brytyjskiemu. Uchwalone po tej debacie 24 sierpnia „tezy polityki zagranicznej” rządu nie dawały na razie podstaw do obaw. Były wśród nich takie stwierdzenia, jak, że: 1) zagarnięcie przez Rosję państw bałtyckich stwarza „stan rzeczy, którego Polska jako państwo nadbałtyckie nie może przyjąć”, 2) „sprawa Wileńszczyzny jako ziemi polskiej nie może być przedmiotem dyskusji”, 3) granice okupacji sowieckiej ziem polskich są tylko „wyrazem zachłannych dążeń komunistycznego imperializmu”, 4) „warunkiem podstawowym wyrównania stosunków między Polską a Rosją musi być przywrócenie granicy polsko-rosyjskiej sprzed września 1939 roku”.

Przebieg debaty o polityce zagranicznej, odbytej w niespełna miesiąc po przesileniu, dowodził, że obie strony, każda z innych powodów, szuka kompromisu i unika starcia. Niemniej — opowiadał o tej debacie Prezydent — czuło się kilka razy, że w każdej chwili może dojść do spięcia. Obecności swej przypisywał, że do tego nie doszło. Uważał nadal, że szybkie zlikwidowanie przesilenia było zabiegiem, który nie sięgnął do źródeł choroby. Chorobę mogła usunąć tylko operacja. Gdyby została szczęśliwie dokonana — mówił w wiele lat później, kiedy Sikorskiego już na świecie nie było — mogłaby doprowadzić w lipcu 1940 roku do utworzenia rządu prawdziwej a nie fikcyjnej jedności narodowej. A że tak się nie stało — dodawał — o normalizacji stosunków wewnętrznych na emigracji nie było mowy. „Ze względu na dobro sprawy, przede wszystkim ze względu na Kraj, starałem się zachowywać przynajmniej pozory, że po kryzysie lipcowym rzeczy toczą się normalną koleją”.

Nie na długo. Sikorski wbrew Prezydentowi i trzem ministrom zawarł 4 lipca 1941 układ z Rosją.

29 lipca zawiadomił Raczkiewicza, że formalne podpisanie

układu odbędzie się nazajutrz, prosząc o „podpisanie aktu pełnomocnictw”. A Rada Ministrów powzięła uchwałę, że układ zostanie podpisany w tym terminie nawet bez upoważnienia Prezydenta. Prezydent nie poddał się naciskom wywieranym przez rząd Churchilla. 30 lipca w Foreign Office układ został podpisany. Sikorski zdobył się przy tej okazji jedynie na ogólnikową uwagę, że „porozumienie nie załatwia wszystkich spraw między Polską a Rosją”, układ z Moskwą uważa jednak za „punkt zwrotny historii”.

W rok więc po pierwszym przesileniu doszło do drugiego. Sosnkowski, Zaleski i — przejściowo — Seyda ustąpili z rządu. Prezydent chciał złożyć urząd. Pod naciskiem Wielkiej Brytanii Sikorski zrezygnował z oporu i podpisał upokarzający układ ze Związkiem Sowieckim. A przecież stanowisko sojusznika brytyjskiego nie mogło być dla niego zaskoczeniem. Już w drugiej połowie 1940 zarysowało się w sposób wyraźny. 18 listopada tegoż roku Zaleski odbył rozmowę z lordem Halifaxem. Zaniepokojony wynurzeniami ministra spraw zagranicznych, prosił o sformułowanie na piśmie stanowiska Wielkiej Brytanii w sprawie naszych ziem wschodnich. Halifax czyniąc zadość prośbie Zaleskiego pisał między innymi:

„Podczas naszego widzenia się w dniu 18 listopada przyrzekłem dostarczyć Panu pewnych wyjaśnień co do naszej polityki wobec Związku Sowieckiego, ze szczególnym uwzględnieniem propozycji porozumienia, które, jak Panu mówiłem, ostatnio uczyniliśmy Rządowi Sowieckiemu.

Te propozycje zawierały ofertę ze strony Rządu JKM tymczasowego uznania, do czasu ogólnego uregulowania przy końcu wojny wszystkich tego rodzaju niezałatwionych spraw, sowieckiego zarządu *de facto* nad obszarami okupowanymi przez Czerwoną Armię od chwili rozpoczęcia wojny. Sprawa suwerenności pozostałaby oczywiście niedotknięta takim uznaniem.

W związku z tym chciałem zwrócić Pańską uwagę na następujące oświadczenie Premiera z 5-go września bieżącego roku. „Nie mamy zamiaru uznać jakichkolwiek zmian terytorialnych, które nastąpiły w czasie wojny, chyba, że nastąpiły one za zgodą i z nieprzymuszonej woli stron zainteresowanych, oraz na moje własne oświadczenie w tej mierze z tegoż dnia. Nasze propozycje uczynione Rządowi Sowieckiemu w żaden sposób nie unieważniają ani nie osłabiają tej zasady, przy której jesteśmy całkowicie zdecydowani pozostać”.

List Halifaxa z jednej strony zawierał powtórzenie zasady, że ostateczne uregulowania sprawy naszych ziem wschodnich może być dokonane jedynie po wojnie, z drugiej przypominał oświadczenie Churchilla z 5-go września. Premier brytyjski nie powiedział, ani wtedy, ani później, że, gdy o Wielką Brytanię chodzi, użyje wszelkich nacisków, oczywiście na stronę słabszą, by do takiej zgody doszło jeśli będzie to odpowiadało interesom brytyjskim.

Stroną bez porównania słabszą od Rosji była Polska. Trzeba było się więc przygotowywać na naciski brytyjskie. Zwłaszcza, że jeszcze w lipcu 1941 na tej słabej polskiej stronie zależało Wielkiej Brytanii z wielu względów. Lecz Sikorski ufny w swą szczęśliwą gwiazdę, nie myślał o tym.

Mimo ostrzeżeń przeciwników układu, mimo nowych napomnień Prezydenta, że swym postępowaniem „obalił podstawę gabinetu jedności narodowej”, spieszył się ze sfinalizowaniem układu. Czym sobie należy tłumaczyć jego ustępliwość wobec obcych i równocześnie niewzruszoną postawę w stosunku do słusznych postulatów zgłaszanych przez swoich?

W wydanej w parę lat po wojnie „Spowiedzi pokolenia” charakteryzowałem nastroje panujące wśród uchodźców w pierwszych miesiącach emigracyjnych.

„Nie obchodziły nas wtedy — pisałem — nazwiska ludzi, którzy weszli do rządu. Bez żadnego głębszego wysiłku uchodźcy polscy we Francji zamykali w głębi swych serc, najdroższe wspomnienia przeszłości. Wyzbywali się wszelkich jakże często uzasadnionych uprzedzeń politycznych, które jeszcze przed kilku tygodniami żywili w stosunku do ludzi, którzy zasiedli w nowym rządzie, powołanym przez nowego Prezydenta Rzeczypospolitej, Wł. Raczkiewicza. W obliczu tragedii narodu nie było na nie miejsca, ani w myśli ani w duszy.

Mimo trawiących nas wątpliwości pragnęliśmy wierzyć, że nowy rząd gen. Władysława Sikorskiego spełni nadzieje, które pokładał w nim rozgorączkowany, cierpiący pod jarzmem najeźdźców — naród. Wierzyliśmy, że mając zdjęty ze swoich bark odpowiedzialny trud faktycznego rządzenia państwem, ten nowy rząd przeciwko któremu żaden ucziwy Polak ani w kraju ani na emigracji nie ośmieliłby się nigdy spiskować, będzie nie tylko czujnym stróżem sprawy polskiej, lecz stanie się ośrodkiem odrodzenia i promieniowania nowych idei moralnych, społecznych i politycznych, korektorem błędów przeszłości i kontynuatorem pozytywnego dorobku dwudziestoletniej przeszłości”.

Sytuację miał więc Władysław Sikorski wyjątkową. „W późniejszym jego życiu — pisze w dwudziestą rocznicę tragicznego zgonu generała, w „Tygodniku Powszechnym”, Jan Ciałowicz — zaznaczało się jednak zbyt idealistyczne pojmowanie świata, wpływające czy to z natury jego osobowości, czy też nabyte przez wychowanie. Sikorski nie miał intuicyjnej znajomości ludzi, był za otwarty i za szczery”... „Nie umiał działać w polityce chytrością i podstępem tam, gdzie tego okoliczności wymagały”. Ciałowicz porównuje Sikorskiego z księciem Józefem Poniatowskim widząc w nim „tragiczną wielkość” naszych czasów. Twierdzi, że źródłem trudności i przeszkód jakie napotykał w swojej działalności podczas wojny we Francji a potem w Anglii, była okoliczność, iż emigracja składała się w większości z ludzi *ancien*

régime'u. Walka prowadzona przez emigrację — zdaniem Ciałowicza — musiała z natury rzeczy wywołać u Generała rozdrażnienie, nieufność i często wybuchowość. „W dobie największej zawieruchy dziejowej reprezentował Polskę i jej sprawy jak mógł najlepiej”...

Nikt nie kwestionuje patriotycznych pobudek działalności Sikorskiego. Nikt nie wątpi, że w skomplikowanych czasach wojennych starał się pracować dla Kraju „jak mógł najlepiej”. Ale nie usprawiedliwia to błędów jakich się dopuścił, dobierając sobie fatalnych doradców i rządząc się w przełomowych chwilach emocjami i ambicjami. Nie posiadał kwalifikacji na męża stanu, który w polityce musi się kierować nie tyle chytrąścią czy podstępem — bo to tylko co najwyżej akcesoria — lecz zasadami od których nie wolno odstępować.

Wierność zasadom wymaga charakteru. Zabrakło go Sikorskiemu w dramatycznych okolicznościach wojny, gdy z kraju zajmowanego przez wroga uchodzą ludzie szukający schronienia i pomocy w innym kraju, gdy odcięci nagle od rodzinnego gruntu, mają działać na rzecz zajętej przez okupanta ojczyzny. Podstawowym warunkiem skuteczności tych działań jest koncentracja wysiłków uchodźczych na jedynym zadaniu — przywrócenia krajowi niepodległości. Na inne sprawy nie wolno tracić czasu. Rozpraszenie energii grozi deformacją właściwego oblicza emigracji politycznej. Pogłębia tylko elementy dramatyczne z natury swej dramatycznego zjawiska.

Przesilenie 18 lipca 1940 roku było punktem kulminacyjnym pierwszego aktu naszych dziejów uchodźczych, związanym z klęską militarną kraju w którym znalazła się większość uchodźców. Burza, która zerwała się wtedy nad „polskim Londynem” nie rozładowała niezdrowej atmosfery panującej na emigracyjnych szczytach. Ta burza, której nadejście zapowiadały chmury gromadzące się od miesięcy na uchodźczym horyzoncie trwała — dzięki mediacji Sosnkowskiego — niezwykle krótko. Obyło się bez błyskawic i piorunów. Spadł tylko mały deszczyk pism urzędowych zwalniających i mianujących w ciągu jednej doby tych samych ministrów i tego samego premiera. W rok potem gdy niezmienny zespół rządowy stanął wobec zadania obrony nie naruszalności naszych granic i suwerenności państwa, zerwała się burza znacznie groźniejsza. Była nowym ostrzeżeniem przed marnowaniem czasu i energii na sprawy drugorzędne i nieistotne. Była wezwaniem do skupienia wreszcie wysiłków całej emigracji pod sztandarem obrony integralności terytorium państwa i jego niepodległości.

Sikorski nie liczył się z tym sygnałem ostrzegawczym. Nie

liczył się z nim po jego tragicznej śmierci również następny szef rządu, Stanisław Mikołajczyk. Kryzys rządowej góry stał się zjawiskiem chronicznym.

Tadeusz KATELBACH

**SPROSTOWANIA I UZUPEŁNIENIA DO CZĘŚCI 1-SZEJ
„AKTU PIERWSZEGO DRAMATU” OPUBLIKOWANEJ W
ZESZYCIE 7-YM**

1) Nazwisko dyrektora departamentu Min. Sprawiedliwości pisze się Glaser a nie Glazer.

2) Powinno być str. 83: „Właściwa debata toczy się jednak wokół wniosku uchwalonego 9 marca przez Radę Narodową”, a nie 30 listopada.

3) W wyliczeniu funkcji jakie gen. Sikorski piastował z chwilą ukonstytuowania się rządu w pocz. grudnia 1939 roku opuszczono resort Ministerstwa Sprawiedliwości (str. 70).

4) Członkowie rządu: Seyda, Haller, Sosnkowski, Stroński i Kot formalnie byli wtedy ministrami bez teki. Faktycznie jednak Stroński uchodził za wicepremiera i kierował ministerstwem Informacji. Formalnie ministrem Informacji i Dokumentacji został dopiero 10 października w Londynie. Seyda nie był jeszcze ministrem Sprawiedliwości. Resort ten objął po przesileniu lipcowym w Londynie.

5) Wymienieni na str. 71-ej wiceministrowie, w myśl art. 25 ust. 2 Ustawy Konstytucyjnej, nie byli członkami rządu. Nosili tytuły podsekretarzy.

6) Protokół zaprzysiężenia Prezydenta Raczkiewicza (str 54) podpisały tylko „osoby urzędowe”, obecne przy zaprzysiężeniu. W chwili składania przysięgi przez Raczkiewicza Zaleski i Stroński nie zajmowali jeszcze żadnych urzędów.

7) Dekret o powołaniu komisji w związku z kampanią wrześniową podpisał Prezydent Raczkiewicz dopiero 30 maja 40 r. w Pignerolles i z od ręcznym pismem przesłał premierowi Sikorskiemu.

WYBUCH DRUGIEGO POWSTANIA ŚLĄSKIEGO

Wstęp

Drugie powstanie śląskie wybuchło dnia 18-go sierpnia 1920 roku, a nie 19-go sierpnia, jak to mylnie podają dziejopisarze tych czasów¹. Przyczyna błędu leży w tym, że powstanie wybuchło bez żadnych piśmiennych dowodów i dopiero następnego dnia, gdy w powiecie katowickim można było poszczycić się poważnymi osiągnięciami, został wydany przez Komendę Główną Polskiej Organizacji Wojskowej Górnego Śląska (w skrócie: POWGŚl) rozkaz operacyjny do powiatów dalszych o przeprowadzenie powstania.

Również ówczesny Komisarz Plebiscytowy ze strony polskiej, Wojciech Korfanty, wydał odezwę, datowaną bodaj z dnia 19-go sierpnia, wzywającą ludność polską do „samoobrony” i do strajku generalnego, (według mojej pamięci odezwa ta została rozlepiona dopiero 20-go sierpnia) co w kołach zbliżonych do Komisariatu Plebiscytowego stanowiło dopiero prawdziwą przyczynę wybuchu powstania, ażeby w ten sposób całą zasługę polskiego zwycięstwa nad Niemcami móc przerzucić na Korfantego, z pominięciem POWGŚl.

Ponieważ właściwi sprawcy wybuchu drugiego powstania, a więc komendant Szopieniec i dowódca kompanii, Jan Stanek, komendant okręgu i powiatu Katowice, Walenty Fojkis, komendant główny POWGŚl kpt. Alfons Zgrzebionek i piszący te wspo-

1. Patrz: Władysław Pobóg-Malinowski: *Najnowsza historia polityczna Polski*, tom II, str. 382, Londyn 1956, oraz: Tadeusz Jędruszcak: *„Powstania śląskie*, Katowice 1959, str. 35, Wydawnictwo „Śląsk”.

mnienia, referent organizacyjny Komendy Głównej POWGŚl, ppor. Jerzy Paszkowski, nigdy nie zostali wezwani do złożenia protokołu z przebiegu owych wypadków i nigdy osobiście żadnych piśmiennych dokumentów czy wspomnień nie składali, sprawa wybuchu drugiego powstania pozostała zupełnie niejasna, skazana na interpretację według zasłyszanych opinii, lub w ostateczności zbywana zwykłym stwierdzeniem, że powstanie wybuchło „samorzutnie”, lub na wezwanie komisarza Korfantego.

Jako ostatni bezpośredni uczestnik tego wypadku, gdyż komendant Zgrzebnik zmarł zdaje się w 1936 roku w Rybniku, komendant Fojkis już po wojnie w 1947 roku w Glasgowie, a Stanek odegrał rolę jedynie na szczeblu dowodzenia kompanią w Szopienicach, pragnę przez poniższe zeznania wyjaśnić przebieg tych wypadków z całą wiarygodnością bezpośredniego uczestnika i współorganizatora, ażeby stwierdzić, nie dla jakichś nieistotnych rozgrywek, lecz jedynie w imię zwykłej prawdy, że *za wybuch drugiego powstania śląskiego nie ponosi odpowiedzialności ani Korfanty, ani żaden inny czynnik polityczny czy wojskowy, lecz wyłącznie POWGŚl, a przede wszystkim organizacja POW Szopienice i powiatu katowickiego, z Janem Stankiem i Walentym Fojkiszem na czele.*

Przygotowania organizacyjne

Przejęcie przeze mnie stanowiska referenta organizacyjno-operacyjnego Komendy Głównej POWGŚl nastąpiło na odprawie Komenda Główna POWGŚl posiadała do swej dyspozycji jeden 28 maja 1920 roku, w hotelu „Lomnitz” w Bytomiu, siedzibie Polskiego Komisariatu Plebiscytowego.

W tym to hotelu, zakupionym na biura przez Komisariat, Komenda Główna POWGŚl posiadała do swej dyspozycji jeden pokój na tylnym korytarzu drugiego piętra. Wspominam o tym dlatego, ażeby uzmysłwić, jak Komisariat, względnie sam komisarz Korfanty lekceważył sobie tę organizację, uważając ją właściwie za niepotrzebną, a która według jego pojęcia służyć miała jedynie dla ochrony wieców polskich przed rozbijaniem ich przez bojówki niemieckie. O tym, że rozgrywka o Śląsk może nastąpić na drodze czynu zbrojnego, że w tym kierunku idą przygotowania bojówek niemieckich, tzw. „Orgesch'u”, Korfanty nie chciał wówczas słyszeć.

Nie bez znaczenia prawdopodobnie był również i fakt, że POWGŚl można było uważać za pochodną idei Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego, który, jak wiadomo, nie był w przyjaznych stosunkach politycznych z Korfantym.

Sam komisarz Korfanty oczywiście wiedział o naszych przygotowaniach, ale ani się nimi nie interesował, ani też nie kładł na nie żadnego nacisku. Ot, po prostu tolerował w niejakiem stopniu istnienie organizacji, ale jako sprawę zupełnie drugorzędną.

W niechętnym stosunku do POWGŚl był Korfanty w dużym stopniu urabiany i popierany przez swego bliskiego współpracownika i doradcę, kpt. wojsk gen. Hallera, Gawrycha, który w Komisariacie pełnił funkcję szefa Wydziału Wywiadowczego (tzw. „W.W.1”), a który obrotnością i inteligencją przewyższał o wiele komendanta głównego POWGŚl, kpt. Alfonsa Zgrzebnio-ka, zarzucając temu ostatniemu nieudolność i brak lojalności wobec Korfante- go.

Zgrzebnio- k był komendantem pierwszego powstania śląskiego i z tego powodu cieszył się dużym mirem wśród Ślązaków, ale w rzeczywistości jego siłą był raczej szlachetny, ofiarny charakter, żarliwy patriotyzm polski i prawdziwy, żołnierski stosunek do Naczelnego Wodza, Józefa Piłsudskiego.

Ten niejasny i nieprzyjemny stosunek między POWGŚl a Komisariatem zaciążył poważnie nad możliwościami rozwoju organizacji, stając się przyczyną późniejszego zlikwidowania POWGŚl.

Drugim czynnikiem, który hamował działalność POWGŚl, był zorganizowany i silny terror niemiecki.

Musimy sobie uświadomić, że wówczas cała administracja terenu plebiscytowego była właściwie wyłącznie w rękach niemieckich. Dotkliwym zwłaszcza obciążeniem było istnienie policji bezpieczeństwa, tzw. „Sicherheits-Polizei” lub „Sipo”, zwanych przez ludność polską „zielonkami”, gdyż nosili zielone mundury. Policja ta, złożona z dawnych podoficerów niemieckich i prze- ważnie Niemców z Rzeszy, była wykonawczynią polityki niemieckiej dążącej do utrzymania terenu Górnego Śląska przy Niem- cach, uważającej postanowienia traktatu wersalskiego o plebiscy- cie za krzywdę dla Niemiec, a samych Polaków, dążących do po- łączenia się z Polską za zdrajców.

Ponieważ policja, jako organ publiczny i zależny tak czy owak od Rady Sojuszniczej dla Górnego Śląska i jej wojsk, nie mogła otwarcie zwalczać działalności Polskiego Komisariatu Plebiscyto- wego, została na terenie Górnego Śląska utworzona cywilna orga- nizacja bojowa „Orgesch”, złożona zarówno ze Ślązaków-Niem- ców, jak i nie-S Ślązaków, współpracująca ściśle z administracją niemiecką, z Niemieckim Komisariatem Plebiscytowym, no i z Sipo. Była to niejako policja polityczna, zorganizowana w oddziały

wojskowo-bojowe, zajmująca się likwidacją i rozbijaniem życia polskiego, napadami na Komisariaty, na rodziny polskie, rozbijaniem wieców polskich, polskich zabaw i zebrań, a także mająca na celu, gdyby się to udało, wojskowe opanowanie terenu pod płaszczykiem samorządnego ruchu ludowego.

Obydwie organizacje, tj. „Sipo” i „Orgesch”, były stosunkowo silnie uzbrojone i w owym okresie żywe i czynne. Nie było dnia, ażeby w Komisariacie nie pojawili się pobici Polacy, lub rodziny aresztowanych na rozbitych zebraniach, żądając pomocy i opieki.

Opiekę można było wykonać tylko poprzez Wojska Sojusznicze, ale tam wszystko właściwie zależało od sympatii komendanta wojskowego. Z trzech rodzajów Wojsk Sojuszniczych, tj. francuskich, angielskich i włoskich, tylko wojska francuskie wykazywały jeszcze życzliwość dla Polaków — wojska angielskie i włoskie były dla nas nieżyczliwe, czasami nawet wrogie.

Polacy aresztowani przez „Sipo” byli stawiani przed sądy niemieckie, które nie skąpiły kar więzienia i grzywien. Najlepszym środkiem uniknięcia tych kar była ucieczka na teren Polski, przede wszystkim do Sosnowca, gdzie POWGŚI utrzymywała między innymi i dla opieki nad tymi nieszczęśliwcami specjalną Ekspozyturę, współpracującą z miejscowym Czerwonym Krzyżem.

O ile prześladowania na terenie przemysłowym i w okolicach polskich nosiły charakter raczej sporadyczny, to na terenach zaodrzańskich i przyodrzańskich przybierały czasem postać zwykłych pogromów ludności polskiej.

Oprócz terroru stosowanego wobec ludności polskiej, „Orgesch” i policja dokonywały zwykłych napadów na polskie ośrodki, a przede wszystkim na siedziby Polskich Komisariatów Plebiscytowych, chociaż istnienie tychże miało swoje uzasadnienie w postanowieniach traktatu wersalskiego.

Właśnie w dzień wprowadzenia mnie w moje stanowisko, 28 maja 1920 roku, wieczorem został przez Niemców zorganizowany napad na siedzibę komisarza Korfantego, tzn. na hotel „Lomnitz” w Bytomiu. Obrona zmontowana na prędkę przez komendanta Zgrzebnioka i szefa sztabu Ludygę-Laskowskiego, oraz przez będących jeszcze w Komisariacie — po odprawie — komendantów Okręgów POWGŚI Kornke’go i Dropały, a wreszcie przez urzędników Komisariatu z Korfantym na czele, byłyaby na pewno uległa w nierównej walce, gdyby nie wyczyn adiutanta Korfantego, kpt. Kwasigrocha, który przez dachy sąsiadujących z „Lomnitzem” budynków wydostał się z obleżonego hotelu na zewnątrz i zaalarmował francuskie wojska, stacjonujące w By-

tomu, które szybko przybyły na odsiecz i oczyściły ulice miasta z bojówek niemieckich².

Podczas mojej dwumiesięcznej pracy aż do drugiego powstania, pamiętam jeszcze napady na nasze Komisariaty w Rybniku, Raciborzu i Czystokach, w powiecie kozielskim, podczas gdy Komisariat w Prudniku był prawie stale oblegany przez „Orgesch”, tak, że urzędnicy bali się po prostu wychodzić.

Dodajmy do tego silny nacisk niemieczyny poprzez ogromne niemieckie zakłady przemysłowe, gdzie pracowała polska ludność, oraz wpływy niemieckich księży, niemieckiej szkoły, oraz organizacji zawodowych, to możemy sobie przedstawić, jakie stosunki panowały przed drugim powstaniem na Górnym Śląsku i jak słabe widoki posiadała polska sprawa, ażeby doprowadzić głosowanie za Polską do pożądanego wyniku.

Każde poczynanie polskie spotykało się z silnym przeciwdziałaniem niemieckim, każdy wysiłek organizacyjny był zwalczany zwykłym, jawnym lub ukrytym terrorem, a ludność polska, nękana z jednej strony przez policję, z drugiej strony zrujnowana gospodarczo, traciła coraz więcej ducha, starając się unikać czynnego wystąpienia.

W tym względzie rola POWGŚl była zbawienna: organizując silne zespoły ludzi młodszych, poddanych świadomej swych celów woli, ludzi mniej wrażliwych na ciosy materialne, bo przeważnie nieobarczonych rodzinami, POWGŚl wносиła wolę oporu i przeciwstawiania się terrorowi niemieckiemu w sposób czynny, co niepomniernie podnosiło ducha polskiego wśród ludności.

Po mału wśród ludności polskiej wyrabiało się przekonanie, że POWGŚl jest jedynym czynnikiem oporu wobec Niemców, a sama organizacja zyskiwała coraz większe zaufanie.

Nic więc dziwnego, że gdy nadeszła ostatnia prowokacja niemiecka w postaci zajęcia Katowic, napadu na Polski Komisariat Plebiscytowy w Katowicach, zamordowania dr. Mieleckiego i zniszczenia polskich ośrodków w Katowicach, i gdy w odpowiedzi na to POWGŚl uderzyła na Niemców, ludność polska samorzutnie opowiedziała się za powstaniem masowo zgłaszając się do szeregów POWGŚl.

Poznawszy warunki w jakich musiała działać POWGŚl nikt nie będzie się dziwił, że organizowanie nie było zadaniem łatwym.

Siły miejscowe były dobierane na zasadzie znajomości z polskich organizacji: z „Sokoła”, z towarzystw śpiewaczych, wy-

2. Porównaj: Wiktor Mrozek: *Noc rozpaczliwej obrony w Hotelu Lomnitz*, w „Pamiętnikach Powstańców Śląskich”, II, str. 105, Wydawnictwo „Śląsk”, Katowice 1961. Według mej pamięci sprawozdanie zawiera pewne drobne nieścisłości.

cieczkowych, wreszcie zawodowych. Na czele stawał niezawsze ktoś odznaczający się wiadomościami wojskowymi, a coś dopiero zdolnościami! Oficerów, a nawet podoficerów było niewiele.

Toteż, objąwszy referat, po zapoznaniu się z organizacją w terenie, to jest w powiatach pszczyńskim, opolskim, wielko-strzeleckim, gliwickim i bytomskim, mogłem już po miesiącu, w porozumieniu z najzdolniejszym komendantem okręgu, Rudolfem Kornke z Wielkich Piekar, dowodzącym Okręgiem Bytom-Tarnowskie Góry, podnieść na odprawie następujące sprawy:

1. Stworzenie w każdym okręgu co najmniej jednej kompanii szturmowej. — Dotychczas w każdej miejscowości w skład kompanii wchodziłi ludzie wciągnięci do niej przypadkowo, bez względu na wiek i zdrowie. Kompanie szturmowe miały objąć członków najmłodszych, najbardziej zdrowych i ideowych, tworząc z nich wyrównaną jednostkę uderzeniową. Zwiększało to wartość bojową organizacji, tworząc z następnych jednostek niejako oddziały rezerwowe. Reforma okazała się jak najbardziej słuszną: oddziały szturmowe były właśnie tymi, które pierwsze uderzyły i zgłuszyły opór niemiecki. Mało tego, organizatorzy trzeciego powstania przejęli zasadę oddziałów szturmowych, tworząc baony szturmowe w każdym powiecie.

2. Wyodrębnienie i przeszkolenie plutonów CKM. — I ta reforma, zwłaszcza w okręgu przemysłowym, dała doskonałe wyniki. Oczywiście, należało mieć broń.

3. Przeprowadzenie zaprzysiężenia członków, zewidencjonowanie ich, oraz opracowanie sposobów alarmowania, placów alarmowych, pewnych środków konspiracyjnych itd.

4. Rozwinięcie sieci łączności, składnic meldunkowych, powiększenie ilości kół, łączników itd.

5. Zewidencjonowanie i opracowanie planu dostaw broni i amunicji z głównych składów POWGŚl w Sosnowcu i Wojkowicach.

6. Wraz z referatem kobiet POWGŚl, powiększenie i zorganizowanie służby sanitarnej.

Szef sztabu kpt. Ludyga-Laskowski wraz z adiutantem Komendy Głównej POWGŚl, Szafarczykiem, stworzyli w końcu referat dla demobilizowanych żołnierzy armii Hallera, obsadzając na zasadzie wniosków komendantów okręgów i moich poszczególne oddziały i funkcje tymi doskonałymi nieraz żołnierzami, podoficerami i oficerami.

Muszę więc stwierdzić, że mimo terroru niemieckiego organizacja POWGŚl coraz bardziej krzepła, stawała się pewniejsza bojowo, i bardziej zdyscyplinowana, obejmując 6,000 zaprzysiężonych członków.

Mając taki aparat bojowy w ręku, musiałem zastanowić się nad możliwością jego użycia, oraz nad politycznie celowymi hasłami.

Na odprawie w dniu 31 lipca przedstawiłem następujące założenia operacyjne:

Teren Górnego Śląska będzie podzielony na trzy pasy.

Pierwszy pas, stanowiący bazę operacyjną, obejmuje okręg przemysłowy. Ze względu na ilość członków i ich zorganizowanie, daje on nie tylko możliwość skutecznego uderzenia, ale także nadwyżki jednostek operacyjnych, które można przesunąć poza teren okręgu przemysłowego.

Drugi pas, stanowiący okręgi polskie, lecz o przeważającej ludności rolniczej, a więc rozproszonej i nie mogącej dać szybkiego efektu uderzeniowego. Były to powiaty: pszczyński, rybnicko-raciborski (po prawym brzegu Odry), wielko-strzelecki, gliwicko-toszecki i lubliniecki. Miały one, w mym założeniu, za zadanie opanowanie terenu, lecz nie nacieranie poza swój teren.

Wreszcie trzeci pas, pozaodrzański: kozielskie, kluczborskie i oleskie, winien był pozostać poza czynnym wystąpieniem, zajmując się jedynie wywiadem osłonowym.

Co do hasła politycznego, które wysunąć należało w razie wystąpienia, określiłem je na powyższej odprawie, jako „Samoobrona”.

Warunki plebiscytowe nie pozwalały nam na wysuwanie hasel agresywnych. Ani komisarz Korfanty, ani oficjalna polityka polska nie zgodziłaby się na tego rodzaju hasła. Wystąpienie organizacji było możliwe nie jako akt napastniczy, lecz jako obrona na skutek prowokacji niemieckiej. Dlatego wysunięta została „Samoobrona” jako moralna podstawa działania, która wszędzie musi znaleźć zrozumienie, a nawet uznanie.

„Samoobrona” była hasłem, które w swej odezwie wysunął wytrawny polityk, jakim był Korfanty, wzywając do strajku i powstania w dniu 20 sierpnia. Nie wiem, czy znał uchwały odprawy komendantów Okręgów z dnia 31 lipca 1920 roku. Jeśli je znał, to POWGŚl przypada chluba stworzenia właściwego hasła dla tego powstania — jeśli zaś nie znał, to dowód, że POWGŚl potrafiła stanąć na wysokości swego politycznego zadania, używając go zresztą w samym rozkazie operacyjnym, wzywającym do powstania, dnia 19 sierpnia.

Rozwój POWGŚl został przerwany dwoma wypadkami, które groźnie zawisły tak nad organizacją, jak i w ogóle nad sprawą polską na Śląsku. Była to z jednej strony wyspa, a z drugiej wojna z sowiecką Rosją, która przybierała z końcem lipca coraz to groźniejszy obrót.

Kłeski, jakie ponosiła od pewnego czasu Armia Polska na froncie wschodnim, wpływały na wzmocnienie samopoczucia niemieckiego. Terror w stosunku do Polaków wzmógł się, organizacji bojowej nakazano być w pogotowiu, przygotowując zasadnicze uderzenie, mające na celu zmianę statutu Śląska stworzonego przez postanowienia układu wersalskiego.

Wywiady nasz i Komisariatu donosiły o poważnych przygotowaniach, o wzmocnieniu stanu osobowego „Orgesch'u” i jego uzbrojeniu. Nie było tylko jasne, na czym będzie polegało samo uderzenie. Przypuszczaliśmy wszyscy, że celem będzie — rozbicie Polskiego Komisariatu Plebiscytowego — a więc uderzenie na hotel „Lomnitz”.

Postanowiłem wtedy, w porozumieniu z szefem sztabu kpt. Ludygą-Laskowskim, zniszczyć archiwum Komendy Głównej POWGŚl, a zwłaszcza archiwum organizacyjno-bojowe. Pragnąłem jednak zachować materiał zawierający najważniejsze dane o organizacji, a więc zestawy organizacyjne i bojowe, by je móc przenieść do naszej Ekspozytury w Sosnowcu.

Archiwum spaliłem w dniu 30 lipca, natomiast najważniejsze notatki i wyciągi włożyłem do zamkniętej koperty i w porozumieniu oraz za zgodą kpt. Ludygi-Laskowskiego przewiozłem do Rudolfa Kornke, komendanta Okręgu Bytom-Tarnowskie Góry, z rozkazem szefa sztabu przerzucenia tej poczty pod szczególną ochroną przez granicę, tj. drogą stale używaną przez naszych gońców dla łączności z Ekspozyturą w Sosnowcu, a mianowicie przez rzeczkę Brynicę koło wsi Brzozowice.

Kornke obiecał dołożyć wszelkich starań, aby poczta przeszła gładko przez granicę.

Wróciłem spokojny do hotelu „Lomnitz”, dokąd na dzień 31 lipca 1920 roku została zwołana odprawa komendantów Okręgów.

Na mój wniosek Komenda Główna zarządziła pogotowie alarmowe oddziałów szturmowych i drużyn CKM w Okręgach przemysłowych, poleciła zaznajomić komendantów okręgowych z zasadami planu operacyjnego i wzmocnić środki konspiracyjne i obserwację terenu.

Odprawa przeciągnęła się do popołudnia. W małej sali restauracyjnej hotelu komisarz Korfanty przyjmował kilkunastu oficerów sojuszników, bodajże francuskich, zaś ja w towarzystwie szefa sztabu, inspektora Graya, komendantów oddziałów bojowych Komendy Głównej POWGŚl i kilku jeszcze innych kolegów siedziałem w dużej sali restauracyjnej, gdy koło godziny

11-tej wieczorem zjawił się znany mi dobrze komendant Wielkich Piekar, Feliks Wróbel i podnieconym głosem oznajmił, że przesyłka Komendy Głównej POWGŚl wpadła w ręce „Sipo”.

Z nieco bezładnego opowiadania Wróbla wynikało, że Kornke polecił mu zadanie przerzucenia paczki przez Brynicę. Wróbel wziął do pomocy dwóch członków organizacji, studentów politechniki lwowskiej, oraz gońca Kościelnego Z. Szarleja, który już kilkakrotnie przeprowadzał się przez granicę.

Około godziny 10-tej wieczorem goniec przekraczał Brynicę, pod osłoną Wróbla, który stał na brzegu. Niestety, Wróbel nie zbadał nadbrzeżnych krzaków.

Gdy Kościelny był już w połowie rzeki, z krzaków wyskoczyło nagle trzech Sipo, krzycząc w stronę brodzącego gońca:

— *Halt, zurueck, oder ich schiesse!* (Stój, zwracaj, bo będę strzelał).

Kościelny zatrzymał się i po chwili wahania wrócił na śląski brzeg i oddał paczkę jednemu z „Sipo”.

Wróbel na ten widok zaczął strzelać do „Sipo”, lecz w zderzeniu ranił tylko towarzyszącego mu powstańca, gdy „Sipo” uszło bez szkody wraz ze zdobyczą do Szarleja.

Po nieudanej strzelaninie Wróbel postanowił udać się osobiście do hotelu „Lomnitz”, by o wypadku zawiadomić Komendę Główną POWGŚl, a towarzyszącym mu studentom kazał zawiadomić o wyspie komendanta Okręgu, Kornke’go.

Zaalarmowany Kornke zamierzał odbić paczkę, lecz sam napadnięty przez patrol „Sipo”, który został zaalarmowany strzelaniną, przeżył ciężkie chwile, bo walkę z jednym z „Sipo”, którego w końcu zastrzelił wyrwanym mu pistoletem, podczas gdy drugiego ciężko ranił towarzyszący mu student.

Wobec takiego obrotu sprawy Kornke musiał się ukrywać, podczas gdy jeden ze studentów, Rzepecki, przyszedł do „Lomnitza”, aby nas zawiadomić o strzelaninie³.

Zastanowiliśmy się czy był to przypadek, czy zdrada, i czyja? Że Wróbel zawiódł, nie ulegało żadnej wątpliwości, ale ani jego, ani oczywiście studentów o zdradę nie można było posądzać. Czy więc mógł zdradzić Kościelny? Zarówno Wróbel, jak i później Kornke wykluczali tę możliwość. W swym sprawozdaniu pisze jednak Kornke (strona 120): „Zdrajcą mógł być z wyrachowania albo z przypadku jedynie goniec K. Jeśli nie zdradził z wyrachowania, mógł jako młody chłopak przechwalić się w obecności

3. Szczegółowo opisuje to zajście Rudolf Kornke w „Pamiętnikach Powstańców Śląskich”, II str. 118 i nast., wydawnictwo „Śląsk”, Katowice 1961.

ludzi niepowołanych swym zleceniem, co ktoś z przysłuchujących doniósł natychmiast żandarmerii”.

Tak czy inaczej, był to dla POWGŚl cios niewątpliwie groźny. Można się było spodziewać, że zostanie wykorzystany zarówno przez stronę niemiecką, jak i przez Korfanteo.

Pierwszą myślą było odebrać papiery z posterunku w Szarleju.

Udaliśmy się więc natychmiast, ja i Machnicki, dowódca oddziałów bojowych Komendy Głównej POWGŚl, do Szarleja dla przeprowadzenia wywiadu. Znaleźliśmy się tam już około 12-tej w nocy.

Pobieżny wywiad wykazał, że odbicie przesyłki nie byłoby zbyt trudnym zadaniem, należało tylko mieć co najmniej 6-7 ludzi uzbrojonych, oraz narzędzia i materiał wybuchowy, gdyż trzeba było przeciąć przewody telefoniczne oraz wysadzić drzwi wejściowe.

Gdy jednak zaproponowałem Machnickiemu użycie jego oddziału, odpowiedział, że jest on w dyspozycji szefa sztabu. Musieliśmy więc wrócić do „Lomnitzt” dla uzyskania odpowiedniego rozkazu.

Wracaliśmy piechotą, gdyż kolejki już nie jeździły. Około godziny 3-ciej nad ranem zastaliśmy cały „Lomnitz” śpiący, a szef sztabu Ludyga-Laskowski wyjechał do siebie do Katowic. Musieliśmy więc czekać do rana.

Rano szef sztabu po rozmowie z Korfantem odmówił wydania rozkazu odbicia poczty, uzasadniając to koniecznością zachowania spokoju i niezadrażniania sytuacji.

Wobec powyższego pozostawało jedynie zarządzić środki przeciwdziałające przypuszczalnemu uderzeniu na organizację przez policję niemiecką, rozporządzającą danymi z przychwyconej poczty.

Na zwołanej odprawie, bodajże w dniu 3 sierpnia, komendanci okręgów zostali powiadomieni o wyspie, oraz omówione zostało wzmocnienie środków konspiracyjnych i przegrupowań organizacyjnych. Jednak bieg wypadków następował tak szybko, że wyspa nie wywołała żadnej reakcji ze strony policji niemieckiej ani też w Komisji Sojuszniczej, czego najbardziej obawiał się komisarz Korfanty.

Dla niego wyspa była dobrym powodem, do położenia ręki na organizacji, jako kierowanej nieudolnie i sprawiającej niepotrzebne komplikacje polityczne. Takie było jego stanowisko w rozmowach ze Zgrzebniakiem i Ludygą-Laskowskim. Długo jednak zastanawiał się nad sposobem pozbycia się niewygodnego dla siebie kierownictwa POWGŚl.

W międzyczasie byłem wezwany do Korfantego który, w złym humorze, rzucił pytanie:

— Kto wydał rozkaz przeniesienia papierów za granicę?

— Ja i szef sztabu, Ludyga-Laskowski! — odpowiedziałem szczerze.

Korfanty był zaskoczony tym prostym stwierdzeniem. Nie wiem, o co mu właściwie chodziło. Milczał przez jakiś czas, w końcu powiedział:

— Dziękuję panu!

Wreszcie dnia 5 sierpnia pękła bomba. Komendant Zgrzebnik powrócił w godzinach przedpołudniowych bardzo wzburzony od Korfantego, zwołał natychmiast odprawę całego sztabu i oświadczył nam, że komisarz Korfanty zażądał usunięcia Komendy z „Lomnitza” i grozi rozwiązaniem POWGŚl. Usunięcie ma nastąpić natychmiast. Jakie jest nasze zdanie w tej sprawie.

Odpowiedzieliśmy, że o rozwiązaniu organizacji nie ma mowy. Co do dalszych losów Komendy zdania były podzielone. Komendant Zgrzebnik, referent wywiadu Hirszel oraz referent broni i łączności Wardaszko, byli za natychmiastowym przeniesieniem siedziby Komendy do Sosnowca, gdzie znajdowała się nasza Ekspozytura, natomiast inspektor Gray, ja i referent gospodarczy Majewski, byliśmy za pozostaniem na terenie Śląska, obawiając się, że w razie przeniesienia nastąpi rozluźnienie łączności między Komendą a organizacją.

Szef sztabu Ludyga-Laskowski oraz adiutant Komendy, Szafarczyk, proponowali jeszcze pertraktacje z Korfantym, gdyż chodziło o demobilizowanych hallerczyków.

Po rozmowie Ludygi z Korfantym stanęło wreszcie na tym, że Zgrzebnik, Hirszel i Wardaszko przenieśli się do Sosnowca, tworząc tam siedzibę Głównej Komendy POWGŚl, natomiast szef sztabu i Szafarczyk, czyli referat demobilizacji hallerczyków, pozostał w „Lomnitzu”, w dawnym pokoju Komendy. Również pozostał tam inspektor Gray. Natomiast ja, Majewski i Machnicki stworzyliśmy niejako podkomendę w naszym hotelu „Central”, przy ulicy Kolejowej w Bytomiu. Właścicielem tego hotelu był czujący jeszcze po polsku Nowak.

Znaczenie naszej placówki polegało na utrzymywaniu bezpośredniej łączności z organizacją przez Komendę, — co z Sosnowca przez granicę, wówczas silnie obsadzoną przez „Sipo”, było trudne i niebezpieczne. Nasz punkt był więc składnicą meldunkową Komendy Głównej, a ponadto pozwalał na natychmiastowe decyzje w wypadku jakiejś akcji ze strony niemieckiej.

Liczyliśmy się z tym, że był to okres przejściowy; szło bowiem o wyjaśnienie skutków wsypy z jednej strony, a z drugiej

o rozwój ogólnej sytuacji Polski, która wówczas znajdowała się w groźnym okresie wojny polsko-sowieckiej, gdy wojska czerwone zbliżały się pod mury Warszawy.

Wybuch powstania

Dni od 5 do 17 sierpnia, kiedy trwałem w pokoju hotelu „Central”, w składnicy meldunkowej Komendy Głównej POWGŚl, były dla mnie okresem coraz to zmniejszającego się zakresu pracy, natomiast ogromnego wyczerpującego nerwy psychicznego napięcia.

Przedewszystkim zdezwauowanie Komendy Głównej przez Korfanteo oderwało nas od polskich czynników oficjalnych, stawiając niejako Komendę POWGŚl w stosunku do Komisariatu na płaszczyźnie nielegalnej, na płaszczyźnie podziemia. Czuliśmy jednak, że odpowiedzialność organizacji za sprawę polską na Śląsku nie tylko się zmniejszyła, lecz wręcz przeciwnie, wzrosła.

Pod wpływem niekorzystnego dla wojsk polskich rozwoju sytuacji na froncie wschodnim, Niemcy podnieśli głowę, przygotowując się do *fait accompli* na Śląsku. Terror policji wzmógł się niesłychanie. Nie było dnia, aby nie dochodziły nas wieści o napadach i aresztowaniach Polaków. Nici i więzy organizacyjne rwały się. Ludzie wędrowali do więzień lub uciekali do Polski. Po ulicach przechadzały się jawnie bojówki niemieckie, złożone z ludzi młodych, butnych i zaczepnych.

Prasa niemiecka grubymi czcionkami podawała wiadomości o klęskach wojsk polskich, przepowiadając nieuchronny upadek Państwa Polskiego. W powietrzu czuło się zbliżającą burzę, lecz utrudniona działalność naszego wywiadu i rozczłonkowanie Komendy nie dawały mi żadnego poglądu, kiedy i gdzie ma nastąpić uderzenie.

Cały czas myślałem gorączkowo nad środkami, które mogłyby się okazać skuteczne w razie wystąpienia niemieckiego. Tymczasem położenie stawało się coraz to groźniejsze.

Wojska czerwone zbliżały się pod Warszawę i każdy czuł, że z chwilą upadku stolicy nastąpić może koniec niepodległej Polski. Z chwilą wprowadzenia w Polsce ustroju komunistycznego, sprawa Śląska będzie przegrana dla Polski, gdyż ani plebiscyt nie będzie możliwy, ani też do tego nie dopuszczą komuniści niemieccy, którzy pokazali swą siłę w rewolucji spartakusowskiej. Bojkot przewozów amunicji dla Polski przeprowadzony przez partie komunistyczne i socjalistyczne Niemiec i Czech był naj-

lepszym dowodem po czyjej stronie opowiadała się wówczas polityka komunistyczna.

A więc cały wysiłek na nic, dalsze trwanie na straconym posterunku jest najzupełniej bezcelowe, tym bardziej, że przedłużanie się takiego prowizorium było i dla samej organizacji szkodliwe.

Komendanci okręgów nie stracili bezpośredniej łączności z Komisariatem, tam zresztą mile widziani; solą w oku Korfatego byli nie działacze terenowi, lecz Komenda. Korfanty pragnął nawet przeciągnąć ich na swą stronę, by uzyskać bezpośredni wpływ na organizację. W „Lomnitzu” urzędował jeszcze Ludyga-Laskowski i Szafarczyk, tak, że przy oderwaniu się Zgrzebnioka od terenu punkt ciężkości działania organizacji coraz bardziej przesunął się z ośrodków Komendy na ośrodki pozaorganizacyjne.

Skorzystałem z wyjazdu służbowego do Sosnowca referenta gospodarczego, Majewskiego, ażeby przedstawić Zgrzebniokowi mój wniosek o odwołanie mnie z mojego stanowiska, który, jak uzasadniałem, nie daje możliwości przeciwstawienia się nieprzyjacielowi.

Dnia 17 sierpnia zjawił się w hotelu „Central” w samochodzie Komendy Głównej POWGŚl, nasz oficer łącznikowy, poliglota Chlebek, z rozkazem komendanta Zgrzebnioka, aby wszyscy członkowie Komendy Głównej, z wyjątkiem Szafarczyka, prowadzącego referat demobilizacyjny hallerczyków, przenieśli swe siedziby do Sosnowca. Mnie i Machnickiego miał zabrać Chlebek samochodem.

Jako ważny szczegół, który może ocalił nam życie, podaję, że samochód Komendy Głównej POWGŚl ze względów konspiracyjnych i na zarządzenie Zgrzebnioka nie posiadał numeru Polskiego Komisariatu — P — lecz zwykły niemiecki numer rejestracyjny. Zgrzebniokowi słusznie chodziło o to, aby mógł swobodniej poruszać się w terenie, nie zwracając na siebie uwagi, że jest Polakiem; było to o tyle istotne, że wisiał nad nim jeszcze z czasów pierwszego powstania „Haftbefehl” (nakaz aresztu).

Wyruszyliśmy po obiedzie wraz z Chlebkiem samochodem do Katowic. Wiadomości, jakie Chlebek przywiózł, były fatalne. Wojska czerwone walczyły już na przedmieściach Warszawy, a w Katowicach Niemcy uderzyli na wojska francuskie, zmuszając je do wycofania się poza granice miasta. Przypuszczalnie więc spodziewane uderzenie niemieckie szło na Katowice, lecz rozmiar i zasięg uderzenia nie był nam znane.

Ponieważ w Katowicach wrzało, Chlebek wybrał drogę okrężną na Załęże, a dalej, z Placu Miarki pod przejazdem kolejowym na ulicę, zwaną później Kościuszki, omijając centrum miasta.

Gdy wjechaliśmy na placyk, znajdujący się u wylotu ulicy Kościuszki przy przejeździe kolejowym, prowadzącym do dworca w Katowicach, zatrzymał nas okrzykiem „halt” patrol bojówki niemieckiej. Sprawdzili papiery, były oczywiście w porządku, samochód miał rejestrację niemiecką. Chlebek wyjaśnił im po niemiecku, że chcemy udać się do znajomych na Zawodziu.

Bojówkarze przepuścili nas, ostrzegając tylko, abyśmy nie wazyli się jechać przez centrum Katowic, bo tam „ist heiss” (jest gorąco).

Ruszyliśmy więc, odetchnąwszy głęboko, dalej w stronę Zawodzia, ulicą nazwaną potem 27 Stycznia, prowadzącą obok później wybudowanych gmachów Sejmu i Województwa Śląskiego. Po drodze kupiliśmy dzienniki niemieckie, które donosiły olbrzymimi czcionkami o upadku Warszawy. Do Sosnowca przyjechaliśmy nieco po południu, w stanie najwyższej rozpaczy.

Zgrzebnioka nie zastaliśmy, bo był w Warszawie. Kierownik naszej Ekspozytury w Sosnowcu, Nowaczek, zaprosił mnie na obiad. Omówiliśmy z nim położenie. Miał on wiadomości, że Niemcy uderzyli na polskie placówki w Katowicach. Wobec upadku Warszawy uważaliśmy, że tak dla naszej organizacji, jak i dla sprawy polskiej w ogóle na Śląsku, przyszedł koniec.

Naszym obowiązkiem jest raczej iść na front, niż w bezczynności oczekiwać tego końca. Postanowiliśmy nazajutrz, po powrocie Zgrzebnioka, stanąć do raportu z prośbą o zwolnienie nas na front.

Tak też uczyniliśmy.

Ale Zgrzebionek nie chciał o tym słyszeć. Jak to, w czasie gdy Niemcy napadli na nas, gdy nie wiadomo, jak się wypadki rozwiną, gdy od organizacji trzeba spodziewać się jak największego wysiłku, w tej chwili opuszczać posterunki? Wykluczone! Zresztą ma przyjechać kpt. Puszczyński do Sosnowca, to różne sprawy wyjaśni się.

Nawiasem dodaję, że kpt. Puszczyński był kierownikiem referatu śląskiego w Wydziale Plebiscytowym. Co do upadku Warszawy to Zgrzebniok o tym nie słyszał, chyba, że to się stało w nocy, ale strzały armatnie słyszał w Warszawie doskonale.

Wobec odmownego stanowiska Zgrzebnioka i uznając jego argumenty, powróciliśmy do pracy.

Wiadomości ze Śląska były groźne. Niemcy zamordowali poprzedniego dnia dr Mielęckiego, spieszącego rannym na pomoc. Następnie spalili w Katowicach redakcję i administrację polskiego pisma w języku niemieckim „Schlesische Zeitung”, zniszczyli polską kawiarnię Górskiego i inne ośrodki polskie. Wreszcie

dziś, tj. 18 sierpnia, uderzyli na Komisariat Plebiscytowy w Katowicach, na czele którego stał dr Jarczyk.

Zorganizowana na prędce obrona walczyła dzielnie, lecz było pewne, że w końcu ulegnie.

Stanęły przed nami palące pytania: Jak się zachować w tym położeniu? Czy organizacja winna iść na pomoc Komisariatowi w Katowicach? I w jaki sposób? Czy POWGŚl wobec przewidywanego upadku Warszawy ma się wplątać w awanturę, mogącą przynieść polityczne komplikacje, których my przewidzieć nie możemy? Czy możemy działać na własną rękę bez zgody czynników politycznych, w tym wypadku przynajmniej komisarza Korfantego? Czy wobec przewagi niemieckiej taka akcja może mieć w ogóle powodzenie? Czy nie skończy się klęską jak w pierwszym powstaniu, w tym wypadku podwójną, bo i polityczną?

Wobec niemożności porozumienia się z Korfantym, Zgrzebniok, wołał raczej poczekać na przyjazd kpt. Puszczyńskiego.

Gdy więc w tak rozpaczliwym położeniu, pod wpływem wiadomości o upadku Warszawy i o krwawych rozruchach niemieckim w Katowicach, nie mogliśmy powziąć samodzielnie decyzji, na podwórzu koszar Traugutta w Sosnowcu, gdzie mieliśmy swoją siedzibę, wmaszerował po godzinie 16-tej oddział powstańców w sile baonu, pod dowództwem komendanta okręgu Katowice-Pszczyna, Walentego Fojkisa.

Fojkis zameldował się w komendzie i zażądał od Zgrzebnioka wydania broni dla batalionu, aby pójść z odsieczą Komisariatowi w Katowicach, pomścić śmierć dr Mieleckiego i rozbić Niemców, których terror i prowokacje są nie do zniesienia.

Fojkis mówił gwałtownie, z głębokim przejęciem i groził, że ludzie z POW są u kresu cierpliwości i że nie odpowiada za wypadki w razie odmowy wydania broni.

Komenda POWGŚl miała w odwodzie dwa magazyny broni z czasów pierwszego powstania śląskiego: jeden w koszarach Traugutta, w ilości około 400 karabinów i kilku sztuk CKM, oraz w Wojkowicach, około 7 klm na północ od Sosnowca, w ilości około 200 karabinów i kilku sztuk CKM.

Magazyn w Sosnowcu był przeznaczony w planie operacyjnym na powiat Katowice, natomiast w Wojkowicach dla powiatu Bytom. O tym komendanci Okręgów, a więc katowicki Fojkis i bytomski Kornke, byli powiadomieni.

W jaki sposób doszło do tego marszu na Komendę Główną POWGŚl?

Otóż na wieść o zamordowaniu dr. Mieleckiego i napadzie na Komisariat w Katowicach, Polacy zaczęli się burzyć, przewidując,

że za tymi ciosami przyjdą następne, skierowane przeciwko całej ludności polskiej na Górnym Śląsku. Zwłaszcza w okolicach, gdzie organizacja POWGŚl była silna i gdzie była przewaga ludności polskiej, jak np. w Szopienicach, oburzenie było niezwykle silne.

Pod wpływem tych nastrojów komendant Szopienic i tamtejszej kompanii, Jan Stanek, zmobilizował swój oddział szturmowy i uderzył na miejscowy posterunek „Sipo”, rozbijając go bez trudu, po czym, nie wiedząc co dalej robić, zabarykadował się w miejscowej szkole.

Na wieść o tym ludność i członkowie porzucili pracę i zaczęli się gromadzić wokół zdobytej szkoły. Wobec tego Fojkis zmobilizował cały baon obwodu Szopienice-Mała Dąbrówka, a nie mając broni, pomaszerował do Sosnowca.

W chwili przybycia Fojkisa znajdowaliśmy się we dwóch w Komendzie: Zgrzebniok i ja. Żądanie Fojkisa stawiało nas w niesłychanie trudnym położeniu. Wydanie broni — zdawałem sobie z tego zupełnie jasno sprawę — było równoznaczne z wybuchem powstania na Śląsku. Niedostateczna ilość broni, około 600 sztuk karabinów i 10 CKM, trochę granatów i amunicji, to szalenie mało na bądź co bądź 6-tysięczną armię.

Co można dać ludziom wysyłając ich do walki? Czy wolno wysłać ludzi bez broni? A jakie skutki polityczne, jakie ofiary poniesie Polska w razie nieudania się powstania, co zdawało się prawie pewne? Czy, jeśli wydamy broń, nie czeka nas sąd wojskowy?

Miałem w tej chwili bardzo ponure myśli, bo przecież z drugiej strony rozumiałem konieczność obrony, pójścia z pomocą zagrożonym rodakom, konieczność odwetu za morze krzywd.

Przemówienie Fojkisa trwało może z jakieś 10 minut.

Nastała grobowa cisza.

Nie wiem, co myślał w tej chwili komendant Zgrzebniok, czy dokładnie rozumiał powagę chwili. W pewnym momencie zwrócił się do mnie zapytaniem:

— Jak sądzicie, panie poruczniku, wydać broń, czy nie?

Przyznam się, że zrobiło mi się zimno. Czułem, że gdybyim powiedział nie, Zgrzebniok nie wyda broni na własną odpowiedzialność, gdy powiem tak, broń wyda, gdyż ryzyka osobistego nie będzie się obawiał.

Przeżyłem chwilę napięcia. Przez głowę przebiegały mi argumenty za i przeciw, poczucie odpowiedzialności za organizację i jej honor, za swój własny i za swą skórę.

Widziałem kraj zalany przez wojska czerwone, a Śląsk opanywany przez Niemców. Z drugiej strony bezczynność naszej

organizacji byłaby niezgodna z honorem żołnierskim. Przecież nawet w warunkach ogólnej klęski naród nie zginie, a dla historii będzie ważnym fakt powstania, świadczący o polskości Śląska.

Ten argument przeważył. Powstaniu przypisywałem takie znaczenie dla Śląska, jakie dla Polski miało powstanie kościuszkowskie — nie dający się w historii wymazać protest ludności, świadczący o czynnej, prawdziwej polskości tego kraju.

Co do mojej osobistej odpowiedzialności pocieszałem się, że przecież pójdę też na front, gdzie zginę, więc i tak wszystko mi jedno.

Aby stworzyć fakt historyczny potrzebny był jaskrawy sukces przynajmniej początkowy. Czy Fojkis dostatecznie wyszkolił swój oddział?

Zamiast więc odpowiedzieć Zgrzebniokowi wprost na jego pytanie, zwróciłem się do Fojkisa:

— Komendancie, czy to są zorganizowani ludzie?

— Ależ tak, to jest zorganizowany baon i ja za niego odpowiadam! — odpowiedział Fojkis niecierpliwie.

Wtedy zwróciłem się do Zgrzebnioka:

— Moim zdaniem, komendancie, należy wydać broń!

— No to wydamy! — odpowiedział Zgrzebniok swobodnie, i natychmiast napisał rozkaz Nowaczkowi, aby wydać broń baonowi Fojkisa.

Wychodząc z założenia, że musimy mieć początkowe sukcesy, przedstawiłem Zgrzebniokowi rozkaz, ażeby wydać baonowi katowickiemu również broń z Wojkowic i w ten sposób uzbroić cały baon w siłę przeszło 600 ludzi.

O godzinie 18-tej przeszło 400 uzbrojonych ludzi przekroczyło nieistniejącą już granicę w kierunku na Szopienice.

Kompania bodajże z Małej Dąbrówki i z Siemianowic pomaszerowała do Wojkowic, dokąd też udałem się i ja, dla przypilnowania uzbrojenia. Wszystko poszło składnie, ale gdy około północy powróciłem wreszcie do Sosnowca byłem przygnieciony odpowiedzialnością za to co się stało i zupełnie wyczerpany psychicznie. Musiałem wypocząć z mocnym postanowieniem udania się nazajutrz z oddziałem katowickim na front.

O godzinie 8 rano zjawiłem się z tym postanowieniem w koszarach Traugutta, lecz wypadki potoczyły się zupełnie inaczej, niż to sobie wyobrażałem.

Przed wszystkim zastałem tam oprócz komendanta Zgrzebnioka kpt. Puszczyńskiego, który przyjechał z Warszawy. Najważniejszą wiadomością było nie tylko zaprzeczenie o upadku stolicy, ale odwrotnie, wieść o naszym zwycięskim uderzeniu znad Wieprza. Wojska czerwone cofają się w popłochu na całym

froncie. To była zasadnicza zmiana położenia, pełna otuchy i pokrzepiająca na duchu.

Wiadomości od Fojkisa również były dobre. Cała północna część powiatu katowickiego została w drobnych miejscowych utarczkach zdobyta, a policja rozbrojona, z wyjątkiem niemieckich Siemianowic-Laurahütte.

Część południowa wokół Mysłowic też została opanowana z tym, że komenda „Sipo”, zorientowawszy się, że chodzi tu o poważniejszą akcję, wydała rozkaz posterunkom policji zebrania się w domu noclegowym w Mysłowicach, gdzie dobrze uzbrojonych kilkudziesięciu „Sipo” zostało otoczonych przez baon Ryszarda Mańki, wspomagany przez kompanię z Wilhelminy i oddziały bojowe Machnickiego ze Stanisławem Książkiem na czele. Dom ten po ciężkiej walce został w końcu zdobyty po południu, a „Sipo” rozbrojona i odprowadzona do koszar Traugutta, gdzie zaopiekowała się nimi polska żandarmeria.

Cały więc powiat katowicki wraz z Zawodziem i Dąbem był w rękach polskich, a miasto same otoczone przez powstańców. W samych Katowicach, jak wiadomo, również oddziały francuskie przeszły do natarcia i po wytoczeniu czołgów na ulice, oczyściły miasto z niemieckich bojówek.

Mimo pomyślnych wiadomości, pierwszą czynnością kpt. Puszczynskiego było zgromienie nas za wywołanie powstania. Nie dlatego, aby był on przeciwny powstaniu w zasadzie, lecz wybuch, który nastąpił bez porozumienia się z czynnikami politycznymi, a przede wszystkim z komisarzem Korfantym, groził nam sądem wojskowym. Brzmiało to dość nieprzyjemnie, chociaż obrót taki przewidywałem. Mieliśmy swoje argumenty, podobne do argumentów Fojkisa, ale to wszystko nie trafiało do przekonania kpt. Puszczynskiego. Obawa zawikłań politycznych była myślą przewodnią naszego potępienia.

Gdy tak prowadziliśmy nieprzyjemną rozmowę, nastąpił nagle zwrot zupełnie nieprzewidziany. Około godziny 10 zjawił się w Komendzie sekretarz osobisty komisarza Korfanteo, dr Matuszczyk, zresztą przyjaciel i kolega szkolny Zgrzebnioika.

Według relacji dr. Matuszczyka w „Lomnitzu” panował paniczny nastrój. Korfanty był gotów do ucieczki, a on sam dlatego opuścił Komisariat, bo widział, że jedynym czynnikiem, który jeszcze może działać jest POWGŚl.

Na pytanie kpt. Puszczynskiego, czy uważa, że POWGŚl powinna czynnie wystąpić, dr Matuszczyk potwierdził to, uważając że to jest jedyne wyjście.

Kpt. Puszczynski zapytał się go, czy może dać nam tego

rodzaju oświadczenie na piśmie, na co dr Matuszczyk natychmiast się zgodził.

Puszczyński sformułował na piśmie treść oświadczenia, które dr Matuszczyk podpisał.

Wówczas kpt. Puszczyński schował je do kieszeni i rzekł:

— Obecnie jesteśmy uratowani. Chociaż dr Matuszczyk to nie Korfanty, ale zawsze jest oficjalną osobą, a od niej mamy dowód, że powstanie jest konieczne. Wobec tego trzeba jak najbardziej je rozszerzyć, aby odnieść jak największy sukces. Należy natychmiast wydać rozkazy, nakazujące powstanie we wszystkich powiatach.

Było około 11 przed południem.

Przy redagowaniu rozkazu o powstaniu pamiętałem rozkaz organizacyjny o strefach operacyjnych. Rozkaz ten wzywał do samoobrony, polecał powszechną mobilizację członków, rozbrojenie posterunków policji i objęcie bezpieczeństwa przez posterunki POWGŚl. Był on wydany do okręgów: bytomsko-tarnogórskiego, rybnicko-raciborskiego, gliwicko-zabrskiego, oraz do powiatów: pszczyńskiego, wielko-strzeleckiego i lublinieckiego.

Rozkaz ten był niejako skanalizowaniem ruchu samej ludności, która na wieść o wypadkach w powiecie katowickim samorzutnie porzuciła pracę, mobilizując się w oddziałach POWGŚl.

Gdy komendanci okręgów otrzymali rozkaz, wzywający do powstania, nakazali natychmiast mobilizację, a oddziały szturmowe przystąpiły do rozbrajania posterunków.

Ludność niezorganizowana porzuciła samorzutnie pracę. Przez Śląsk przeszedł jakby dreszcz zgrozy i gniewu ludowego.

Po południu, dnia 19 sierpnia, powstanie było wszędzie w pełnym toku, choć o zmiennym szczęściu. Na ogół Niemcy nie wykazali wielkiego ducha oporu. Prawdopodobnie nieudane opowanie Katowic, a przede wszystkim polskie zwycięstwo nad czerwoną armią, pozbawiły ich buty.

Zresztą uderzenia powstańców odznaczały się niesłychaną zaciętością. Niektóre gniazda oporu niemieckiego trzeba było zdobywać w ciężkich walkach. Tak było w Mysłowicach, w Wielkich Hajdukach, w Hucie Pokój, w Hołodunowie, w Zabrze, we Wodzisławiu, w Łabętach i gdy w obronę Toszka włączyli się Włosi z pobliskich Wielkich Strzelec.

Walki sporadyczne trwały aż do 25 sierpnia. W tym dniu powstańcy oprócz miast mieli opanowany cały Górny Śląsk aż po Odrę, a policja i bojówki były wszędzie rozbrojone lub ograniczone do miast. Zwycięstwo odnieśliśmy pełne i nadszpiekanie wielkie.

W dniu 20 sierpnia rozplakatowano odezwę komisarza Kor-

fantego, wzywającą ludność polską do samoobrony, do strajku powszechnego, do tworzenia milicji obywatelskich. Całe życie gospodarcze Śląska stanęło, pokazując siłę społeczną polskiego żywiołu. Kominy przestały dymić. Po tylu latach poniżeń i gnębienia ludności polskiej, nastąpiła godzina odwetu: *powstanie* było zwycięskie.

Wyniki drugiego powstania śląskiego

W myśl przysłowia, że nie ten mistrz, co zaczyna, tylko ten, co kończy, Korfanty przeprowadził likwidację drugiego powstania, wyzyskując zręcznie swoje doskonałe położenie, wywołane z jednej strony zwycięstwem polskim na wschodzie, a z drugiej strony zwycięskim powstaniem na Śląsku.

Przede wszystkim zwrócili się do Korfatego o normalizację stosunków na Śląsku przedstawiciele związków zawodowych i związków pracodawców, oczywiście niemieckich. Organizacje te wpłynęły również na niemieckiego komisarza plebiscytowego Urbanka.

Korfanty zażądał wciągnięcia do pertraktacji Rządzącej i Plebiscytowej Komisji Sojuszniczej, chcąc rozszerzyć kontrolę nad stroną niemiecką.

Warunki Korfatego, na które Niemcy musieli się zgodzić, były następujące:

1. Rozwiązanie „Sipo” i zastąpienie jej Policją Plebiscytową, złożoną w połowie z Polaków i w połowie z Niemców, w obydwu wypadkach jedynie z rodowitych Ślązaków.

Było to rozwiązanie zasadnicze o rozstrzygającym znaczeniu dla sprawy polskiej na Śląsku, gdyż strona niemiecka została pozbawiona za jednym zamachem organu terroru i walki z polskością. Terror niemiecki został złamany, umożliwiając stronie polskiej działalność organizacyjną i propagandową w warunkach swobodnych. Administracja niemiecka, która pozostała prawie nienaruszona, nie miała wpływu na kształtowanie życia publicznego na Śląsku wyłącznie dla niemieckich celów politycznych. Złamanie tego aparatu było warunkiem nieodzownym dla przeprowadzenia plebiscytu, który miał być aktem swobodnego wyrażenia woli ludności.

Z tego punktu widzenia zwycięskie drugie powstanie stało się kluczem dla rozwiązania sprawy ludności polskiej Górnego Śląska.

Swoboda działania organizacji polskich umożliwiła zorganizowanie się i przygotowanie do późniejszego trzeciego powstania

śląskiego. Rozmach i dynamika tego ruchu nie byłyby możliwe, gdyby nie zwycięskie przeprowadzenie drugiego powstania.

Korfanty zresztą przekonał się, że w rozgrywce o Śląsk nie należy lekceważyć przygotowania wojskowego ludności, zmieniając zasadniczo swój stosunek do przyszłej organizacji wojskowej.

2. Z terenu plebiscytowego zostali usunięci wszyscy nie-Słazacy, z wyjątkiem osób, mających stałe zatrudnienie. W ten sposób organizacja bojówek niemieckich została złamana, gdyż nie dało się zaprzeczyć, że trzonem organizacji „Orgesch” byli Niemcy spoza terenu plebiscytowego.

3. Ustalono datę plebiscytu i w ten sposób pozbawiono Niemców nadziei, że sprawa Górnego Śląska zostanie załatwiona w myśl ich życzeń, tj. bez plebiscytu.

4. Usprawniono instytucję tzw. „Kontrolerów Powiatowych” Władz Sojuszniczych, mających za zadanie czuwać nad neutralnością administracji niemieckiej.

5. Wreszcie Korfanty wymógł wypłatę dniówek za okres strajku generalnego, a zatem za okres powstania. Wzmocniło to stronę polską i miało polityczne znaczenie, gdyż Niemcy w zasadzie uznali, że powstanie było słuszną reakcją na ich prowokacje, że Polacy działali jedynie na zasadzie słusznej samoobrony.

Po uzyskaniu zgody na powyższe warunki, obydwaj komisarze plebiscytowi, tj. Korfanty i Urbanek, wydali wspólną odezwę w dniu 28 sierpnia, wzywającą ludność do powrotu do pracy i do złożenia broni, podając jednocześnie ustalone powyżej warunki do powszechnej wiadomości.

W ten sposób powstanie zostało zakończone. Bohaterska karta z dziejów ludności śląskiej została zamknięta odniesionym zwycięstwem. Kierownictwo plebiscytu ze strony polskiej mogło patrzeć z ufnością w przyszłość, bo nie tylko zasadniczo zmieniły się warunki pracy, ale i postawa ludności polskiej była zupełnie inna i inne jej samopoczucie.

A jednak POWGŚl, organizacja która dokonała tego przewrotu, która pracą prowadzoną w tak trudnych warunkach osiągnęła zwycięstwo, została zlikwidowana w dniu 25 sierpnia. Było to zapewne postanowione jeszcze przed wybuchem powstania, pod wpływem nacisku ze strony Korfantego.

Podczas trwania powstania zażądał bowiem Korfanty podporządkowania się mu Komendy, względnie przekazanie jej jego pełnomocnikom, Potyce i Paluchowi. Zamiast POWGŚl zorganizowano, jako Wydział Komisariatu, tzw. „Centralę Wychowania Fizycznego”, na czele której stanęli nowi ludzie: Chmielewski, dr. Borelowski i Przedpełski. Szefem sztabu tej nowej organizacji

był przez jakiś czas „honoris causa” Alfons Zgrzebniok. Inni członkowie Komendy Głównej POWGŚl zostali rozproszeni po całym terenie, otrzymując nowe przydziały, jeśli w ogóle nie wycofali się z pracy na terenie plebiscytowym.

Dr Jerzy PASZKOWSKI

ŻYCIORYS

Jerzy Paszkowski, ur. w Bliżynie, pow. Konecki, dn. 17 października 1897, uzyskuje w r. 1914 maturę w Kieleckiej Szkole Handlowej. W latach 1912-14 należy do szkolnej tajnej organizacji niepodległościowej „Zarzewie”.

Podczas wojny jako podchorąży Polskiej Organizacji Wojskowej pełni funkcję Komendanta różnych Obwodów P.O.W. w Okręgach Kieleckim i Radomskim, oraz w roku 1918 jest czynnym członkiem Oddziałów Lotnych P.O.W. Okręgu Radomskiego.

Po akcji pod Bąkowcem obejmuje Obwód Skarżysko, gdzie w dniach 30/31 października 1918 r. mobilizuje kompanię P.O.W. i rozbraja miejscowy garnizon austriacki w sile baonu kolejowym, po czym przechodzi do W.P. do pułku 24, a następnie do 34, skąd zostaje przydzielony jako instruktor do oddziałów tzw. Milicji Ludowej. W międzyczasie bierze ochotniczo udział, jako d-ca baonu powstańczego, w 1-szym powstaniu śląskim, skąd z obozu „Zawiercie” powraca do swego oddziału w skład 14-ej Dyw. Wielkopolskiej do Bobrujska, gdzie wkrótce zostaje zast. K-ta Twierdzy Bobrujsk. W maju 1920 roku zostaje oddany do dyspozycji M.S. Wojsk i przedostaje się na G. Śląsk na teren plebiscytowy, gdzie obejmuje funkcję Ref. org.-op w Komendzie Gł. P.O.W.G.Śl., reorganizując P.O.W. i przygotowując ją do 2-go powstania w dn. 18 sierpnia 1920 roku.

Przed 3-im powstaniem zostaje instruktorem wojskowym pow. Bytomskiego, opanowując oddziałami P.O.W. pow. Bytomski podczas wybuchu 3-go powstania.

Po zakończeniu sprawy śląskiej zostaje przydzielony do Sztabu Gł. Po demobilizacji, przechodzi w roku 1927 do dziennikarstwa na Śląsku, jako redaktor miesięcznika „Powstaniec Śląski”, kroniki towarzystw półwojskowych w dzienniku „Polska Zachodnia” i jako korespondent „Głosu Prawdy”. Jednocześnie rozpoczyna studia prawnicze na U.J. w Krakowie, przenosząc się w r. 1931 do Warszawy i na tamt. uniwersytet.

Po uzyskaniu stopnia mag. praw zostaje wybran burmistrzem miasta Ruda Śl., pełniąc ten urząd od 1. 4. 34 do 1. 9. 39. Po wybuchu wojny przedostaje się do Armii Polskiej we Francji, gdzie obejmuje jako kapitan W.P. kompanię III/6 p.p. w 2 Dyw. Strz. Pieszych. W składzie tej dywizji zostaje internowany w Szwajcarii, gdzie zostaje przydzielony jako asystent prawa publicznego i administracyjnego do Obozu uniwersyteckiego dla internowanych studentów przy Wyższej Szkole Handlowej w St. Gallen.

Jednocześnie rozpoczyna studia na tej uczelni, uzyskując w roku 1947 tytuł doktora nauk ekonomicznych.

Po zakończeniu wojny pozostaje na wychodźstwie, pracując w prywatnych przedsiębiorstwach szwajcarskich.

Dorywczo zamieszcza artykuły w prasie polskiej i szwajcarskiej, zwłaszcza na tematy gospodarki polskiej.

CENZURA W POLSCE

TRUDNOŚCI WYDAWNICZE

Odporność polska na wzory sowieckie

System dyktatury sowieckiej, który obecnie jest wzorem dla wszystkich krajów za „żelazną kurtyną”, uznaje wszelkie drukowane słowo za wyłączny przywilej partii komunistycznej, utożsamionej z władzą państwową. Nic nie może się ukazać w druku, co byłoby sprzeczne z bieżącą polityką partii. Cenzura jednak ma tam zadanie ułatwione, gdyż wszyscy redaktorzy i autorzy są mianowani i sami są „cenzorami”. Działają w ramach instrukcji, wyraźnych nakazów i zakazów, które otrzymują od swych władz partyjnych. Gorliwość ich jest zrozumiała, gdyż odpowiadają nie tylko swoją karierą ale i głową. O jakiejś samodzielności nie ma mowy. Krytyka odbywa się również na rozkaz z góry, gdy już postanowiona została czyjaś likwidacja.

Komuniści, obejmując władzę w krajach za „żelazną kurtyną”, na razie musieli się liczyć z warunkami lokalnymi. Przystosowanie do systemu sowieckiego następowało stopniowo we wszystkich dziedzinach. Ale najpierwszym zadaniem poza objęciem w swe ręce policji, było zahamowanie wolności słowa.

W Polsce jednak nie udało się od razu ująć w karby słowa mówionego. Terror policyjny nie działał na masy zorganizowane

Pracę niniejszą o cenzurze w Polsce w latach 1945-47 pisałem już na emigracji w 1949 r. na podstawie doświadczeń jako ówczesny kierownik Wydziału Prasy P.S.L., oraz na podstawie kompletu odbitek korektorskich, na których cenzorzy czynili skreślenia i uwagi.

silnie w podziemiu przeciwniemieckim. Były one za bardzo bojowo nastawione. Walkę o pełną niepodległość i rzeczywistą demokrację uważały za święty obowiązek. Były pełne wiary w przyszłość po usunięciu najazdu hitlerowskiego, wierząc w pomoc demokracji zachodnich. Przez cały kraj przeszła fala samorządnego organizowania się i zebrań. Żadne zakazy i represje nie pomogły. Nastrojowi temu uległ cały naród a zwłaszcza wieś, która masowo należała przedtem do podziemnego Stronnictwa Ludowego, Batalionów Chłopskich i Armii Krajowej. Trzeba było kilku lat terroru, aby narodowi zamknąć usta.

Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk

Słowo drukowane dało się jednak od razu ująć w karby systemu, zbliżonego do sowieckiego. Służyło ku temu szereg przemysłowych metod, wykonaniem których zajął się specjalnie utworzony organ, Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk. Nie miał on uzasadnienia prawnego w konstytucji z 1921 roku, teoretycznie uznawanej za obowiązującą. Urząd ten ma centralę w Warszawie, oraz oddziały rozsiane po całym kraju. Na czele stoją zaufani komuniści. Decyzje ich są bezapelacyjne, nie ma żadnej prawnej formy odwołania. Uprawnienia ich są tak szerokie, iż cenzurują nawet ministrów-komunistów. Zdarzyło się to np. min. Radkiewiczowi w mowie wygłoszonej w kwietniu 1946 roku w KRN (sejmie), gdy niebacznie wyznał, iż musiał usunąć kilkuset nieprawomyślnych policjantów. Cenzorzy pilnują więc, aby w prasie ukazało się nie to, co minister oświadczył, ale to, co powinien był powiedzieć.

Zezwolenie na wydawnictwo

Urząd ten jednak ma wiele sposobów, aby w ogóle nie stosować cenzury. Najprostszy jest przepis, iż na stałe wydawnictwa trzeba uzyskać zezwolenie. Nie otrzyma go ani osoba, ani instytucja czy też partia, jeżeli nie odpowiada to interesom komunistów. W pierwszym okresie ich rządów cały szereg organizacji starało się o to bezskutecznie. Natomiast założono szereg wydawnictw, których redakcje, na wzór sowiecki, powierzono komunistom lub im posłusznym, zabezpieczając w ten sposób treść zgodną z dyrektywami partii.

Upaństwowienie drukarni i papieru

Rząd upaństwowił wszystkie drukarnie, oddając je pod nadzór Urzędu Kontroli. Na razie pozostawiono niektóre z nich

w zarządzie dotychczasowych posiadaczy, ale jako dzierżawców, którym można było odebrać je każdej chwili. Dochodziło do tak humorystycznych objawów, iż upaństwowiono nawet ręczne maszyny drukarskie, używane przez podziemną prasę w czasie okupacji niemieckiej. Taki sam los spotkał i naszą lilipucią maszynkę o powierzchni 10x10 cali...

Rząd upaństwowił również wszystkie fabryki papieru. Przydziałem papieru rozporządzał również Urząd Kontroli. Pisma komunistyczne i pokrewne nie miały żadnych ograniczeń w przydziale papieru, natomiast stosowano to gorliwie w odniesieniu do pism opozycyjnych.

„Gazeta Ludowa”

Jedynym niezależnym pismem codziennym, na istnienie którego zezwolono, była „Gazeta Ludowa”, wydawana przez PSL. Od 6 listopada 1945 roku, gdy wyszedł jej pierwszy numer, z dnia na dzień nakład jej stale rósł i szybko zmierzał do 200 tys. z poważnymi widokami na powiększenie do 500 tys., co na polskie stosunki było niesłychanym zjawiskiem. Żadna bowiem z kilkudziesięciu innych gazet w przybliżeniu nawet nie osiągnęła wówczas takiego nakładu mimo wszelkiego rodzaju rządowej pomocy. W marcu 1946 roku Urząd Kontroli zawiadomił, iż nakład „Gazety Ludowej” nie może przewyższać 62 i pół tys. egzemplarzy. Dlaczego ma być on taki, nigdy nie wyjaśnił...

„Gazetę Ludową” tłoczono w drukarni państwowej („Czytelnika”), gdzie kontrolowano, aby ani jednego egzemplarza więcej nie można było wybić. PSL żadnej maszyny rotacyjnej nie chciano przydzielić, a gdy odremontowano starą, spaloną w czasie wojny, policja zabrała ją bezpodstawnie.

Toteż nastąpiło zjawisko niespotykane w dziejach wydawniczych. „Gazeta Ludowa”, której cena podana na egzemplarzu wynosiła 2 zł., sprzedawana była przez kolporterów czytelnikom przeciętnie po 5 — 10 zł., a za niektóre numery płacono 100 zł., zwłaszcza na prowincji. Sam np. w Lublinie zapłaciłem 50 zł...

Upaństwowiony kolportaż

Jeszcze jeden hamulec dla prasy opozycyjnej stanowiło scentralizowanie całego kolportażu pism w specjalnej organizacji „Czytelnik”. Pism i książek niezależnych „Czytelnik” celowo nie rozsyłał a nakłady zwracał jako nierozsprzedane. A gdy wobec takich szykan sami organizowaliśmy kolportaż, wówczas występowała policja, prześladowując sprzedawców biciem, aresztowa-

niem lub też bezprawnym niszczeniem legalnych pism. Stąd też pochodziła tak wysoka cena „Gazety Ludowej”, choć kolporterzy płacili za nią tylko 1 zł. 20 gr.

Ale i inne sposoby stosowano, aby utrudnić rozprowadzenie „Gazety Ludowej”. Gdy administracja dawała ogłoszenie gdzie można dostać gazetę po cenie normalnej, cenzura takie ogłoszenie skreślała. Trzykrotnie polecałem ponawiać je, sam interwenio wałem w Urzędzie Kontroli — bezskutecznie.

TECHNIKA CENZURY

Żadne słowo drukowane nie może wyjść bez nieodzownego napisu: „Zezwala się na drukowanie”, zaopatrzonego pieczętą Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk. Ale to dotyczy stałych pism, inne druki muszą mieć jeszcze dodatkową pieczęć: „Zezwala się rozpowszechniać”, po uzyskaniu której dopiero wolno je rozsyłać.

Cenzura obejmuje dosłownie wszystko, co jest drukowane. Nie tylko książki i stałe wydawnictwa, ale również programy koncertów, zawiadomienia o balu, nekrologi rozlepiane na kościołach, ogłoszenia handlowe, bilety wizytowe, chociażby zawierały tylko imię i nazwisko.

Sama czynność wydrukowania czegokolwiek wymaga, jeżeli chodzi np. o książki, złożenia kilku egzemplarzy maszynopisu do cenzury, oraz podania o przydział papieru, a wreszcie znalezienia drukarni, która zechce przyjąć pracę. Nie łatwo było przebrnąć przez te przeszkody. Wydawnictwa stałe wolno składać w drukarni. Wysłała ona kilka odbitek do cenzury i otrzymawszy nieodzowną pieczętą, może drukować tylko to, co jest na tym egzemplarzu, uwzględniając wszystkie poprawki i skreślenia cenzora bez żadnych zmian.

Cenzor „współredaktorem”

Można zwracać się o przywrócenie tekstu pierwotnego. Można również pytać, co jest złego w odrzuconym np. całym artykule. Odpowiedź zależy od humoru cenzora. Autor czasem sam próbuje poczynić zmiany i drugi raz daje do cenzury. Znałem takie trzykrotne próby. Albo też sam cenzor czyni zmiany, występując jako „współautor”. Jedyne, co wówczas zostaje autorowi lub redakcji, to wolność wycofania całego artykułu, książki lub notatki.

Jakież to utrudnienie dla dziennika. W nocy redaktorzy muszą telefonować lub chodzić do cenzury, co opóźnia wydanie numeru. Z „Gazetą Ludową” czyniono to systematycznie nie tylko ze względu na treść, ale z powodów ściśle konkurencyjnych, aby opóźnić wyjście pisma i zmusić do kupowania komunistycznych.

Dodać do tego należy, iż w niektórych okresach przeciętna konfiskata obejmowała około 10 notatek i artykułów stanowiących od 1/4 do 3/4 całego pisma. Ponieważ przepisy nie zezwalały na pozostawienie pustego miejsca po konfiskacie, trzeba więc było wszystko na nowo składać i łączyć, oraz zawsze mieć duży zapas gotowego materiału. Wymagało to niezwykle wysiłków i samozaparcia redakcji oraz całego personelu technicznego. Mogli oni sprostac zadaniu tylko w atmosferze przyjaźni całego kraju, który czekał na każdy numer „Gazety Ludowej”, wydawanej w duchu jego życzeń i przynoszącej choć częściowo prawdziwe informacje.

A mimo tego nieraz zdarzały się pretensje czytelników, którzy nie znali tej całej techniki cenzury, o której w ogóle nie wolno było pisać. „Gazeta Ludowa” otrzymała np. wiele listów i telefonów z zapytaniem co to ma znaczyć, iż po odbytej w dniu 11 marca 1946 r. rewizji w całym gmachu PSL w Warszawie, pochwaliła policję. Sprawa przedstawiała się w ten sposób, że z obszernego sprawozdania o wielogodzinnej rewizji przeprowadzonej brutalnie, cenzura wszystko wykreśliła, a zostawiła tylko mały ustęp stwierdzający, iż na jednym z pięter policjant zachowywał się poprawnie... Odpowiedzialna była praca nocnego redaktora, który musiał decydować, czy umieścić spreparowaną przez cenzurę wiadomość — nieraz był w kłopotcie i budził naczelnego redaktora.

W stosunku do opozycyjnych pism cenzura działała tak jak firma konkurencyjna i to metodami niedozwolonymi, aby przeciętny czytelnik zmuszony był kupić gazetę prorządową.

Toteż już na jesieni 1947 roku pisma opozycyjne zmniejszyły swą atrakcyjność, zważywszy na ogólnie wzmocniony terror, prześladowania czytelników i kolporterów pism opozycyjnych, a głównie z racji cenzury, która zupełnie upodobniła treść pisma opozycyjnego do wydawanych przez komunistów. Czytelnik nie znajdował już tego, co dawniej, płacąc nieraz kilkadziesiąt razy więcej niż za dziennik komunistyczny.

Pomysłowość cenzury komunistycznej jest zdumiewająca. Obejmuje ona szeroki zasięg zagadnień, wkracza w drobiazgi, usuwa wszędzie bodaj cień krytyki reżymu lub to, co może być ku temu aluzją. Najbujniejsza nawet fantazja ludzka nie jest w stanie wyjaśnić powodu niektórych skreśleń.

„Gazeta Ludowa” od listopada 1945 do listopada 1947 r., przez dwa lata swego niezależnego istnienia, miała przeszło 4000 konfiskat. W roku 1947 tylko w jednym dniu nie było skreśleń.

Przytoczone poniżej przykłady wcale nie są specjalnie jaskrawe, ale takie, które były pod ręką. Zaczepnięte zostały z „Gazety Ludowej”, która była najbardziej prześladowana. (Liczyby w nawiasach oznaczają numer „Gazety Ludowej” i rok).

Polityka zagraniczna

Od momentu wkroczenia wojsk sowieckich wszelka władza przez nie ustanowiona za pierwsze swoje zadanie uważała wykluczenie nie tylko krytyki, ale wszelkich uwag dotyczących Rosji Sowieckiej, które nie były samą chwałą. Cenzorzy przy każdej okazji przypominali, a redaktorzy opozycyjni o tym dobrze wiedzieli, iż pismo byłoby zamknięte a redaktor aresztowany. Toteż w tej dziedzinie nawet nie próbowano beznadziejniej demonstracji.

Informacje dotyczące się Rosji podawano najczęściej jako wiadomości agencji telegraficznych lub też z prasy zagranicznej bez komentarzy.

Cenzura, w obawie aby się nie narazić kontrolnej władzy sowieckiej, usuwała wszystko, co nawet pośrednio mogłoby wyglądać na sprzeczne z interesami Rosji. Braliśmy informacje z „Prawdy” moskiewskiej, ale i te były czasami konfiskowane, jak np. komunikat z walk w Chinach (184-46). Usunięto przezornie taki ustęp mówiący szczerze o roli „Prawdy”, „której informacja powinna być miarodajna dla prasy blokowej w Polsce” (162-46).

Ale ofiarą padały i takie informacje jak np. wzmianka o paradzie majowej 1946 roku w Moskwie (119-46), lub też zawiadomienie o przyjeździe Mołotowa do Warszawy (147-46), czy wzmianka o udziale marszałka Żymierskiego w składzie delegacji polskiej do Moskwy (143-46).

Nic więc dziwnego, iż usuwano wiadomości, że w opinii amerykańskiej ZSSR nie dotrzymał układu poczdamskiego (338-46), lub też, iż „USA poprze Anglię w razie zaatakowania jej”,

czy ustęp z mowy Churchilla o konieczności zachowania tajemnicy bomby atomowej (59-46). Albo też ustęp z mowy Bevina, który żalił się, iż Moskwa jego mów nie drukuje, a Londyn umieszcza mowy Stalina i Mołotowa (161-46).

Taki sam los spotykał wszelkie omawianie sprawy polskiej w parlamentach obcych: „Dzień polski w senacie USA”, gdzie skreślono wszelkie krytyczne wypowiedzi o zachowaniu się Sowietów i komunistów w Polsce (128-46), oraz artykuł „Debata w Izbie Gmin na temat wyborów w Polsce”, omawiający wystąpienie w Londynie w dn. 18 października 1946 r. posła Mc Kay, który stwierdził, iż Tymczasowy Rząd Polski nie spełnił swych zobowiązań, nie rozpiął wyborów, w czym poparł go wiceminister spraw zagranicznych Mayhew (290-46).

W tych warunkach skreślono również zdanie wyrażające dość złudne nadzieje odnośnie p. Winiewicza, iż: „Ambasador Polski w Waszyngtonie złoży rządowi USA zapewnienie, że w Polsce odbędą się wolne i nieskrępowane wybory parlamentarne w możliwie najkrótszym czasie”. (115-46).

Terror, morderstwa

Do naszej wiadomości dochodziło tysiące faktów o nadużyciach policji, władz państwowych oraz komunistów. Wśród nich były i morderstwa dokonywane głównie na członkach PSL. Nieznaczna tylko część tego była podawana do prasy, ale i ta nie oglądała światła dziennego; wielu faktów nie podawaliśmy wcale na prośby rodzin, obawiających się represji. Szczególnie jaskrawe były morderstwa wybitnych działaczy ludowych: Wiatra, Kojdera, Ścibiora i wielu dziesiątek innych.

Informacje nasze o morderstwach nie wskazywały sprawców. Oto typowe przykłady skreśleń:

„W dniu 7 maja 1946 roku zamordowany został skrytobójczo sekretarz PSL w Jarosławiu E. Wilk. Na pogrzebie było 20 tys. ludności, 58 wieńców i 47 sztandarów”. (127-46).

„W dniu 28 maja 1946 roku odbył się manifestacyjny pogrzeb Łazowskiego, prezesa powiatowego w Sierpcu, zamordowanego”. (151-46).

Takiemu samemu losowi uległo sprawozdanie z masowego zgromadzenia odbytego 3 sierpnia 1946 roku w Gdańsku. Skreślono wówczas całe przemówienie wicepremiera Mikołajczyka. Był tam taki ustęp:

„Chciałbym zapytać, jak to się dzieje, jeżeli np. w ostatnich tygodniach na terenie województwa krakowskiego i kieleckiego przeszło 90 naszych członków zostało zamordowanych? Kto ich zamordował?”.

Wybory, praworządność, demokracja

Do stycznia 1947 roku działalność polityczna skierowana była głównie na wygranie wyborów do sejmu. Cenzura szalała, aby przeciętny obywatel nie dowiedział się prawdy. Skreślała więc nawet pouczenia o technice wyborczej i samego aktu głosowania, aby obywatel nie mógł się bronić przed nadużyciami. Skreślono np. takie zdanie:

„...iść do głosowania z sąsiadami i znać nazwisko przewodniczącego...”.

Wezwanie do pójścia z sąsiadami czytelnik rozumiałby jako wezwanie, aby mieć świadków przy głosowaniu, a znajomość nazwiska przewodniczącego, aby wiedzieć na kogo się skarżyć w razie popełnienia nadużyć.

Toteż dwa krótkie (po 15 min.) przemówienia radiowe premiera Mikołajczyka przed wyborami musiały w pierwszym rzędzie być poświęcone technicznym wskazówkom wyborczym, skreślanym w prasie. Nie pozwolono nawet ogłosić list kandydatów PSL w różnych okręgach (354-46).

Nie pozwolono prowadzić polemiki z atakami komunistów. Nie pozwolono podać protestu PSL, iż radio dowolnie wykorzystywane jest przez komunistów w walce z PSL'em.

Okazało się również, iż takie np. sprawy zagrażają bezpieczeństwu państwa:

„Woli ludu trzeba wysłuchać i trzeba się domagać, aby wola ta została wyrażona w wyborach”. (236-46).

„Powtarzamy, jeżeli wybory będą swobodne i nieskrępowane...” (283-46).

Całe artykuły pod tytułem:

„Nakaz głosowania jawnego budzi upokorzenie” (358-46), lub też „Opodatkowanie się PSL na akcję wyborczą” (322-46).

Oświadczenie min. spraw zagranicznych Rzymowskiego podczas pobytu w Meksyku:

„Polacy interesują się mieszkaniem i żywnością a nie wyborami” (329-46).

Nie dano również w druku uwiecznić faktu, iż w sali sądów wojskowych były przed wyborami różne agitacyjne napisy. Mówił o tym artykuł skonfiskowany dwa razy (322 i 323-46). Jeden z takich napisów: „Rozgromienie PSL jest obowiązkiem demokracji” widniał w sali sądu wojskowego, w więzieniu warszawskim, w której miałem rozprawę.

Ale nie tylko aktualne sprawy padały pod ółwkiem cenzora, nawet wspomnienia z przeszłości, z okresu rządów Piłsudskiego, czy też starej Austrii, gdy przypominano nadużycia wyborcze, czy też prześladowania polityczne. Obawiano się wszelkich analogii.

Taki los spotkał cały szereg tego typu artykułów, lub też przedruków z dawnych lat. Np.:

List do ludowców w kraju napisany na Kongres ludowy w roku 1938 przez Witosa, Kiernika i Bagińskiego, emigrantów politycznych, przebywających wówczas w Czechosłowacji (300-46).

„Wskazania polityczne M. Rataja”, byłego marszałka sejmu zamordowanego przez Niemców.

„Wspomnienia o księdzu Stojalowskim”, który działał pół wieku temu, walcząc z władzami austriackimi i polską reakcją o wolność dla chłopów (262-46).

„Nadużycia wyborcze w 1929 roku” w Polsce po zamachu Piłsudskiego (323-46).

Za groźne również w tym czasie uważano sprawozdanie o sporze między generałem amerykańskim Hodye a generałem sowieckim Christjakowem o znaczeniu słowa „demokracja”. Obawiano się, iż w Polsce ogół podzieli pogląd amerykański (67-46).

Nic więc dziwnego, iż skreślano takie zdania:

„Pytam się, gdzie jest ta wolność, kiedy „Gazeta Ludowa” ma miesięcznie trzysta konfiskat” (115-46).

Lub też taki zwrot do min. Radkiewicza:

„Mamy jedną prośbę do ministra: aby naszej prasie umożliwił podawanie sprawdzonych faktów i sprostowań”.

Czy też cały artykuł pod wymownym tytułem:

„UB (policja) torturuje Polaków, przeszło 100 kandydatów na posłów siedzi w więzieniach” (3-47).

Uchwały zjazdów

Systematycznie były skreślane uchwały różnych zjazdów, które miały charakter opozycyjny. Tyczyły to głównie PSL-u. Oto przykłady skreśleń niektórych uchwał ważnego zjazdu Rady Naczelnej PSL, odbywającego się przed wyborami 6 i 7 października 1946 r.

„Obowiązkiem Tymczasowego Rządu J.N. jest prowadzenie takiej polityki, również odnośnie sposobu przeprowadzenia wyborów, aby uchronić się od interwencji i zarzutów nielojalnego wykonania przyjętych na siebie

zobowiązań, oraz uniemożliwić innym zajmowanie pod tym pretekstem negatywnego stanowiska wobec najistotniejszych potrzeb i interesów Polski”.

„Rada Naczelna stwierdza, że uchwalona ordynacja wyborcza nie daje gwarancji bezstronnego przeprowadzenia demokratycznych wyborów do sejmów”.

„Rada Naczelna stwierdza, iż obecną sytuacją w Polsce charakteryzują rządy jednej partii i policyjny system rządzenia. Towarzyszy temu lekceważenie i łamanie przyrzeczonych i zagwarantowanych konstytucją z 17 marca 1921 roku praw wolnego człowieka i obywatela, szczególnie w zakresie wolności osobistej, wolności prasy i wolności zgromadzania się. Sponiewierana w czasie wojny wartość życia ludzkiego nie została przywrócona dotychczas do właściwego znaczenia. Szczególnie w odniesieniu do członków PSL stosuje się ucisk i ograniczenia oraz masowe areszty i bezkarne morderstwa, które dotyczą przede wszystkim najdzielniejszych jednostek z szeregów ludowych. Szczególnie Rada Naczelna z oburzeniem piętnuje bandyckie napady na lokale partyjne PSL, które to napady wykazywały po stronie napastników jednolite kierownictwo i te same metody działania”.

„Rada Naczelna stwierdza, że Ruch Ludowy, reprezentowany przez PSL, walczący od 50 lat z terrorem i przemocą, nie ugnie się przed aktami gwałtu, które za jedyny skutek mają pogłębienie się nieufności społeczeństwa polskiego do organizacji władz bezpieczeństwa”.

„Rada Naczelna stwierdza, że terroryzowanie i ograniczanie działalności posłów PSL oraz cenzurowanie przemówień poselskich po publicznym oświadczeniu w Krajowej Radzie Narodowej premiera Osóbki-Morawskiego, że jest to nadużyciem jego podwładnych organów, jaskrawo wykazuje, jak większość obecna rozumie istotę parlamentaryzmu”.

„Poza wieloma innymi metodami UB aresztuje lub przesłuchuje działaczy PSL i groźbami zmusza ich do wstępowania do innych stronnictw, zmusza do pracy konfidenckalnej, szkalując przy tym PSL i jego kierownicze osoby.

Do takich planowych aktów terroru należy aresztowanie kol. Stanisława Mierzwę pod oszczerczym zarzutem łączności z ruchem podziemnym, jak również areszty szeregu innych i zasłużonych działaczy PSL”.

„Rozsiewanie więc takich fałszywych wiadomości w Kraju i zagranicą stwarza pozory braku jednomyślności narodu, daje do ręki broń przeciwnikom zachodnich granic Polski i jest działaniem przeciw interesom Polski”.

Gospodarcze

Do najdrażliwszych spraw, których gorliwie pilnowała cenzura, należały wszelkie wzmianki o strajkach. Np. o wielkich strajkach w Łodzi (143-46).

Nie wolno było pisać o polityce gospodarczej rządu, utrzymującej wysokie ceny produktów przemysłowych, a niskie rolniczych (193, 202 itp.-46), o podniesieniu cen biletów kolejowych o 60% (181-46), o nędzy urzędników państwowych (58-46), o nędzy Żydów osiedlonych nad Odrą (147-46), o przydziale skóry tylko dla komunistów (155-46), o dzieciach, które w powiecie bytomskim nie chodzą do szkoły nie mając butów (113-46) itp.

Na wiosnę 1946 roku Polska odczuwała brak zboża. W tym czasie wojsko sowieckie zaczęło skupować zboże płacąc wysokie ceny. Rząd chcąc odwrócić uwagę od tego faktu, rozpoczął nagonkę na kupców, chłopów a nawet i spółdzielnie, (które jeszcze wówczas były w rękach socjalistów), iż chowają zboże. Gdy „Gazeta Ludowa” 1 czerwca 1946 r. dała notatkę o „tajemniczych kupcach podbijających ceny w małych miasteczkach” została skonfiskowana.

Tak samo skreślono zdanie, mówiące o wpływach budżetowych z rolnictwa: „Chłopi dali państwu 47 miliardów zł.”.

Kłopotliwe było również dla reżymu omawianie nagromadzonych zapasów UNRRA, które rząd używał jako narzędzia politycznego, wydając komunistom na różne uroczystości dla wytworzenia nastrojów przyjaznych, nie bacząc, iż ludność odczuwała dotkliwe braki, a żywność w składach się psuła. Konfiskowano więc różne wiadomości w tej materii. Np.: „Jak długo będziemy czekali na rozładowanie łódzkich magazynów UNRRA?” (81-46).

Lub wiadomość, iż nadeszło 200 milionów papierosów amerykańskich (162-46).

Kultura

Nie tylko politycy reżymowi, ale i literaci byli pod ochroną cenzury. Bardzo zdolny poeta — Tuwim — który służył wszystkim, którzy kolejno byli przy władzy w Polsce, napisał ohydny „poemat”, ubliżający postaci Chrystusa. W „Gazecie Ludowej” (231-46) napisano bardzo ogólną krytykę tego, a mówiąc o Tuwimie nazwano go „wieszczem”. Otóż cenzor skreślił cudzysłów, uważając, iż jest to forma ubliżająca ulubieńcowi reżymu i że należy mu się rzeczywisty tytuł wieszcz. Poleciałem trzy razy z rzędu ponawiać ten cudzysłów, ale za każdym razem został on skreślony (231, 232, 233-46).

Inny znów „poeta” reżymowy Janusz Minkiewicz, drukował krótkie oryginalne wierszyki w komunistycznym piśmie „Przekrój”. Otóż „Gazeta Ludowa” z dn. 6 sierpnia 1946 umieściła obok siebie dwa wierszyki. Jeden podpisany przez Minkiewicza a drugi po angielsku przedrukowany z podręcznika J. Dobrzyckiej. Okazało się, iż teksty są identyczne. Minkiewicz przetłumaczył i podpisał jako swoje. Plagiatów z tego podręcznika umieścił więcej. Dwa razy posyłano tę wzmiankę o plagiacie, ale cenzura nie pozwoliła kompromitować swego wyznawcy (178, 179-46).

Nie wolno było polemizować z komunistycznymi pismami literacko-społecznymi jak „Odrodzenie” czy „Kuznica” (169, 196-46).

Drobne szykany

Największa nawet fantazja literacka nie mogłaby dopomóc w przewidywaniu, co cenzor uzna za groźne dla reżymu. Ofiarą jego padały nawet odpowiedzi redakcji, choć dosłownie zawierały tylko następujący tekst:

„Pan Gwiazda. — Ma pan rację, czy możemy o tym pisać?” (150-46).
„Dla studenta. — Spółdzielnia nie powinna zatrzymać urlopów” (164-46).

„Obserwatorowi z Ostrołęki. — Z powodów od nas niezależnych nie zamieścimy” (58-46).

„Prenumeratorowi. — Administracja wstrzymuje przyjmowanie nowych prenumeratorów „Gazety Ludowej” (69-46).

„Prenumeratorowi. — Redaktorem naczelnym „Głosu Ludu” jest Roman Werfel”.

Padały ofiarą różne drobne informacje:

Wzmianka, iż należy wyłapać złodziei grasujących na targu w Gdyni. Zawiadomienie, iż w redakcji „Gazety Ludowej” odbędzie się zebranie rodziców poległych w Powstaniu Warszawskim żołnierzy batalionu „Gustaw”. Chodziło o ekshumację zwłok (231-46).

Z nekrologu zmarłych w Szwecji Przybyszewskich skreślono słowo „na wygnaniu” (164-46).

Ogłoszenie trzydziestu tys. zł. nagrody za wskazanie adresu Józefa Boruty, który według komunikatu policji był bandytą i posiadał legitymację PSL. Jako miejsce jego zamieszkania podana była wieś, która w rzeczywistości nie istniała.

Ogłoszenie 20 tys. zł. nagrody za wykrycie sprawców napadu na lokal PSL w Katowicach (255-46).

Wzmianka, iż Urząd Kwaterunkowy udziela mieszkań tylko członkom PPR (komunistom).

W dniu 27 i 28 września 1946 r. PSL i „Wici” (wówczas jeszcze ludowa organizacja młodzieży) przez dwa dni wywoziły gruz z Warszawy i uprzątały najbardziej zniszczone ulice. Stawiło się 4500 ludzi i 1000 furmanek. Policja miast pomagać czyniła różne przeszkody, a cenzura skreślała sprawozdanie z tej akcji, między innymi taki napis na wozie: „Niech żyje PSL, gdyż ci naprawdę odbudują”.

SPRAWY KOMPROMITUJĄCE REŻYM

Oto przykłady niektórych spraw specjalnie przez cenzurę pilnowanych, aby nie doszły do wiadomości ogółu.

Pogrom Żydów w Kielcach

Po przegranym przez komunistów referendum (głosowaniu ludowym) nastąpiło wśród nich przygnębienie na skutek uzyskania przez opozycję około 85% głosów. Starym więc sposobem, wypróbowanym przez carskie rządy rosyjskie, urządzono pogrom żydowski, aby odwrócić uwagę kraju, a zwłaszcza zagranicy, która za pośrednictwem licznych korespondentów dobrze poznała nastroje kraju i oszustwa przy głosowaniu.

4 lipca nastąpił pogrom w Kielcach. Gromada zaagitowanych mętów miejskich napadła na dom zamieszkały przez kilkudziesięciu Żydów. Podniecenie wywołała tendencyjnie puszczone plotka, iż w domu tym chciano zabić 10-letniego chłopca chrześcijańskiego. Napastnicy oblegli dom, trwało to kilka godzin, a policja nie reagowała zupełnie, wystąpiła czynnie dopiero wtedy, gdy 28 osób zostało zabitych a wielu rannych.

Usiłowano zważyć winę na opozycję, aby ją skompromitować, nie bacząc na ohydę czynu i niesłychaną szkodę, jaką to wyrządzi Polsce. Następnego dnia, gdy PSL dało do prasy oświadczenie potępiające zajście, cenzura je zatrzymała. A równocześnie pisma komunistyczne podniosły alarm, iż PSL milczy, a więc pochwała pogrom. Należy dodać, iż technika cenzury jest taka, że dziennik posyła jej kilka odbitek, a cenzura, jeżeli chodziło o „Gazetę Ludową”, rozsyłała je do komunistycznych polityków z zakreślonymi miejscami. Redaktorzy komunistyczni znali więc oświadczenie PSL, wiedzieli, iż zostało ono zatrzymane i świadomie szerzyli kłamstwo.

Nie puściła również cenzura wiadomości, iż poseł PSL b. Komendant Nacz. B. Ch, F. Kamiński zażądał w KRN (sejmie) aby jej Komisja Bezpieczeństwa i Administracji wybrała specjalną komisję śledczą i wysłała ją do Kielc. Większość komunistyczna wniosek ten odrzuciła. Na Radzie Ministrów ministrowie PSL zaatakowali policję, iż nie umiała działać skutecznie. Wszystkie te informacje zostały skonfiskowane.

W kilka dni po pogromie prokurator kielecki był na zjeździe sędziów i prokuratorów, odbywającym się wówczas w Łodzi. Gdy wiceminister sprawiedliwości, Chajna, żądał uchwalenia potępienia „reakcji” za pogrom, zabrał głos prokurator kielecki

Wrzeszcz i oświadczył, iż był przy początku zajścia, ale policja nie pozwoliła mu urzędować. O jego oświadczeniu „Gazeta Ludowa” w nr. 188 umieściła takie ogólne sprawozdanie (również skonfiskowane): „Przy tej okazji prokurator Wrzeszcz rzucił ciekawe światło na te zajścia (w Kielcach) podkreślając fakt, że gdyby miał możliwość odpowiedniej ingerencji, do zajść tych by w ogóle nie doszło”.

Wytoczono proces kilku osobnikom z szumowin miejskich, biorących udział w zajściach. Proces był wyreżyserowany tak, aby prawda nie wyszła na jaw. Ale mimo to pewne szczegóły wydostały się zupełnie przypadkowo. Pyta np. adwokat funkcjonariusza tajnej policji, który oskarża jednego z aresztowanych: „Miał pan broń?” — „Miałem”, odpowiada konfident. Adwokat pyta: „Bronił pan napadniętych?”. — A ten odpowiada: „Nie”. Inny znów świadek, Żydówka, stwierdza, iż do Żydów strzelali wojskowi. I te fragmenty były skonfiskowane.

Wyniki referendum i wyborów do sejmu

Odmienne wyglądały wydawnictwa opozycyjne przed i po referendum i tak samo przed i po wyborach do sejmu. Nie było w nich ani danych własnych o głosowaniu, ani wzmianki o nadużyciach, ani też o złożonych oficjalnie bardzo obszernych protestach, wykazujących setki faktów nadużyć i tysiące aresztowanych działaczy opozycyjnych.

W tym okresie cenzura nie tylko wszystkie te wiadomości skreślała, ale pod groźbą zamknięcia pism żądała wydrukowania oficjalnych sprawozdań rządowych, zawierających sfałszowane liczby i informacje.

Skreślono wszelkie wzmianki ze sprawozdań korespondentów zagranicznych, piszących prawdę do swoich pism.

Polskie granice zachodnie

Niezmiennie charakterystyczna była w roku 1946 polityka komunistów odnośnie granicy zachodniej. Wiedząc, iż właściwie jedna tylko sprawa łączy wszystkich Polaków — katoryczne utrzymanie granicy zachodniej na Odrze i Nysie — komuniści usiłowali uchodzić za jedynych jej obrońców, a na opozycję rzucić oskarżenie, iż granicy tej nie broni. Specjalną akcję przeciwko PSL zastosowano po mowie Sekretarza Stanu, Byrnesa, wygłoszonej w dn. 8 września w Stuttgarcie, interpretującej, iż polskie granice zachodnie są tylko tymczasowe i traktat

pokoju może je zmienić na korzyść Niemców. Przemówienie to poruszyło całe społeczeństwo. Komuniści chcieli z tego uczynić oręż przeciwko PSL. Rozesłali zawiadomienie, aby PSL nigdzie nie dopuścić do manifestacji publicznych, protestujących przeciwko stanowisku Byrnesa.

Prasa komunistyczna atakowała PSL jako „obcą agenturę”, jako „zdrajców”, pod pozorem, iż nie wypowiada się przeciwko oświadczeniu Byrnesa, a równocześnie protesty PSL konfiskowano (250-46). Wojewoda w Szczecinie zagroził aresztowaniem przedstawicielowi PSL, gdyby na wiecu wystąpił w imieniu stronnictwa. 8 września 1946 r. sekretarz wojewódzki PPS w Łodzi, Wachowicz, zaprosił PSL na taką manifestację, ale komuniści nie chcieli dopuścić do odbycia się zgromadzenia. Wzmianki o wszystkich tych faktach cenzura konfiskowała.

Najciekawsze, iż tylko w Krakowie, wbrew zakazom centrali dopuszczono PSL do manifestacji. Aby uniknąć konfiskaty, obszerne sprawozdanie nadesłane do „Gazety Ludowej” poleciłem streścić do jednego zdania:

„W Krakowie na manifestacji protestacyjnej przeciwko stanowisku Byrnesa przemawiał prezydent miasta w imieniu kilku stronnictw, a wśród nich i w imieniu PSL” (253-46).

I tę notatkę skreślono, aby nigdzie nie było śladu, iż PSL również broni granic Polski i by łatwiej mieć pretekst do czynnej napaści na PSL. Posłużył ku temu właśnie 8 września wiec protestacyjny komunistów w Warszawie, po którym skierowano się pod ambasadę USA, ale policja nie dopuściła tam do poważniejszych zajęć, natomiast nie tylko nie zabroniła, ale pilnowała, aby nikt nie przeszkodził bandzie komunistycznej zdemolować lokal PSL. I o tym fakcie nie pozwolono podać prawdy.

Okupacja niemiecka

Komuniści pałali nienawiścią do chlubnej polityki narodu polskiego w walce z hitleryzmem, w której oni nie mogli się poszczycić dużym udziałem. Dochodziło do takich skandalicznych wyczynów cenzury, iż skreśliła np. takie zdanie: „Nie było wśród nas Quislinga, Dégrelle’a, Pétaina” (17-46). Tylko wróg Polski mógł się zdobyć na skreślenie tego, co stanowi naszą dumę narodową.

Taka sama była postawa komunistów wobec Powstania Warszawskiego. Skreślano wszelkie uwagi, że było ono polskim aktem wojennym. Komunistom chodziło o to, aby bodaj pośred-

nio nie uwidocznic faktu, iż Niemcy na spółkę z Sowietami świadomie zniszczyli Warszawę. Na drugą rocznicę Powstania, w 1946 roku, „Gazeta Ludowa” przez 63 dni codziennie dawała wspomnienia z odpowiedniego dnia Powstania i co dzień była kreślona przez cenzora.

Nie wolno było również pisać o nieprawym i krzywdzącym skreśleniu z listy kandydatów do sejmu K. Bagińskiego i A. Zdąnowskiego (współtowarzysza Żuławskiego, który wystąpił z reżymowego PPS). Pozbawienie prawa kandydowania nastąpiło na podstawie skandalicznego prawa wyborczego i pod oszczerczym pozorem jakoby przeciwstawiali się walce z Niemcami, gdy powszechnie znany był ich udział na czele organizacji antyhitlerowskich.

CENZURA PRZEMÓWIEŃ PARLAMENTARNYCH

Krajowa Rada Narodowa (KRN), choć nie była wybierana, a powstała z nominacji Rady Państwa, miała jednak uprawnienia parlamentu do 19 stycznia 1947 roku, kiedy to „wybrano” normalny sejm. W Krajowej Radzie Narodowej i sejmie przemówienia sejmowe teoretycznie korzystały z prawa immunitetu. W praktyce jednak była podwójna cenzura. Czynił to przewodniczący sejmu w sposób niespotykany w innych parlamentach, a ponadto działała zwykła cenzura, która nie liczyła się z nienaruszalnością mów poselskich.

Sesja KRN we wrześniu 1946 r.

Na sesji KRN w dniach 20, 21 i 23 września 1946 r. rząd zgłosił do zatwierdzenia dekret o cenzurze, który legalizował działalność Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk. Przeciw dekretovi wystąpiła posłanka PSL, H. Chorażyna. Przedstawiła fakt posiadania przez blok lubelski 50 dzienników i 300 czasopism, gdy PSL ma jeden tylko dziennik i kilka innych pism, a nie ma innej prasy niezależnej poza kilkoma wydawnictwami katolickimi. Podała szereg skandalicznych przykładów cenzury, między innymi skreślenia mów poselskich.

W obronie dekretu przemawiał premier Osóbka-Morawski, który, zachęcając opozycję do głosowania za dekretem, oświadczył, iż cenzurowanie mów poselskich było nadużyciem urzędników, i że więcej się to już nie powtórzy.

Redaktor wewnętrznego „Komunikatu” PSL, w którym między innymi były zamieszczane mowy posłów PSL w pełnym

tekście, zawiadomił mnie jako kierownika Wydziału Prasy i Propagandy partyjnej, iż ubędzie nam pracy, gdyż wobec oświadczenia premiera cenzura przepuści w całości mowy w prasie i nie trzeba będzie ich podawać w Komunikacie. Poleciałem jednak powielić i nie wierzyć w oświadczenie premiera, z którym się żaden urzędnik cenzury nie liczy.

I rzeczywiście, następnego dnia posłanka Chorażyna wyszła na trybunę w sejmie i okazała 262 numer „Gazety Ludowej” z tegoż dnia w takiej postaci, jaki był przedstawiony do cenzury. Cały był pokreślony czerwonym ołówkiem w ten sposób, iż poza ogłoszeniami pozostała tylko 1/4 tekstu. A skreślone były właśnie mowy poselskie i ich omówienie. Na sali zapanowała konsternacja; okrzyki pod adresem cenzury i premiera. Ale następnego dnia to przemówienie posłanki Chorażyny także zostało skreślone (263-46).

Niektóre wystąpienia posłów PSL na tej sesji KRN, te właśnie, które skreślono, były bardzo bolesne dla reżymu.

Posł St. Mazur mówił o zbrodniczej działalności policji (UB), dając szereg przykładów. A gdy rozpoczął omawiać fakty palenia przez policję całych zagród chłopskich w powiecie chełmskim, marszałek sejmu nie pozwolił mu przedstawić dokumentów w tej sprawie i odebrał mu głos.

Z przemówienia posła Stanisława Wójcika o projekcie ordynacji wyborczej do sejmu, która łamała konstytucję i pozwalała na skreślenia kandydatów i wyborców, wyrzucono połowę najistotniejszych argumentów.

Za te dwa przemówienia posłom Mazurowi i Wójcikowi zagrożono karą dyscyplinarną. W odpowiedzi na to klub poselski PSL wystąpił w KRN z oświadczeniem pod tytułem „Protest posłów PSL przeciw próbom ograniczenia wolności słowa w Krajowej Radzie Narodowej”. I to oświadczenie również w całości zostało skonfiskowane.

Taki sam los spotkał wniosek oraz przemówienie posła Andrzeja Witosa w sprawie zbadania metod śledztwa, dające przykłady używania tortur.

Skreślono również wstrząsającą interpelację PSL, omawianą przez posła Nadobnika. Przedstawił on fakt odnalezienia w Kępie zbiorowego grobu 16 osób, które przed szeregiem miesięcy zginęły i nic o nich nie było wiadomo. A gdy rodziny przypadkowo odnalazły te trupy wrzucone do wspólnego dołu za miastem i zawiadomiły o tym policję, ciała zniknęły. Rodziny znowu na własną rękę rozpoczęły poszukiwanie i odnalazły ciała w innym powiecie, ale te znowu zniknęły. Mimo, iż rodziny zwra-

cały się do władz miejscowych, wojewódzkich i centralnych oraz do sądowych, wskazując komunistów podejrzanych o udział w morderstwie, mimo, iż PSL złożyło interpelację w tej sprawie — władze żadnego śledztwa nie podjęły, a trupy zniknęły na zawsze.

TERROR WOBEC REDAKCJI

Systematycznie niszczone wszelkie pisma, które w początku 1945 roku pozwolono wydawać. Gdy jednak nie wystarczyły zwykle represje Urzędu Kontroli Prasy oraz prześladowanie kolporterów i czytelników, wówczas, na jesieni 1946 roku, zaczęła się policyjna akcja w stosunku do pism i ich redaktorów.

Atak na „Piasta”

Pierwszą ofiarą padła w Krakowie redakcja tygodnika „Piast” starego ludowego pisma, stale gnębionego przez cenzurę, któremu nie pozwolono zamienić się na dziennik. We wrześniu 1946 roku, pod pozorem kontaktów z podziemiem, zaaresztowano w Krakowie redaktora naczelnego „Piasta”, dr. Karola Buczka (skazanego później na lat 15), oraz współpracowników St. Marcinkowskiego i Stanisława Kabata. Równocześnie aresztowano, nadającego kierunek temu pismu, istotnego kierownika na Małopolskę, skazanego później na 10 lat, Mgr. St. Mierzwę, zastępcę sekr. naczelnego PSL, najbliższego zaufanego Witosa, jednego z 16 porwanych do Moskwy.

Wydział Prasy. Komunikat

Następnie zajęto się centralnym Wydziałem Prasy i Propagandy PSL, który między innymi wydawał dokuczliwy dla komunistów „Komunikat” w ilości około 1000 egzemplarzy jako wewnętrzne wydawnictwo partyjne, przeznaczone dla organizacji powiatowych. „Komunikat” zawierał informacje o działalności stronnictwa, a zwłaszcza podawał różne dokumenty składane premierowi lub innym władzom odnośnie nadużyć, uchwały zjazdów partyjnych, przemówienia poselskie itd. „Komunikat” był wydawany na powielaczu i nie był posyłany do cenzury, gdyż i tradycja polska i obecna praktyka innych partii była taka sama. Ze względu na treść „Komunikatu” zawierającą wiadomości, które w prasie były przeważnie konfiskowane, zainteresowanie nim było niezwykle duże. Tu więc uderzono. 25 września 1946 r.

policja wkroczyła do gmachu PSL, przeprowadziła rewizję w Wydziale Prasy, opieczętowała jego pokoje, zabrała szereg dokumentów i mnie ze sobą.

W Ministerstwie Bezpieczeństwa pokazano mi komplet „Komunikatu” i czyniono zarzuty, iż treść jego jest przesiąknięta nienawiścią do większości rządowej, a zwłaszcza policji. Przez wiele godzin byłem przesłuchiwany. „Radzono” mi, abym zaprzestał wydawania „Komunikatu”. Na to oświadczyłem, iż decyduje stronnictwo, a nie ja, natomiast, gdy otrzymamy oficjalny zakaz, zrozumiałe, iż zastosujemy się do niego. Zostałem wówczas wypuszczony, chociaż byłem przygotowany na dłuższy „pobyt”.

Okazało się, iż tego dnia został aresztowany redaktor „Komunikatu” Tadeusz Węgrzyniak. „Komunikat” jednak wydawaliśmy nadal. Zakazu nie nadesłali, chcieli drogą terroru nas samych zmusić do rezygnacji.

Od tego czasu zaczęło się terroryzowanie pracowników PSL, a zwłaszcza całego personelu Wydziału Prasowego, tak iż w ciągu kilku tygodni ponad 40 osób wzywano do Min. Bezpieczeństwa na wielogodzinne przesłuchiwania, gdzie groźbą aresztowania lub też różnymi obietnicami starano się uczynić z nich stałych konfidentów. Wszelka praca została zdeorganizowana, albowiem codziennie kilku pracowników czy też redaktorów było na zeznaniach.

Wreszcie w dn. 11 paźdz. 1946 r. zostałem aresztowany. W ślad za mną i moi współpracownicy: redaktorzy Mgr. Tadeusz Wyrzykowski, Wiktor Bazylewski, a potem mój następca w Wydziale Prasy, stary działacz ludowy Aleksander Bogusławski i redaktor Wład. Bartoszewski. Wobec tego Wydział Prasowy PSL był rozgromiony.

Areszty w „Gazecie Ludowej”

Następnie zabrano się do „Gazety Ludowej”, która była filarem niezależnej opinii polskiej. 16 paźdz. 1946 r. został aresztowany jej redaktor naczelny Zygmunt Augustyński, najbardziej przez komunistów znienawidzony dziennikarz, który w sposób cięty i umiejętny w artykułach wstępnych codziennie chlostał ich antydemokratyczną działalność. Został on następnie skazany na 15 lat. Aresztowano również cały szereg redaktorów „Gazety Ludowej”: Wiewiorskiego, Wąsowicza, Leśniewskiego, Zarańskiego, B. Matysową i innych.

O tych wszystkich aresztowaniach i prześladowaniach prasy nie wolno było pisać. Nawet o tym, iż na konferencji prasowej

w Min. Spraw Zagranicznych korespondentów pism obcych za-
wiadomiono o aresztowaniu Augustyńskiego i Bagińskiego. Dwu-
krotnie cenzura skreśliła również przedruk z agencji sowieckiej
TASS'a, która tę wiadomość podała (290 i 291-46). Dopiero 27
października oficjalna Polska Agencja Prasowa ogłosiła komu-
nikat o tych aresztowaniach.

„Polska Ludowa”

Wpływowym organem PSL na terenie poznańskiego była
„Polska Ludowa”, wychodząca trzy razy w tygodniu. I ona rów-
nież nie uzyskała prawa zamiany na dziennik, a konfiskowana
była stale. W okresie wyborów redaktor jej, Kunc, został aresz-
towany, a później skazany na lat 6.

W ten sposób załatwiono się wówczas z prasą ludową.

Ostatecznie jednak zlikwidowano ją — jako niezależną —
dopiero siłą, w październiku 1947 roku, gdy przestało istnieć
PSL w kraju.

Prasa katolicka

Poza prasą ludową jedynie tylko prasę katolicką można było
uznawać za całkowicie niezależną. Reprezentowały ją trzy główne
tygodniki, które ze względu na swój charakter nie prowadziły
żadnej wyraźnej akcji politycznej, przeciwstawiały się tylko
ideologii komunistycznej i usiłowały szerzyć własną. I tu również
nie wystarczyła niezmiernie dokuczliwa cenzura.

„Tygodnik Warszawski” i „Głos Katolicki” w Poznaniu zo-
stały zlikwidowane a ich redaktorzy uwięzieni: ksiądz Kaczyński,
bracia Kwasiborscy, ks. Malinowski i inni.

Trzeci — „Tygodnik Powszechny” w Krakowie — do dziś
istniejący jeszcze jako jedyne niezależne pismo w Polsce o szer-
szym zasięgu. Zostawiono je jako unikat, aby twierdzić, że istnieje
prasa katolicka. Ale jego redaktorzy byli aresztowani, jak np.
ks. Piwowarczyk i inni.

CENZORZY I ICH METODY

Zabłudowski. Rozmówki z cenzorami

Szefem cenzorów (Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Wi-
dowisk) był Zabłudowski. Nosił wyjątkowo autentyczne nazwi-
sko. Nie jest ono pseudonimem jak u wielu potentatów reżymu.

Ojciec jego, zamożny kupiec warszawski, przed wojną mówił o swojej komunistycznej latorośli, iż jest wyrodnym synem. Należy jednak przyznać, iż Zabłudowski odznacza się dużą inteligencją i ogłębłą. Jest przy tym okazem wynaturzenia komunistyczno-sowieckiego, typowym wyznawcą dialektyki marksistowskiej. W każdym słowie, sprzecznym z uświęconymi komunałami, upatruje niebezpieczeństwo równe strzałowi armatniemu, wymierzonemu wprost w pierś reżymu. Spełnia więc gorliwie zadanie rozbrajania tak niebezpiecznego pocisku jak wolne słowo...

Sowiecka szkoła wykształciła cenzorów, którzy w tej umiejętności przeszli chyba wszystkich swych poprzedników od zamierzchłych czasów, nie wyłączając carskich.

Z Zabłudowskim miałem bardzo ciekawą dwugodzinną rozmowę. Tematem była skonfiskowana przez niego odezwa PSL, wydana z racji 50-ciolecia istnienia Stronnictwa Ludowego. Mówiła ona głównie o przeszłości i podawała ogólne wskazania ruchu ludowego. Nie było w niej krytyki ani rządu ani komunistów, pośrednio tylko zaznaczała różnicę między naszą i ich ideologią. Na skutek protestu ministrów PSL na Radzie Ministrów zgodzono się, aby PSL jeszcze raz omówiło tę sprawę z Zabłudowskim.

Słowo po słowie z bardzo niewinnego tekstu Zabłudowski wypruwał wszelki nawet cień aluzji krytyki. Nieraz wymieniałem kilka zbliżonych zwrotów, aby wytargować najbliższy tekst.

Jeden tylko przytoczę. W odezwie naszej było zdanie: „Potępiamy wszelkie mordy polityczne”. Ku naszemu zdumieniu zostało ono skreślone. Uważaliśmy, iż to zdanie jest niezbędne, zwłaszcza, iż komuniści atakowali nas za sprzyjanie zamachom tajnych organizacji na komunistów i policję. Pytam więc Zabłudowskiego, czy przez skreślenie tego chcą nas narazić na ataki, gdyż zaraz prasa komunistyczna wytknie nam brak tak aktualnej sprawy. Zabłudowski do tego nie przyznał się, ale z zawilością scholastyczną wyjaśniał, iż przecież zamachy na przedstawicieli władzy to nie mordy polityczne a bandyckie. Wobec tego wyraziłem zgodę na określenie „bandyckie”. Ale tu znów Zabłudowski się cofa, gdyż wie, że licznymi ofiarami są ludowcy skrytobójczo mordowani przez komunistów i policję, z którymi prowadzą jawną walkę polityczną. Wszyscy więc rozumieliby, iż w odezwie PSL'u bandytami w pierwszym rzędzie nazwani są komuniści... Ostatecznie więc stanęło na takim zwrocie: „Potępiamy metody walk bratobójczych”.

Po tej całej męczącej dyskusji, zażartowałem sobie z dyktatora słowa drukowanego w Polsce, mówiąc do Zabłudowskiego:

„Przed wojną nawet w bujnej fantazji literackiej nikt nie mógłby sobie wyobrazić takiej sceny, jak obecna — ja walczący od wielu lat o wolność w ogóle, a więc i o wolność słowa, znów muszę się targować o każde wyrażenie wobec... komunisty, który tak niedawno narzekał na ucisk w Polsce”.

Z tego przykładu można sądzić, jak ciężką mieli pracę redaktorzy i autorzy, którzy nie byli stempla komunistycznego. Szczególnie „troskliwie” omawiano książki, czy też broszurki o treści politycznej. PSL w tym czasie wydało takich kilka. Broszurka pod tytułem: „Dlaczego jestem ludowcem”, która między innymi poruszała różnice ideologiczne między agraryzmem a marksizmem, wywołała szereg wielogodzinnych rozmów autora F. Mleczko z cenzorami. Pokreślili całą książkę i sami wstawiali zwroty, na które autor musiał się zgodzić, gdyż chciał ją wydać.

Żuławski o cenzurze

Zygmunt Żuławski, zmarły w 1949 roku niezwykle zasłużony dla demokracji czołowy działacz socjalistyczny, świetny mówca, w 1946 roku przed wyborami do sejmu wraz ze swoją grupą wystąpił z PPS, opanowanej przez komunistów i przystąpił do bloku wyborczego z PSL. Obszerny list jego, wyjaśniający ten krok, w całości został skonfiskowany. Poseł Żuławski 9 lutego 1947 roku wygłosił w sejmie wielką mowę, która częściowo była w „Gazecie Ludowej” z dn. 10 lutego skonfiskowana. Posłanka Chorażyna wystąpiła w sejmie przeciw tym konfiskatom, ale jej przemówienie również zostało skreślone.

W mowie tej poseł Żuławski tak opisuje swoje przejścia z cenzurą przy wydaniu jego książki:

„W czasie okupacji napisałem rozprawę: „Bogactwo, wolność i moralność”. Poszła do cenzury bodaj w czerwcu czy lipcu 1946 roku, gdzie skreślono mi cały szereg zdań i powiedzeń, między innymi, że — „Bolesław Chrobry nakreślił granice Państwa od Miśni aż po Dniepr”. Cenzor słowo „Dniepr” poprawił na „Bug” — i w żaden sposób nie mogłem wytłumaczyć, że Kijów leży nie nad Bugiem, lecz nad Dnieprem (Wesołość). No ale to były śmieszne drobnostki. Po wielkim mozołem otrzymałem wreszcie klauzulę: „Wojewódzki Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk. Zezwala się na drukowanie. Dnia 24 września 1946 r.”. „Myślałem że sprawa skończona, ale gdzież tam. Złożoną książkę wstrzymano ze względu na zbliżające się wybory, w których miałem odwagę wysunąć odrębną, niezależną kandydaturę do Sejmu. A potem mimo klauzuli: „Zezwala się drukować” zażądano ode mnie nowych skreśleń, np. słów, że dla członków społeczeństwa „jest ważna nie forma własności przedsiębiorstw, lecz by ich nikt nie wyzyskiwał” lub „że powszechny dobrobyt i powszechne bogactwo można osiągnąć zupełnie”, w czym to inkryminowane zdania miały naruszyć ustawę”.

SĄD KAPTUROWY

W dniu 24 czerwca 1947 roku poseł Nadobnik zakwestionował w sejmie prawo sądów wojskowych do sądzenia osób cywilnych. Podniósł również sprawę wytoczoną o „Komunikat”. Nazwał ją tajnym „sądem kapturowym”, gdyż na rozprawę odbywającą się 17 kwietnia 1947 roku w więzieniu nie dopuszczono ani świadków, ani dziennikarzy, ani publiczności. W takich warunkach Bagiński był skazany na lat 8, a reszta na 6 i 5 lat. I to przemówienie zostało skonfiskowane.

Należy dodać, że w procesie tym oskarżano o przygotowywanie obalenia rządów przez szerzenie oszczerstw na „ludową demokrację”. W rzeczywistości jednak nie było żadnych podstaw prawnych do wydania takich wyroków, gdyż umieszczone tam najjaskrawsze przykłady nadużyć policji były tylko odpisem dokumentów składanych premierowi. Najczęściej zaopatrzone były one zeznaniami świadków. Sąd wojskowy jednak nie dopuścił do badania słuszności zarzutów. A było tam wiele kompromitujących.

Spalenie Wąwolnicy

Do takich należało spalenie w dn. 2 maja 1946 r. przez policję osady Wąwolnica w powiecie puławskim. Policja przyjechała tam w liczbie kilkudziesięciu osób i poczęła gonić jakichś ludzi, którzy schronili się do jednej z zagród. Rzucając granaty ręczne, policja zapaliła dom, wobec czego zbiegł się tłum ludzi, aby ratować przed rozszerzeniem się pożaru, przybierając nieprzyjazną wobec policji postawę. Policja wycofała się wówczas, ale za dwie godziny w zwiększonej liczbie przybyła z Puław i jako represję zastosowała zbiorową odpowiedzialność, systematycznie podpalając domy. Spaliło się wówczas dwoje ludzi, około 100 gospodarstw i masa żywego inwentarza.

Prezydium PSL w dn. 15 maja 1946 roku będąc u premiera Osóbki-Morawskiego, doręczyło memoriał w sprawach różnych nadużyć, oraz o wypadkach w Wąwolnicy. Klub poselski PSL złożył również interpelację w tej sprawie i na sesji jesiennej KRN-u w 1946 r. była ona omawiana. Ale wszystkie informacje w tej sprawie były konfiskowane.

Prześladowanie Żydów

Jednym z powodów, który wśród komunistów wzbudzał wściekłość na „Komunikat”, było umieszczenie w nim listu na-

desłanego do PSL przez Centralny Komitet Żydowski w Polsce, na czele którego stał Berman, brat Jakuba Bermana, szarej emnencji w Polsce. List ten zawierał dwa protokoły zaopatrzone zeznaniami świadków. Pierwszy stwierdzał, iż w dniu pogromu w Kielcach policjant z dworca kolejowego w Kielcach wyprowadził Żyda i zastrzelił. Drugi — podawał fakt, iż w pociągu w okolicach Kielc policja napastowała jadących Żydów w ten sposób, iż pasażerowie sądzili, że chce ich wysadzić na najbliższej stacji i dokonać samosądu. Pasażerowie Polacy masowo wystąpili w obronie Żydów i uratowali ich.

Nadesłanie tego dokumentu do PSL przez naczelną organizację żydowską było wymownym dowodem, jak oceniała ona pogrom w Kielcach, skoro wbrew nagonce komunistycznej na nas, list taki nadesłała.

ZAMARŁO WOLNE SŁOWO

Wszystkie te fakty stanowią tylko część dwuletnich zmagani o wolność słowa. Od jesieni 1947 r. są już tylko przeszłością smutną ale prawdziwą. Obecnie cała prasa w Polsce jest w rękach komunistów. Działa według ściśle wytkniętych instrukcji. Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk nie ma już kłopotów. Bada tylko, aby nie było przypadkowych uchybień. Już nie istnieją pisma z krnąbrnymi redaktorami, którzy mieli swoje własne zdanie, nie chcieli słuchać komendy.

Przeciętny czytelnik nie ma już zainteresowania gazetą i książką komunistyczną. Kupuje, bo musi, ale nie czyta. Dziś wie z góry, co znajdzie: zakłamaną nudę agitacyjną. Specjalnie go razi i męczy samochwalstwo komunistycznych rządów, gdy wokół widzi smutną rzeczywistość. Ale najbardziej dokuczliwa i poniżająca jest narzucona „miłość” do Rosji Sowieckiej, gdy w duszy przeciętnego Polaka rośnie ku niej nienawiść za sponiewieraną Niepodległość, Wolność i Godność.

W Polsce zamarło wolne słowo.

Kazimierz BAGIŃSKI

ZE WSPOMNIEN O MARSZAŁKU EDWARDZIE RYDZU ŚMIGŁYM

Podjętę do napisania tych wspomnień dała mi „Najnowsza historia Polski, napisana przez p. Wł. Pobóg Malinowskiego oraz uwagi o marszałku Śmigłym Rydzu zawarte w artykule p. E. Hinterhoffa p. „Armia sowiecka” (*Kultura* Nr 4/110 z 1957). Pragnąłbym bowiem, aby w przyszłości historyk Polski mógł przedstawić osobę Rydza Śmigłego zgodnie z prawdą, opierając się na jak najbogatszym materiale, a nie tylko na podstawie obu wspomnianych ocen i pod wpływem opinii klęskowej jaką zrobił „żagwiący wrzesień 1939 r.”.

Rozstałem się ze Śmigłym w marcu 1938 r. w okolicznościach, które w nas obu wywowały wzajemną niechęć (jak to przedstawiłem w liście do redakcji *Kultury* (Nr 11/49 z 1951 r. str. 154-155). Mimo to jednak nie mogę odmówić śp. Śmigłemu wielu cech dodatnich, a sądzę, że w moich wspomnieniach znajdują się drobne przyczynki, które historykom odrodzonej Rzplitej pomogą do obiektywnego przedstawienia tragicznej postaci marszałka Rydza Śmigłego.

Obywatela Śmigłego poznałem na wiosennych ćwiczeniach Związku Strzeleckiego Okręgu Rzeszowskiego w 1914 r. (kwiecień?). Śmigły był podczas tych ćwiczeń „sędzią-rozjemcą”, i pamiętam go z tego czasu jako człowieka około lat 30-tu, z czarną brodą, w mundurze strzeleckim z białą opaską na lewym ramieniu. Podczas tych ćwiczeń zamieniłem z nim tylko kilka zdań. Zapytywał mnie dlaczego tak a nie inaczej prowadzę „patrol-ubezpieczenie” lewe oddziału, do którego należałem oraz zrobił mi parę cennych uwag.

Później, gdy przyjechałem dnia 4 sierpnia 1914 r. z oddzia-

łem jasielskim do Krakowa, spotkałem go w kawiarni Bizanca, i wtedy też zamieniliśmy kilka słów.

W czasie kampanii jesiennej 1914 r. spotkałem go tylko raz czy dwa razy w Kielcach. Był on wtedy dowódcą II Baonu, ja zaś kapralem w I Baonie, którym wówczas dowodził Fleszar-Satyr.

Od października 1914, tj. od bitwy pod Laskami, do wiosny 1915 r. pod Ożarowem nie widziałem go, gdyż jako ranny bawiłem na głębokich tyłach w szpitalach we Wiedniu, Cieplicach i Przedarulanii (Vorarlberg, Tyrol). Gdyśmy się spotkali pod Ożarowem namawiał mnie, by przejść do jego Baonu, ale poszedłem do VI Baonu a to do kompanii Dubiela, Jaślanina, a prócz tego miałem tam kolegów i znajomych tak z Jasielskiego jak i z Rzeszowa z Lisem-Kulą na czele. W późniejszym okresie spotykałem Śmigłego tylko przypadkowo i zamienialiśmy wtedy tylko zdawkowe powiedzenia. Dopiero po utworzeniu Rad Żołnierskich jesienią 1916 r. w pozycjach nad Stochodem, spotkania nasze stały się częstsze. Bardzo zaś często spotykaliśmy się w okresie tzw. „kryzysu przysięgowego”, na wiosnę 1917 r. Wtedy z polecenia Lisa-Kuli jako też i samego Śmigłego jeździłem nieraz, jako łącznik Rady Żołnierskiej 1-go pułku do Rady Żołnierskiej 4-go pułku w Zambrowie.

W tym okresie interesował się Śmigły wielu zagadnieniami politycznymi i społecznymi. Niektórym z nas, członkom Rady Żołnierskiej dawał różne zlecenia. Szło mu głównie o zaznajomienie się z ze stanem umysłów społeczeństwa w Kongresówce. Pamiętam, jak np. razu pewnego, gdy zebrano nas kilku i dawał nam zlecenia, wyjaśnił, że idzie mu o to, by mu dostarczyć wiadomości o nastrojach „dołów”, gdyż informacje o stanach umysłowych wśród obywateli ziemskich i inteligencji zna od oficerów. Natomiast brak mu wiadomości o „dołach społecznych”, z którymi nam jako podoficerom łatwiej jest obcować.

Pewnego razu, jeden z kolegów, który jeździł do 1 pułku ułanów („beliniaków”) w Ostrołęce, referował stan umysłów chłopów w tych okolicach. Między innymi opowiedział on, że do pewnej wsi (nazwy jej niestety nie pamiętam) w pobliżu Ostrołęki, przyjechał na 3 maja 1916 r. pewien pan i chciał przed kościołem wygłosić trzeciomajowe przemówienie. Chłopi wyrwali koły z ogrodzenia cmentarza i chcieli zbić owego pana, mówiąc, że on chce znowu wprowadzić pańszczyznę szlachecką. (Dopiero w odrodzonej Rzplitej dowiedziałem się, że tym niefortunnym mówcą był b. minister rolnictwa Mikułowski-Pomorski, który sam o tym dokładniej opowiadał mi na jednej z konferencji działaczy oświatowych w Krzemieńcu. Min. Mikułowski-Pomorski był przygotowany, że gdyby nie okoliczność, iż działo się to na

commentarzu, pewnie by go chłopci jeśli nie zabili to ciężko pobili). Śmigły, po wysłuchaniu delegata do „beliniaków”, zastanawiał się, jakimi środkami należałoby działać, by stan umysłowy chłopów z okolic Łomży podnieść. Padły wtedy zdania, że należałoby ściągnąć działaczy spod znaku Maksymiliana Malinowskiego (Zaraniarzy, późniejszych z Wyzwolenia), względnie ludowców galicyjskich. Śmigły zauważył wówczas, że do tej roboty najbardziej nadawaliby się ludzie typu Jana Stapińskiego.

Innym razem była mowa o rzemieślnikach, drobnych kupcach oraz mieszczanach-chłopach, uprawiających gospodarkę rolną na przedmieściach miast i miasteczek. Zwrócono między innymi uwagę na fakt wielkiej niechęci tych ludzi do Żydów. Śmigły wyraził się wtedy, że kiedy będzie wolna Polska, to umysły zwrócą się w inną stronę, mieszczenie będą zajęci budowaniem samorządu lokalnego i innych instytucji, i w ten sposób ostrze „przeciwłitwackie” znajdzie właściwe ujście. Spodziewał się, że wtedy stosunki w miastach ułożą się tak jak w Galicji i nie będzie wzajemnych niechęci ani wrogiego stosunku wśród mieszczaństwa. Zwracał uwagę na to, że powinniśmy sami, i przez innych szeregowych, stykających się z chłopami i mieszczanami, opowiadać im jak się to żyje na terenie galicyjskim.

Innego rodzaju łączność ze Śmigłym miałem po „kryzysie przysięgowym”, gdy byłem już w armii austriackiej. W tym czasie z końcem lata 1917 r. dowódca 12 dywizji piechoty, gen. Puchalski, były komendant legionów, zwrócił się do Lisa-Kuli, by mu wskazać odpowiedniego kandydata spośród byłych legionistów, na komendanta oddziału wywiadowczego (*Spähtruppe*). Lis-Kula wskazał gen. Puchalskiemu mnie, a mnie kazał wybrać sobie do tego oddziału 4-5 „morowych naszych chłopców”. Jako komendant tego oddziału miałem możliwość swobodnego poruszania się na terenie działania dywizji. Lis-Kula wybrał mnie w tym celu, bym był łącznikiem między b. legionistami przydzielonymi do pułków: 20 („Cwancygiery z Matką Boską”), 57 („Jacki z pirogami”), 100 i 3. W tym ostatnim pułku, o ile mnie pamięć nie myli, był tylko jeden b. legionista Z. Zajchowski. Prócz tego miałem utrzymywać łączność między Lisem-Kulą a Śmigłym, drogą korespondencyjną przez p. Helenę Radlińską lub p. Maksymiliana Landaua w Krakowie ewentualnie przez posła Jędrzeja Moraczewskiego we Wiedniu. Z tego okresu wryły mi się w pamięć niektóre wspomnienia. Niestety nie będę mógł podać dokładnych dat, gdyżienne me notatki, spaliłem w dniu wkroczenia bolszewików do Równego, i tylko niektóre daty bardziej mi się w pamięć wraziły.

Z końcem listopada lub początkiem grudnia 1917 r. otrzy-

małem od p. Radlińskiej list, w którym pisała mi, że życzeniem „Edwarda” jest, byśmy stawali do raportu i prosili jako byli legionieści o przeniesienie nas z pułków austriackich do Polskiego Korpusu Posiłkowego (dowodzonego przez oficerów austriackich, a z b. legionowych wybił się tam późniejszy generał Józef Haller). Z miejsca odpisałem p. Radlińskiej, że nie widzę żadnych zmian politycznych, które by usprawiedliwiły tego rodzaju postępowanie, ale że wysonduję opinię wśród b. legionistów i dam znać Lisowi¹.

Zwołałem zebranie złożone ze znajdujących się w najbliższej okolicy podoficerów i oficerów legionowych, przedstawiłem im treść listu p. Radlińskiej oraz wyraziłem swój sąd w tej sprawie. Podoficerowie zdecydowanie przeciwstawili się projektowi Śmigłego, gdyż nie widzieli także żadnych zmian politycznych w sprawie polskiej ani u Austriaków ani u Niemców, z oficerów zaś, niektórzy tylko byli zwolennikami przeniesienia się do Polskiego Korpusu Posiłkowego, gdyż w obecnej sytuacji jako podoficerom austriackim wiodło się im o wiele gorzej niż dawniej w legionach.

Lis-Kula, był ranny pod Cortelazzo, odwieziono go do szpitala, skąd później wyjechał do Galicji, a następnie do Kijowa.

Pod koniec lutego 1918 r. otrzymałem list od Jędrzeja Moraczewskiego, bym się wystarał o dłuższy urlop, pozorując to chęcią zdawania *Kriegsmatury*, i bym się zgłosił do niego a później do „Edwarda”. Tak zrobiłem. Widziałem się z Moraczewskim we Wiedniu, skąd udałem się do Krakowa. Tu zgłosiłem się do p. Radlińskiej w redakcji „Kultury” przy ul. Floriańskiej. Poprosiłem ją, by dała znać Śmigłemu, że jestem w Krakowie, i by zapytała go, czy mam się z nim zobaczyć, czy też przez nią dostanę jakieś zlecenia.

Od niej dowiedziałem się wtedy o wielu rzeczach. Przede wszystkim uzupełniła moje wiadomości o armii polskiej na terenie Rosji, o której wiedziałem dość sporo z komunikatów przez nią przesyłanych na front włoski oraz o działalności Naczdowu. Naj-

1. Do Lisa wysłałem żołnierza z mego oddziału, był nim Niemiec sudecki, Paulus. Miałem z nim zabawną historię. Nie mogłem mu wyjaśnić z czym jedzie. Dałem mu list w kopercie z pieczętką dowództwa 12. dywizji, naznaczyłem na niej trzy czerwone kreski „dringend eilig” (pilna przesyłka), by go w drodze nie zatrzymywano, obliczyłem kiedy ma zająć miejsce (Cortelazzo u ujścia Piawy do Adriatyku), tam miał pół godziny odpocząć i wrócić w odpowiednim czasie. Biedny Paulus spóźnił się o przeszło kwadrans i bardzo się przede mną z tego usprawiedliwiał (padał wtedy deszcz ze śniegiem i trudno mu było jechać na rowerze) oraz prosił, bym o tym nie mówił przełożonemu Oberleutenantowi (porucznikowi) Hauenschildowi. Naturalnie dobrotliwie przyrzekłem, że usprawiedliwię jego opieszałość.

ważniejszą i najciekawszą jednak wiadomością dla mnie był plan „rewolucji” jaką miał zrobić Polski Korpus Posiłkowy. Według niej miało to być w następujący sposób: na wiosnę, gdy już będzie zupełnie ciepło, Haller z Korpusem mieli się przerwać spod Bolechowa na lewy brzeg Sanu i tu rozpocząć powstanie wzgl. rewolucję. (O ile mnie pamięć nie myli, Haller nie był w to wtajemniczony z obawy, że się z tym wygada przed Zagórskim, — ale co do osoby Hallera nie jestem dzisiaj tak pewny, natomiast o obawie przed Zagórskim pamiętam doskonale). Wypadki rozwinęły się inaczej. Pokój brzeski, z tym związane demonstracje, a najważniejsze przebicie się Hallera z częścią Korpusu przez front austriacki na teren działania armii rosyjskiej zniweczyły ten plan. Radlińska sądziła, że Śmigły ma już pewnie jakiś nowy plan, o którym mi powie. Tegoż wieczora dała mi znać p. Radlińska, że mam się nazajutrz stawić w mieszkaniu p. Marii Piłsudskiej przy ul. Szlak i tam spotkam się ze Śmigłym.

Na drugi dzień, było to, pamiętam, 1 marca 1918 r., stawiłem się w mieszkaniu p. Marii Piłsudskiej. Był już tam Śmigły i przybyły z Wiednia Jędrzej Moraczewski. Pierwszy raz widziałem wtedy Śmigłego w ubraniu cywilnym. Zameldowałem mu się i złożyłem raport o stanie b. legionistów w 12 dyw. piechoty austriackiej. Zaznaczyłem, że kilku b. legionistów uciekło z tej armii i znajduje się na terenie lubelszczyzny, z niektórymi mam kontakt. Jeśli idzie o b. legionistów, znajdujących się na froncie włoskim w armii austriackiej poza 12 dywizją, miałem łączność listowną tylko z członkiem Rady Żołnierskiej 5 pp. Władkiem Malskim, który był wówczas w Alpach, w którymś z „Jägerbatalionów”.

Śmigły powiedział mi, że mam objąć POW obwodu Jasło-Krosno-Sanok, i na tym terenie zorganizować POW, a być może, że w przyszłości pośle mnie gdzieś indziej. Omówiłem z nim sprawę organizacji POW i prosiłem o szereg wskazówek natury politycznej i gospodarczej. Powiedziałem mu, że z chwilą rozpoczęcia „rewolucji” mogę się znaleźć w tej sytuacji, że nie będę miał łączności bezpośredniej z nim oraz z nowopowstałymi władzami, i dlatego, by nie popełnić błędów politycznych i gospodarczych, proszę o ściślejsze instrukcje. M.in. wysunąłem następujące wątpliwe i niejasne dla mnie kwestie: czy należy obsadzić posterunkami dotychczasową granicę galicyjsko-węgierską na tym odcinku; czy należy ogłosić pełną mobilizację, czy też ograniczyć się z chwilą rozpoczęcia „rewolucji” do zaciągu ochotniczego; jak ustosunkować się do prawosławnych Rusinów-moskalofilów a jak do greko-katolickich Ukraińców (wtedy traktowano jeszcze Ukraińców jako ruch polityczno-niepodległościowy a narodowość

obejmowano nazwą Rusinów); ponieważ wiadomo mi, że kilkunastu chłopców-Ukraińców wstąpiło do Strzelców Siczowych (w 1916-18 r. stacjonowali koło Włodzimierza na Wołyniu), jak mam się ustosunkować, jeśli oni przybędą na ten teren i będą usiłowali tworzyć oddziały Strzelców Siczowych; czy mam swobodną rękę do obsadzenia stanowiska komisarza powiatowego (tj. starosty). Odnosnie spraw gospodarczych zapytałem: czy należy przepuszczać transporty nafty i przetworów ropy z Jedlicza i Niegłowic (rafinerie naftowe) na Zachód; czy przepuszczać transporty żywnościowe przeznaczone do innych krajów monarchii; czy utrzymać racjonowanie chleba. Prócz tego wysunąłem kwestię przejazdu przez ten teren transportów wojskowych udających się na Zachód czy też na Wschód z bronią, a nie mających zamiaru zatrzymywać się na powierzonym mi odcinku. Śmigły najpierw zdziwił się, że mu zadaję takie pytania, następnie odpowiedział mi konkretnie, że w sprawy wyznaniowe między grekokatolikami a prawosławnymi nie będziemy się wtrącać, gdyż sprawy wyznaniowe i sumień ludzkich nas nie obchodzą i jak powiedział jesteśmy demokratami i mamy szanować wolność sumienia. Co do innych spraw kazał czekać na instrukcje. Co do kwestii zagadnień gospodarczych zwrócił się do Moraczewskiego, że o tych sprawach nie pomyślano, i że zagadnienia te trzeba będzie w najbliższej przyszłości rozpracować. Nakazał unikania walk, jeśli transporty wojskowe nie zechcą złożyć broni, należy je z bronią przepuścić.

Następnie J. Moraczewski referował przebieg ostatniego posiedzenia austriackiej Rady Żołnierskiej i Robotniczej we Wiedniu. Na zebraniu tym przewodniczył Renner, a referował sytuację Seitz, który w swym przemówieniu podkreślił, że rewolucja w Austrii nie będzie korzystna dla robotników wiedeńskich w szczególności a austriackich w ogólności. Wówczas delegat ze „Skoda-Werke”, uważający się za Polaka (choć nie znał języka polskiego a władał tylko niemieckim i czeskim) krzyknął: „Sie Renner (czy też Seitz, nie pamiętam dobrze) entweder ist man ein Socialist oder ein Schuft” (Panie Renner, albo się jest socjalistą albo łajdakiem) i twierdził, że w interesie robotników jest, by na miejsce państwa austriackiego powstały narodowe państwa. Śmigły uśmieł się z tego i oświadczył, że na Austriaków nie ma co liczyć.

Śmigły a rząd lubelski. Jak mi później opowiadała p. Radlińska, gdy działacze wybierali się z Krakowa do Lublina dla ogłoszenia tam rządu polskiego, Śmigły ociągał się, nie był zdecydowany, i dopiero w ostatniej chwili dał się przekonać na wyjazd

do Lublina i wstąpienie do rządu Daszyńskiego. Zaznaczę tu, że zdaniem mym, Śmigły nie miał nigdy wyczucia politycznego, sam nie rozstrzygał w tych sprawach, a w owym czasie kierował się zdaniem Moraczewskiego.

Podczas odwrotu z Kijowa, w Lublinie, byłem referentem propagandy w sztabie grupy Śmigłego. Między innymi zadaniem mym było ustalenie szeregu punktów, dokąd w razie dalszego cofania się naszego, można by przywozić tak materiał propagandowy jak i materiały wybuchowe na tyłach wojsk sowieckich. Pewnego dnia powiedział mi Śmigły, że uzgodnił z władzami uniwersyteckimi, i że do mnie zgłosi się grupa studentów do pomocy w organizowaniu wspomnianych punktów. Istotnie zgłosiła się grupa studentów i studentek. W czasie rozmowy z nimi okazało się, że tak studenci jak i studentki utożsamiają „Wyzwolenie” z komunistami. Nie orientowali się w tamtejszych stosunkach wiejskich, i oczekiwali, że ja im podam adresy ludzi po wsiach, a oni będą pod wskazane adresy dostarczali przydzielony im materiał. O ile zaś szło o drobne mieszczaństwo tak w Lublinie jak i w miasteczkach Lubelszczyzny, okazało się, że ta grupa studencka nie posiada żadnych znajomości w tej sferze, gdyż byli to synowie lub córki ze środowiska inteligenckiego lub z dworów wiejskich. Powiedziałem o tym Śmigłemu i zapytałem go, czy nadal utrzymywać kontakt z tymi studentami, gdyż nie przewiduję, by mogli nam być pomocni. Na to Śmigły orzekł, że lepiej z nich zrezygnować, a ustalać owe punkty z Wojtkiem Malinowskim i Lelkiem oraz ludźmi przez nich wskazanymi. Na szczęście rozwinęła się z Lublina a raczej z Lubartowa, dokąd przeniósł się Śmigły ze swym ścisłym sztabem, ofensywa w nocy 15 sierpnia 1920 r. i przewidziane punkty na tyłach armii sowieckiej okazały się zupełnie zbędne.

W czasie posuwania się ofensywy powiedział mi Śmigły w Białymstoku, że referat propagandy zamienia się w Sekcję Kulturalno-Oświatową, i że mam objąć kierownictwo tej Sekcji. Na me tłumaczenie, że z tym działem pracy nie miałem nic do czynienia, i że obecnie w składzie armii znajduje się sporo profesorów gimnazjalnych a nawet uniwersyteckich (m.in. prof. Szober), i że oni to lepiej poprowadzą, Śmigły odpowiedział mi, że nie chce ich używać, gdyż oni zrobią z tego szkółki, a tu nie o to idzie. Zdaniem Śmigłego Sekcja Kult.-Ośw. powinna nietyle uczyć, ile przygotować żołnierza do życia obywatelskiego w nowym państwie. Powiedział mi też, że jeśli by okazało się, że nie daję sobie rady na tym stanowisku, przydziel mi inną pracę, a tę przekaze komuś innemu. Poleciał mi też przygotować ramy organizacyjne pracy oświatowej w jednostkach wchodzących w skład

jego Armii (2-ga Armia) oraz program tej pracy w zarysie. W Lidzie, gdzie sztab zatrzymał się czas dłuższy, zawezwał mnie Śmigły do siebie i zapytał, czy mam zarys planu, gdyż najprawdopodobniej zaczną się pertraktacje pokojowe, i w tym czasie będzie zawieszenie broni. Czas zawieszenia broni należy wykorzystać na szkolenie żołnierza na czynnego obywatela w państwie. Odpowiedziałem, że mam zarys planu, ale obawiam się czy on i wyższe dowództwo zgodzą się na taki plan. Śmigły zgodził się jednak z wytycznymi następującego programu: 1) analfabetów należy zgromadzać w osobne jednostki jako kompanie analfabeckie w pułkach, a nawet jeśli zajdzie potrzeba w takich bataliony w dywizji; 2) winno się zorganizować specjalne kursy podoficerskie z naciskiem na wykłady i ćwiczenia w dziedzinie pracy samorządowej; 3) oddziały saperskie mają przygotować ławki szkolne i tablice, wyremontować odpowiednie budynki, tak by jednocześnie z ławek tych i tablic mogły korzystać dzieci w wieku szkolnym; 4) jeśli nie będzie jeszcze na terenie władz szkolnych, nauczyciele wojskowi (głównie podoficerowie), uczący analfabetów, mają uczyć także dzieci miejscowe; 5) należy zakładać we wszystkich oddziałach, od batalionu począwszy, spółdzielnie na zasadach spółdzielni „Społem” i w ten sposób wyszkolić pewną ilość przyszłych działaczy spółdzielczych po wsiach i miasteczkach. Śmigły polecił mi zwrócić się do centrali „Społem”, która przysłała jako instruktora p. Hübnera. Tego instruktora mianował Śmigły urzędnikiem wojskowym w stopniu kapitana. Śmigły kładł wielki nacisk na czytelnictwo. W związku z tym zorganizowaliśmy komplety bibliotek ruchomych, a dla oficerów sztabu bibliotekę Sekcji Wiedzy Wojskowej, na otwarciu której Śmigły wygłosił bardzo piękne przemówienie.

Sekcja Kult.-Ośw. wchodziła w skład II Oddziału, którego kolejnymi szefami byli kpt. Boerner, kpt. Miedziński i kpt. Mayer. Z nimi stykałem się bardzo rzadko, gdyż Śmigły powiedział mi, że nie przez nich mam referować mu sprawy, ale jemu bezpośrednio lub przez szefa sztabu, którym byli kolejno płk. Kutrzeba a później płk. Bobrowski. Gdy zameldowałem się u płk. Kutrzeby i zacząłem mu referować pewne sprawy, przerwał mi, mówiąc, iż jest z armii austriackiej, i że nie zna się na sprawach obywatelskich, po czym polecił mi, bym te wszystkie sprawy referował bezpośrednio samemu Śmigłemu.

Gdy referowałem Śmigłemu, że założone spółdzielnie nie mogą dobrze funkcjonować z braku kapitału zakładowego oraz braku towarów nadających się na wymianę z ludnością miejscową (która potrzebowała w pierwszym rzędzie soli i nafty), polecił mi porozumieć się z płk. Thornem, szefem intendencji, i zgłosić się z

nim u Śmigłego z gotowymi projektami. W następstwie Śmigły pozwolił płk. Thornowi na sprowadzenie większej ilości nafty i soli, przydzielenie tych artykułów spółdzielniom, które miały za nie od ludności dostawać mięso na kiełbasy i mąkę na chleb i pieczywo. Prócz tego pozwolił, by intendentura wypożyczyła spółdzielniom 10.000 marek.

W marcu czy kwietniu 1921 r. wezwał mnie Śmigły do siebie i kazał mi przygotować rozkaz na dzień zawarcia pokoju. Pokazał mi na rozwieszonej w jego gabinecie mapie 1:300.000 jak w przybliżeniu będzie przebiegała granica między Polską a Sowiecami. Powiedziałem mu wówczas, że to źle. Na jego zdziwioną minę i zapytanie dlaczego, powiedziałem mu, że Sowiety będą u nas robiły Ukrainę i Białoruś, a my u nich. Na jego zapytanie jak to rozumiem, powiedziałem mu, że to tak będzie, jak za czasów austriackich: Moskale to robili i na terenie Galicji istniała wielka grupa Rusinów-moskalofili. My zaś będziemy mieli bardzo utrudnioną pracę w tworzeniu prądów ukraińskich i białoruskich na terenie sowieckim, ze względów na różnice religijne, społeczne a zwłaszcza własność ziemską, no i wreszcie walki z Ukraińcami o Lwów. Śmigły przyznał, że może będą te trudności, ale spodziewał się, że z Ukraińcami w Galicji dojdziemy do porozumienia i nie będziemy mieli z nimi wielkich kłopotów. Uważał, że współżycie i autonomia doprowadzą do porozumienia.

Jak z powyższego wynika, Śmigły miał jasno skryształizowany pogląd na rolę wojska w tym przełomowym okresie. Wydaje mi się, że mogę też powiedzieć, iż znał się na ludziach i umiał o nich swój, i to dobry sąd wydać. Na przykład, na zapytanie p. Radlińskiej, która w pewnym czasie była w Lidzie, co sądzi o kpt. Miedzińskim, Śmigły odpowiedział jej, że to bardzo zdolny człowiek, trzeba go tylko wysłać na Zachód, by poznał jak tam ludzie żyją.

Po zwolnieniu się z wojska w 1921 r. rzadziej się już spotykałem z gen. Śmigłym. Później, gdzieś w latach 1924-26, napisał do mnie, bym wziął udział w redagowaniu książki-monografii o Lisie-Kuli. Oczywiście nie odmówiłem współpracy. Książkę tę, nad którą opiekę redakcyjną roztaczał gen. Śmigły, napisał kol. Fr. Demel z Rzeszowa, późniejszy płk. dypl. Pamiętam z tego okresu, że niektórzy koledzy oficerowie zawodowi, mieli wątpliwości co do przytoczenia wspomnienia J. Deca. Kol. Dec wspominał, jak to w czasie walk z Ukraińcami Lis-Kula zwrócił się do niego do Lublina, prosząc go o książki z dziedziny filozofii, gdyż „miał już dość tego wojowania i wojska”. Śmigły zdecydował, by wspomnienie J. Deca w książce umieszczono.

Gdy bywałem w Warszawie, a gen. Śmigły miał czas mnie

przyjąć, rozmawialiśmy o wielu rzeczach, głównie zaś o zagadnieniach kresowych. Również, gdy Śmigły przyjeżdżał do Równego jako inspektor armii, na wizytację garnizonu, widywałem się z nim. W tym czasie Śmigły był zwolennikiem polityki Józefowskiego na Wołyniu. Pamiętam, był to rok 1933 lub 1934, jeszcze przed śmiercią Piłsudskiego. Przyjechał Śmigły do Równego. Dowódca dywizji gen. Knoll-Kownacki zaprosił mnie na wieczór. Po wspólnej wieczerzy w kasynie przeszliśmy we trzech, tj. gen. Śmigły, gen. Knoll-Kownacki i ja, do sąsiedniego pokoju na kawę. Śmigły wypytywał szczegółowo o sytuację w województwie, bardzo interesowała go praca Wołyńskiego Związku Młodzieży Wiejskiej, który w swych szeregach miał nie tylko Polaków, ale także i Ukraińców i Czechów wołyńskich, podobała mu się ta współpraca. Na mą uwagę, że warto by także w harcerstwie wprowadzać zasadę, by młodzież ukraińska mogła być członkiem harcerstwa polskiego, a nie musiała tworzyć tajnego „Płasta”, Śmigły odpowiedział, że to wcale dobra myśl, i że przy okazji poruszy ją w odpowiednich kołach w Warszawie. Dalej, gdy była mowa o różnej polityce ukraińskiej na Wołyniu, Polesiu i w południowo-wschodnich województwach, gen. Knoll-Kownacki zauważył, że trzeba by ustalić, czy Wołyń ma być Piemontem ukraińskim czy nie, i zależnie od rozwiązania tego pytania prowadzić odpowiednią politykę. Na moją zaś uwagę, że Ukraińcy na Wołyniu uważają za wielką krzywdę zniesienie dużej ilości szkół ukraińskich (w 1925 r. było ich około 500, obecnie 6) i brak wydawnictw pomocy państwowej w utrzymywaniu prywatnych gimnazjów ukraińskich, Śmigły wypowiedział swój pogląd w tej sprawie. Zdaniem jego, najlepsze jest współzycie od ławy szkolnej. Sądził, że najlepiej będzie, jeśli młodzież polska i ukraińska będzie uczęszczała do tych samych szkół, gdzie na ławie szkolnej zawiąza się przyjaźnie, które w dojrzałym wieku stępią ostrze walki narodowościowej. Jako przykład podał swego szkolnego kolegę, późniejszego pułkownika armii petlurowskiej, z którym się ciągle kontaktuje. Opowiedział też wtedy o ukraińskim historyku, prof. Stefanie Tomaszewskim. Prof. St. Tomaszewski był profesorem tajnego Uniwersytetu ukraińskiego we Lwowie. Kiedy władze polskie postanowiły zlikwidować ten Uniwersytet, zaproszono jego profesorów (głównie docentów) na wykładowców na polskie Uniwersytety. Prof. Tomaszewski dostał się jako docent na Uniwersytet Jagielloński (szereg prof. ukraińskich odmówiło współpracy na polskich Uniwersytetach, udało się do Pragi czeskiej i tam zorganizowało ukraiński Uniwersytet). W 1932 r. (o ile pamięć mnie nie myli) umarł prof. Tomaszewski, a Śmigły pomny na swe czasy studenckie w Brzeżanach, wyrobił wdowie po nim

emeryturę, do której brakło jej pewnych formalności. Pogląd Śmigłego na te sprawy nie różnił się wówczas od jego poglądów z 1918 r. Zapytałem Śmigłego, ile jest prawdy w pogłosce, która rozeszła się tego dnia, że wojewoda Józewski ma być usunięty z Wołynia a na jego miejsce ma przyjść Kostek-Biernacki z Brześcia, przy czym nadmieniałem swój negatywny pogląd na tego rodzaju posunięcia. Gen. Knoll-Kownacki zgodził się z moją opinią, że Kostek Biernacki nie nadaje się na tak delikatny teren, jakim jest Wołyń. Śmigły odpowiedział nam, że wyjeżdżając z Warszawy nic o tym nie słyszał, i że dopiero wsiadając w Lublinie do pociągu zdążającego do Równego dowiedział się o tej pogłosce. Zamyślił się Śmigły przez dłuższą chwilę i powiedział później z uśmiechem: jeśli Belina może być wojewodą we Lwowie, dlaczego by Kostek nie mógł być wojewodą w Łucku. Odpowiedziałem na to, że chyba dlatego iż jeden i drugi są pułkownikami, ale to nie wystarczy, i że obawiam się z tego będą duże kłopoty. Nie doszło wówczas do zmiany Józewskiego, którego dopiero później, w 1938 r., przeniesiono do Łodzi a na jego miejsce stamtąd przysłano Hauke-Nowaka (zresztą posunięcie to, zdaniem mym, było bardzo niefortunne). Zapytywał mnie Śmigły jakie są stosunki między duchowieństwem katolickim a Związkiem Nauczycielstwa Polskiego. Odpowiedziałem, że zupełnie dobre i że jako prezes Okręgu Wołyńskiego ZNP szereg spraw trudnych i drażliwych rozwiązywałem z ks. biskupem Szełążkiem zgodnie i bez tarć.

W roku 1935 oddałem w ręce p. J.P. oraz Śmigłego arbitraż, w kwestii mej kandydatury na posła do Sejmu RP, którym nie chciałem zostać, a szereg znajomych a nawet prezydium Zarządu Głównego Związku Nauczycielstwa Polskiego namawiało mnie bym swą kandydaturę wystawił. W dłuższej rozmowie wytłumażyłem Śmigłemu moje obiekcje. W trakcie rozmowy okazało się, że Śmigły nie zna dokładnie nowej ordynacji wyborczej. Powiedział mi bowiem, że to nie sukienka duchowna, i że mogę każdej chwili zrezygnować z mandatu a na moje miejsce wejść do Sejmu mój następca. Wyjaśniłem mu, że to wedle nowej ordynacji nie jest możliwe, gdyż miejsce zostaje opróżnione aż do czasu gdy mandatów zabraknie (dzisiaj nie pamiętam ilości), a dopiero wtedy zostaną ogłoszone uzupełniające wybory. Śmigły przyznał mi, że to jest względ istotny, mimo to uważał, że powinienem kandydować, gdyż w nowym Sejmie winni być „ludzie uczciwi i samodzielnie myślący”. Uważałem ten argument za wystarczający, i powiedziałem Śmigłemu, iż wobec jego wypowiedzi, decyduję się na wystawienie swej kandydatury. Wtedy też szeroko omawialiśmy stosunki wewnętrzne z okresu BBWR (do którego nie należałem), przy czym omawiałem z nim sytuację

sprawy polsko-ukraińskiej na Wołyniu, i ataki jakie już wtedy były na Józewskiego za jego politykę. Śmigły uważał wówczas, że Józewski prowadzi dobrze politykę, i że należy go nadal popierać.

Jako poseł na Sejm, nieraz zgłaszałem się do Śmigłego, i omawiałem z nim różne zagadnienia. Stwierdzić muszę, z całą przyjemnością, że w sprawach zasadniczych nasze zapatrywania nie różniły się. Sądy i poglądy zaczęły się różnić od czasu gdy Prezydent R.P. zamianował Śmigłego marszałkiem, a zasadniczo różniły się po powstaniu OZN.

Kto był tym doradcą Śmigłego z czasów OZN-owych trudno mi z całą pewnością powiedzieć. Może kiedy indziej, gdy się rozwinie dyskusja nad „najnowszą historią Polski” Pobóg-Malinowskiego zabiorę głos i swój pogląd na to zagadnienie wypowiem.

Na wstępie tych wspomnień wypowiedziałem co spowodowało ich skreślenie. Chciałbym, by przyszły historyk i te wspomnienia wziął pod uwagę, i by kreśląc sylwetkę Śmigłego nie opierał się na opinii wytworzonej o nim w czasach OZNowych i klęski wrześniowej. Mimo przykrego rozstania się ze Śmigłym, zachowałem o nim dobrą pamięć.

Jakub HOFFMAN

WŁODZIMIERZ ŻABOTYŃSKI

Z prawdziwym wzruszeniem przyjąłem wiadomość, że nareszcie prochy wielkiego syjonisty Włodzimierza Żabotyńskiego przewiezione zostaną na wieczny spoczynek do Ziemi Obiecanej.

Moja krótka choć bardzo serdeczna znajomość z Żabotyńskim, w mroku dawno minionych lat, zawsze pozostaje dla mnie jako żywe i jasne wspomnienie. Spotkałem się z nim na gruncie czysto oficjalnym, gdy przyszedł do Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Warszawie, aby uzyskać widzenie z Ministrem Beckiem. Potem jednak nawiązał się między nami stosunek czysto osobisty, oparty na moim głębokim szacunku dla tego dziwnego i niepospolitego człowieka.

Żabotyński był, moim zdaniem, jednym z niewielu działaczy i polityków żydowskich, którzy rozumieli, że Polska jest w istocie najlepszym przyjacielem sprawy żydowskiej i najwierniejszym jej potencjalnym sojusznikiem. Nie możemy zamykać oczu na fakt, że między ludnością polską i żydowską w Polsce istniały tarcia. Dziś ludzie zwykle przypisują je wpływom ideologii hitlerowskiej. Niewątpliwie przykład bezczelnej i bezkarnej antyżydowskiej polityki w Niemczech mógł niektóre umysły w Polsce podniecać. Jednakże tarcia te — były po prostu naturalnym wynikiem współżycia na gęsto zaludnionym obszarze Polski dwóch etnicznych elementów o różnych temperamentach, zdolnościach, kulturze i tradycji. Wynikały z tego konflikty, szczególnie w środowiskach młodzieżowych, które jednak dziś, z perspektywy dziejowej, raczej nabierają charakteru obecnych walk między Mod' sami i Rock'sami na wybrzeżach południowo-wschodniej Anglii, aniżeli poważnego konfliktu narodowo-politycznego. Jeżeli w tym konflikcie zadraśnięta pozostała duma narodowa Żydów polskich, którzy nam do dziś tego zapomnieć nie mogą — to możemy nad tym tylko ubolewać.

W istocie Polska — kraj o dużej etnicznej dynamice a małym przyroście kapitału była od dawna krajem masowej emigracji

polskiej, żydowskiej, ukraińskiej itd. Syjonizm odkrywał nowe horyzonty dla emigracji naszych żydowskich współobywateli, i to emigracji ideowej tworzącej nowe społeczeństwo w Palestynie, które można i należałoby powiązać z Polską uczuciem prawdziwej przyjaźni i sympatii. Polska mogła dać duży procent emigrantów spośród swej ludności żydowskiej, która, bądź co bądź, przez tyle wieków żyła wśród nas i dzieliła z nami nasz, gorzki czasami, chleb powszedni.

Od pierwszego spotkania z Żabotyńskim zrozumiałem, że jego giętki i głęboki umysł polityczny potrafi wznieść się ponad drobne trudności życia codziennego i że w nim znajdujemy partnera na najwyższym poziomie, do negocjowania w sprawach ludności żydowskiej w Polsce. Dalsze negocjacje z Żabotyńskim i jego stronnikami, minister Beck skierował na inne odcinki naszych urzędów i nie miałem z nimi bezpośredniej styczności, starając się jednak zawsze, jeżeli mogłem, ułatwiać pracę żabotyńczyków, a szczególnie ich przedstawiciela w Warszawie, p. Schechtmana.

Zawsze słyszałem, że w środowiskach syjonistycznych Żabotyński uchodził za skrajnego prawicowca, nieomal za „faszystę”. Jeżeli tak było, to chyba dlatego, że przewidywał on lepiej niż inni załamanie się dominacji angielskiej na Bliskim Wschodzie, rozbijanie się nacjonalizmu arabskiego i wreszcie ponurą i zdradziecką politykę Związku Sowieckiego wobec Palestyny i sprawy żydowskiej. Nie mogłem jednak nigdy uwierzyć, aby ten cichy, nad wyraz skromny człowiek, o umyśle filozoficznym skierowanym ku wartościom duchowym — mógł być materiałem na dyktatora-tyrana. Był on gorącym patriotą żydowskim — któż lepiej od Polaków mógł ocenić wartość miłości Ojczyzny i Narodu — był on zwolennikiem tworzenia siły dla obrony Wolności — jakże bliski był w tym najdroższym dla nas hasłom.

Dzięki mojemu zainteresowaniu dla osoby Żabotyńskiego przeczytałem wszystkie jego dzieła literackie, które mogłem dostać. Powieść: „Ich Pięcioro”, Zbiór Wierszy, Zbiór Nowel pisanych w języku rosyjskim a także powieść historyczną po niemiecku, której tytułu dziś nie pamiętam. Żabotyński był niewątpliwie bardzo utalentowanym pisarzem i gdyby chciał kontynuować swą pracę na niwie literatury rosyjskiej, to niewątpliwie stanąłby szybko na równi z Kuprinem i Buninem, o ile nie z Czechowem lub Gorkim. Z Czechowem łączył go przenikliwy zmysł obserwacji i łagodny humor, nie miał on jednak pogardliwego stosunku Czechowa do ludzi, a raczej słoneczne i wyrozumiałe podejście do nich, które cechuje Gorkiego. Z dzieł jego przebiła wytworny sceptycyzm, ironia i to, co mnie najbardziej ujęło, zupełna niezależność umysłu wobec wszelkich nowoczesnych, rzekomo postępowych, haseł. Pamiętam jego wspaniałą nowelę na temat Jacquerie we Francji, gdzie znakomicie oddany został stosunek bab wiejskich do ich barona, okrutnego tyrana.

Wojna przerwała moje bezpośrednie stosunki z Żabotyńskim. W pewnym jednak okresie mego życia na wygnaniu, gdy mało doznawałem przyjaźni od bliskich mi ludzi — doszedł mnie w obozie Cerizay serdeczny list Żabotyńskiego.

W okresie mojej służby w Ministerstwie Spraw Zagranicznych dane mi było zetknąć się z wielu wielkimi i wybitnymi politykami: Hitlerem i Mussolinim, Leninem i Churchillem, premierami, ministrami, ambasadorami i parlamentarzystami. Moi uczniowie, wiedząc o tym, zapytali raz mnie, jaki mąż stanu wywarł na mnie największe wrażenie. Zastanowiłem się przez chwilę, nie będąc na to pytanie przygotowany, i wtedy przed oczami stanęła mi skromna, drobna, przygarbiona postać Wielkiego Syjonisty i raz jeszcze zza okularów spojrzały ku mnie jego mądre w przyszłość zapatrzone oczy.

Michał ŁUBIEŃSKI

OSTATNIE DOKUMENTY POLSKI PODZIEMNEJ

1. Odezwa Rady Jedności Narodowej do Narodów Zjednoczonych na ręce przedstawicieli zgromadzonych w San Francisco.

W lutym 1945 r., gdy wojska sowieckie wyparły najezdnicze hordy niemieckie z ziem polskich, a mocarstwa sprzymierzone ustawiły w Jałcie zasady powołania Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, mimo krzywdzących Polskę metod i treści tych uchwał, powzięliśmy, jako przedstawicielstwo Polski Podziemnej, decyzję podjęcia rozmów o utworzenie rządu na zasadzie uchwał krymskich. Mieliśmy nadzieję, że zawarte w tych postanowieniach obietnice utworzenia rządu reprezentującego wszystkie żywe siły narodu i gwarantującego jego samodzielność polityczną, jak też wolności demokratyczne dla społeczeństwa, będą stanowiły minimalne choćby granice, w których ujawnić się będzie mogła wola narodu polskiego. Na tej podstawie przedstawiciele Polskiej Podziemnej: Wicepremier na Kraj wraz z Krajową Radą Ministrów, Komendant rozwiązanej Armii Krajowej i przedstawiciele polskich partii niepodległościowych, przyjęli w porozumieniu z rządem w Londynie zaproszenie reprezentanta naczelnego dowództwa armii sowieckiej gen. Iwanowa, na rozmowy. Zgodnie z zapowiedzią pułkownika czerwonej armii Pimienowa, występującego w charakterze pełnomocnika gen. Iwanowa, rozmowy te miały wyjaśnić problemy ujawnienia polskiego ruchu politycznego i znormalizowania wewnętrznego życia Polski.

Strona sowiecka zapewniła naszej delegacji swobodę bezpośredniego porozumienia się z rządem w Londynie, obiecując udostępnienie komunikacji samolotowej, oraz pełne gwarancje bezpieczeństwa osobistego. Dnia 26 marca br. delegacja nasza została wywieziona z miejsca wstępnych narad sowieckimi samochodami i od tej chwili ani Kraj ani też rząd polski w Londynie, mimo interwencji ambasadora brytyjskiego w Moskwie, nie posiadają żadnych wiadomości o przebiegu pertraktacji, ani nawet o miejscu pobytu i warunkach życia delegacji Polskiej Podziemnej.

Tymczasem w kraju nadal panują wysoce nienormalne warunki. Władza nominalnie należy do tzw. tymczasowego rządu, czyli administracji

lubelskiej, faktycznie zaś spoczywa w rękach organów okupacji sowieckiej. Administracja lubelska, kierowana przez partię komunistyczną, osłoniętą zaledwie pozorami współpracy z tworam politycznymi powołanymi przez nią samą do życia, nie posiada żadnego autorytetu w kraju. Metoda wieców i zgromadzeń, zwoływanych pod naciskiem, bez możliwości wypowiedzenia się niezależnej opinii, w warunkach terroru uderzającego przede wszystkim w przedstawicieli Polski Podziemnej, Armii Krajowej i administracji utworzonej w czasach okupacji niemieckiej, nie może zmienić faktów i zmylić poczucia społeczeństwa, że wszystko dzieje się poza jego wolą i świadomością dla celów bliżej nieznanym. W atmosferze tej pełni się nieufność i niechęć do poczynań administracji.

Nikt w Polsce nie chce prowadzić wojny z Rosją — przeciwnie, wszystkie poważne elementy polityczne pragną współpracy i dobrych stosunków ze wschodnim sąsiadem. Ale Polska zbyt wielką cenę zapłaciła w tej wojnie za swoją niezależność i tak szerokie masy zostały zaangażowane w walce o wolność, że dziś w obliczu zawiedzionych nadziei, rodzą się żywiołowe odruchy oporu i często rozpacz podyktowane kroki, które stają się przyczyną coraz większego zanarchizowania kraju. Na tym tle wyrósł bolesny fakt wypełniania się znowu lasów partyzantami, mnożą się ucieczki z wojska, nie tylko jednostkowe ale i zespołowe, z drugiej zaś strony pojawiają się znów „pacyfikacje” przeprowadzane okrutną metodą paleń wsi i osad oraz masowego mordowania ich mieszkańców.

Nasza administracja podziemna, systematycznie rozbijana przez władze okupacyjne, w wielu miejscach całkowicie wyaresztowana i wywieziona w głąb Rosji, nie jest w stanie opanować sytuacji. Tylko rząd posiadający pełne zaufanie społeczeństwa mógłby nieszczęsny nasz Kraj wyprowadzić na drogę pokojowej pracy i organizacji. Dlatego też wyraziliśmy gotowość współdziałania w zorganizowaniu kraju, na zasadach uchwał krymskich, dlatego też, mimo smutnych doświadczeń z poprzednio prowadzonych rozmów okręgowych władz Polski Podziemnej z miejscowymi władzami sowieckimi, zdecydowaliśmy się na jedną jeszcze próbę rokowań centralnych, wysyłając w tym celu 15 naszych przedstawicieli.

Podkreślamy przy tym, że od pierwszej chwili wejścia armii sowieckiej na ziemię polską administracja Polski Podziemnej i Armia Krajowa potraktowały wojska sowieckie jako sprzymierzeńca naszych sprzymierzeńców. Oddziały AK, które od końca 1939 r. prowadziły bezwzględną walkę z okupacją niemiecką, teraz wspólnie z oddziałami armii sowieckiej walczyły i współdziałały w partyzantce. Organy administracji cywilnej zadeklarowały wszędzie gotowość współpracy. Tymczasem na dziesiątki tysięcy patriotów polskich, członków AK i ruchu podziemnego spadły represje. Jako motyw podaje się wręcz współpracę z Londynem, tak jakby współpraca polityczna i wojskowa z sojusznikiem Polski i Rosji miała być przestępstwem.

Ufni w autorytet uchwał powziętych przy współudziale prez. Roosevelta i prem. Churchilla, upoważniliśmy naszą delegację do pertraktacji na zasadzie uchwał krymskich i elementarnych wymogów sprawiedliwości wobec naszego narodu:

Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej, jeśli ma posiadać dostateczny autorytet wobec własnego narodu i wobec świata, musi się oprzeć o współudział przedstawicieli wszystkich zorganizowanych sił

narodu, a przede wszystkim tych partii i grup demokratycznych, które przez 5 z górą lat kierowały walką podziemną Polski. Konsultacje w sprawie utworzenia tego rządu muszą objąć również oficjalne przedstawicielstwo Polski Podziemnej w postaci naszego legalnego rządu w Londynie, jak też Rady Jedności Narodowej w Kraju, która skupia wszystkie niepodległościowe i demokratyczne stronnictwa polskie;

Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej, jeśli nie ma być marionetką w obcym ręku, musi otrzymać pełną swobodę działania na terenie Polski bez ingerencji obcych wojskowych i policyjnych organów;

Wojsko polskie musi być całkowicie oddane do dyspozycji rządu polskiego i zjednoczone pod polskim dowództwem na wszystkich stopniach, we wszystkich swoich formacjach. Wojska obce muszą być wycofane z ziem polskich natychmiast po ukończeniu działań wojennych na zachodzie, zgodnie z uchwałami teherańskimi. Kraj nasz wyczerpany doszczętnie przez okupację niemiecką nie może być żywicielem obcych armii, a resztki niezniszczonego aparatu gospodarczego muszą być pozostawione w Polsce jako zaczątek jej odbudowy;

Kraj nasz musi uzyskać pełną swobodę komunikacji z zachodem, a obywatele pełną wolność słowa, radia i stowarzyszeń;

W tych ramach zawarte są wytyczne dla naszej delegacji wywiezionej w głąb Rosji, przy tych postulatach skupia się opinia narodu polskiego, śledząca z najwyższym niepokojem próby narzucenia Polsce obcych jej form politycznych, faktycznego zniweczenia jej niepodległości i spychania kraju w odmęty pauperyzacji. Na straży tych postulatów stoi przedstawicielstwo Polski Podziemnej, które mimo represyj sowieckich, trwa na swoich posterunkach i mimo najbardziej niepomysłnych warunków hamuje rozrost anarchii w Kraju.

Cały naród polski przyjął z ubolewaniem fakt, że przedstawicielstwo Polski nie zostało zaproszone na konferencję w San Francisco. Satysfakcją była dla nas uchwała Konferencji wyrażająca słowa sympatii pod adresem naszego narodu oraz nadzieję, że Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej zostanie jak najszybciej utworzony, tak by niesporne przedstawicielstwo Polski mogło jeszcze wziąć udział w pracach nad ugruntowaniem trwałego pokoju światowego. Jest przy tym rzeczą charakterystyczną, że właściwe brzmienie tej uchwały konferencji w San Francisco zostało zatajone przed narodem polskim przez wychodzącą w Polsce prasę oficjalną i tylko dzięki nielegalnie posiadanym aparatom radiowym wiadomość o tym dotarła do nas. Mamy też nadzieję, że uchwała ta nie będzie czczym frazesem i że autoritet zjednoczonych narodów będzie dość silny, aby przełamać opory stawiane na drodze do zapewnienia Polsce elementarnej sprawiedliwości.

Rada Jedności Narodowej

3 maja 1945 r.

2 Odezwa Ligi Obrony Praw Człowieka i Obywatela

Liga Obrony Praw Człowieka i Obywatela odzywa się znów do własnego społeczeństwa i do narodów świata. Głos jej wychodzi z podziemia.

W ciągu całej naszej działalności, której przewodzili ludzie tacy, jak Strug, Thugutt, Śmiarowski, Sempołowska i inni nieustraszeni bojownicy wolności, nie zesłaliśmy nigdy z obranej drogi. Powstała organizacja nasza w Niepodległej Ojczyźnie i z niezachwianą stanowczością strzegła w Niej wolności słowa, przekonań, sumienia — nietykalności jednostki ludzkiej. Występowaliśmy zawsze, gdy te zasady życia zbiorowego bywały zagrożone. Z naszej strony padł ostry protest, gdy proces łucki przeciw wołyńskim komunistom odsłonił krzywdę mniejszości ukraińskiej. Nie wahaliśmy się w jak najostrzejszy sposób piętnować wszelkie zakusy antysemityzmu. Występowaliśmy ostro, potępiając praktyki w Brześciu i w Berezie Kartuskiej. Stawaliśmy zawsze w obronie każdej pokrzywdzonej mniejszości narodowej, wyznaniowej czy politycznej, nie bacząc ani na grożące nam prześladowania, ani na zarzuty działalności przeciwpaństwowej.

I w tych naszych dziejach posiadamy tytuł do mówienia o krzywdach naszego narodu tak, jak mówiliśmy o cierpieniach innych.

Przemawiamy spod okupacji rosyjskiej — z podziemia — w dziewięć miesięcy po wypędzeniu Niemców z prawego brzegu Wisły, a w cztery — po wygnaniu ich z Warszawy, Łodzi, Krakowa.

Zostaliśmy rozwiązani przez faszystujące rządy sanacji i obecnie nie możemy wrócić do jawnej działalności — bo nie ma warunków do szerzenia istotnie nieskrępowanej myśli w Polsce. Nie ma dla nas drukarni, bo wszystkie zajęte są przez administrację. I nie ma papieru, bo jest cały obłożony sekwestrem. Odebrano ludności powielacze, odbiera się maszyny do pisania. I nie ma trybuny do przemawiania — albowiem przemawiać publicznie mogą tylko organy okupacji.

Milczeliśmy. Milczała Polska cała. Czy dlatego, że nie stać jej było na przemówienie?

Otóż nie! Dziesiątki i setki pism wychodziło za niemieckiego terroru. Dziesiątki mogłyby wychodzić i teraz. Jeżeli milczy Polska Podziemna, to dlatego, że nie chce spiskować przeciwko sprzymierzeńcowi naszych sojuszników.

Ale nie możemy milczeć my, gdy wszystko, co na naszej ziemi się dzieje jest stałym, systematycznym deptaniem praw człowieka, jego godności i wolności; gdy wszystko, co się u nas dzieje jest fałszowaniem całej treści naszego życia zbiorowego. Bo to, co ukazuje się światu — jest maską!

Rzekoma niepodległość — to jedna z tych masek — bardzo nieszczelnie przylegająca do twarzy rzeczywistości. Dość powiedzieć, że nad całym rządem, całą administracją wyrasta tak zwany Urząd Bezpieczeństwa, niezależny od żadnej władzy, wyposażony jak Gestapo w prawo sądenia ludzi bez obrony, skazywania — systemem kapturowym — zaocznie. A na czele tego resortu stoi urzędnik Związku Radzieckiego.

Głośno rozlega się propaganda na temat zdziczenia Niemców. Coraz wymienia się w niej Oświęcim, Dachau, Mauthausen i tyle innych nazw, których potworność zna dzisiaj każdy człowiek niemal. Ale czy wolno przemilczać, że ledwie rozwiąły się dymy krematoriów Majdanka, a wnet na miejsce niemieckich katowni powstały dziesiątki obozów sowieckich: w Brześciu, Rembertowie, Pustkowie, Kałudze. A osadzeni w nich zostali ci, co walczyli przez sześć lat z Niemcami, co życie dawali za Niepodległość, co nieraz z bronią w ręku wspierali akcję Czerwonej Armii.

Pięćdziesiąt tysięcy aresztowanych w samej Lubelszczyźnie przez pierwsze pół roku okupacji sowieckiej! I któż są ci uwięzieni? To ci, co bóg faszyzmowi wydali, ci, co uważali, że wobec wyzwalających ponoć Polskę spod niemieckiego terroru władz sowieckich ukrywać się nie potrzebują. Pomylili się. Bo oto rozpoczęły się nowe nachodzenia mieszkań, chwyatanie ludzi na ulicach. Porywani są działacze, co przeszli wszystko — od Sybiru — za czasów carskich — po katownie niemieckie. Chłopczy, dziewczęta wypełniają więzienia, a gdy brak już dla nich miejsca — pakuje się ludzi do piwnic domów prywatnych.

I potem badania. Wypytywani są ci ludzie o organy Polski Podziemnej, rządu polskiego, o Armię Krajową (dziś już rozwiązaną), o skład redakcyj pism podziemnych za okupacji niemieckiej. A tych, co nie chcą zdradzać — policja poddaje torturom! To nie słowa lecz fakty. Mamy nazwiska i dowody. Długi szereg dowodów.

Ale olbrzymią większość tych spraw okrywa tajemnica. Bo, wielu z tych, którzy dostali się w ręce policji — przepadło bez wieści. I nikt nie wie, czy siedzą w jakimś areszcie, czy norze więziennej, czy zostali wywiezieni i gdzie. Czy są w Azji, może w obozie karnym. Świeżo w ten sposób wywieziono w głąb Rosji trzy tysiące ludzi z obozu w Rembertowie. A ilu z nich podzieliło los tych dwustu oficerów polskich, rozstrzelanych z wyroków sądów kapturowych w Lubelszczyźnie?

Znamy prawa i bezprawia wojny. Milczelibyśmy, gdyby poza koniecznymi ograniczeniami były u nas tylko rabunki i gwałty źle zdyscyplinowanych oddziałów — choć są one o wiele częstsze, niżby można było usprawiedliwić zwykłą swawolą żołnierską. Ale rzeczy, o których mówimy świadczą o systemie. Okupant sowiecki dąży do wyniszczenia wszelkich żywych sił narodu. Polskę Podziemną traktuje jako swego wroga i ruch oporu zorganizowany przeciw Niemcom nazywa dywersją. Nie cofa się przed najnikczemniejszą zdradą i podstępem łajdakim byle dostać w swe ręce Polaków myślących niezależnie i chcących służyć tylko Polsce. Dzieje porwanej delegacji Polski Podziemnej pod pozorami nawiązania rokowań o ujawnienie partii politycznych i rekonstrukcję rządu — są jaskrawym tej metody dowodem.

Bez opieki rzućni są wracający jeńcy. Zajmuje się nimi tylko policja, wyciągając szczegóły życia w oflagach, wyławiając nazwiska ludzi, którzy przejawiali tam czynność, aby następnie ich internować. Także ofiary obozów niemieckich, najstraszliwiej pokrzywdzone, rzucone są na pastwę losu.

A tymczasem napływają wygnańcy innej kategorii. W czasie pożogi wojennej idą całe transporty wygnańców z anektowanych przez Rosję obszarów Polski. Idą na ziemie zniszczone przez wojnę i wyrzucane są w przeludnionych lub zniszczonych miastach. Ale ci są bodaj jeszcze najszczęśliwsi. Bo za Bugiem nie wszyscy dopuszczeni są do optowania na rzecz Polski. Całą resztę władze sowieckie porywają i wywożą na Sybir. Więc i tu koczują wygnańcy i na wschodzie powiększa się zastęp Polaków skazanych na zatracenie. Przeszło milion deportowano z tych ziem w roku 1940. Obecnie nie tylko nie pozwolono tamtym wracać, ale poszły w ich ślady nowe tysiące, dziesiątki, a może i setki tysięcy aby odpolszczyć ziemię jakoby niepolską! Czy można sobie wyobrazić gorsze sponiewieranie ludzkiej prawa i ludzkiej wolności.

A wszystko to osłania tajemnica, bo nie ma organu, który by mógł podnieść głos w tej sprawie. Słyszycie o partiach politycznych? Otóż to maskarada. W żadnej z nich nie spotkacie dawnych działaczy i przywódców. Wszystko to są agenci — albo ludzie złamani groźbą utraty chleba, więzieniem czy prześladowaniami. Do partii zapisuje się dziś przymusowo — a środkiem przymusu jest nieraz bicie aż do utraty przytomności.

I oczywiście — robi się wszystko, by żadna wiadomość o tych faktach niedogodnych dla władz panujących w Polsce nie wyszła na zewnątrz. Nawet jeńcy alianccy, którzy wracają przez nasze ziemie, są internowani, by nie porozumiewali się ze społeczeństwem tutejszym, by nie rozpowszechniali na Zachodzie prawdy o życiu polskim.

Więc podnosimy głos my, jak zawsze nie w imię tych, czy innych programów politycznych, nie z ramienia takich czy innych ugrupowań, ale w imię podeptanych zasad Prawa i Wolności. Zwracamy się do Świata z ostrzeżeniem, że Polsce dzieje się krzywda!

Zwracamy się z tym do społeczeństwa polskiego, przede wszystkim zaś do tych, których obowiązkiem jest mówienie prawdy! Pisarze polscy! Mamy prawo żądać od was byście dali wyraz istotnej rzeczywistości. A jeżeli nie możecie tej rzeczywistości ujawnić — to miejcie tyle godności — by milczeć!

Kto dziś Oświęcimiem przysłania gehennę nowych sowieckich obozów, kto wspomnieniami łapanek niemieckich rzuca w oczy, by nie widziano łapanek młodzieży robotniczej, inteligenckiej, chłopskiej; kto rzucaniem fał w mierzęgę helską zagłuszyć chce jęki wygnańców i deportowanych — ten bierze udział w fałszowaniu naszej rzeczywistości i jest narzędziem ucisku.

Wzywamy wszystkich, by pilnie rozważyli, gdzie kończy się służba społeczeństwu i państwu, gdzie zaś zaczyna jurgieltnictwo.

Liga Obrony Praw Człowieka i Obywatela wnosi protest i wnosi oskarżenie.

25 maja 1945 r.

L.O.P.C. i O.

3. *Odezwa Rady Jedności Narodowej*

Polacy!

Po klęskach i męczarniach jakieśmy przeszli na cmentarzyskach milionów ofiar Majdanka i Oświęcimia, po bestialskich gwałtach niemieckich i zbeszczeczeniu dziesiątków tysięcy kobiet przez „sprzymierzeńców sowieckich”, nie oszczędzano Polsce najokrutniejszego bólu i upokorzenia.

Przed sądem w Moskwie stanęli najlepsi synowie Polski, którzy przez 5 lat z największym poświęceniem, z bohaterskim narażaniem życia, kierowali nieugiętą walką Narodu przeciwko hitleryzmowi. Tych właśnie ludzi, przywódców Polski Podziemnej, twórców AK, ministrów Rządu krajowego, członków Rady Jedności Narodowej, kierowników najważniejszych stronnictw polskich, oskarża się o współpracę z Niemcami i zarzuca się im, że

stali na czele nielegalnych organizacji antyradzieckich. Przemileża się fakt niezbity, że w momencie wkroczenia armii czerwonej na nasze ziemie wschodnie i do Lubelszczyzny, delegatury okręgowe Polski Podziemnej ujawniły się wszędzie, a oddziały AK oddawały się do dyspozycji dowódców radzieckich, uderzając na Niemców, — aresztowano ich jednak i rozstrzeliwano, zmuszając tym do dalszej konspiracji, której ani Delegatura Rządu, ani Rada Jedności Narodowej nie chciały.

Zwabioną podstępnie „Szesnastkę” więzi się i stawia się ją przed sąd obcego mocarstwa, gdzie oskarża się ją o różne niepopelnione zbrodnie, zmusza się ją do okrutnego samoponizienia i skazuje w sądzie rosyjskim.

Jak maltretowano tych ludzi, jakie stosowano sposoby, aby doprowadzić ich do tego stanu? Ponura tajemnica tego znana jest tylko tym, którzy inscenizowali już podobne procesy trockistów i wodzów armii czerwonej.

Nie chcemy wglądać w kulisy metod reżymu rosyjskiego. Wiemy tylko jedno: przebiera się miara cierpliwości Narodu Polskiego. Możemy znieść wszystko prócz jednego, prócz deptania naszego honoru i ponizania godności narodowej.

Niemcy męczycieli nasze ciała — dziś chce się zadać gwałt naszym najświętszym uczuciom, zgniebić nas moralnie, storturować nasze dusze. Mamy przypatrywać się obojętnie komedii inscenizowanej na gruzach największej tragedii ludzkiej.

Nie damy się jednak sprowokować. Jeżeli proces moskiewski miał na celu włożyć Polakowi broń do ręki, zareagujemy inaczej — pełną powagą i skupieniem. Cały naród jednoczy się duchowo w obliczu przeżywanej tragedii i okrywa żałobą.

(bez daty)

Rada Jedności Narodowej.

4. Odezwa Rady Jedności Narodowej

Rada Jedności Narodowej do Narodu Polskiego i do Narodów Zjednoczonych

Od września 1939 r. naród polski toczy śmiertelny bój o swój biologiczny byt i o swe ideały historyczne.

Stał on zawsze na gruncie pokoju i wolności, poszanowania praw jednostki i praw narodów, swobody przekonań i tolerancji religijnej.

Rozdarty przez mocarstwa zaborcze, niszczone systematycznie przez 150 lat, nie złożył broni, walcząc wszędzie i nieprzerwanie z systemem gwałtu, pod hasłami „wolni z wolnymi i równi z równymi”, oraz „za wolność naszą i waszą”.

Gdy nad Europą i światem zawisła groźba tyranii totalistycznej, naród polski pierwszy podjął bój z hitlerowskim imperializmem przez miesiąc — wiążąc jego siły w nierównym boju, zanim — zaatakowany z tyłu przez Rosję sowiecką, uległ przewadze, rozpoczynając ciernistą drogę emigracji i konspiracji.

Gdy bracia nasi, rzuceni losem na tułaczkę, nieśli wysoko sztandar Pol-

ski, walcząc u boku sojuszników, w kraju nastąpił okres cięższej jeszcze Walki Podziemnej, toczonej nieustępliwie przez wiele lat z wiarą w ostateczny triumf sprawiedliwości nad barbarzyństwem nazistowskim.

Świat nie zna jeszcze ogromu ofiar, poniesionych przez Polskę w tej walce. Doszczętne zniszczenie stolicy, 5 milionów pomordowanych w obozach, kilka milionów „żywych trupów”, zrujnowanych psychicznie i fizycznie, miliony wywiezionych w głąb Rosji i rozproszonych po świecie, bezprzykładne spustoszenie gospodarcze — oto wkład Polski do tej wojny, przewyższający to, co złożyły na ołtarzu wspólnej sprawy wszystkie inne narody demokratyczne.

Polska ma tedy niezaprzeczalne prawo do szacunku i pomocy całej ludzkości cywilizowanej, stała się bowiem symbolem wierności soюзom, bezkompromisowości i walczącej demokracji.

Cele wojenne Polski i program Polski Walczącej.

Gdy w burzy wrześniowej rozpadł się w Polsce gmach sanacyjnego systemu, rządzącego przez szereg lat wbrew woli i opinii narodu, wszystkie stronnictwa demokratyczne, będące w opozycji przeciwko temu systemowi wyłoniły Rząd R.P. na emigracji, który jeszcze za życia śp. gen. Sikorskiego ogłosił następujące cele wojenne narodu polskiego:

1. Walka z Niemcami aż do ostatecznego ich rozgromienia.
2. Odbudowa niezależności i suwerenności Polski oraz jej integralności terytorialnej.
3. Urzeczywistnienie w Polsce po wojnie pełnej demokracji społecznej i politycznej w miejsce zbankrutowanego systemu sanacyjnego.
4. Zabezpieczenie suwerenności i rozwoju Polski oraz innych, mniejszych narodów, żyjących między potęgami Wschodu i Zachodu przez dobrowolny związek demokratyczny równouprawnionych narodów Europy Środkowej.
5. Pokojowe współzycie z Rosją i porozumienie z nią dla wspólnego zabezpieczenia przed przysłą agresją niemiecką.
6. Pełna demokracja międzynarodowa, czyli światowa organizacja pokoju, oparta na porozumieniu wszystkich państw demokratycznych i równouprawnionych narodów.

Na tej platformie wszystkie wielkie stronnictwa demokratyczne Polski Podziemnej: (Stronnictwo Ludowe, Polska Partia Socjalistyczna, Stronnictwo Narodowe i Stronnictwo Pracy) zblokowały się z sobą w tzw. 4-porozumieniu, wyłaniając w oparciu o nie Rząd Krajowy, będący przedłużeniem i odpowiednikiem Rządu polskiego w Londynie.

Krajowa Reprezentacja Polityczna rozszerzyła ten blok stronnictw demokratycznych na inne grupy polityczne: (Zjednoczenie Demokratyczne, Chłopska Organizacja Wolności „Racławice” i „Ojczyzna”), tworząc wspólnie z nimi Radę Jedności Narodowej, stanowiącą polityczne oparcie dla Pełnomocnika Rządu i Krajowej Rady Ministrów oraz dla Armii Krajowej (A.K.)

W deklaracji Krajowej Reprezentacji Politycznej z dn. 15 VII 1943 oraz w deklaracji Rady Jedności Narodowej z dn. 15 III 1944 r. sformu-

łowany został program Polski Walczącej, którego naczelné postulatory to: 1) odzyskanie pełnej niezależności i suwerenności, 2) swobody demokratyczne, 3) reforma rolna, 4) poprawa bytu mas pracujących i udział ich w rządach, 5) samorząd terytorialny, gospodarczy i kulturalny, 6) odzyskanie ziem na Zachodzie, 7) nienaruszalność granicy wschodniej, 8) związek narodów Europy Środkowej, 9) sojusz z demokracjami Zachodu i dobre stosunki z ZSSR, 10) prawdziwa demokracja międzynarodowa.

Polityka Rosji wobec Polski.

Tym celom narodu polskiego przeciwstawiła się kategorycznie Rosja sowiecka, dążąca do ekspansji terytorialnej w kierunku zachodnim. Oświadczyła ona, że związek demokratyczny narodów Europy Środkowej godzi w jej bezpieczeństwo i stanowić ma kordon sanitarny między Zachodem a Wschodem, co nie leżało bynajmniej w zamiarach twórców tej idei. W swej koncepcji podziału świata na strefy wpływów, Rosja sowiecka postanowiła wtłoczyć wszystkie narody środkowo-europejskie w swój system polityczny.

Polska, granicząca bezpośrednio ze Związkiem Radzieckim, stała się pierwszą ofiarą tej polityki. Naprzód zażądała Rosja przyznania jej terytorium Polski leżącego na wschód od tzw. linii Curzona, stanowiącego połowę obszaru naszego państwa. Potem rozpoczęła kampanię przeciwko legalnemu Rządowi polskiemu w Londynie, zarzucając mu tendencje faszystowskie i współpracę z Niemcami. Następnie stworzyła drugi „rząd” polski, dążąc do narzucenia go narodowi polskiemu i ograniczając w ten sposób jego suwerenność. Wreszcie okupowała całe terytorium Polski, w ślad za czym rozpoczęły się rządy NKWD, terror i prześladowanie bohaterów Polski Podziemnej.

Naród Polski przyjął Armię Czerwoną, jako wyzwolicielkę Polski od jarzma hitlerowskiego. Wkrótce jednak nastąpiło rozczarowanie. Najszersze masy ludowe przekonały się, że demokracja jest w obozie Polski Podziemnej, zaś Komitet Lubelski to dyktatura, oparta o obce siły, a nie o wolę i zaufanie narodu.

Mimo tych rozczarowań, stronnictwa Polski Podziemnej zrobili wielki wysiłek w kierunku porozumienia się ze Związkiem Radzieckim. Gdy Mikołajczyk ustąpił z Rządu Londyńskiego i oceniając pesymistycznie szanse Polski, postanowił iść na kompromis, stronnictwa demokratyczne w kraju, będące podstawą Rządu prem. Arciszewskiego zażądały zmiany gabinetu w kierunku uzgodnienia linii Mikołajczyka i Arciszewskiego.

W dn. 22 II br. ogłosiły one deklarację, w której uznały konieczność rozmów z Rosją w sprawie ujawnienia się i utworzenia jak najspieszniej Rządu Jedności Narodowej, który by mógł wziąć udział w obradach konferencji w S. Francisco.

Ta dobra wola została podeptana przez Rosję sowiecką, która zaproszonych przez siebie wysłanników Polski Podziemnej uwięziła i wytoczyła im proces jako dywersantom. Rachuby Rosji, że w ten sposób kierownicy Polski Podziemnej zostaną odcięci od swego narodu, zawiodły.

Nie udało się wbić klina pomiędzy naród a tych jego przywódców, którzy przez szereg lat z najwyższym narażeniem życia i poświęceniem or-

ganizowali i prowadzili walkę przeciw obcej przemocy. Nie udało się przekonać Polaków, że Polska Walcząca prowadziła dywersje antyradzieckie w porozumieniu z Niemcami. O bezkompromisowej jej postawie antyniemieckiej świadczy krew setek tysięcy męczenników Polski Podziemnej i bohaterów A.K. przelana w otwartej walce i w kaźniach Gestapo, przypięczutowana heroicznym czynem warszawskiego powstania, podjętego z wiarą w uczciwość sojuszników z Zachodu i Wschodu. Nasza karta jest czysta. Nie my, lecz oni będą kiedyś musieli tłumaczyć się przed historią.

Nie było nigdy współpracy między Polską Podziemną a Niemcami. Nie było też woli dywersji przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Przeciwnie, przedstawiciele władz krajowych i A.K. usiłowali wszędzie ujawnić się i współpracować z Armią Czerwoną, lecz byli za to aresztowani i rozstrzeliwani. Stronnictwa RJN dążyły też do ujawnienia się i nawiązania stosunków z Rosją, czemu dały wyraz w rozmowach, jakie przed uwięzieniem przedstawicieli Polski Podziemnej toczyły się w Pruszkowie.

To Rosja odrzuciła tę chęć współpracy i zgody między obydwu narodami, spychając wszystko co w Polsce niezależne z powrotem w konspirację, a tolerując tylko tych, którzy ugięli się przed nią i działali pod jej dyktandem.

Taka jest prawda o Polsce Podziemnej i o jej hardej walce o honor i niezależność narodu. Nie będziemy tu reklamować jej ofiar i zasług, pozostawiając sąd o tym historii, stwierdzamy tylko jedno, że Polska Walcząca podtrzymała w narodzie ducha oporu i wolności, zahartowała masy polskiego ludu i stworzyła w nich postawę, która manifestuje się dzisiaj tak widocznie.

Naród polski nie przestał być sobą. W największych nieszczęściach nie załamał się normalnie i nie ugiął karku przed nikim, kto chciałby nim rządzić z zewnątrz, wbrew jego interesom i woli. Ten wielki kapitał Polska Walcząca przekazuje w spadku tym, którzy walkę narodu o suwerenność prowadzić będą dalej innymi metodami.

Decyzja Polski Podziemnej.

Koniec wojny z Niemcami zastał Polskę w sytuacji niesłychanie trudnej, a nawet tragicznej. Gdy inne narody, zwłaszcza zachodnie, po zlikwidowaniu okupacji niemieckiej odzyskały rzeczywistą wolność i mogły przystąpić samodzielnie do urządzenia sobie życia, Polska w wyniku wojny, w której poniosła największe ofiary, znalazła się pod nową okupacją, z rządem narzuconym przez ościenne mocarstwo i bez wyraźnych widoków na pomoc swych sojuszników zachodnich.

W tym stanie rzeczy polityka nieustępliwości wobec uchwał krymskich prowadzona przez rząd polski w Londynie zaczęła się rozmiąć z faktami dokonanymi, stworzonymi przez Rosję w kraju. Szczególnie konferencja w Moskwie i wynikły z niej kompromis między grupą Mikołajczyka i kilku polskimi działaczami demokratycznymi a Komitetem Lubelskim, stworzyły warunki, z którymi Polska Walcząca musi się liczyć.

Z chwilą powstania nowego Rządu i uznania go przez mocarstwa zachodnie, kończy się dla nas możliwość legalnej walki konspiracyjnej, opar-

tej o uznawany powszechnie Rząd w Londynie, a powstaje problem jawnej walki stronnictw demokratycznych w Polsce o cele narodu i o swe programy.

W tej jawnej walce Polska Podziemna nie chce stwarzać trudności ludziom dobrej woli, którzy znaleźli się w Tymczasowym Rządzie Jedności Narodowej. Nie chce też ona krępować poszczególnych stronnictw w wyborze dróg i linii taktycznej, którą w tej walce pójść będą chciały czy musiały.

Na sesji w dn. 1 lipca br. wszystkie stronnictwa demokratyczne Polski Podziemnej, reprezentowane w Radzie Jedności Narodowej, powzięły jednomyślnie uchwałę rozwiązania Rady i podania tego faktu do wiadomości kraju i zagranicy.

Zdobywając się na ten krok samozaparcia, Rada Jedności Narodowej daje raz jeszcze dowód najwyższej dobrej woli, podobnie jak w deklaracji z dn. 22 II. br. i w podjęciu rozmów pruszkowskich.

Nie chcąc podsycać nadal w społeczeństwie polskim ducha konspiracji, otwierając przed stronnictwami demokratycznymi drogę jawnej współpracy z Rządem i walki o swe cele z przyłbicą otwartą, RJN nie kryje przed narodem polskim swych obaw, czy próba ta nie skończy się nowym rozczarowaniem i katastrofą, na skutek niedotrzymania obietnic przez kontrahentów. Stronnictwa RJN mają pod tym względem okrutne doświadczenia. Dopóki na terenie Polski znajdują się wojska sowieckie i NKWD, obawy te nie przestaną być aktualne. Jeszcze raz jednak w dziejach Polska chce być tym, który sam przestrzegając w polityce zasad uczciwości i prawdy, chce wierzyć również w uczciwość innych rządów i narodów.

Decyzja rozwiązania się Rady nie oznacza duchowej kapitulacji narodu. Cele, które postawiły sobie stronnictwa Polski Walczącej są nadal niezmiennione. Wyrażamy głębokie przekonanie, że stronnictwa te nie ustaną w walce, aż zrealizowany zostanie ich wspólny postulat pełnej suwerenności Polski i ich dążenie do rzeczywistej demokracji w państwie polskim i w stosunkach międzynarodowych.

Program demokracji polskiej.

W swej walce ze stronnictwami polskimi, reprezentującymi olbrzymią większość narodu, propaganda sowiecka szermuje wciąż hasłem demokracji, zarzucając reakcyjność wszystkim Polakom, stojącym na gruncie prawdziwej niezależności. Uważamy tedy za konieczne sprecyzować wyraźnie, jak pojmujemy demokrację, wszystko bowiem wskazuje na to, że między pojęciem demokracji w Europie zachodniej a analogicznym pojęciem w Europie wschodniej istnieje zasadnicza rozbieżność.

Według narodu polskiego:

1. Demokracja to pozostawiona najszerszym warstwom narodu swoboda wyboru ustroju społeczno-politycznego oraz światopoglądu z którego on wypływa.

2. Demokracja to wolność, określona trafnie w Karcie Atlantyckiej, jako wolność od strachu i od głodu, wolność osobista, wolność słowa i przekonań.

3. Demokracja to równe prawa dla wszystkich grup politycznych, czy

to zachowawczych czy radykalno-postępowych, o ile nie nadużywają one swobody zrzeszania się dla szerzenia anarchii, czy też narzucania innym swych poglądów siłą.

4. Demokracja to rządy większości, wyłonione na drodze swobodnych wyborów, odbywających się przez powszechne 5-cioprzymiotnikowe głosowanie.

5. Demokracja to rząd prawa, czyli praworządność, obowiązująca zarówno rządzących jak rządzonych, a zabezpieczająca tak wolność obywatelską, jak autorytet władzy.

6. Demokracja to sprawiedliwość oparta na zbiorowym poczuciu słuszności, przyznającym każdej jednostce, warstwie pracującej i narodowi prawo do warunków życia zapewniających im nie tylko materialną egzystencję ale i wszechstronny rozwój ich możliwości twórczych.

7. Demokracja to system zbiorowego bezpieczeństwa, w którym wszystkie państwa wyrzekają się użycia siły i zobowiązują się podporządkować decyzjom międzynarodowych organów, wypływających z obiektywnych norm prawa międzynarodowego.

8. Demokracja to uznanie i zabezpieczenie równych praw mniejszych i większych narodów, aby ukroć raz na zawsze dążenie mocarstw do hegemonii nad innymi narodami i do podziału świata na strefy swych wpływów.

W swych stosunkach z Rosją naród polski nie żąda niczego więcej, jak poszanowania przez nią tych podstawowych zasad demokracji, o których ocalenie i zabezpieczenie walczyły przez 5 i pół lat wszystkie miłujące wolność narody.

Zamykając dziś szczytny okres walki konspiracyjnej polskich stronnictw demokratycznych o te zasady demokracji, Rada Jedności Narodowej chce zostawić po sobie, w oparciu o nie program demokracji polskiej, jako

Testament Polski Walczącej.

Składają się nań następujące postulaty:

1. Opuszczenie terytorium Polski przez wojska sowieckie oraz przez rosyjską policję polityczną.

2. Zaprzestanie prześladowań politycznych, którego dowodem będzie:

a) zwolnienie skazanych i uwięzionych w procesie moskiewskim,
b) amnestia dla więźniów politycznych oraz dla wszystkich żołnierzy A.K. i dla tzw. „oddziałów leśnych”,

c) powrót Polaków wywiezionych w głąb Rosji i likwidacja obozów koncentracyjnych, przypominających smutnej pamięci metody totalizmu hitlerowskiego,

d) zniesienie systemu policyjnego, znajdującego wyraz w istnieniu tzw. Min. Bezpieczeństwa.

3. Zjednoczenie i uniezależnienie Armii Polskiej przez:

a) spolszczenie korpusu oficerskiego w Armii gen. Rola-Żymierskiego,

b) honorowy powrót z bronią wojsk polskich z zagranicy,

c) połączenie w jedną całość i na równych prawach Armii z zagranicy oraz b. Armii Krajowej z Armią gen. Żymierskiego.

4. Zaprzestanie dewastacji gospodarczej kraju przez władze okupacyjne.
5. Dopuszczenie wszystkich polskich stronnictw demokratycznych do udziału w wyborach 5-przymiotnikowych.
6. Zapewnienie niezależności polskiej polityki zagranicznej.
7. Stworzenie pełnego samorządu terytorialnego, społeczno-gospodarczego i kulturalno-oświatowego.
8. Uspołecznienie własności wielkokapitalistycznej i zorganizowanie sprawiedliwego podziału dochodu społecznego.
9. Zapewnienie masom pracującym współkierownictwa i kontroli nad całą gospodarką narodową oraz warunków materialnych, zabezpieczających byt rodzinie i osobisty rozwój kulturalny.
10. Swoboda walki dla klasy robotniczej o jej prawa w ramach nieskrępowanego ruchu zawodowego.
11. Sprawiedliwe przeprowadzenie reformy rolnej i kontrola narodu nad akcją osiedleńczą na odzyskanych ziemiach zachodnich i w Prusach wschodnich.
12. Oparcie powszechnego, demokratycznego nauczania i wychowania na zasadach moralnych i duchowym dorobku cywilizacji zachodniej i naszego kraju.

Zapowiadając walkę o ten program na jawnej arenie politycznej stronnictwa demokratyczne RJN wyrażają nadzieję, że Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej dążyć będzie do demokratyzacji Polski i do przekreślenia różnic i sporów, dzielących dotąd różne odłamy społeczeństwa polskiego.

Dopóki dążenie to nie przejawia się w czynach, nie będzie mogło nastąpić trwałe odprężenie w stosunkach wewnętrznych a wielu ludzi Polski Podziemnej będzie musiało się dalej ukrywać, bez żadnych wrogich zamiarów wobec Rządu lecz wyłącznie z obawy o swe życie.

Ze swej strony Polska Walcząca stwierdza, że nie dąży wcale do sprokowania wojny między demokratami Zachodu a Związkiem Radzieckim, na której — jak głosi prasa rządowa — „londyńczycy opierali swe rachuby polityczne”.

Nowa wojna zadałaby tak straszne rany narodowi polskiemu, że pragnieniem wszystkich Polaków jest porozumienie polsko-rosyjskie oraz między Anglią, Ameryką i Rosją na drodze pokojowej. Jeżeli to porozumienie ma być trwałe nie wystarczy przywrócenie zaufania w stosunkach Polski z Rosją. Naród polski jest członkiem wielkiej rodziny narodów środkowo-europejskich a w szczególności zachodnio-słowiańskich, z którymi związany jest przez swe położenie geopolityczne i przeszłość historyczną i pragnie wejść z nimi w najściślejszą wspólnotę polityczną, gospodarczą i kulturalną.

Wyrażamy nadzieję, że osiągnięcie porozumienia z Rosją na tych zasadach jest możliwe i że ono jedynie zlikwiduje po wieczne czasy nieprzyjaźń polsko-rosyjską, mającą swe źródło w polityce reakcyjnego caratu, zastępując ją wzajemnym szacunkiem, zaufaniem i przyjaźnią, dla dobra obu narodów, Europy i całej demokratycznej ludzkości.

Rada Jedności Narodowej

Dnia 1 lipca 1945

Podał do druku Adam CIOŁKOSZ

NIEZNANE LISTY PETLURY DO PIŁSUDSKIEGO*

W archiwum Instytutu im. Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku, — zespół akt Adiutantury Generalnej Naczelnego Dowództwa — znajdują się dwa odręczne pisma Głównego Atamana Simona Petlury skierowane do Naczelnika Państwa, Józefa Piłsudskiego. Listy te nie były ogłoszone w publikacji Ukraińskiego Instytutu Naukowego (Simon Petliura, *Statti, listi, dokumenti* New York, 1956), jakkolwiek znaleźć tam można parę not Petlury do Piłsudskiego. Wzmianka o pierwszym liście, z 9 sierpnia 1919 roku, została umieszczona w zbiorze pt. *Dokumenty i materiały do historii stosunków polsko-radzieckich* (Warszawa, 1962), II, 326, odsyłacz 5. Dowiadujemy się z niej, że list Petlury został przywieziony do Warszawy przez delegację ukraińską i że tekst listu znaleźć można w archiwum M.S.Z. (Poselstwo RP w Paryżu, w. 13, t. 2.). Chodzi tu niewątpliwie o odpis, który został rozesłany polskim placówkom zagranicznym, gdyż w zespole akt Poselstwa Polskiego w Waszyngtonie (depozyt J. Ciechanowskiego w Instytucie Hoovera) istnieje również maszynowa kopia polskiego tłumaczenia listu Petlury. Jeżeli chodzi o drugi list, z 17 lipca 1920, to nie spotkałem się dotąd nigdzie ani z kopią tego dokumentu, ani z żadną wzmianką o jego istnieniu.

List Głównego Atamana z 9 sierpnia 1919 roku, pisany jego ręką, na urzędowym papierze Dyrektoriatu Ukraińskiej Republiki Ludowej (U.N.R.), nosi pieczętę „Naczelné Dowództwo Wojsk Polskich, Adjutantura Generalna, Warszawa, L. Dz. 1444/T2, dnia 11. IX. 1919 r. załącz. Wydział”. Umieszczony on został w tece nr 19 Akt Adiutantury, Dla pełniejszego zrozumienia treści tego dokumentu, należy przypomnieć po krótku warunki w jakich został on napisany.

Konflikt polsko-ukraiński w Galicji Wschodniej na przełomie roku 1918/1919 rozwijał się równolegle do starć wojsk polskich z oddziałami Ukrainy Naddnieprzańskiej na terenie Wołynia. Pomimo uroczystego proklamowania unii Ukraińskiej Republiki

* Pragnąłbym na tym miejscu podziękować dyrekcji Instytutu im. Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku za pozwolenie opublikowania obu listów Petlury do Piłsudskiego, oraz wyrazić wdzięczność Panu E. Małaniukowi za życzliwą pomoc w tłumaczeniu ich z ukraińskiego na polski.

Ludowej z Zachodnio-Ukraińską Republiką w styczniu 1919 roku, związek obu tych organów państwowych był raczej nominalny. Głównym wrogiem Ukrainy była Rosja i Kijów dążył do porozumienia z Warszawą ponad głowami polityków galicyjskich. Pierwsza umowa tego typu podpisana przez B. Kurdynowskiego i Paderewskiego w maju 1919 roku była jednakże przedwczesna i pozbawiona pozytywnych rezultatów, ale pod koniec czerwca rokowania polsko-ukraińskie o zawieszenie broni doprowadziły do chwilowego rozejmu, który załamał się o opór Galicji Wschodniej, czyli Zachodnio-Ukraińskiej Republiki. Nieudana ofensywa armii halickiej w lecie, kontrofensywa polska, która doszła aż do Zbrucza, oraz nowe zagrożenie Ukrainy Naddnieprzańskiej przez armię Denikina, walczącego pod hasłem „jednej i niepodzielnej Rosji” stworzyły nową koniunkturę dla prób porozumienia między Dyrektoriatem Petlury a Polską. W lipcu rozmowy rozejmowe zostały wznowione i z początkiem sierpnia 1919 Petlura wysłał specjalną delegację do Warszawy z odręcznym pismem do Naczelnika Państwa. List ten był następującej treści:

pieczęć z „tryzubem”

U. R. L.

Dyrektoriat

2 VII 1919 r.

No

*Do Wodza Naczelnego Wojsk Polskich i Naczelnika Państwa Polskiego
J. Piłsudskiego*

W groźną chwilę wszechświatowego zamętu, w godzinę wszechludzkiej rozpacz i zwątpienia, jako potężny zew, który przebiegł po całej ziemi — wzniósł się wspaniale głos sławnych Narodów Polskiego i Ukraińskiego i powstały do życia dwa olbrzymy, uciskane dotąd drapieżną ręką caratu rosyjskiego. Zwyciężyła święta prawda i pozostające jeszcze niedawno w niewoli narody potężnym krokiem zdążają dziś do swego ideału, budując dla siebie wolne i niezależne życie.

Niegdyś, w dalekiej przeszłości, narody Polski i Ukraiński nieraz walczyły ze sobą, a mając wspólnych wrogów występowały oddzielnie przeciw nim. Ten rozbrat przyczynił się do chwilowego upadku Państwa Polskiego i Ukraińskiego.

Obecnie tak się dzieć nie musi.

Naród Ukraiński w walce z wrogiem ludzkiej kultury i swojej narodowej państwowości, ma prawo do współczucia i pomocy ze strony swoich najbliższych sąsiadów, tym bardziej, że broniąc kraju rodzinnego przed gwałcicielami-okupantami, chcącymi narzucić Ukrainie obcy jej komunizm, nie wkraczamy na drogę białego terroru, a kroczymy pod hasłem szerokiego demokratyzmu i państwowej twórczości, których [to ideałów] za najlepszego przedstawiciela w Polsce, uważamy Pana, Panie Naczelniku Państwa Polskiego.

Ale walka z bolszewikami jeszcze nie jest przez nas zakończona. Należy zauważyć, że największą dotąd przeszkodą w tej sprawie było nasze odosobnienie od sąsiadów a w pierwszym rzędzie od Polski. To odosobnienie zaszkodziło nam tym bardziej, że mamy wspólne cele w tej walce, w której logika wewnętrzna i interesy strategii wymagają koordynacji i współdziałania.

Otóż oczywistą się staje konieczność pewnego porozumienia pomiędzy dowództwem polskim i ukraińskim w celu dalszej walki i spodziewam się, że powrót na Ukrainę przebywających w Polsce naszych jeńców, odpowiednio uzbrojonych, byłby pierwszym krokiem do dalszych przyjaznych aktów narodów Polskiego i Ukraińskiego, które — jestem tego pewien — leżą w obopólnych interesach obu narodów.

Będę bardzo rad, gdy delegacja w osobach p. Pyłypczuka, W. Tułupy i płk. T. Łypnyckiego, mego oficera do zleceń, składając Panu serdeczne pozdrowienia w moim imieniu, zapewni o moich przyjaznych uczuciach dla Pana, skutkiem czego stosunek obu narodów, Polskiego i Ukraińskiego, przy dobrej woli z obu stron, nabierze [cech] stałej przyjaźni, tak potrzebnej dla dobrobytu i utrwalenia międzynarodowego położenia obu Republik Ludowych.

Kwatera w polu 9/VIII 1919.

Z bratnim pozdrowieniem

Petlura

Prezes Dyrektoriatu U.R.L. i

Główny Ataman Ukraińskich Wojsk Republikańskich

Jak wiemy inicjatywa Petlury nie pozostała bez echa i 1 września 1919 roku podpisany został rozejm polsko-ukraiński: sytuacja jednak Dyrektoriatu na Ukrainie stale się pogarszała. Denikin wziął Kijów, wypierając z niego Ukraińców, z tym, że nastąpił rozłam pomiędzy wojskami Petlury a formacjami galicyjskimi. U Piłsudskiego tymczasem dojrzewał projekt oparcia się na Petlurze z chwilą gdy nadejdzie odpowiedni moment akcji na Ukrainie. Podczas tajnych rokowań polsko-sowieckich w Mikaszewiczach, Piłsudski ostrzegał Lenina za pośrednictwem Boernera i Marchlewskiego, że „absolutnie nie zgodzi się na to, aby Petlurę bito i przeto zaczepionego będzie bronić siłą”. Z początkiem grudnia, Petlura zmuszony do opuszczenia Ukrainy, rozpoczął dalsze rokowania z Polską, których pierwszą fazę stanowiła deklaracja A. Liwickiego z 2 grudnia 1919, a ostateczną podpisanie sojuszu 21 kwietnia 1920 roku, wraz z dopełniającym go paktem wojskowym. 25 kwietnia kampania kijowska była rozpoczęta i oddziały Petlury walczyły jako armia sojusznicza pod naczelnym dowództwem polskim. Po krótkotrwałych zwycięstwach przyszły klęski i w lipcu oddziały armii ukraińskiej znalazły się wraz z wojskami polskimi w odwrocie. Położenie Petlury stało się szczególnie trudne z chwilą gdy wojska jego zaczęły toczyć walkę na terytorium Galicji Wschodniej, która tak niedawno jeszcze była widownią wojny polsko-ukraińskiej. Petlura, oskarżony przez

przywódców galicyjskich o zdradę narodową za rezygnację na rzecz Polski z ziem na zachód od Zbrucza, znalazł się w obliczu całego skomplikowanego zagadnienia galicyjskiego, które niezależnie od aspektów politycznych, miało też ważne momenty natury wojskowej, chodziło bowiem o możliwość werbowania Ukraińców z Galicji Wschodniej do oddziałów Petlury. W listach do Piłsudskiego, Główny Ataman zwracał uwagę na pewną paradoksalność swego położenia i wiernie dotrzymując braterstwa broni, szukał drogi wyjścia z zagadnienia galicyjskiego.

Dnia 17 lipca wystosował on długi list do Piłsudskiego¹. Pisany na zwykłym, liniowanym papierze, list ten brzmiał następująco:

*Do Pana Naczelnika Rzeczypospolitej Polskiej, Wodza Naczelnego Wojsk
Polskich i Przewodniczącego Rady Obrony Państwa,
Józefa Piłsudskiego*

Aktem 22 kwietnia² bieżącego roku Rządy Rzeczypospolitej Polskiej i Ukraińskiej Republiki Ludowej zawarły historyczną ugodę celem walki przeciw odwiecznemu wrogowi obu państw, który przybrawszy skrajną formę niszczycielskiej demagogii, okazał tendencje obalenia samodzielności obu Republiki i zadania wielkiego ciosu dawnym ich wolnościom. Ugoda ta, dotrzymana jest uczciwie i święcie przez obie strony aż po dzień dzisiejszy, w walce, którą toczą wojska i wspierające go społeczeństwa obu sprzymierzonych narodów. W tej walce o wspólną wolność państwową przelewała się krew bratnia a najlepsi synowie Polski i Ukrainy, w mundurach oficerskich i żołnierskich, życiem swym uświęcali i scementowali życiowe znaczenie wyżej wymienionego aktu historycznego z dnia 22 kwietnia br.

Po wielkich i triumfalnych zwycięstwach, otwierających szerokie perspektywy dla przyszłości i państwowego rozkwitu obu Republiki, szczęście wojenne zmieniło się chwilowo na korzyść nieprzyjaciela i stworzyło sytuację strategiczną bardziej poważną i zagrażającą zarazem przyszłości obu Republiki.

Znając [dobrze] interesy ludności ukraińskiej i jej nastroje, wiedząc, że Ukraina nie pogodzi się nigdy ze społecznym i politycznym programem władzy sowieckiej, znając charakter nieprzyjaciela, płynność jego zaplecza, nieżyciowość metod jego budownictwa państwowego, które doprowadzają do ruiny gospodarczej kraj, sędzę, że głęboko myślą się ci, którzy nadają decydujące znaczenie przejściowym powodzeniom przeciwnika i uważają za potrzebne wszczynanie z nim pertraktacji pokojowych³. Równocześnie nie uważam, aby położenie strategiczne obu armii sprzymierzonych było tak złe, aby sugerowało beznadziejność lub [stwarzało] stan bez wyjścia. Ja, jako Główny Ataman wojsk ukraińskich, mogę zaświadczyć, że armia ukraińska jest zdrowa duchem, nie odczuwa strachu przed wrogiem i pewna jest ostatecznego nad nim zwycięstwa. Myślę również, że rycerska armia polska po przejściowym odwrócie ma w sobie siłę moralną dla kontynuowania zwycięskiej walki z wrogiem. Siłę tę można by jeszcze wzmocnić, czyniąc ją

1. Teka 26, nr 4380/T2.

2. Pomyłka Petlury. Układ polsko-ukraiński podpisany był 21. IV. 1920.

3. 10 lipca 1920 premier Grabski zgodził się w Spa na mediację sojuszników w sprawie zawieszenia broni i pokoju z Sowietami.

absolutnie niezwykłą, przez załatwienie niektórych spraw, które w obecnej sytuacji strategicznej i politycznej, mają — w moim przekonaniu — znaczenie decydujące.

Republikańska Armia Ukraińska, na której czele stoję, z chwilą utworzenia jednego, wspólnego frontu polsko-ukraińskiego dokonywała swego odwrotu zresztą [broniąc się] kontraktami, na rozkaz Naczelnego Dowództwa Wojsk Polskich i zgodnie z tymi rozkazami zajęła linię rzeki Zbrucz. Dowództwo oddziałów [frontowych,] jak również jednostki tyłowe, znalazły się na terenie Galicji. Fakt ten stwarza sytuację skomplikowaną zarówno dla armii jak i dla mego rządu. W przeświadczeniu, że jedynie wspólne i braterskie współzycie Rzeczypospolitej Polskiej i Ukraińskiej Republiki Ludowej może zapewnić trwałą i stałą przyjaźń, która ostoi się przed starym imperializmem Państwa Moskiewskiego — aczkolwiek przybrany w nowoczesną (komunistyczno-demagogiczną) szatę — pragnąłbym usunąć wszelkie przeszkody, wszelkie trudności znajdujące się na drodze dalszego wzmocnienia przymierza obu tych Republik. Oświadczam P. Komendancie, że ta wielka idea, dla której ja i rząd Ukraińskiej Republiki Ludowej pracujemy w pełnym zrozumieniu jej historycznej wagi i która znalazła głęboki i żywy oddźwięk w Pańskim sercu P. Komendancie oraz w sercu polskiego społeczeństwa, a mianowicie idea polsko-ukraińskiego porozumienia i uzgodnionej pracy w interesie obu wolnych Republik, przewyższyła uprzedzenia niedowiarków i ludzi słabych, wiążąc złotą struną solidarności najlepszych przedstawicieli obu zaprzyjaźnionych narodów i poprowadziła ich drogą, aczkolwiek pełną ofiar, ku sławie i wielkiej przyszłości. Tej przyszłości nic nie może zagrozić, jeśli to wzajemne zaufanie, z którym rozpoczynaliśmy wielką sprawę przymierza polsko-ukraińskiego nie opuści nas nadal, a odwrotnie stanie się impulsem i podstawą dla dalszego tak ważnego w tej chwili współdziałania. To właśnie daje mi prawo i obowiązek zwrócić się do Pana P. Komendancie, z szeregiem spraw, których załatwienie uważam za niezwłoczne i ułatwiające tę skomplikowaną sytuację, która się wytworzyła ze względu na położenie strategiczne.

Pragnąc, aby zaplecze mej armii, która tak bohatersko walczyła za wspólne interesy i poniosła wielkie straty w ludziach, odpowiadało zadaniom strategicznym, wzmocniło armię a nie wtrąciło jej w stan dezorientacji, uważałem za konieczne potrzebne, ażeby Pan P. Komendancie i Pański rząd uczynił wszystko co odpowiadałoby wyżej wspomnianym interesom strategicznym. Ze względu na to, że zaplecze — Galicja Wschodnia — stanowi wciąż jeszcze niezagojoną ranę dla jej ludności, tak polskiej jak i ukraińskiej, uważałem za potrzebne, abyśmy znaleźli siłę ducha i męstwa, aby tę ranę, aczkolwiek bardzo jęczącą, zagoić poprzez mądre zarządzenia państwowe. W momencie gdy oba narody, w obliczu wrogiego niebezpieczeństwa, splatają ściślej dłonie, nie chciałem aby część narodu ukraińskiego, zamieszkująca Galicję Wschodnią, została na uboczu i była sztucznie izolowana od udziału w tej walce. Nie chciałem, aby sprawy dnia bieżącego i [zagadnienia związane z] częścią naszych narodów stały na przeszkodzie rozwiązaniom dalszej przyszłości. Galicyjską część narodu ukraińskiego trzeba także przywołać i zachęcić do wspólnej pracy. Sądzę, że rzecz ta jest nie tylko możliwa, ale i historycznie konieczna. Sprawą tą należy się zająć, nie ulegając bolesnym przeżyciom niedawnej przeszłości, a na odwrót myśląc tylko o interesach dnia jutrzejszego w życiu Republik, z pełnym poczuciem odpowiedzialności za dzień jutrzejszy i za losy obu narodów. Otóż dlatego takie sprawy jak:

a) amnestia dla tych wszystkich, którzy w dobrej wierze, służąc swemu narodowi walczyli o suwerenność Galicji Wschodniej a dziś znaleźli się w więzieniu, w obozie, lub niewoli;

b) możliwość swobodnego wstąpienia wszystkich zdolnych do boju Galicjan do armii sojuszniczych;

c) powołanie do odpowiedzialnego udziału w życiu kraju również miejscowych Ukraińców;

d) zresztą nie uważałbym, aby rozpoczęcie rozmów między Rządem Polskim a przedstawicielami ludności ukraińskiej Galicji Wschodniej było otoczone taką niechęcią (*odioznm*) aby nie można do nich zaraz przystąpić lub nie znaleźć wspólnego języka tak niezbędnego w danym momencie a więcej jeszcze dla przyszłości obu narodów. Ja i mój rząd dołożymy wszelkich starań dla łatwego przeprowadzenia tej sprawy.

Dnia 22 kwietnia br. znalazło się wspólne zaufanie, które przyniosło nam umowę, która, przełamawszy tradycje stuleci wspólnie poprowadziła armie naszych narodów razem na wspólnego wroga. Obecnie nasze obustronne zaufanie jest wzmocnione i uświęcone wspólnie przelaną krwią rycerzy oraz bezwarunkową, wzajemną wiernością.

Powołując się na to, zapewniam, że zastosowanie właściwych środków ze strony Pana P. Komendancie i Pańskiego rządu celem stworzenia w Galicji Wschodniej takiego samego wspólnego gruntu dla obopólnego i sojuszniczego współdziałania przeciw imperializmowi moskiewskiemu, znajdzie i tam zrozumienie i właściwy oddźwięk, wywiedzie tamtejszą ludność z bezdroży na jasną pewną drogę i stanie się nowym faktem historycznym, który da nam możliwość zwyciężyć nie tylko teraz, ale i zawsze. I nie tylko terazniejszego ale i każdego wroga naszej wspólnej państwowej wolności. O tym wypada myśleć nam, którzy odpowiadamy nie tylko za dzień dzisiejszy ale i za przyszłość, przed historią i przed obecnym pokoleniem.

kwatery w polu
17/VII 1920.

Z prawdziwą przyjaźnią i oddaniem
Petlura

Sojusz polsko-ukraiński z 1920 roku czeka wciąż jeszcze na swego historyka i ani apologetyczne wersje polskie ani skrajnie krytyczne ukraińskie nie przyczyniają się do naukowego rozpatrzenia całego zagadnienia. Spory o kampanię kijowską między endekami i piłsudczykami zaczynają powoli przechodzić do historii, spory polsko-ukraińskie otrzymują wciąż jeszcze, niestety, nowe pożywki. W tych warunkach nieodzowne jest sięganie do źródeł i do niewykorzystanych zasobów archiwalnych. Ten właśnie cel przyświecał mi w dorzuceniu drobnego, ale niewątpliwie ważnego przyczynku, jaki stanowią oba wyżej opublikowane listy Petlury.

Piotr WANDYZCZ

ŁĄCZNOŚĆ I POLITYKA

Cztery wypowiedzi, które ukazały się w siódmym „Zeszycie Historycznym” pod wspólnym tytułem „Na marginesie artykułu Z.S. Siemaszki w szóstym Zeszycie Historycznym” skłaniają mnie do zabrania głosu jeszcze raz.

Wypowiedź „b. pracownika Oddz. Spec. Szt. Nacz. Wodza”, którego dla uproszczenia będę nazywał panem K., należy traktować ostrożnie z następujących powodów. Po pierwsze, autor listu pozostając incognito nie przyjął pełnej odpowiedzialności za swoje wypowiedzi. Po drugie, nie znany jest autorytet, który stoi za stwierdzeniami wypowiedzianymi w tym liście. Po trzecie, pan K. wykazuje silne zaciętrzewienie polityczne, co jest szkodliwe w wypowiedziach o charakterze historycznym.

Dalsze wypowiedzi pochodzą od mjr. inż. S. Popkiewicza, kpt. S. Kisiela i kpt. W. Babińskiego, z których pierwszy w omawianym okresie był d-cą Kompanii Radiotelegraficznej, drugi jego zastępcą, a trzeci adiutantem gen. Sosnkowskiego.

Kompania RT

Zacznijmy to omówienie od szczebla najniższego, tzn. od Kompanii Radiotelegraficznej Batalionu Łączności Sztabu N.W. W moim pojęciu Kompania ta była z najlepiej kierowanych i najbardziej sprawnych oddziałów na jakie natrafiłem i dlatego nie widzę najmniejszego sensu w wywlekaniu teraz jakichś drobiazgowych spraw, które mogą stworzyć fałszywy obraz, a które nawet wówczas nie były istotne.

Z tego względu nie będę podejmował dyskusji z kpt. Kisielą w sprawach personalnych Kompanii, a więc kto był lub nie był

Kierownikiem Ruchu, na podstawie jakich umiejętności (a raczej ich braku) przydzielano podchorążych do Kierownictwa Ruchu i jakie to łatwe łączności obsadzano młodymi żołnierzami (wszystko na str. 216). Uważam te sprawy za będące bez znaczenia z punktu widzenia historii. Pragnę jedynie zwrócić uwagę na pewną nielogiczność. Kpt. Kisiel pisze (str. 216): — „Siłą rzeczy nowoprzybyli, po okresie wprowadzenia, przydzielani zostali na łatwiejsze łączności oraz zmieszani ze starą kadrami”. Jedno wyklucza drugie. Albo byli przydzieleni na łatwiejsze łączności w przeciwieństwie do starej kadry, która prowadziła trudniejsze łączności, albo byli zmieszani ze starą kadrami, czyli obsługiwali te same łączności (trudne czy łatwe) co stara kadra.

Mam nadzieję, że niewielu podchorążych z Kierownictwa Ruchu i młodszych wiekiem telegrafistów przeczyta te uwagi kpt. Kisiele o sobie samych.

Wśród ścisłych i konkretnych komentarzy inż. Popkiewicza znalazł się jeden mniej uchwytny, a mianowicie: — „Niezrozumiały dla mnie jest wybór tylko dwu oficerów godnych wzmianki, z pominięciem innych, może niemniej zasłużonych”. (str. 212). Wybór tych, a nie innych, oficerów był podyktowany tematami poruszonymi (kpt. inż. Popkiewicz — odpowiedzialność za całość Kompanii, śp. por. inż. Doborzyński — jeden z pierwszych inżynierów, por. (plut.) Brękiewicz — pierwsza łączność z Anglii, por. inż. Żołędziowski i ppor. inż. Rutkowski — budowa centrali w Connington Hall). W sprawie zasług poszczególnych oficerów nie chcę i nie mogę zabierać głosu. Jeżeli inż. Popkiewicz uważa, że powinienem był to uczynić, to szkoda że nie skorygował mnie i nie wymienił najbardziej zasłużonych oficerów. A zresztą dlaczego tylko oficerów, a nie zasłużonych żołnierzy wszystkich stopni. Może jeszcze istnieje gdzieś lista przedstawionych na zakończenie wojny do odznaczeń polskich i brytyjskich, których, z powodu niezrozumiałego postępowania Sztabu N.W., nikt z Kompanii RT nie dostał.

Inż. Popkiewicz kwestionuje ilość inżynierów w Kompanii podaną przeze mnie. Na podstawie listy żołnierzy i pracowników cywilnych Kompanii z 1 kwietnia 1944 r. (Historia Bat. Łącz. Szt. N.W. str. 48) i własnej pamięci naliczyłem tylko dwóch inżynierów elektryków z wyższym wykształceniem, tzn. takich, którym obecnie w Polsce przysługiwałby tytuł mgr. inż. Inż. Ormontowicz (urzędnik cywilny) nie figuruje na tej liście, więc nic dziwnego, że go nie liczyłem, tym bardziej, że nie znałem go osobiście. Jednocześnie nie liczyłem tych, którzy politechniki w owym czasie jeszcze nie skończyli, ani tych, których inż. Popkiewicz podaje jako „technolog (Wawelberg)”, ani tym bardziej

tych, których inż. Popkiewicz podaje jako „technik”. Pragnę wyjaśnić, że do przedwojennej Wyższej Szkoły Budowy Maszyn i Elektrotechniki im. Wawelberga odnoszę się z szacunkiem, jednak tytułu inżyniera ona nie dawała.

Wyczerpujące wyjaśnienia inż. Popkiewicza (str. 212 i 213) na temat sprzętu technicznego, obliczania optymalnych częstotliwości, systemu pracy sieci sztabowej, oraz podległości sieci krajowej i radiostacji przy wielkich jednostkach są jak najbardziej słuszne.

Pragnę wyjaśnić, że pisząc o bezpośrednim wydawaniu rozkazów przez ppłk. Utnika kpt. Popkiewiczowi i o bezpośrednim meldowaniu w odwrotnym kierunku wcale nie miałem zamiaru sugerować jakoby istniało jakieś porozumienie Utnik-Popkiewicz. Nie ulega wątpliwości, że skracanie drogi służbowej dawało poważną oszczędność w czasie. Z drugiej strony jednak ułatwiał to ppłk. Utnikowi wydawanie rozkazów graniczących z nadużyciem władzy, które, ze względu na różnicę w szczeblu służbowym nie mogło wzbudzać podejrzeń u kpt. Popkiewicza. Tak było dajmy na to z telegramem Nr 406/1 i 2/xxx/999, o którym jeszcze będzie mowa.

Wandy

Przejdźmy z kolei do metody używanej w pośredniczeniu między radiostacjami krajowymi, które w dalszym ciągu wymaga wyjaśnienia. Nie mogę znaleźć w swoim opracowaniu zdania, w którym twierdziłbym jakoby któraś z radiostacji w Barnes Lodge nosiła nazwę Wandy, jak sugeruje kpt. Popkiewicz (str. 214), gdyż radiostacji o tej nazwie w Barnes Lodge nie było. Natomiast z całą pewnością niektóre numery Wand krajowych były przydzielone do niektórych radiostacji w Barnes Lodge. Zgodnie z tym co podają *Polskie Siły Zbrojne*, tom III. (str. 253) Nr 8 był przydzielony do radiostacji Karol, Nr 17 do Warty, Nr 27 do Jacka, Nr 35 do Olka, Nr 39 do Romka, Nr 51 do Kazika i Nr 67 do Odry. Przez omyłkę numery 27 i 67 zostały pominięte w moim opracowaniu. Za chwilę, przyglądając się dokładniej korespondencji pomiędzy Warszawą i Wilnem, znajdziemy potwierdzenie dwóch spośród tych numerów.

Ze względu na to, że ktokolwiek będzie grzebał w telegramach przechodnich to napotka na poważne kłopoty w odczytywaniu nagłówek telegramów, warto tę sprawę wyjaśnić do reszty, szczególnie, że inż. Popkiewicz (str. 214) zakwestionował mój sposób odczytywania. Przypatrzmy się bliżej korespondencji pomiędzy Wilnem i Warszawą w lipcu i sierpniu 1944 r. Telegram

Nr 2/xxx, L.dz. Oddz. Spec. 13218 (nadany do Warszawy 13.7.44, odszyfrowany w Oddz. spec. 16.1.45), w którym ppłk. dypl. Adam Szydłowski (pseud. Poleszuk) meldował przebieg walk w Wilnie miał nagłówek następujący: — W 72 to 09, 27 de 20 a pierwsze jego zdanie brzmiało: — „Centrala i K.G., Nr 2 dnia 13.7. Poleszuk”, Jasne, że telegram ten był skierowany do Sztabu N.W. i do Komendy Gł. A.K. Wobec tego nagłówek powinien być odczytany: — od Wandy 20 (d-two Wilno) przez Wandę 72 (wileńska partyzantka) do Wandy 09 (K.G.) i 27 (Sztab N. W.). Telegram Nr 5/xxx, L.dz. Oddz. Spec. 13168 (nadany do Warszawy 17.7.44, odszyfrowany w Oddz. Spec. 12.1.45), w którym ppłk. Strychański meldował o aresztowaniu sztabów Wilno i Nowogródek miał nagłówek W 72 to 09 es 17 de 20, który należy odczytać: — od W 20 przez W 72 do W 09 i (es = i) 17 (jeden z numerów przydzielonych do Barnes Lodge). Na tę wiadomość odpowiedział gen. Bór-Komorowski (pseudonim w korespondencji krajowej Znicz) telegramem Nr 209/xxx/999 z 20 lipca 44 r., L.dz. Oddz. Spec. 13127 (nadany do Wilna 20.7.44., odszyfrowany w Oddz. Spec. 31.12.44). Telegram ten miał nagłówek W 1 to 19 to 20 de 09, co należy odczytać: — od W 09 (kryptonim K.G.) przez W 1 (jedna z radiostacji K. G.) do W 19 i 20 (obie wileńskie). Należy przypuszczać, że trzy dziewiątki w numerze tego telegramu oznaczały, że przewidziany on był również dla Sztabu N.W., bo w innych telegramach od Znicza do Wilna dziewiątek nie ma. Można jeszcze przytoczyć dwa inne telegramsy Nr 4/xxx i Nr 5/xxx/1, L.dz. Oddz. Spec. 13116 i 13117 (nadane do Warszawy 15 i 16.8.44., odszyfrowane w Oddz. Spec. 10.1.45.) Oba mają identyczny nagłówek, W 72 to 17, 09 de 20 i nie ulega wątpliwości, że były przewidziane również dla Sztabu N.W., bo pierwsze zdanie obu telegramów brzmi: — „Nów do N.W. i K.G., dnia 11.8.44., Kotwicz”. Nów to Komenda A.K. Nowogródek, Kotwicz to ppłk. dypl. Maciej Kalenkiewicz. Pierwszy z nich mówi, że A.K. Nowogródek została podporządkowana Komendzie Wilno, a drugi zawiera takie stwierdzenie: — „Nakazuję jawną polską postawę mas i przygotowuję się do zdecydowanego oporu do powszechnej walki zbrojnej włącznie”.

Telegram Nr 5/xxx/2 z 11 sierpnia 1944 r., L.dz. Oddz. Spec. 131117 (nadany do Warszawy 16.8.44, odszyfrowany w Oddz. Spec. 10.1.45.) żądający komisji alianckiej w Wilnie ma nieco inny nagłówek, W 72 to 59, 17, 09 de 20, co znaczy, że był on przewidziany dla Sztabu N.W. (17), dla Komendy Gł. w Warszawie (09) i dla Wandy 59, która wydostała się z potrzasku wołyńskiego na Lubelszczyźnie.

Telegram Nr 13/xxx z 24 sierpnia 44 r., L.dz. Oddz. Spec. 13098 (nadany do Warszawy 26.8.44., odszyfrowany w Oddz. Spec. 9.1.45.), w którym Warta (kpt. dypl. Stanisław Sędziak — skoczek) meldował: — „Generał Bór. Dnia 21.8. w Surkon-tach podstępnie otoczony... w walce zginął ppłk. Kotwicz” miał nagłówek W 72 to 09 de 20, co należy odczytać: — od Wandy 20 przez Wandę 72 do Wandy 09. Telegram ten nie był prze-widziany dla Sztabu N.W.

Na te wiadomości z Wilna gen. Bór-Komorowski zareagował telegramem Nr 536 z 28.8.44., L.dz. Oddz. Spec. 13100, (nadany do Wilna 29.8.44., odszyfrowany w Oddz. Spec. 9.1.45), w którym poleca: — „Przygotujcie możliwość wycofania najbardziej zagrożonych ludzi do centrum kraju. Walki z Sowietami nie pro-wadźcie, wejść głęboko w podziemie”. Telegram ten miał nagłówek W 62 to 20 de 09, czyli Wandy 09 przez Wandę 62 (jedna z radiostacji K.G.) do Wandy 20 podległej kpt. dypl. Sędziakowi, który objął dowództwo po śmierci ppłk. dypl. Kalenkiewicza.

Z powyższego wynika, że w nagłówkach telegramów nume-rami Wand oznaczano nie tylko radiostacje, przez które miały przechodzić telegramy, ale również poszczególne dowództwa, jak np. W 09 — K.G. w Warszawie, W 19 lub W 20 — Komenda Wilno lub Nowogródek. Warto wspomnieć, że jeżeli nagłówek powiada „to 20”, to nie znaczy, że telegram musiał być nadany z Barnes Lodge do W 20, gdyż mógł on być nadany przy pierw-szej okazji do którejkolwiek radiostacji wileńskiej (W 19, 20, 72). Podobnie, jeżeli telegram był zaadresowany „to 09”, to mógł on być nadany do którejkolwiek Wandy przy Komendzie Głównej. Wynika stąd, że pośredniczenie między stacjami krajo-wymi nie było wcale prostym zadaniem i Kierownictwo Ruchu w Barnes Lodge musiało się dobrze orientować w przydzielach Wand i ich geograficznych położeniach.

Skoro już jesteśmy przy radiostacjach krajowych to chciałbym nadmienić, iż skłonny jestem zgodzić się z inż. Popkiewiczem, że przesadziłem określając trójki Wand pracujących w czasie pow-stania na tej samej częstotliwości jako system „fatalny w skut-kach”. Możliwe, że tego rodzaju rozwiązanie było konieczne ze względu na ograniczoną ilość przydzielonych częstotliwości.

Oddział Specjalny Sztabu N.W.

Jak przed chwilą widzieliśmy wszystkie telegramy wymie-nione pomiędzy Wilnem i Warszawą w lipcu i sierpniu 1944 r., niezależnie od tego czy były skierowane do Sztabu N.W. czy nie,

formalnie zostały odszyfrowane w Oddz. Spec. dopiero w grudniu 44 r. i styczniu 45 r. Pan K. twierdzi: — „Szyfr między K-dą Gł. A.K. i Okręgami (wewnętrzny krajowy) był dla Oddziału Spec. w zasadzie nieczytelny, bo nie znano kluczy oddzielnych dla każdego Okręgu. Po upadku powstania Szef Oddziału Spec. ppłk. Utnik polecił (dla celów archiwum historycznego...) odszyfrować cały szereg depesz w wewnętrznej korespondencji krajowej”. (str. 208).

Wynikałoby z tego, że stary sztabowiec z hotelu Rubens ppłk. dypl. Kalenkiewicz i zrzucony do Polski dopiero w kwietniu 1944 r. ppłk. dypl. Szydłowski, który z pewnością przed odlotem przechodził przez staż w Oddz. Spec. nie znali procedury szyfrowej i adresowali swoje telegramy do Sztabu N.W. (patrz wyżej), gdzie te telegramy były nieczytelne. Szkoda, że pan K. nie wyjaśnił w jaki sposób klucze do szyfrów nieznane, jego zdaniem, w Oddz. Spec. latem 44 r. zostały dostarczone z kraju w jesieni tego roku.

W swoim opracowaniu wykazałem (str. 92), że wiadomości nadchodzące bezpośrednio z Wilna były natychmiast znane w Oddz. Spec., pomimo że formalnie telegramy te zostały odszyfrowane w kilka miesięcy później. A jak przedstawiała się sprawa innych Okręgów? Wystarczy spojrzeć na listy telegramów w Polskich Siłach Zbrojnych na str. 939-941, aby stwierdzić, że z pośród cytowanych tam telegramów przejściowych wymienionych pomiędzy dowódcami poszczególnych Okręgów i dowódcą A.K. w lipcu i sierpniu 1944 r. wiele z nich zostało odszyfrowanych i wpisanych do dziennika podawczego Oddz. Spec. w czasie ich przechodzenia przez Londyn, bo noszą one L.dz. Oddz. Spec. rzędu 6 i 7 tysięcy odpowiadające temu właśnie okresowi. Na przykład z korespondencji d-cy A.K. ze Lwowem P.S.Z. cytuje 7 takich telegramów, z Lublinem 9, z Radomiem 8, z Krakowem 2. Natomiast pozostałe telegramy z powyższych Okręgów i wszystkie telegramy wymienione pomiędzy dowódcami Okręgów Wołyni, Wilno, Nowogródek i d-cą A.K. w okresie Burzy na tych terenach mają L.dz. Oddz. Spec. rzędu 13 tysięcy, czyli zostały formalnie odszyfrowane i wpisane do dziennika podawczego Oddz. Spec. w grudniu 44 r. i styczniu 45 r., chociaż, jak wiemy, treść najważniejszych meldunków z Wilna była znana w Oddz. Spec. w czasie ich przechodzenia przez Barnes Lodge.

Wynika stąd, że Oddz. Spec. posiadał klucze do szyfrów krajowych poszczególnych Okręgów. To, że pan K. tych kluczy nie znał wcale nie znaczy, że były one nieznane w Oddz. Spec. O ile mi wiadomo cały system szyfrowy używany przez Oddz. Spec. i kraj został opracowany przez kpt. Jagiełłę z Oddz. Spec.

W uwagach pana K. znajduje się jedna informacja naprawdę wartościowa, a mianowicie nakaz bezpośredniego przekazywania wiadomości krajowych z Oddz. Spec. do Premiera (str. 208), co wyjaśnia natychmiastową reakcję ambasadora Raczyńskiego w dniu 26 lipca 44 r. na wiadomość o gotowości do „walki o Warszawę”, o czym pisałem na str. 108-109.

W wielu wypadkach uwagi pana K. mają raczej charakter demagogicznego przemówienia na zebraniu Stronnictwa Ludowego niż przyczynku historycznego. Dajmy na to na str. 210 pan K. używa takich zwrotów: — „Mjr. Utnik... jako rzekomy człowiek zaufania Prezydenta Raczkiewicza i gen. Sosnkowskiego i rzekomy przywódca konspiracji młodych oficerów”, a niżej „osoba Utnika jako przedstawiciela rzekomej konspiracji młodych oficerów”. Co w tych wypadkach znaczy efektowny przymiotnik „rzekomy” jedynie panu K. chyba jest wiadome. Zaufanie do uwag pana K. podrywa stanowcze stwierdzenie dotyczące tego co pisałem o konspiracji oficerów: — „Autor niesłusznie oparł się w tej sprawie na opiniach Demela i Iranka-Osmeckiego” (str. 210). Stwierdzam, iż w mojej jedynej rozmowie z tymi pułkownikami nie padło ani jedno słowo na temat tajnej organizacji oficerów, kto nie wierzy niech sprawdzi w sprawozdaniu z tej rozmowy w Studium Polski Podziemnej.

Pan K. poczuł się dotknięty moimi spostrzeżeniami na temat opieszalej pracy biur Oddz. Spec. Szkoda, że zamiast górnolotnych zwrotów na temat „wniosków natury politycznej i moralnej”, co „nie przystoi historykowi” (znowu błędne stwierdzenie, bo nie jestem historykiem a inżynierem elektroniki) pan K. nie spróbował wyjaśnić jak to się stało, że pomimo, jak twierdzi, stałych dyżurów nocnych i świątecznych (str. 209), w niedzielę 23 lipca 44 r. nie ma żadnego wpisu w dzienniku podawczym Oddz. Spec., a w niedzielę 30 lipca 44 r. tylko dwa wpisy a telegramy wymieniane pomiędzy najwyższymi osobistościami przed 30 lipca zostały odszyfrowane jedynie w godzinach służbowych.

Ma się rozumieć mogły być błędy w odbiorze telegramów krajowych i błędy w szyfrowaniu płk. Demela, o których pisze pan K. (str. 209), ale oba te zjawiska nie tłumaczą różnicy w przeciętnym czasie pomiędzy odebraniem i odszyfrowaniem telegramów Nacz. Wodza (17 godz.) i gen. Bora-Komorowskiego (7 i pół godz.) o czym pisałem na str. 86 i 88.

Ruch Korespondencyjny

Pan K. pisze, że „Utnik i Hańcza mogli zmieniać znak pilności

na telegramach ich podkomendnych” (str. 208), a nie ich zwierzchników. Nie jest to ścisłe, bo gen. Bór-Komorowski nie był podkomendnym ppłk. Utnika, a tymczasem ten ostatni, jak wiemy, zmienił stopień ważności telegramu gen. Bora-Komorowskiego Nr 406 z /xxx/ na /vv/, tzn. z pierwszego na trzeci.

Skoro już mowa o tym telegramie to nie widzę w jaki sposób Nacz. Wódz mógł odróżniać część pierwszą tego telegramu od całości, jak to sugeruje inż. Popkiewicz (str. 214). W związku z rozkazem dalekopisowym ppłk. Utnika, o czym pisałem na str. 99, część pierwsza tego telegramu została nadana do Mewy pod Nr 406/vv/555. Była ona zaszyfrowana szyfrem K.G. — Oddz. Spec., czyli mogła być odszyfrowana jedynie na Mewie i przekazana Nacz. Wodzowi pod Ankoną tekstem otwartym. Nawiasem mówiąc uważam przekazywanie wiadomości krajowych tekstem otwartym spod Brindisi do Ankony za sprzeczne z zasadami koniecznej w tym wypadku konspiracji. Całość telegramu powinna była pójść pod Nr 1406/vv/555 szyfrem Demel-Jagiełło. Bez względu jaki szyfr był użyty, z odszyfrowanych tekstów wynikało jasno, że pochodzą one od Lawiny i w odpowiedzi Nacz. Wodza Nr 1283/vvv/999 zwrot „Na Waszą 1406” był skierowany do Lawiny, (Lawina do rąk własnych”), a nie do Oddz. Spec. jak sugeruje inż. Popkiewicz (str. 214). Tak, czy inaczej widać, że Oddz. Spec. nie zawiadomił Nacz. Wodza, tak samo jak nie zawiadomił Prezydenta, o tym, że gen. Bór-Komorowski zarządził „czujność do powstania z dniem 25.VII g. 001”. Nacz. Wódz dowiedział się o tym dopiero z telegramu gen. Kopańskiego nadanego 28 lipca 44 r., po otrzymaniu którego stwierdził, że Nr 1406 nie otrzymał.

W Jolemie została poruszona kwestia, kto nadawał ważności telegramom Nacz. Wodza, które szły przez Mewę. Tylko trzy osoby mogą tu być brane pod uwagę — gen. Sosnkowski, płk. Demel i ppłk. Hańcza. Jest bardzo mało prawdopodobne, żeby Nacz. Wódz, lub płk. Demel na jego polecenie, nadawał swoim telegramom nie tylko w sprawach krajowych, ale również w sprawach politycznych do Prezydenta ważność drugiego i trzeciego rzędu. Jak już pisałem płk. Demel nie znał systemu ważności Oddz. Spec. Więc pozostaje jedna możliwość, a mianowicie, że ważności nadawano na Mewie i nie jest wykluczone, że ppłk. Hańcza, lub któryś z jego podwładnych, dostał w tej sprawie jakieś dyrektywy z Londynu.

W związku z tym co pisze inż. Popkiewicz (str. 213 i 214) należy zastanowić się do jakiego stopnia niskie ważności mogły opóźnić telegramy Nacz. Wodza. Łączność pomiędzy Barnes Lodge i Mewą nawiązywano codziennie o godz. 8 rano i kontynuowano

korespondencję aż wszystkie telegramy z danego dnia zostały przekazane obustronnie. Telegramy te nadawane nie w kolejności chronologicznej ich wpływania na stanowisko korespondencyjne, lecz w kolejności ich ważności, przecież m. in. po to były wprowadzone stopnie ważności. W ten sposób mogło się zdarzyć, że telegram o niskiej ważności, który wpłynął do Kierownictwa Ruchu na Mewie przed południem został przekazany do Barnes Lodge dopiero po południu, lub wieczorem tegoż samego dnia.

Wynika stąd, że nadanie niskiej ważności na Mewie mogło spowodować opóźnienie w przejściu telegramu z Kierownictwa Ruchu na Mewie do Biura Szyfrów w Oddz. Spec. najwyższej rzędu kilkunastu godzin. Skutki niskich ważności telegramów Nacz. Wodza można zauważyć zestawiając godziny, w których te telegramy wpłynęły do Oddz. Spec. Na 10 telegramów o ważnościach drugiego i trzeciego rzędu żaden nie wpłynął przed godz. 1200, a aż 5 między godz. 1855 i 0230.

Inż. Popkiewicz słusznie podkreślił, że w Biurze Szyfrów Oddz. Spec., bez względu na ważność, wiadomo było od razu, że dany telegram pochodzi od Nacz. Wodza. Wskazywała na to odmienność szyfru. W tym świetle i w świetle nocnych dyżurów, o których pisze pan K., przeciętny czas odszyfrowania telegramów Nacz. Wodza w Oddz. Spec. (17 godz.) nabiera szczególnej wymowy.

Z kolei przejdźmy do szyfru, który zabrał ze sobą do Włoch płk. Demel. Pan K. na str. 208 pisze tak: — „Wobec tego odlatujący do kraju gen. Okulicki dostaje szyfry, które umożliwiają wysłanie telegramów do K-dy Gł. A.K. — nieczytelne w Oddz. Spec. Gen. Komorowski (Lawina) sprzeciwił się tego rodzaju korespondencji w maju 1944 r.” a dalej „Pozostaje jednak szyfr zabrany przez gen. Okulickiego, którym posługuje się Demel w czasie włoskiej inspekcji gen. Sosnkowskiego”. Sprawą gen. Okulickiego i jego szyfrów (czy szyfru — pan K. nie jest pewien) zostawmy na później, tymczasem zastanówmy się nad szyfrem zabranym do Włoch przez płk. Demela. Szkoda, że pan K. nie podał kto był, jego zdaniem, autorem tego szyfru, bo zgodnie z wypowiedzią gen. Kopańskiego na zebraniu Stowarzyszenia Elektryków Polskich w dniu 11 stycznia 1964 r. i zgodnie z oświadczeniem płk. Demela w czasie rozmowy Demel-Iranek-Siemaszkowski dnia 20 czerwca 1964 r. szyfr ten przygotował kpt. Jagiełło z Oddz. Spec. Chyba pan K. nie będzie twierdził, że płk. Demel „inspirował” gen. Kopańskiego, chociaż kto wie, na str. 209 pan K. pisze, że gen. Kopański miał „aniołów stróżów” w osobach płk. Smoleńskiego i płk. Demela”, a anioł stróż nawet po 20 latach może ma jakieś prawa.

Oświadczenia gen. Kopańskiego i płk. Demela są bardziej godne zaufania niż anonimowego pana K. i wobec tego należy założyć, że szyfr zabrany przez płk. Demela do Włoch był znany w Oddz. Spec. od samego początku swego istnienia.

Okulicki, Tatar, Hańcza

O misji gen. Okulickiego pisano już wiele i wyciągano na ten temat najrozmaitsze wnioski. Pan K. twierdzi, że wysłanie gen. Okulickiego było intrygą „otoczenia politycznego gen. Sosnkowskiego” przeciwko Rządowi i że gen. Okulicki miał jakieś specjalne szyfry (str. 208). Przypatrzmy się dokumentom znajdującym się w Studium Polski Podziemnej.

Przed wyjazdem gen. Okulickiego z Londynu do Włoch (Baza Nr 11) Nacz. Wódz wręczył mu odręczny list z 15 marca 1944 r. polecający go d-cy A.K., w którym na temat zadań gen. Okulickiego jest następujące zdanie: — „Wyznaczam go na jednego z zastępców Pana Generała o zakresie działań, które Pan Generał ustali wedle swego uznania”.

Gen. Okulicki czekał w Bazie Nr 11 na zrzut do Polski około dwóch miesięcy, nie był to wypadek odosobniony, dajmy na to Retinger czekał jeszcze dłużej. W międzyczasie przerzucono do kraju pocztę gen. Okulickiego (Poczta Nr 7), która została pokwitowana przez Komendę Gł. A.K. przed 9 maja 1944 r.

Dnia 9 maja 1944 r. Nacz. Wódz wysłał do gen. Okulickiego telegram o następującej treści (Nr 3689/vv/222).

Sopia (do rąk własnych) dla płk. Okulickiego.

1. W związku z wyjaśnieniami jakie otrzymałem o organizacji A.K. pierwszym z-cą Lawiny jest Szef Sztabu. Z tego względu zwrot w liście odręcznym, który Panu dałem i w którym jest mowa o wyznaczeniu Pana na jednego z z-ców z zakresu czynności wedle uznania D-cy A.K. może być wykonany w świetle istniejącej org. dowodzenia na terenie Kraju tylko w ten sposób, że będzie Pan jednym z zastępców Szefa Sztabu albo też otrzyma Pan d-wo terenowe.

Nie mogę i nie chcę zmieniać ustalonej na terenie Kraju organizacji, przeto uprzedzam Pana o tym w przypuszczeniu, że nie upłynie to na zmianę Pańskiej gotowości. Czekam potwierdzenia.

2. W meldunku Pańskim z dn. 23.4.44 punkt 4 użył Pan zwrotu „bez poczty moje stanowisko będzie trudne” — proszę wyjaśnić co Pan miał na myśli.

3. Poczta i pakiet Pana płk. są już pokwitowane przez placówkę odbiorczą w Kraju.

NACZ. WÓDZ

Parę wyjaśnień. Sopia to pseudonim ppłk. Hańczy. Okulicki został mianowany generałem dopiero po wylądowaniu w kraju.

Jak wynika z telegramu Nacz. Wódza do Lawiny z dnia 24 maja 44 r. (patrz poniżej) wyjaśnienia na temat hierarchii dowodzenia A.K. udzielił gen. Tatar, który przybył do Londynu dnia 21 kwietnia 44 r.

Dnia 16 maja 1944 r. gen. Okulicki odpowiedział Nasz. Wódzowi telegramem Nr 756.

Przekazuje meldunek płk. Okulickiego do Nacz. Wódza: —

„1. Jestem gotów do odlotu dla pracy jaką w Kraju ustali dla mnie Dowódca Armii Krajowej. Mogę zapewnić Pana Generała, że żadnych trudności swą osobą nie sprawię.

2. „Bez poczty moje stanowisko będzie trudne” miałem na myśli trudności wiernego i dokładnego powtórzenia poglądu Pana Generała na całość zagadnień, które mam zreferować Dcy A.K. Z chwilą gdy wiem, że poczta jest na terenie Kraju i przy tym referacie mogę z niej korzystać, trudności te znikają”.

Melduję, że płk. Okulicki odprawiony jest na 80!9, a jeżeli to nie nastąpi do 8296-9498, 8318, to na własne żądanie wysłany będzie 210! na bastion Kos.

SOPIA — 756 — dnia 16.V.44.

W nocy z 21 na 22 maja 1944 r. gen. Okulicki wylądował w okolicy Krakowa. W tym czasie, 24 maja, Nacz. Wódz pisał do gen. Bora-Komorowskiego co następuje (Nr 426/555, L.dz. Oddz. Spec. 3962): —

Lawina (do rąk własnych)

Wymienionego oddaje do waszej dyspozycji do użycia według waszego uznania w Sztabie lub terenie. W tym sensie, po wyjaśnieniu Turskiego, zmieniłem treść mego listu wiezionego przez niego, o czym powiadomiłem zainteresowanego.

NACZ. WÓDZ

Dnia 3 czerwca 1944 r. gen. Bór-Komorowski meldował telegramem Nr 038 (L.dz. Oddz. Spec. 4761) co następuje: —

Nacz. Wódz

Na pismo odręczne 15 marca 1944. Melduję, że w dniu dzisiejszym zameldował się Kobra.

LAWINA 1038, dn. 3.6.44.

Kobra, to jeden z pseudonimów gen. Okulickiego.

Dnia 9 czerwca 1944 r. Lawina odpowiadał telegramem Nr 088/d (L.dz. Oddz. Spec. 4719).

Na 426. Naczelną Wódz

Ucieszyliśmy się z przybycia Kobry. Mocno związany z pracą wojskową w Kraju. Kobrę wyznaczam na stanowisko zastępcy szefa sztabu i szefa operac. w Dtwie AK.

Proszę o powiadomienie mnie jaka jest decyzja Pana Generała co do użycia Turskiego i czy mam się liczyć z powrotem jego do AK.

LAWINA 1088 — 9. VI.

N.B. Okulicki jeszcze jako ppłk. dypl. działał w wojskowym podziemiu w latach 1939-40. Turski to gen. Tatar.

Dokumenty powyższe są tak jasne, że nie wymagają chyba żadnych komentarzy, ale jednak stale krążą jakieś wersje na temat „intrygi” i tajnych szyfrów gen. Okulickiego (Pobóg-Malinowski str. 610-612, Skarżyński str. 167-168, pan K. str. 208-209). Zachodzi pytanie co zawierała poczta gen. Okulickiego na podstawie której miał referować d-cy A.K.? W rozmowie ze mną gen. Pełczyński stwierdził, że gen. Okulicki nic nowego i nieznanego Komendzie Gł. nie meldował.

Czy miał gen. Okulicki jakieś specjalne szyfry? Pan K. pisze tak: — „Odlatujący do kraju gen. Okulicki dostaje szyfry, które umożliwiają wysyłanie telegramów do K-dy Gł. A.K. — nieczytelne w Oddz. Spec. Gen. Komorowski (Lawina) sprzeciwił się tego rodzaju korespondencji w maju 1944 r.” (str. 208). Panu K. musiało się coś pomylić. Po pierwsze, nie widzę na jakiej podstawie gen. Bór-Komorowski miałby ingerować w wewnętrzne sprawy Sztabu N.W. Po drugie, w jaki sposób gen. Bór-Komorowski mógł protestować już w maju skoro gen. Okulicki zameldował się u niego dopiero 3 czerwca 44 r., chyba, że rewidował jego pocztę, ale przecież do tego nie przyznałby się. Po trzecie, szkoda, że pan K. nie wyjaśnił w jaki sposób telegramy miały być przekazywane z Barnes Lodge do Gabinetu N.W. z pominięciem Oddz. Spec. W wypadku, gdyby tego rodzaju telegramy przechodziły przez Oddz. Spec. w stanie zaszyfrowanym nie zajęłoby zbyt wiele czasu zanim szyfranci Oddz. Spec. odczytaliby ten ukrywany przed nimi szyfr. Jeżeli Nacz. Wódz miał takie zamiary jakie mu przypisuje pan K. przecież o wiele prościej byłoby zakazać bezpośredniego przekazywania pewnych wiadomości krajowych z Oddz. Spec. do Premiera. Tym bardziej, że pan K. sugeruje, iż jeszcze w październiku 1944 r. gen. Tatar i ppłk. Utnik byli dobrze widziani u gen. Sosnkowskiego (str. 210).

Dla odmiany Pobóg-Malinowski, opierając się na relacji gen. K. Sawickiego, pisze (str. 611), że szyfr gen. Okulickiego miał być nieznanym w Komendzie Gł. A.K. Przeciwnie temu mógłby protestować gen. Bór-Komorowski, ale, gdyby tak było, nie witałby on tak serdecznie gen. Okulickiego, jak to widzieliśmy z telegramu cytowanego powyżej.

Na podstawie tego wszystkiego można by jedynie przypuszczać, że mogły istnieć jakieś początkowe zamiary, o ile chodzi o wysłanie gen. Okulickiego, ale upadły one kompletnie i gen. Okulicki został oddany do dyspozycji d-cy A.K. bez żadnych zastrzeżeń i bez żadnych ubocznych zadań. Nie ma też żadnych

podstaw do przypuszczeń, że gen. Okulicki posiadał jakieś tajne szyfry nieznane albo w K-dzie Gł. A.K., albo też w Oddz. Spec. Istnieją jednak ludzie, którzy na każdym kroku widzą jakieś knowania i rozprzestrzeniają bezpodstawne plotki.

Zajmijmy się z kolei wysłaniem gen. Tataru do Londynu. Pan K. sugeruje, że był on po prostu kurierem, który miał jednorazową misję do spełnienia (str. 210). Twierdzenie to jest sprzeczne z tym co dotychczas na ten temat napisano. Wszyscy autorzy, niezależnie od ich zabarwienia uważają gen. Tataru za delegata Komendy Gł. A.K., który miał doradzać Sztabowi N.W. w sprawach krajowych. W taki sam sposób ujął tę sprawę w rozmowie ze mną gen. Pełczyński. Pan K. przedstawia swego bohatera jako rycerza bez skazy: — „Tatar nie chciał objąć żadnego stanowiska w Sztabie N.W. i zamierzał, po wykonaniu swoich zadań, jako emisariusz K-dy Gł. A.K., przejść do służby liniowej” (str. 210). Cóż to znaczy do „służby liniowej” w wypadku gen. Tataru? Ze względu na kilkuletnie oderwanie od normalnej służby wojсковej nie nadawał się on do żadnej faktycznej funkcji liniowej w jednostkach walczących 2 Korpusu, ani też w przygotowującej się do walki Pierwszej Dywizji Pancernej czy Brygadzie Spadochronowej. Mógł być użyty jedynie w jeszcze wówczas kadrowych oddziałach 3 Korpusu na Śr. Wschodzie lub 4 Dywizji Piechoty w Szkocji. Czyżby ten generał ambitny wojskowo, a jeszcze bardziej ambitny politycznie, który wierzył, że on posiada klucz do rozwiązania problemów polsko-rosyjskich był gotów do objęcia kadrowej funkcji? Nie, tego rodzaju naświetlenie nie jest uzasadnione.

Prośby oficerów sztabowych o przeniesienie „do linii” nie były rzadkością. Jako przykład może służyć mjr. Jan Żychoń, szef polskiego wywiadu na Niemcy, na którego padło podejrzenie współpracy z Niemcami, ale nic nie zdołano mu udowodnić. Prosił o przeniesienie „do linii”. Został zastępcą dowódcy 13 batalionu w Dywizji Kresowej i poległ w akcji pod Monte Cassino 17 maja 1944 r. w chwilę po swoim dowódcy ex-senatorze ppłk. Kamińskim. Dotychczas krąży pogłoski, że mjr. Żychoń zginął od strzału z tyłu, natomiast świadkowie wypadków uważają, że poległ od kuli niemieckiej. Ale to już inna sprawa.

Warto jeszcze raz zacytować zdanie z telegramu d-cy A.K. z 6 czerwca 1944 r. „Proszę o powiadomienie mnie jaka jest decyzja Pana Generała co do użycia Turskiego i czy mam się liczyć z jego powrotem do A.K.” Wynika jasno, że funkcja i długość pobytu Tataru-Tabora-Turskiego w Sztabie N.W. nie były ustalone przed jego odlotem z kraju. Na tle tego zdania opinia pana K. brzmi niewiarygodnie: — „Gen. Tatar (Tabor) przybył w

kwietniu 1944 r. do Londynu nie z własnej woli, ale na skutek intrygi „sosnkowszczyków” — gen. Pełczyński i płk. Iranek chętnie widzieliby zmianę Tatara na Okulickiego, a gen. Bór w tej sprawie nie wiele miał do powiedzenia” (str. 209). A jednak miał coś do powiedzenia i przewidywał możliwość powrotu gen. Tatara.

Podejrzliwość pana K. przekracza granice rozsądku. Według niego intryganci, „sosnkowszczycy” krajowi, chcieli wyeliminować gen. Tatara i dlatego wysłali go do Londynu, wbrew jego woli, jako swego przedstawiciela, a ich przywódca, gen. Sosnkowski, mianował go, znowu wbrew jego woli, na jedno z najbardziej odpowiedzialnych stanowisk w swoim Sztabie. Wiemy, że byli sanatorzy i antysanatorzy, legioniści i nie-legioniści, „sikorszczycy” i „sosnkowszczycy”, dyletanci, intryganci i zwykli karierowicze, ale czyż wśród nich nie było grona „sprawiedliwych”, którym po prostu chodziło o Sprawę?

Okoliczności nominacji gen. Tatara na stanowisko zastępcy Szefa Sztabu N.W. do spraw krajowych nie zostały jeszcze wyjaśnione. Moim zdaniem odegrały tu rolę trzy czynniki, presja Premiera Mikołajczyka, „personality” gen. Tatara i panująca wówczas w Londynie tendencja do poszukiwania nowych ludzi, której wydawał się sprzyjać gen. Sosnkowski.

Nic chyba nie charakteryzuje gen. Tatara lepiej niż epizod korespondencyjny przytoczony przez kpt. Kisiela (str. 217) i potwierdzony w rozmowie ze mną przez inż. Popkiewicza, który najprawdopodobniej miał miejsce 27 lipca 1944 r. Wszyscy wiedzieli, kto rozbraja Dywizję Wołyńską A.K. (27 d.p. działającą już w Lubelszczyźnie), tylko dla gen. Tatara nie była to sprawa jasna i kazał zapytać rozbrajanych, kto tego dokonuje. Skoro otrzymał odpowiedź „Sowieci, Sowieci” zareagował krótko „Nieprawda”. Jego fanatyczna wiara we współpracę A.K. z Rosjanami na terenach nie kwestionowanych przez Rosjan nie dopuszczała takich faktów.

Jeszcze kilka słów o ppłk. Hańczy. Pan Janusz Kowalewski w recenzji mego omówienia (*Ostatnie Wiadomości*, Nr 129 z 22 listopada 1964 r.) zahaczył o tę sprawę, więc pragnę ją omówić nieco szerzej.

Jak już wiemy 17 lipca 1945 r. władze brytyjskie zakazały nadawania do kraju telegramów, a 4 września 1945 r. nakazały ostateczną likwidację korespondencji ze wszystkimi radiostacjami Oddz. Spec. Zarządzenia te wykonano tylko częściowo i korespondencję z krajem kontynuowano w dalszym ciągu z Anglii, z Włoch i z Niemiec w sposób nielegalny. Latem 1945 r. z Kompanii Radiotelegraficznej Bat. Łącz. Sztabu N.W. wyjechała do Nie-

miec (Pierwsza Dywizja Pancerna) specjalna ekipa pod dowództwem por. inż. Doborzyńskiego. W Anglii obsługa radiostacji rekrutowała się nie tylko spośród żołnierzy Kompanii RT, ale i spośród AKowców wyzwolonych z niewoli niemieckiej. W dalszym ciągu sieć ta podlegała gen. Tatarowi i ppłk. Utnikowi, którzy mieli swoją kwaterę na Montpelier Avenue na Ealingu. Władze angielskie podejrzewały, że taka sieć istnieje, ale ani w Anglii, ani w Niemczech żadna nielegalna radiostacja nie została „nakryta”. Kres tej korespondencji położyła samorządna decyzja oficerów (czy też oficera) łączności, którzy tą siecią kierowali, z chwilą kiedy doszli oni do wniosku, że gen. Tatar „sypie”.

We Włoszech ppłk. Hańcza albo za słabo zakonspirował swoje radiostacje, albo tamtejsze władze angielskie były bardziej gorliwe i interweniowały w sprawie korespondencji radiowej u gen. Andersa, jako u najwyższego polskiego dowódcy na tamtejszym terenie. Gen. Anders zażądał od ppłk. Hańczy zaprzestania korespondencji. Nic w tym dziwnego, bo nie miał zaufania do działalności kierowanej przez gen. Tatar. Ppłk. Hańcza przyrzekł, że korespondencję przerwie, ale obietnicy nie dotrzymał, co spowodowało następną interwencję angielską u gen. Andersa. W tym czasie ppłk. Hańcza zdawał już sobie sprawę, że jego do niedawna zaufany zwierzchnik, gen. Tatar, „sypie” resztki A.K. w kraju i wobec tego zrywał z nim kontakty. Natomiast gen. Anders w dalszym ciągu widział w ppłk. Hańczy wykonawcę poleceń gen. Tatar. Toteż nic dziwnego, że ostateczna rozmowa gen. Anders — ppłk. Hańcza w pierwszych dniach października 1945 r., która odbyła się w „cztery oczy” doprowadziła do oddania tego ostatniego pod areszt domowy i w konsekwencji do jego śmierci. Jestem zdania, że kwestia pieniędzy, które posiadał w swej dyspozycji ppłk. Hańcza, o czym obszernie pisał w „Kulturze” ppłk. Michniewicz, odegrała drugorzędną rolę. Zagadnieniem kluczowym były kontakty z krajem. W tym czasie 2 Korpus montował własną sieć krajową, niezależną od Oddz. Spec., w której nie posługiwano się radiem. Niestety nie mogę podać źródeł, na podstawie których urobiłem sobie tę opinię.

Naczelný Wódz, Rząd, Komenda Gł. A.K.

Studiując sprawę łączności z konieczności doszedłem do pewnych wniosków w sprawach ogólnych. Dlatego nie mogę pozostawić bez komentarza wypowiedź pana K. na str. 211.

„Walka o Warszawę — oparta na zasadach powstania ogólnopolskiego a wykonana w ramach Burzy — mogła nie wy-

buchnąć tylko na wyraźny rozkaz Naczelnego Wodza, wydany (wbrew decyzji Rządu) w dniach 18-25 lipca 1944 r. i przekazywany w tym czasie Komendantowi Gł. A.K. w Warszawie”.

Z datami pan K. nie może sobie poradzić. Jak Nacz. Wódz mógł zakazać walki o Warszawę przed 25 lipca skoro dopiero tego dnia zdecydowano tę akcję przeprowadzić, a zaledwie kilka dni przedtem powstała w Warszawie koncepcja takiej akcji. Ale rozpatrzmy problemy tu poruszone nieco szerzej.

Nie ulega wątpliwości, że Nacz. Wódz był zwolennikiem jedynie wzmożonej akcji dywersyjnej w stosunku do ustępujących Niemców i nie ujawniania się w stosunku do Rosjan. Nacz. Wódz był przeciwny otwartej akcji zwartych oddziałów A.K. co automatycznie prowadziło do dekonspiracji. Jedynie w wypadku znalezienia się większych miast w *no man's land* między Niemcami i Rosjanami (co zresztą nie zdarzyło się) Nacz. Wódz przewidywał zajęcie terytorium i ujawnienie się wobec Rosjan.

Stanowisko Nacz. Wodza wynika z październikowej (1943 r.) instrukcji do Burzy (tekst P.S.Z. str. 552-554), z telegramu Nacz. Wodza do d-cy A.K. z 7 lipca 1944 r., L.dz. Oddz. Spec. 5480 (tekst P.S.Z. str. 573-575) wysłanego przed wyjazdem z Londynu i z telegramów wysłanych do d-cy A.K. z Włoch 25 lipca 44 r. Nr 1129/xxx/999, L.dz. Oddz. Spec. 6030 (tekst Pobóg-Malinowski str. 633) i Nr 1150/vv/999 (tekst w moim opracowaniu str. 95). Wreszcie najwyraźniej zajął Nacz. Wódz stanowisko w telegramie z 28 lipca 1944 r. Nr 1283/vvv/999, L.dz. Oddz. Spec. 6213 mówiąc: —

„W obliczu sowieckiej polityki gwałtów i faktów dokonanych, powstanie zbrojne byłoby aktem pozbawionym politycznego sensu mogącym za sobą pociągnąć niepotrzebne ofiary. Jeśli celem powstania miałoby być opanowanie części terytorium Rzeczypospolitej to należy zdawać sobie sprawę, że w tym wypadku zajdzie konieczność obrony suwerenności Polski na opuszczonych obszarach w stosunku do każdego, kto suwerenność tę gwałcić będzie”.

Telegram ten, pomimo, że był skierowany „Lawina do rąk własnych” został w Londynie zatrzymany na skutek akcji Tatar-Kopański-Prezydent.

Należy jednak podkreślić, że Nacz. Wódz nie był przygotowany do wprowadzenia w życie swoich poglądów za wszelką cenę. W bezpośrednim komunikowaniu się z d-cą A.K. ograniczał się jedynie do wskazówek i ostrzeżeń, natomiast wyraźne rozkazy uzgadniał z Rządem. Tak było z instrukcją październikową do Burzy, z telegramem z 7 lipca 44 r. i z nowymi dyrektywami dla d-cy A.K. z 25 lipca 44 r. (Nr 1150/vv/999), które Rząd na posiedzeniu 28 lipca 44 r. odrzucił.

Z artykułu pana Witolda Babińskiego (szósty „Zeszyt Historyczny” str. 59-60) wiemy już na pewno, że Nacz. Wódz był zdecydowany wyświadczyć posłuszeństwo Rządowi w wypadku ustępstw Premiera w czasie jego wizyty w Moskwie (lipiec-sierpień 1944 r.). W tej sprawie mógł Nacz. Wódz liczyć co najmniej na poparcie 2 Korpusu. Natomiast, o ile chodzi o zadania A.K. Nacz. Wódz nie był przygotowany do działania wbrew Rządowi i na poparcie A.K. nie mógł liczyć (patrz poniżej).

Trudno jest przewidzieć jak zachowałby się Nacz. Wódz, gdyby, będąc we Włoszech, był dokładnie informowany o wypadkach krajowych. Czy zdecydowałby się na wydanie formalnych rozkazów nie uzgodnionych z Rządem zakazujących przeprowadzenia akcji zaczepnej (Burzy i powstania powszechnego, a tym samym i walki o Warszawę) przez oddziały A.K.? Wiadomo jedynie, że Oddz. Spec. uważał to za prawdopodobne i dlatego zatrzymywał i opóźniał alarmujące wiadomości z kraju.

Mała dygresja. Istnieje grupa ludzi uprzedzonych do gen. Sosnkowskiego, którzy rekrutują się z najrozmaitszych środowisk, niekiedy nawet legionowych. Podejście tych ludzi jest natury emocjonalnej i dlatego trudno jest dociec o co im właściwie chodzi. Wydaje się, że p. K. należy do tej grupy. Z jednej strony oskarża on gen. Sosnkowskiego o intrygę przeciwko Rządowi, używając do tego celu gen. Okulickiego, a z drugiej zarzuca mu, że nie wysłał do kraju rozkazów wbrew Rządowi.

Ale wróćmy do tematu. Pan K. pisze lekką ręką, że „walka o Warszawę... mogła nie wybuchnąć tylko na wyraźny rozkaz Nacz. Wodza wydany... i przekazany Komendantowi Gł. A.K.” Jakież były możliwości przekazania takiego telegramu do Warszawy?

Jak już wiemy, telegramy Nacz. Wodza zawierające jedynie sugestie zostały w Londynie albo nieco zmodyfikowane na skutek konsultacji Tatar-Kopański-Prezydent (Nr 1129/xxx/999, z 25 lipca, L.dz. Oddz. Spec. 6030), albo zatrzymane decyzją Tatar-Kopański-Prezydent (Nr 1283/vvv/999, z 28 lipca, L.dz. Oddz. Spec. 6213), albo też przetrzymane w Oddz. Spec. przez cztery dni, do czasu, kiedy ich treść nie mogła już mieć żadnego wpływu na bieg wypadków (Nr 1280/vv/999, z 29 lipca, L.dz. Oddz. Spec. 6289).

Można twierdzić z całą pewnością, że formalny rozkaz Nacz. Wodza sprzeczny z intencjami Rządu nie miał szans przejścia przez Sztab N.W.

Pozostawała druga możliwość — bezpośrednie przesłanie rozkazu z Mewy do Warszawy, jak to sugeruje inż. Popkiewicz (str. 213). Ale zachodzi pytanie, czy ppłk. Hańcza posiadał szyfr, któ-

rym mógł się porozumiewać bezpośrednio z Warszawą. Pan K. (str. 208) takiego szyfru nie wymienia, a co ważniejsze, z dokumentacji Oddz. Spec. za omawiany okres wynika, że telegramy ppłk. Hańczy przewidziane dla Lawiny (gen. Bór-Komorowski) szły przez Londyn, co zresztą zgadza się ze scentralizowanym systemem dowodzenia w Oddz. Spec. Z drugiej jednak strony wiemy, że pierwsza część telegramu Lawiny Nr 406 została nadana do Mewy szyfrem Komendy Gł. A.K., czyli szyfranci ppłk. Hańczy musieli znać szyfr używany w korespondencji Komenda Gł.-Oddz. Spec. Stąd można wnioskować, że gdyby Nacz. Wódz znalazł się osobiście na Mewie pod Brindisi i zdołał przekonać ppłk. Hańczy o konieczności przełamania normalnej procedury, rozkaz Nacz. Wodza mógłby być nadany bezpośrednio do Warszawy. Należy podkreślić, że z dziewięciu Wand należących w tym czasie do Komendy Gł. i Okręgu Warszawa, pięć (Wandy 1, 4, 7, 9 i 96) korespondowało nie tylko z Barnes Lodge, ale również i z Mewą.

O ile chodzi o stanowisko Rządu, to istnieje jeszcze dużo niedomówień. Jak dotychczas opublikowano na ten temat bardzo mało dokumentów, a korespondencja radiowa sieci rządowej, a właściwie sieci Stronnictwa Ludowego, jest całkowicie nieznana. Nie została też wyjaśniona misja Józefa Retingera, który, jako wysłannik Premiera Mikołajczyka przebywał w kraju od 4 kwietnia do 25 lipca 1944 r. Jednak prawie wszyscy autorzy zgodni są w tym, że Rząd, a w szczególności Premier Mikołajczyk, dążył do powstańczej akcji A.K. na szeroką skalę. Należy jednak zwrócić uwagę na to, że Rząd nie stawiał tej sprawy jasno. Z jednej strony aprobował on punkt widzenia Nacz. Wodza (instrukcja październikowa do Burzy i telegram Nacz. Wodza z 7 lipca), a z drugiej parafował decyzje krajowe sprzeczne z uzgodnionymi z Nacz. Wodzem instrukcjami (sposób przeprowadzenia Burzy), lub odbiegające od wskazówek Nacz. Wodza (walka o Warszawę, o której vice-Premier Kwapiński wiedział już 26 lipca wieczorem, ale nie podał tego do wiadomości na posiedzeniu Rządu w dniu 28 lipca). Ostatecznie Minister Spraw Wewnętrznych Banaczyk, z polecenia Premiera odlatującego 26 lipca wieczorem na wschód (przed odlotem Premier dostał wiadomość o decyzji walki o Warszawę), wysłał tegoż samego dnia telegram dający władzom krajowym całkowicie wolną rękę. Pomimo, że w tym telegramie było zdanie „Odpis przez wojsko do komendanta A.K.”, Szef Sztabu N.W. do dnia 28 lipca o tej decyzji Premiera nie wiedział.

Spójrzmy z kolei jakie stanowisko zajmowała A.K. Komenda Gł. uważała walkę z Niemcami za swój obowiązek. Przygotowywała się do niej przez przeszło cztery lata i nie chciała pozostać

bierna w ostatecznej rozgrywce. Zwalczanie odchodzących Niemców zwartymi oddziałami prowadziło do ujawnienia się w stosunku do Rosjan. Sądono, że w ten sposób uda się uzyskać uznanie A.K. przez Rosjan. Stąd wynikł sposób wykonywania Burzy, która de facto była serią powstań w ważniejszych ośrodkach. Wyników oczekiwanych nie osiągnięto, warunków do planowanego powstania powszechnego nie było, wobec tego postanowiono przeprowadzić walkę o Warszawę, dzięki której miano osiągnąć dwa cele — opanowanie stolicy własnymi siłami i zmuszenie Rosjan do uznania władz krajowych i A.K.

Dużo już napisano na temat różnic pomiędzy Burzą w takiej formie w jakiej ją wykonywano, powstaniem powszechnym i walką o Warszawę. Należy jednak zwrócić uwagę na to, że wszystkie te akcje miały charakter powstańczy, gdyż występowały w nich zwarte oddziały A.K., które walcząc z Niemcami dążyły do opanowania polskiego terytorium wspólnie z Rosjanami lub samodzielnie, a później ujawniały się, lub miały się ujawnić w stosunku do Rosjan.

Warto zastanowić się, czy istniała w A.K. opozycja przeciwko tego rodzaju koncepcji. Są pewne ślady opozycji, ale marginesowe. Można by jej doszukiwać się u płk. dypl. Janusza Bokszczanina (pseudonim Sęk), lub u por. Adolfa Pilcha (pseudonimy Dolina, Góra, i Pistolet), którego autorzy krajowi (np. Skarżyński) używają jako dowodu współpracy A.K. z Niemcami. Jedynym poważniejszym przykładem opozycji jest mjr. Zygmunt Szendzielarz (pseudonim Łupaszko — nawiązujący do partyzanckiej tradycji braci Dąbrowskich z 1919 r.) — były dowódca 2 szwadronu 4 pułku ułanów zaniemeńskich w 1939 r. — który w 1944 r. dowodził 5 brygadą pod Wilnem i nie dlatego nie wziął udziału w wileńskiej Burzy, że znajdował się „zbyt daleko od miasta”, jak podają Polskie Siły Zbrojne (str. 611), lecz dlatego, że nie chciał się ujawnić w stosunku do Rosjan. Piszę to na podstawie oświadczenia oficera, który przywiózł Łupaszce rozkaz do wzięcia udziału w wileńskiej Burzy. Nawiasem mówiąc Łupaszko prowadził partyzantkę aż do roku 1947 (Jerzy Kozłiński, *Podziemie na Pomorzu w latach 1945-1947*, Wyd. Morskie, Gdynia 1959). Możliwe, że byli w opozycji jacyś generałowie lub pułkownicy będący w kraju, ale nie zaangażowani aktywnie w A.K.

Moim zdaniem zarówno pan K. jak i wielu autorów krajowych i emigracyjnych popełniają poważny błąd wyodrębniając grupę sanacyjną i antysanacyjną w ramach A.K., jest to wielkie uproszczenie. Ma się rozumieć że istniały pewne powiązania legionowe, ale nie ulega wątpliwości, że w 1944 r. ex-legioniści — gen. Pełczyński, płk. Iranek-Osmecki i świeżo przybyły gen. Oku-

licki, który bardzo szybko zaaklimatyzował się w kraju i po raz drugi w tej wojnie walczył w Warszawie, byli w pierwszym rzędzie AKowcami i uważali, że ich obowiązkiem jest walka z Niemcami i stawianie Rosjan (aliantów naszych aliantów — jak to się wówczas mówiło) w pozycji zmuszającej do uznania A.K., tak samo jak i oficerowie nielegionowi z gen. Borem-Komorowskim na czele.

W tych warunkach trudno jest przewidzieć jakby się zachowała Komenda Gł. A.K., gdyby dostała w ostatniej dekadzie lipca 1944 r. formalny rozkaz Nacz. Wodza zakazujący akcji zwartymi oddziałami A.K., zajmowania terytorium i ujawniania się w stosunku do Rosjan.

Z jednej strony Komenda Gł. zdawałaby sobie sprawę, że rozkaz taki byłby sprzeczny z intencją Rządu, jak również przeciwny jej własnemu przekonaniu, a z drugiej należy pamiętać, że gen. Sosnkowski cieszył się pewnym autorytetem nie tylko wśród oficerów legionowych. Niewątpliwie w wypadku takim w Komendzie Gł. powstałby kryzys, wyniku którego niesposób jest przewidzieć. Można jedynie domyślać się, że gen. Tatar uważał, że taki rozkaz zostałby wykonany i dlatego inicjował zatrzymywanie telegramów, w których Nacz. Wódz odradzał akcję powstańczą i zajmowanie terytorium.

Reasumując te rozważania można powiedzieć, że gdyby Nacz. Wódz we Włoszech był dokładnie informowany o wypadkach krajowych, gdyby zdecydował się na działanie wbrew Rządowi i wydał odpowiedni rozkaz, gdyby ppłk. Hańcza ten rozkaz przekazał bezpośrednio do Warszawy i gdyby Komenda Gł. A.K. ten rozkaz wykonała, walka o Warszawę mogłaby nie wybuchnąć. Stanowczo zbyt wiele warunków. Bardziej słuszne jest modyfikowanie wypowiedzi pana K. w sposób następujący: —

Walka o Warszawę — oparta na zasadach powstania powszechnego, a wykonana w ramach Burzy — mogła nie wybuchnąć tylko na wyraźne zarządzenie Rządu, wydane (zgodnie z dyrektywami Nacz. Wodza) w dniach 26-30 lipca 1944 r. i przekazane w tym czasie Delegatowi na kraj i d-cy A.K. w Warszawie.

Decyzje

Na zakończenie pragnę dorzucić jeszcze jedną uwagę ogólną. Rola jaką miała odegrać A.K. w końcowym stadium wojny była jednym z najważniejszych problemów, jakie stanęły przed polskimi władzami w czasie drugiej wojny światowej. Problem ten był w pierwszym rzędzie natury politycznej i z tego względu decyzja

powinna była być powzięta przez Rząd i zatwierdzona przez Prezydenta (z tym nie było kłopotów, bo Prezydent Władysław Raczkiewicz zachowywał się jak monarcha konstytucyjny i siedł za wolą większości). Wykonanie tej decyzji powinno było być uzgodnione z Naczelnym Wodzem i powierzone d-cy A.K.

Tymczasem w praktyce decyzje (zarówno Burza, jak i walka o Warszawę) zostały powzięte przez Komendę Gł. A.K. przy aprobachie cywilnych władz krajowych i Rządu i przy ograniczonej opozycji ze strony Nacz. Wodza. Uważam, że ludzie, którzy te decyzje pobierali nie mieli ani odpowiednich kwalifikacji, ani doświadczenia ani obowiązku decydowania na szczeblu najwyższym. Byli to przedwojenni zawodowi pułkownicy i podpułkownicy ze służby liniowej (nie wszyscy mieli ukończoną Wyższą Szkołę Wojenną), których doświadczenie w sprawach ogólnopństwowych było niewielkie. Jedynym wyjątkiem pod tym względem był gen. Tadeusz Pełczyński, który będąc przed wojną przez sześć lat Szefem Oddziału Informacyjno-Wywiadowczego miał wgląd w sprawę ogólnopństwowe.

Poza tym należy podkreślić, że większość oficerów Komendy Gł. działała w podziemiu od przeszło czterech lat. Musiało to nadwyrężyć ich siły fizyczne i odporność nerwową i nie wpłynęło dodatnio na ich sprawność w chwili pobierania decyzji do walki o Warszawę w ostatniej dekadzie lipca 1944 r. Pod tym względem Okulicki był wyjątkiem.

Uważam, że w dotychczasowych publikacjach okoliczności, które doprowadziły do pobierania decyzji państwowych na poziomie wykonawczym nie zostały dostatecznie uwypuklone. Większość autorów wałkuje w kółko role odegrane przez poszczególnych oficerów, z tym, że wygląda coraz wyraźniej, że głównym *spiritus movens* za walką o Warszawę był gen. Leopold Okulicki. Natomiast brak jawnego kierownictwa ze strony Rządu nie został odpowiednio naświetlony, a o partiach politycznych, które twierdziły, że reprezentują naród — nic nie wiadomo. Jakie one miały zdanie w kwestii działań A.K. i czy w ogóle miały jakieś zdanie napisano bardzo mało. Nawet w książce Aleksandra Skarżyńskiego noszącej tytuł *Polityczne przyczyny Powstania Warszawskiego* (Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa, 1964) rola jaką odegrał Rząd i partie polityczne jest poruszona tylko pobieżnie. Miejmy nadzieję, że młody doktorant London School of Economics, pan Jan Ciechanowski, w swojej pracy na temat podłoża Powstania Warszawskiego naświetli te sprawy odpowiednio.

Z. S. SIEMASZKO

MARGINESY HISTORII 2-GO KORPUSU

W naszej historii okresu drugiej wojny światowej, Drugi Korpus stanowi odrębną, specjalną pozycję historii wojskowej, a także, w dużej mierze, historii politycznej. Walczący na oddalonym teatrze wojennym, mając na zapleczu nie tylko instytucje wojskowe, ale i tysiące podopiecznych osób cywilnych, tworzył to co chętnie nazywano: „Małą Polską”. Silna indywidualność dowódcy Korpusu gen. Andersa nie mieszczała się łatwo w ramach konwencjonalnej zależności służbowej, powiększała odrębność. Łatwo, więc, przychodzi nam popełnić lapsus mówiąc o Polskich Siłach Zbrojnych na obczyźnie i... 2-gim Korpusie.

Na równi z kampanią wrześniową i Powstaniem Warszawskim, losy Korpusu wciąż stanowią aktualny temat. Sprzeczne opinie od zupełnego potępienia po pochwały graniczące z zachwytem, wciąż podawane są czytającej publiczności. Z wielkim więc zainteresowaniem zabrałem się do I-go tomu oficjalnej historii Korpusu¹. Zainteresowanie moje tematem powiększyło otrzymanie w parę tygodni później książki wydanej w Kraju i omawiającej ten sam przedmiot². Chociaż autor zastrzega się we wstępie, że pracę redakcji pułk. Biegańskiego otrzymał po napisaniu książki, ma ona wszelkie cechy riposty zawczasu przygotowanej. Ta zbież-

1. *Działania 2 Korpusu we Włoszech*, wydawca: Komisja Historyczna 2-go Korpusu, Londyn 1963. Redaktor: płk. dypl. dr Stanisław Biegański. Udział w opracowaniu tomu brali: płk. dypl. dr St. Biegański, gen. dyw. Zygmunt Bohusz-Szyszko, płk. dr Tadeusz Felsztyn, ppłk. dypl. Józef Moszczeński, płk. dypl. Tadeusz Schaetzel, por. dr K.A. Z przedmową gen. broni Władysława Andersa.

2. Kazimierz Rosen-Zawadzki: *Z dziejów 2 Korpusu Polskiego*. Uwagi i Polemiki; wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa 1964.

ność w czasie jest dla zainteresowanych cennym zjawiskiem. Pozwala na studiowanie zagadnienia z dwu różnych, biegunowo przeciwnych punktów widzenia.

Trzeba powiedzieć, że obfitość materiałów nie ułatwia badania historycznego problemu 2-go Korpusu. Mimo blisko ćwierćwiecza dzielącego nas od ostatniej wojny, wielu autorów ujmuje swe prace emocjonalnie. Przesądzają z góry swój pozytywny, lub negatywny stosunek do Korpusu (często do osób), następnie starają się poprzeć go dowodami. Specjalnie daje się to wyczuwać w ujęciu powodów wyjścia armii polskiej z Rosji. Silnie, choć może w mniejszym stopniu, w ocenie bitwy o Monte Cassino. Te dwa zagadnienia stanowią i będą stanowiły, główną kość niezgody dzielącą przeciwstawne obozy. W omówieniu wyżej podanych prac mam zamiar położyć nacisk na ich naświetlenie. Zanim przejdę do tych tematów, chcę omówić ogólnie pierwszą z książek, mianowicie: „Działania 2 Korpusu we Włoszech” tom I, wyd. Sekcji Historycznej 2 Korpusu.

W przeciwieństwie do wydawnictwa: „Polskie Siły Zbrojne” (Inst. gen. Sikorskiego), pomyślano o ułatwieniach dla czytelnika. Trzy skrowidze: nazwisk, geograficzny i rzeczowy. Osobowa obsada Korpusu. W odsyłaczach, świetnym pomysłem, ułatwiającym pracę, jest umieszczenie na czele stronic numeru odpowiedniego rozdziału. Sumując, forma zewnętrzna książki jest bardzo staranna. Są i wady, bardzo istotne.

Tytuł nie odpowiada treści i wprowadza w błąd. Sugeruje on ograniczenie tematu do opisu działań wojennych. W istocie tom omawia historię Korpusu od początku formowania armii polskiej w Rosji do natarcia na linię Gotów. Treści tomu bardziej odpowiadałyby tytuł „Historia” albo „Dzieje” Korpusu.

Działania Korpusu są podane na tle ogólnopolskiej sytuacji politycznej. Samo w sobie bardzo interesujące w ujęciu, przerasta ramy „tła”. Czytelnik jest zdezorientowany, czy czyta historię polityczną Polski z szerszym uwzględnieniem działań Korpusu, czy odwrotnie. Trzeba się w tym doszukiwać złego rozplanowania książki. Odbija się to na właściwym temacie, którym mają być działania Korpusu.

W przeciwieństwie do opinii p. Rosen-Zawadzkiego wyrażonej we wstępie do jego książki, uważam za bardzo wskazane umieszczenie w tomie organizacyjnej struktury Korpusu. Należy żałować że brak jest taktycznej charakterystyki uzbrojenia. Tak organizacja, jak i sprzęt były brytyjskie i dla wielu czytelników zupełnie nieznane. Wydaje się celowe przy omawianiu służb podanie przy ich nazwach (bądź co bądź chwilowych i dowolnych) odpowiednich nazw brytyjskich, np. *Army Service Corps*,

Army Ordnance Corps itp. Unika się tym sposobem pomyłek. Na przykład określenie służby pieniężnej (*Army Pay Corps*) mia-
nem intendenty zwęza przedwojenne i obecne polskie pojęcie „intendentura”.

Wadliwe rozplanowanie książki odbiło się na jej części, którą zapewne zamierzono traktować jako główny temat. Działania we Włoszech — czyli bitwy Korpusu są opisane poprawnie, ale lakonicznie. Opisy nie mówiące nic nowego i nie poszerzające dotychczasowych wiadomości. Wydaje się, że oficjalna historia Korpusu nie może zawierać szczuplejszych danych, niż, na przykład literacki reportaż Melchiora Wańkowicza. Walki górskie (mam szczególnie na myśli Cassino) rozgrywają się głównie na szczeblu kompanii, czasami niższym. Dla zrozumienia sytuacji bojowych musimy zejść do tego szczebla. Dodatkową trudność stanowią szkice. Bardzo estetycznie wykonane, nie spełniają zadania. Pomijam trudność odczytywania jednokolorowych szkiców — zapewne wchodzi tu w grę koszty wydawnicze. Ale ich dobór. Weźmy bitwę o Monte Cassino — szkice: 7-14. Bardzo przydatne szkice specjalne: Nry — 8, 9, 11, 12. Pozostałe cztery podają sytuację ogólną. Z nich ani jeden nie uwzględnia całości terenu omawianego w „Rozważaniach przed powzięciem planu”, względnie podają go na małym wycinku całości. Inne szkice bitwy, z naniesioną na paru kwadratowych calach sytuacją własną i nieprzyjaciela nie pozwalają rozumieć terenu, bo warstwice są całkowicie nieczytelne. Nie wstydę się powiedzieć, że dla pełnego zrozumienia bojowych sytuacji, pomagałem sobie tak niefachową pracą, jak Monte Cassino Wańkowicza i jego wspaniałą kolekcją fotografii i schematycznych szkiców.

Sumując, opracowanie, które kosztowało na pewno wiele wysiłku, nie stanie się, jak „Polskie Siły Zbrojne” Inst. gen. Sikorskiego (mimo nieukończenia i braku skorowidzów), źródłem z którego się czerpie wszelkie potrzebne fakty. Jest jednym z wielu opisów historycznych. Wystarczy przejrzeć wspomnianą książkę Rosena-Zawadzkiego, by przekonać się na ile jego zastrzeżeń i przeczeń brak argumentów w „Działaniach”. A te argumenty w rzeczywistości są, chociaż pominięte zostały przez autorów.

Zawód dla tych co czekali i czekają nadal na wyczerpującą historię działań 2-go Korpusu.

Dzieje Armii Polskiej w Rosji i jej odejścia na Środkowy Wschód były i są szeroko dyskutowane. Dyskusja odznacza się specjalną cechą. Obie zwalczające się strony korzystają z tych samych dowodów: dokumentów, wypowiedzi, faktów wreszcie. Obie strony są zgodne w ustaleniu wypowiedzi Sikorskiego, Sta-

lina, Andersa, czy Mołotowa. Obie strony ustalają podobny stan faktyczny warunków pobytu Armii w Rosji. Jeśli istnieją różnice zdań, są one niewielkie. Istota sporu polega na przyznawaniu szczerości wypowiedzi i postępowania tej, czy innej stronie. W tym stanie rzeczy, uzgodnienie problemu wydaje się niemożliwe.

Tymczasem, minęło już tyle lat, że winniśmy ten ułamek naszej historii rozpatrywać spokojnie, bez osobistego zaangażowania.

Z tej perspektywy czasu, widać jasno, że wszelkie teorie naszej współpracy z Rosją sowiecką na zasadzie niezależności, jakkolwiek piękne były w praktyce nierealne. Równie pozbawione były praktycznej wartości próby budowania polskich sił zbrojnych u boku Rosji, a zależnych od rządu w Londynie. Opory istniały z obu stron, lecz w pierwszym rzędzie po rosyjskiej stronie. Jeżeli Stalin podpisał umowę z gen. Sikorskim, nie zrobił tego dla pięknych polskich oczu, ale ze względu na zachodnich aliantów. Chciał zwiększyć ich zaufanie do siebie, bo potrzebował ich materialnej pomocy w krytycznym momencie dla swego imperium. Przyjazna współpraca z polskim rządem istniała tylko tak długo, jak długo istniał kryzys. Z chwilą zahamowania niemieckiego posuwania się na wschód, przyjaźń musiała się skończyć i skończyła się. Skończyła się bo była przeciwna całej stalinowskiej polityce.

Niezależna armia polska pretendująca do suwerenności. Setki tysięcy byłych łągierników i osiedleńców ujawniających tubylcom tajemnice łągrów i ich własny nędzny byt. Publiczne stwierdzenie przynależności ziem wschodnich do Rzeczypospolitej. To wszystko stanowiło cierń tkwiący w stalinowskim systemie. Cierń musiał być usunięty w ten czy inny sposób.

Bez wątpienia zadanie ułatwiali Polacy. Inaczej wyglądało braterstwo broni z armią czerwoną w odległym Londynie, inaczej patrzyły na nie oczy niedawnych łągierników, więźniów Lefortowa i Łubianki. Ci czuli się w Rosji jak w pułapce. Jak mówi Feliks Mantel w siódmym „Zeszytzie Historycznym” (str. 101): „Choć mądrość polityczna nakazywała bić się wspólnie z wojskami sowieckimi, pozostawić całą armię lub jej część w Związku Sowieckim, ale sentymenty nie pozwalały na taką operację i pchały do wyjścia”.

Brak zaufania rośnie po obu stronach. Polacy mają jedynie słowne argumenty. Siła i argumenty materialne są po stronie sowieckiej.

Oto parę przykładów cytowanych w obu pracach. Posłużą jako dowód postępowania rosyjskich władz i jako wzory historycznej oceny p. Rosen-Zawadzkiego.

Rosjanie obcinają przyznane armii polskiej 44.000 racje żyw-

nościowe na 30.000. Na interwencję ambasadora Kota, Stalin cofa tę decyzję, która stawiała polskie wojsko w sytuacji wręcz tragicznej. Przecież z tych głodowych (2.000 kalorii) racji były karmione, kosztem żołnierzy, tysiące cywilnych. Dla p. Rosen-Zawadzkiego takie zarządzenie wydaje się słuszne i sprawiedliwe. Zresztą, według niego, było to „chwilowe” zarządzenie. Czy mamy rozumieć, że gen. Anders winien był „chwilowo” przestać karmić jedną trzecią swoich żołnierzy?

Wbrew obietnicom Churchilla, aliancka misja: lord Beaverbrook-Harriman nie przyznaje armii polskiej oddzielnych kwot uzbrojenia i ekwipunku. Beaverbrook włączył je do sumy materiałów przeznaczonych dla Rosji. Mimo to, Rosjanie dostarczyli Polakom uzbrojenia tylko na jedną dywizję. Po resztę odesłali ich do zachodnich aliantów. Kiedy Rosjanie zażądali wysłania na front jednej z dywizji — 5-tej, jako rzekomo gotowej (bez broni przeciwlotniczej i przeciwpancernej), powstało pytanie jakim sprzętem będzie szkolona reszta wojska. Istniało także zastrzeżenie w umowie polsko-radzieckiej o użyciu polskiego wojska w związkach nie mniejszych od korpusu. Na interwencję gen. Sikorskiego, Stalin przyznaje Polakom rację. Ale nie p. Rosen-Zawadzki.

Wreszcie, chociaż nie w chronologicznej kolejności, gotowość armii polskiej do wyjścia na front. Prowizorycznie ustalono termin gotowości korpusu na sześć tygodni od dnia rozpoczęcia formowania (14.8.1941). Jak pisze gen. Anders: „Ustalenie terminu gotowości bojowej na 1 października 1941 r. było tak nierealne, że nawet nie oponowałem”.

Innego zdania jest p. Rosen-Zawadzki: „Czy był to termin realny? Zważywszy, że jednostki polskie organizowano z przeszkolonych, częściowo nawet posiadających doświadczenie bojowe rezerw, kadra zaś była w dużym procencie zawodowa, porozumienie mogło chyba — przy dobrej woli dowództwa polskiego i pod warunkiem dostarczenia w odpowiednich terminach uzbrojenia — być dotrzymane...”

Po co pisać rzeczy o których się wie, że są nieprawdziwe? P. Rosen-Zawadzki piastuje, jeśli się nie mylę, stopień pułkownika i wie, że w czasie sześciu tygodni trudno jest postawić w stan gotowości bojowej nawet batalion a cóż dopiero korpus. Zwłaszcza przy wprowadzeniu obcego, nieznanego uzbrojenia.

Za przykład niech posłuży znana p. Rosen-Zawadzkiemu Dywizja im. T. Kościuszki pod dowództwem gen. bryg. Z. Berlinga.

Dywizja rozpoczęła formowanie się dnia 14.5.1943 roku. Ukończyła wstępne szkolenie w obozie w Sielcach (pod Riazą-

niem) w dniu 1.9.1943 i przeszła do rejonu Wiaźmy, gdzie skończyła się dalej. Dnia 12.10.1943 r. (więc po czterech miesiącach bez dwóch dni szkolenia) weszła do bitwy pod Lenino, zadania nie wykonała, i w drugim dniu bitwy musiała być zastąpiona przez dywizję rosyjską. Powody: złe dowodzenie, zła praca sztabów, brak rozpoznania etc. W sumie: niedostateczne przygotowanie dywizji. Żołnierz tej dywizji był taki sam jak żołnierz Andersa. Byli to żołnierze którzy nie zdążyli dołączyć do Andersa. W szkoleniu i dowodzeniu mieli pomoc w postaci paru setek wspaniałych, w dwuletnich bojach zaprawionych, sowieckich oficerów. Chyba że autor sugeruje, że to co mógł Anders („przy dobrej woli”) łatwo wykonać w sześć tygodni, tego w połowie (korpus — dywizja) nie zdołał wykonać Berling w cztery miesiące. Jeśli takie jest jego zdanie — winniśmy szanować osobisty pogląd autora³.

Całe zagadnienie pozostawienia Armii Polskiej w Rosji ma, moim zdaniem, w świetle późniejszych wypadków znaczenie czysto teoretyczne. Wystarczy postawić sobie jedno pytanie. Co stałoby się z tą armią, podległą rządowi w Londynie, z chwilą cofnięcia przez rząd ZSSR uznania temuż rządowi?

Przechodzę do głównego punktu mego omówienia, do bitwy o Monte Cassino. Inna nazwa — bitwa o Rzym jest słuszniejsza i lepiej oddaje rzeczywistość. Zdobycie masywu Cassino stanowiło jeden z elementów bitwy. Nieodzowny dla powodzenia całości, nie był celem bitwy, ale środkiem do osiągnięcia tego celu. Wydaje się, że skierowanie uwagi na ten jeden fragment prowadzi wielu autorów do wyciągania mylnych wniosków.

Wiele i różnie pisano o tej bitwie. Najpierw zasługę zwycięstwa przyznawano jednogłośnie Polakom. W tym duchu pisali swoje rozkazy po bitwie dowódca grupy armii Alexander i dowódca 8 armii Leese. Nie trwało długo, kiedy zaczęto zmieniać zdanie. Churchill użył w pamiętnikach słynnego zwrotu: „a Polacy zatknęli tryumfalnie swoją białą-czerwoną flagę na ruinach klasztoru”. Nowozelandczycy twierdzą, że w swoich (bezowocnych) natarciach tak skruszyli opór niemiecki, że następne uderzenie musiało być zwycięskie. Inni wysuwali Francuzów jako właściwych zwycięzców spod Cassino. Wreszcie, wielu Polaków wysunęło wątpliwości co do wartości polskiego zwycięstwa. Ze znanych mi, najbardziej skrajne w tym kierunku są oceny Kazi-

3. dane o bitwie pod Lenino zaczerpnięte z artykułu: Płk. dypl. Stanisława Szulczyńskiego — „Bitwa pod Lenino”. *Wojskowy Przegląd Historyczny*, W-wa Nr 3/1958.

mierza Rosen-Zawadzkiego i pułk. art. Stanisława Oyrzyńskiego. Pułk. Oyrzyński mówi wręcz: „...bitwa o Monte Cassino nie była wygrana⁴”. Inni, jak Charles Connell, nie mają umiaru w sławieniu Polaków⁵. Wreszcie, jak omawiane „Działania 2 Korpusu” redakcji pułk. Biegańskiego, przedstawiają działania gładko, z możliwie małym zaznaczeniem błędów, załamania i kryzysów bitwy.

Ryzykując zarzut powtarzania rzeczy powszechnie znanych, przedstawię w kilku zdaniach ogólne powody, cele i założenia bitwy o Rzym. Podkreślam, że w „Działaniach 2 Korpusu” rozdział ten podano zwięźle i rzeczowo.

Celem strategicznym Aliantów na półwyspie Apenińskim był Rzym. Celowość tego działania wykracza poza ramy naszych rozważań. Powiem krótko, że zdania były i są różne w zależności od poglądów na całość strategii II-ej wojny. Byli i są zwolennicy strategii, którą nazwę „amerykańską”, lub Marshalla, skupionego wysiłku i uderzania całością sił od zachodu, więc przez Francję. Inna koncepcja strategiczna forowana przez Churchilla, chciała rozdzielenia sił niemieckich przez uderzenie na Włochy, Bałkany i dolinę Dunaju. Ze zrozumiałych względów, koncepcja nie cieszyła się uznaniem Stalina.

W swoim posuwaniu się na Rzym, aliancka Grupa Armii gen. Alexandra złożona z 8 Armii brytyjskiej i 5 amerykańskiej została zatrzymana na niemieckiej linii oporu zwanej linią Gustawa. Linia przecinała półwysep wzdłuż rzek: Garigliano, Gari i Rapido. Słusznie czy nie, teren i kalkulacje sztabowe wskazały aliantom kierunek przełamania linii Gustawa i otwarcie sobie drogi na Rzym przez dolinę rzeki Liri. Południowego wylotu tej doliny (leżącego na niemieckiej linii obronnej) strzegły dwa masywy górskie: Cassino (odnoga Monte Cairo) i Aurunci. O wywalczenie sobie przejścia przez tę cieśninę i otwarcia drogi na Rzym walczyli żołnierze 15 Grupy Armii od początku 1944 roku. Trzy kolejne bitwy nie dały zwycięstwa. Przyczółek w rejonie Anzio, na niemieckich tyłach, nie doprowadził do zwinięcia nieprzyjacielskiej obrony. W maju stoczono czwartą bitwę. Bitwę w której brał udział 2 Korpus Polski.

Tym razem, natarcie na kompleks górski Cassino było składową częścią ofensywy obu armii 15 Grupy. Między morzem Tyrreńskim a doliną rzeki Liri uderzała 5-ta armia amerykańska.

4. Oyrzyński Stanisław Płk. Art. *Bitwa o Monte Cassino*. Odczyt wygłoszony w dniu 15.10.1964 r. w Towarzystwie Wiedzy Wojskowej. (Powiełony maszynopis).

5. Charles Connell: *Monte Cassino the Historic Battle*; Elek Books, London, 1963.

Uderzenie w dolinie rzeki Liri i na wschód od niej prowadziła 8-a armia brytyjska.

Myśl przewodnia manewru polegała na związaniu sił niemieckich na całej linii. XIII korpus brytyjski miał forsować dolinę Liri od czoła. Korpusy: francuski (ze składu 5-ej armii) i polski miały zdobyć masywy Aurunci i Cassino położone po obu stronach doliny. Bez zdobycia tych masywów droga na Rzym pozostawała zamknięta. XIII korpus mógł posunąć się nie dalej jak kilka mil w głąb doliny. Dalsze posuwanie zamykały ognie z obu masywów. Do chwili likwidacji nieprzyjaciela na Cassino i Aurunci, korpus XIII nie był zdolny do osiągnięć większych, niż sforsowanie rzeki Rapido i stworzenia przedmościa w dolinie Liri.

Z wyżej powiedzianego wynika parę wojskowych pewników. Mianowicie:

— Korpusowi XIII przypadła niewdzięczna rola uderzania czołowo w zamkniętą bramę w oczekiwaniu aż mu ją otworzą sąsiedzi. Jak zobaczymy dalej, była to również rola najbardziej krwawa.

— Zadania korpusów francuskiego i polskiego (rozdzielone doliną rzeki Liri) oddziaływały wzajemnie jedynie pośrednio.

— Warunkiem otwarcia drogi do Rzymu po osi doliny rzeki Liri (droga Nr 6, lub Via Casilina) było zlikwidowanie obrony niemieckiej na obu masywach górskich: Cassino i Aurunci. Jednostronne powodzenie nie przynosiło rozwiązania. Twierdzenie, że Francuzi wydarli Polakom zwycięstwo, jest bez uzasadnienia.

Znaną jest dziwna, warunkowa forma w której dowódca 8-ej armii Leese powierzył dowódcy 2-go Polskiego Korpusu zadanie zdobycia masywu Cassino. Tej ostrożnej formy rozkazodawstwa nauczyli się dowódcy angielscy w obcowaniu z wojskami innych narodowości, przede wszystkim dominialnymi. Wojska dominialne, oddane do operacyjnej dyspozycji brytyjskiej, miały zastrzeżone specjalne prawa. W pierwszym rzędzie, ich dowódcy mieli prawo i obowiązek odwoływania się do własnego rządu w wypadkach rozkazów nie zgodnych z interesami podwładnych wojsk. Znane są wypadki kiedy gen. Freyberg odwoływał się do rządu nowozelandzkiego przeciwko otrzymanym rozkazom. Australijski generał Blamey przeforsował wbrew rozkazom przełożonych i mimo krytycznej sytuacji, wycofanie 9-ej australijskiej dywizji z Tobruku. Stało się to w 1941 roku mimo protestów gen. Auchinlecka i samego Churchilla.

Podobną taktykę zastosowano do gen. Andersa. Mógł przyjąć, albo odrzucić. Przyjął. Tutaj wielu autorów popełnia nieświadomie, lub celowo błąd. Przypisują dowódcy Polskiego Korpusu prawo i możliwość interpretacji i zmiany otrzymanych rozkazów.

Nic bardziej dalekiego od prawdy. Rozkaz podany w dyplomatycznej formie został przyjęty i odtąd obowiązywał w całej rozciągłości. Dowódca podwładny wykonywał rozkazy swego przełożonego. Miał swobodę w opracowaniu wykonania tego rozkazu. Nie mniej, ale i nie więcej.

Dlatego — mógł gen. Anders zwrócić się (za sugestią gen. Sosnkowskiego) do dowódcy 8-ej armii o dodatkową brygadę piechoty celem opanowania Pizzo Corno. Mógł (znowu za radą gen. Sosnkowskiego) sugerować uderzenie 10 korpusu brytyjskiego po osi Monte Cavalli - Atina. Ale nie mógł uderzać ze swoim korpusem na Atina, jak to próbuje wkładać w usta generała Sosnkowskiego p. Rosen-Zawadzki.

Nie mógł z paru powodów. 1^o — Rozkaz 8-ej armii (fotokopię oryginału podaje p. Rosen-Zawadzki w swojej książce, str. 146-7) każe mu dążyć do połączenia z XIII-ym korpusem. W oryginalnym brzmieniu: „and dominate HIGHWAY 6 until a junction is effected with 13 corps”. 2^o — Atina leżała w pasie działania 10 korpusu, co wynika z tego samego rozkazu. 3^o — Siły Korpusu były zbyt szczupłe nawet na objęcie natarciem Pizzo Corno, cóż dopiero mówić o Atina.

Przez powyższe nie chcę powiedzieć, że szerokie obejście lewego skrzydła niemieckiej linii obronnej nie było celowe. Stwierdzam jedynie, że podobne działanie leżało w kompetencji dowódcy armii, a nie polskiego korpusu.

Wspomniałem o szczupłości sił Korpusu. Autorzy nastawieni krytycznie chętnie pomijają tę okoliczność. W poprzednich natarciach, na masyw Cassino kierowano dwie pełne dywizje wsparte czołgami. Dawało to siłę sześciu brygad plus czołgi. Niewtajemniczonych w organizację brytyjską objaśnię, że brygada brytyjska odpowiada sile kontynentalnego pułku piechoty. Korpus polski składał się z dwóch dywizji po dwie brygady i z brygady czołgów. Miał, więc, siłę czterech brygad plus czołgi. Siły korpusów biorących udział w ofensywie przedstawiały się: 13 korpus bryt. — 11 brygad piechoty i 2 bryg. czołgów; korpus francuski — 12 brygad piechoty, 1 bryg. czołgów i 12.000 goumiers marokańskich szkolonych do „małej wojny”.

Ze siły użyte były nieproporcjonalnie małe do zadania świadczy najlepiej fakt spieszenia trzech pułków rozpoznawczych i użycia ich w charakterze piechoty. Wydaje się, że dowódca Korpusu rozciągnął, w tych warunkach, swoje prawe skrzydło do granic możliwości. Inna sprawa, czy dowódca armii rzeczywiście nie mógł wzmocnić Korpusu dodatkową brygadą, albo nawet dywizją. Przypuszczam, raczej, że nie chciał oddawać brytyjskiej jednostki pod rozkazy niewypróbowanego dowódcy. Zemściło się to na

przebiegu bitwy. Dodatkowa dywizja w Korpusie umożliwiała rozciągnięcie prawego jego skrzydła aż do Pizzo Corno i Monte Cairo.

Najmniejszy z korpusów otrzymał, mówiąc słowami gen. Leese: „najtrudniejsze zadanie zdobycia w pierwszej fazie wzgórz Monte Cassino a następnie Piedimonte”.

P. Rosen-Zawadzki krytykuje ustosunkowanie gen. Andersa do polskich władz, faworyzowanie antyrządowej grupy „Bunt Młodych” (Adolf Bocheński, Jerzy Giedroyc, Józef Czapski i in.). W polityce i wojnie miał nie oglądać się na zdanie polskich władz. W planowaniu bitwy o Cassino, jak pisze p. Rosen-Zawadzki: „...gen. Anders liczący się przede wszystkim za zdaniem Anglików nie wykazał ani zrozumienia, ani nawet zainteresowania dla zleceń swego Naczelnego Wodza”.

Dziesięć stronik dalej (str. 167) twierdzi się, że gen. Anders spacył rozkaz otrzymany od Anglików. Jako dowód każe p. Rosen-Zawadzki porównać rozkaz 8-ej armii z rozkazem 2-go Korpusu Polskiego. Porównałem — wypaczeń nie znalazłem. Za to znalazłem coś innego. Na str. 159 pracy p. Rosen-Zawadzkiego podany jest szkic zatytułowany: szkic nr 4. Ugrupowanie i kierunki działania 15 Grupy Armii. Czwarta faza bitwy o Rzym. Strzałki, jak objaśnia legenda, wskazują „kierunki uderzeń korpusów alianckich”. Dwie strzałki oznaczające kierunki uderzenia polskiego korpusu skierowane są nie z północno-wschodniego kierunku, ale ze wschodu na zachód z późniejszym odchyleniem na północny-zachód. Strzałki obejmują m. Cassino w widły. Odnosi się wrażenie, że p. Rosen-Zawadzki nie poświęcił dostatecznej uwagi mapom i przyjmuje uderzenie Karpackiej dywizji za idące południowymi stokami masywu Cassino, czołowo na kłasztor. Na autora książki wyliczającej 272 pozycje „ważniejszych materiałów” — dziwne.

Zarzuca się gen. Andersowi, że przyjął propozycję dowódcy 8-ej armii uderzenia na masyw Cassino. Mógł prosić o inne zadanie i jak sam miał stwierdzić później, działać na odcinku XIII korpusu. Czy autorzy tych zarzutów wiedzą co o XIII korpusie. napisał gen. Mark Clark i tak chętnie cytowany Böhmler⁶? Oto korpus XIII poniósł większe straty, niż korpus polski. A kto wie o tej jego żmudnej pracy żołnierskiej? Nikt. Kto zna nazwisko dowódcy XIII korpusu — generała Kirkmana? Ale zapytajcie Anglika, Nowozelandczyka, czy Kanadyjczyka o Andersa. Odpowie:

6. Mark Clark, *Calculated Risk*, George Harrap & Co. Ltd. London, 1951(str. 330; — Rudolf Böhmler, *Monte Cassino*, Cassell London, 1944, str. 269.

zdobywca Monte Cassino. „Biały pióropusz” był dobrze wybrany.

Czy wyżej powiedziane ma oznaczać, że uważam bitwę o Cassino za przeprowadzoną bezbłędnie? Nie, popełniono szereg błędów poważnych i mniej znaczących. Błędy natury organizacyjnej i taktycznej. Na wyższym szczeblu niż korpus, na szczeblu korpusu i na szczeblach niższych.

Podstawowym błędem na szczeblu polskim z którego wypływały inne, było zlekceważenie sztuki wojennej i zastąpienie jej bogactwem materiałowym. Bitwa w stylu Montgomery’ego. W terenie omawianej bitwy rezultaty nie odpowiadały oczekiwaniom. Setki tysięcy ton amunicji nie zdławiły obrony niemieckiej.

Przygotowanie kwatermistrzowskie stało na bardzo wysokim poziomie. Należy podziwiać, że Polacy stanawszy w obliczu takich bogactw, tak świetnie dali sobie z nimi radę. Źródła niemieckie stwierdzają, że mimo zwiezienia do otwartej doliny Rapido tak wielkich zapasów, przygotowania do bitwy uszły ich uwagi.

Nie jest usprawiedliwieniem, ale jest łatwo zrozumiałe, że polscy dowódcy i sztabowcy ulegli urokowi wojny materiałowej. Ich ostatnie doświadczenia wojenne były z „września, kiedy dwaście pocisków oznaczało często „nawałę ogniwą”. Szli ślepo za naukami swoich brytyjskich kolegów bogatszych od nich o blisko cztery lata wojennych doświadczeń. Dalszy ciąg włoskiej kampanii wykaże, że Polacy szybko otrząsną się z podobnych złudzeń.

Na razie, w swojej pierwszej bitwie, popełni Korpus szereg błędów.

Należy przyznać rację pułk. Oyrzyńskiemu, że rozpoznanie wzrokowe przyszłego pola walki było tak dobrze jak nie przeprowadzone. Zastrzeżenia wymaga, że w terenie pofałdowanym, kamienistym i pokrytym większość gniazd oporu, mówiąc bardziej zrozumiałą polszczyzną — bunkrów, nie mogłaby być wykryta bez walki. Patrolowanie było zakazane przez armię, a rzecz zrozumiała, gniazda niemieckie nie demaskowały się bez potrzeby.

W warunkach, w jakich wszedł do walki Korpus, nie do wytłumaczenia jest decyzja nocnego natarcia. Łatwo było przewidzieć, że nawet najsilniejszy ogień artylerii, ale prowadzony nie do konkretnych celów, ale „do pola” nie zniszczy niemieckich bunkrów. Ich położenie było tylko częściowo rozpoznane. Regulaminy przewidują nocne natarcia ograniczonymi siłami i na ściśle rozpoznanego nieprzyjaciela. W naszym wypadku nacierał cały korpus na nierozpoznane umocnienia nieprzyjaciela. Co chciano osiągnąć — zaskoczenie? Czy było możliwe skoro rozkaz przewidywał dwugodzinne przygotowanie artyleryjskie (od go-

dziny 23.00 dnia 11 maja, do godziny 01.00 dnia 12 maja). Piechota polska ruszyła do natarcia w ciemnościach, na nieprzyjaciela będącego gdzieś przed nią. Niemcy, mając wstrzelane środki ogniowe i namierzone kierunki i odległości, musieli mieć w tej nierównej walce decydującą przewagę. Największe nawały własnej artylerii nie były w stanie pomóc piechocie. Skuteczny ogień do bunkrów skalnych mógł być tylko bezpośredni, a nie do pola. Dodajmy, że moździerze, otrzymane zbyt późno, znajdowały się w rękach nieprzeszkolonej obsługi, a artyleria (jak cała brytyjska) była w większości złożona z armat (płaskotorowych dział). Nie jestem artylerzystą i ostatni punkt wysuwam jako przypuszczenie oddając je pod rozagę specjalistów.

Innym poważnym błędem obciążającym dowództwo Korpusu była, tak nam droga, improwizacja dowodzenia. Powtórzono wrześnieowy błąd „niesamodzielných grup operacyjnych”. Stało się tak w drugiej fazie bitwy i w trzeciej. W fazie drugiej powstała grupa „Rud”. Powstała drabina dowodzenia: Dca Kresowcy dywizji, dca „Rud”, dca 5 bryg. (jako zast. Rud.), bataliony nacierające. Ramy organizacyjne opracowuje się i tworzy dla osiągnięcia najlepszej sprawności na polu walki. W grę wchodzi nie tylko osoba dowódcy, ale podział pracy i kompetencji sztabu, organizacja łączności i szereg innych czynników. Doraźna reorganizacja na polu walki musi powodować spadek wydajności, jeżeli nie chaos. Możliwe, że pierwsza faza wykazała konieczność zastąpienia niektórych dowódców. Praktyka wojenna przewiduje podobne wypadki i sposoby zaradzenia. Wysyła się dowódcę do szpitala, na urlop w nagłych sprawach, wreszcie wzywa się go do sztabu korpusu dla wykonania pilnych, ważnych prac. Dowództwo obejmuje odpowiedni oficer bez dezorganizowania sieci dowodzenia, bez dzielenia na dodatkowe komórki i szczeble.

W trzeciej fazie, natarcie na Piedimonte wykonywała inna, doraźnie stworzona grupa, grupa „Bob”. Do wyżej omówionych błędów doszedł w tym wypadku inny. Określę go jako dowodzenie „z konia” dobre na szczeblu dowódcy szwadronu wysłanego na podjazd, karygodne na szczeblu dowódcy grupy ze wszystkich rodzajów broni. Jest nie do pojęcia, dlaczego dowódca korpusu nie zlikwidował tego dowodzenia już po pierwszym natarciu.

W przeświadczeniu o olbrzymiej przewadze materiałowej, dowództwo Korpusu zbyt lekko potraktowało podstawowe zasady taktyki, organizacji i tego co nazywamy ogólnie sztuką wojenną. Inny dowódca, w zbliżonych, ale tragicznych okolicznościach, dał wyraz takiemu podejściu do planu bitwy. Gen. Berling przed bitwą pod Lenino wyraził się: „Żadna filozofia. Front dwukilo-

metrowy i dwa razy więcej dział niż w dywizji jest karabinów maszynowych”. Powiedział, uderzył i położył 25% dywizji, bez osiągnięcia nakazanego rezultatu. Gen. Anders odniósł końcowe zwycięstwo, ale jego początkowa linia rozumowania musiała być podobna.

Szereg innych zarzutów, tak chętnie wysuwanych przez krytyków Cassina, przeważnie nie odnosi się do dowódcy Korpusu. Niektóre przerastają kompetencje korpusu, jak ewentualność uderzenia na Atinę. Inne, stanowiska obserwacyjne, osie posuwania się batalionów tą czy inną granicą itp. należy zaszeregować do kompetencji niższych dowództw.

W niektórych wypadkach przychodzi na myśl bajka Kryłowa: „Słona to ja i nie primietł”.

Wreszcie forowana przez niemieckich autorów, a tak chętnie podchwytywana przez szereg Polaków teoria dobrowolnego wycofania się Niemców. W myśl tej teorii, Polacy nie zdobyli wężła Cassino. Zajęli go po wycofaniu się dobrowolnym Niemców, skoro ci uznali, że dalsze trzymanie Cassina nie ma dla nich znaczenia. Sztuczna teoria wymyślona na chwałę oręża niemieckiego. Na półwyspie Apenińskim prowadzili Niemcy walki opóźniające. Dobry dowódca i dobre wojsko (a marszałek Kesselring i Wehrmacht byli wysokiej klasy) nie opuszczają kolejnej linii oporu wcześniej, niż pod naciskiem nieprzyjaciela. Jeżeli Niemcy zaczęli wycofywać się z wężła Cassino, to dlatego, że uznali go za nie- możliwy do utrzymania.

Straty poniesione przez Korpus. Nonsensem by było mówić o małych stratach. Dla Korpusu były one tym bolesniejsze, że trudne do uzupełnienia. Ale czy miał prawo pułk. Oyrzyński umieszczać jako motto swego odczytu słowa marsz. Wavell'a: „Heavy butcher's bill not necessarily indication of good tactics”, sugerując tym szafowanie życiem żołnierzy przez dowódcę Korpusu? Zapytajmy cyfr. Cytuję je według pracy p. Rosen-Zawadzkiego:

— w I-ej bitwie (fазie jak chce p. Rosen-Zawadzki) — „straty oddziałów alianckich już po pierwszych dniach” wyniosły 6487 żołnierzy;

— w II-ej bitwie — (dwa dni) — 2400 żołnierzy;

— w III-ej bitwie — 4316 żołnierzy.

Straty 2 Korpusu w IV-ej bitwie wyniosły 4199 żołnierzy (podają według: Działania 2 Korpusu — redakcji St. Biegańskiego). Są to bardzo poważne straty, nie są jednak większe od strat w poprzednich bitwach, a nie dorównywują, jak mówiłem wyżej, stratom XIII korpusu.

Całkowite zaś straty Korpusu w kampanii włoskiej, są dużo

niższe od przeciętnej innych alianckich korpusów. Za przykład niech posłuży zestawienie podane przez pułk Gliwicz⁷.

Pułkownik Gliwicz porównuje straty Korpusu ze stratami korpusu kanadyjskiego (o podobnym składzie i okresie czasu spędzonego we Włoszech).

„Straty Kanadyjczyków wyniosły 26.254 żołnierzy (w tym 5.764 zabitych)”.

Straty polskiego korpusu: „11.379, żołnierzy w tym 2,301 zabitych”.

Wypadki ostatniego okresu naszej historii domagają się krytycznego naświetlenia. Starajmy się by było rzeczowe i bezstronne.

Wellington N.Z. 16.5.1965.

Tadeusz NOWACKI

7. Płk. dypl. Stanisław Gliwicz — *Udział 2 Korpusu Polskiego w Kampanii Włoskiej*, Wojskowy Przegląd Historyczny, W-wa 2/1960, str. 116.

O LIDZE NARODOWEJ

Historia Ligi Narodowej Stanisława Kozickiego* stanowi pasjonującą lekturę. Maszynopis tej pracy, pióra jednego z najwybitniejszych działaczy Narodowej Demokracji, dotarł z Polski do Londynu i ukazał się tam w siedem lat po śmierci jej autora. Kozicki podjął się napisania historii Ligi w roku 1937 i opracował do drugiego roku wojny włącznie tom pierwszy oraz część tomu drugiego. Wszystkie materiały, z których korzystał uległy zniszczeniu podczas Powstania Warszawskiego; uratował się jedynie jeden egzemplarz manuskryptu. Ten właśnie egzemplarz posłużył do wydania, nakładem „Myśli Polskiej”, pierwszego tomu, który ukazał się w roku 1964.

Książka Kozickiego jest niezwykle cenna z szeregu powodów. Po pierwsze stanowi chyba pierwsze gruntowne i źródłowe opracowanie dziejów Ligi — organizacji, której wpływ na życie polskie był olbrzymi. Po drugie, obejmuje ona lata 1887-1907, a więc okres szczególnie ważny i może najciekawszy z całej jej działalności. Wreszcie, opierając się na nieistniejących już i niezastą-

* Stanisław Kozicki, *Historia Ligi Narodowej* (Okres 1887-1907), „Myśl Polska”, Londyn, 1964. 622 s.

pionych materiałach, praca ta nabiera charakteru źródła bez którego historycy nie będą mogli się obyć. W tych warunkach próba oceny tej książki oraz umiejscowienia jej w historiografii wydaje się niezbędną.

Autor, Stanisław Kozicki, odegrał wybitną rolę w Lidze Narodowej, w obozie Narodowodemokratycznym, oraz w polskiej dyplomacji. Był członkiem Polskiego Komitetu Narodowego i sekretarzem generalnym delegacji pokojowej w Paryżu w roku 1919, posłem w Rzymie, wreszcie posłem na sejm i senatorem R.P. Z poprzednich jego książek na uwagę zasługują *Sprawa granic Polski na konferencji pokojowej w Paryżu* (Warszawa, 1921), oraz broszura *La Pologne depuis le Congrès de Vienne* (Paris, 1916). Fakt, że człowiek tak doskonale zorientowany podjął się opracowania historii Ligi ma swe niewątpliwe zalety. Książka Kozickiego to istna kopalnia faktów i informacji. Szczegóły z życia organizacyjnego, taktyki, sposobu pracy, oraz dane personalne dotyczące nie tylko liderów, ale i mało znanych działaczy, dają wgląd w sprawę Ligi w sposób naprawdę wyczerpujący. Z drugiej jednak strony, głębokie zaangażowanie autora w sprawę którą opisuje, musi z natury rzeczy podważyć ściśle naukowy charakter tej pracy. Kozicki pisze dzieje Ligi z pozycji jednego z jej czołowych działaczy i widzi tematykę swego studium w ramach ściśle określonego światopoglądu. Co więcej, nie należy zapominać, że choć książka ta ukazała się w roku 1964 była ona napisana w pierwszych dwóch latach wojny, a więc w jakieś dwadzieścia lat od chwili rozwiązania Ligi. Brak więc perspektywy a zwłaszcza przemyśleń wielu zagadnień, na które czytelnik po przejściu wojny i wstrząsów, które jej towarzyszyły, musi dziś patrzeć pod innym kątem.

Historykowi dziejów najnowszych, dla którego Liga jest zjawiskiem zamkniętego już okresu, nasuwają się przede wszystkim trzy pytania: Jak wyglądała ewolucja w wyniku której Liga Narodowa przeszła z pozycji tradycyjnie powstańczej, reprezentowanej przez Towarzystwo Demokratyczne i Ligę Polską, na pozycję, powiedzmy, nie definitywnie ugodową — określenie to może być drażniące i źle zrozumiane — ale „realistyczną”? Po drugie, w wyniku jakich procesów ideologia prekursorów Ligi Narodowej, demokratyczna, indywidualistyczna, ogólnoludzka, przetworzyła się w nowoczesny polski nacjonalizm? Wreszcie, jeżeli porównamy niewątpliwe zasługi i osiągnięcia Ligi, na przebytej przez nią drodze, z pewnymi wartościami, które zostały odrzucone jako zbędny balast, czy ogólny bilans Ligi jest dodatny czy ujemny i w jakim sensie?

Kozicki nie stawia w swej pracy powyższych pytań w ten sposób, ale odpowiedź na nie znajdujemy częściowo na stronach jego książki. Brak tylko odpowiedzi na ostatnie pytanie, które dla Kozickiego zdaje się nie istnieć. W tym sensie *Historia Ligi* nie jest ani rachunkiem sumienia, ani próbą krytycznego spojrzenia na ten kierunek jako zjawisko historyczne. To stanowi może

najpoważniejszy mankament książki, jeśli traktujemy ją jako dzieło naukowe. Poza sporadycznymi słowami krytyki nieprzygotowania Ligi do akcji politycznej w 1905 roku, lub negatywnym osądem jej działalności w pierwszej Dumie — w obu wypadkach zresztą Kozicki odzwierciadla punkt widzenia Dmowskiego — autor reprezentuje, niestety, to nastawienie, tak często spotykane w polskim życiu politycznym, że o własnych ugrupowaniach pisze się jak o umarłych — *aut nihil aut bene*. Ale jeśli książka traci przez to cechy pełnego obiektywizmu, to zyskuje jako dodatkowe studium ideologii samego Kozickiego, wybitnego reprezentanta myśli obozu Narodowodemokratycznego.

Liga Narodowa występowała jako naturalny kontynuator Ligi Polskiej, stworzonej na emigracji w 1887 roku. Jednakowoż z chwilą objęcia w niej kierownictwa przez triumvirat Dmowski, Balicki, Popławski, charakter jej uległ daleko idącym zmianom, które z biegiem lat stale się pogłębiały. Liga Polska, spadkobierca Towarzystwa Demokratycznego i tradycji powstańczych, była luźną organizacją czy też związkiem ludzi i grup głoszących, że zadaniem Ligi

„jest przysposobienie i skupienie wszystkich sił narodowych, celem odyskania niepodległości Polski w granicach przedrozbiorowych, na podstawie federacyjnej i z uwzględnieniem różnic narodowościowych, nie spuszczając z oka i tych części dawnej Rzeczypospolitej, co od niej odpadły. Liga przyjmuje zasady wyrażone w Manifestie byłego Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, które będzie rozwijać, dopełniać i urzeczywistniać w kierunku narodowym i społecznym”.

Program powyższy był więc tradycyjnym programem polskiej demokracji, ogólnonarodowym, lub jeśli ktoś woli, wszechpolskim, nawiązującym do spuścizny Jagiellońskiej, federacyjnej, dawnej Rzeczypospolitej. W trakcie rozwoju Ligi Narodowej, większość tych haseł została odrzucona, poczynając od federalizmu i wynikającego z niego ideału Polski wielonarodowościowej, kończąc na koncepcji demokratycznej w sensie postępoworadikalnym. Z rozwoju tego wynikło ciekawe zjawisko. Podczas gdy początkowo w Lidze skupiali się ludzie o różnych światopoglądach — późniejsi socjaliści, ludowcy i chadecy — z czasem Liga stawała się monolitem Narodowej Demokracji. W pierwszej fazie nosiła ona charakter wszechpolski w podwójnym tego słowa znaczeniu: była wszechpolska w odróżnieniu od ugrupowań mieszczących się w ramach jednego zaboru i wszechpolska w sensie ponadpartyjnym, ogólnonarodowym. Z czasem stawała się wszechpolską tylko w tym pierwszym znaczeniu, ale nie chcąc pogodzić się z rolą jednego z istniejących stronnictw, starała się utrzymać swego rodzaju monopol na przymiotnik „narodowy”, dyskryminując inne ruchy polityczne. Powodowało to zrozumiałą irytację i urazy u przywódców tych ostatnich.

Nacjonalizm Ligi był porównywalny — i Kozicki porównuje go — do kierunków nacjonalistycznych w Europie zachodniej i to

nie do prądów liberalno-narodowych w typie dawnej „Młodej Europy” Mazziniego, lecz do tak zwanego nacjonalizmu integralnego (*nationalisme intégral*) Charles Maurras’a i Corradiniego, z którego wyszły potem skrajnie prawicowe ugrupowania francuskie czy włoskie. „Pojęcie narodu jako zbiorowości, posiadającej własną odrębną duszę” pisze Kozicki, „jest podstawą, na której zbudowana została ideologia narodowa w Polsce” (s.456). Naród jest pojęciem wyższym niż jednostka i — według cytowanych słów Dmowskiego — istnieje „niezależny od woli jednostki związek moralny z narodem”. Jak daleko koncepcja ta odbiega od autodeterministycznej definicji Renana, według której narodowość to codzienny plebiscyt. Popławski pisał z pogardą o narodzie, który jest „ślamazarnie humanitarny” i podkreślał, że bezwzględność narodowa, szorstkość, gwałtowność, nie przeszkodziły Anglikom, Niemcom i Francuzom w zajęciu przodujących stanowisk w świecie (s.461). Dla Dmowskiego nowoczesny polski nacjonalizm musiał przystosować się do życia, w którym „brutalna siła została uznana za ostatnią instancję decydującą o losach narodów” (s.460). Balicki wysuwał hasło egoizmu narodowego, tak później rozślawione *sacro egoismo* Mussoliniego. Analiza ideologii Ligi Narodowej przeprowadzona przez Kozickiego w arcyciekawym rozdziale drugim piątej części nie wskazuje bynajmniej aby autor miał jakiegokolwiek zastrzeżenia co do celowości pozbycia się obciążeń które stanowiły takie pojęcia jak prymat jednostki, humanitaryzm w stosunkach międzynarodowych, czy poszanowanie praw innych narodowości. Przecistawiając „interes narodowy”, który głosiła Liga, koncepcji „polskiej racji stanu”, wysuwanej przez Askenazego, Kozicki zauważa jedynie, że: „Różnica była jasna — pod dachem ‘racji stanu’ mogli znaleźć miejsce także i Żydzi polscy”. (s. 334). Zdanie to brzmi nie tylko demagogicznie ale i naiwnie. Czyż Kozicki nie dostrzegał, że niepodległa Polska w granicach, dajmy na to proponowanych przez Dmowskiego, musiała zawierać ponad trzydzieści procent mniejszości narodowych — Ukraińców, Białorusinów, Żydów, Niemców? Czy jedyną drogą ułożenia współżycia z nimi miał być „interes narodowy”, czyli w praktyce walka narodowościowa?

Kozicki porusza bardzo fragmentarycznie sprawę ukraińską w tzw. Galicji wschodniej, a przecież szybki wzrost wpływów Ligi a później Narodowej Demokracji w zaborze austriackim łączył się z sojuszem z najbardziej reakcyjną grupą „Podolaków” i odbywał się kosztem pogrzebania wszelkich szans, jakiegokolwiek by one nie były, porozumienia z Ukraińcami. Kozicki zdaje się tego w ogóle nie zauważyć co wydaje się wprost nieprawdopodobne.

W książce, która ogólnie biorąc, jest na wysokim poziomie i której autor stara się pisać w sposób kurtuazyjny i umiarkowany o przeciwnikach, znajdują się jednak passusy, które stanowią niemiły zgrzyt. Kozicki cytuje charakterystykę terenu

politycznego Galicji Z. Wasilewskiego, według której teren „był całkowicie rozebrany między stronnictwa według klucza interesów klasowych”. W tym układzie wszystko „miało swoich „zastępców”, tylko naród się zgubił. Jego interesów nie miał kto bronić”. (s.176). Jest to chyba opinia równie przesadna jak i krzywdząca dla polskich demokratów, socjalistów, ludowców i konserwatystów galicyjskich. Ale Kozicki idzie dalej. Pisząc o atakach ze strony konserwatystów i socjalistów na Narodową Demokrację nie tłumaczy ich w sposób zdawałoby się oczywisty, jako wynikających z normalnej konkurencji politycznej. Zamiast tego widzi on jakieś tajemnicze współdziałanie ludzi z tych ugrupowań, inspirowane przez masonerię i Żydów, choć przyznaje, że nie było formalnego porozumienia konserwatywno-socjalistycznego przeciw narodowcom (s.203). Operowanie tego typu insynuacjami bez poparcia faktów wydaje się nie na miejscu w pracy o charakterze choćby na wpół naukowym.

Książka Kozickiego odznacza się brakiem zrozumienia dla problematyki społeczno-klasowo-gospodarczej. Zagadnienia klasowe autor widzi z pozycji konserwatywnej; o podłożu klasowym Ligi nie mówi właściwie wcale. Niewątpliwie brak wyraźnego programu społecznego był poważnym mankamentem w ideologii Ligi Narodowej. Demokracizm jej, jak przyznawał Popławski, miał „charakter różny” od Towarzystwa Demokratycznego (s.469). Punktem wyjścia było tu przeświadczenie, że z chwilą gdy warstwy ludowe zostaną uświadomione narodowo, zatrą się konflikty klasowe a nowe warstwy będą myślały i rozmawiały jak reszta obywateli. Kozicki pisze, że „Wyjście z faktu demokracji, a nie z oderwanych teoretycznych założeń — humanitarnych czy patriotycznych — zdecydowało o naturze demokracji Ligi Narodowej” (s.469). A więc przez jakiś odgórny demokracizm Liga Narodowa zamierzała rozwiązać zagadnienia społeczne i gospodarcze. Nic dziwnego, że Kozicki nie stara się nawet zrozumieć istoty ruchów socjalistycznych. Dostrzega on tragizm konfliktu Demokracji Narodowej z socjalistami, który doprowadził do walk bratobójczych w Łodzi w latach 1905-1907, ale widzi całość zagadnienia jednostronnie i powierzchownie. A przecież Narodowy Związek Robotniczy powstał głównie jako konkurencja dla PPS i SDKPiL na terenie ich działalności, co musiało prowadzić do starć. Łamanie strajków przez NZR słusznie czy niesłusznie, ale nieuchronnie powodowało reakcje, ale Kozicki mówi tylko o tym, że morderstwo przywódcy łamistrajków, za to tylko „że doprowadził do zakończenia strajku” było zbrodnią. Walka z socjalistami w 1905 roku to „walka z anarchią”, a opis jej (s. 274, odsyłacz 46) pokazuje jedną stronę medalu. Wystarczy porównać go chociażby z przedstawieniem tej sprawy przez Pogo-Malinowskiego na stronie 177, odsyłacz 66.

Kozicki toleruje „socjalizm narodowy” prawego skrzydła PPS i wyraża się względnie życzliwie o Piłsudskim, ale głównie dlatego, że reprezentuje on epigonów romantycznej tradycji rewolu-

cyjno-powstańczej, no i dlatego, że odszedł od socjalizmu. Potępiając PPS za strajki polityczne w 1905 roku jako podporządkowanie się ruchom rewolucyjnym rosyjskim, Kozicki nie wspomina, że właśnie PPS wysuwało hasło konstytuandy w Warszawie. Podobnych opuszczeń jest więcej. Prosiłoby się także, aby autor, relacjonując obszernie wizytę Dmowskiego u Wittego w 1905 roku, zacytował również list Dmowskiego do Jeża-Miłkowskiego z 9 kwietnia 1906, który rzuca nieco inne światło na całą sprawę (patrz Pobóg-Malinowski, s. 174, odsyłacz 62).

Książka Kozickiego budzi wiele refleksji i na tym polega między innymi jej wartość. Autor daje wnikliwą i trafną ocenę charakteru Ligi, gdy pisze:

„Metodę empiryczną wzięli twórcy Ligi od pozytywistów, uznali wskazania pracy organicznej, uzupełnili je tylko polityką. Jeśli zaś chodzi o pojęcie narodu i cele działalności politycznej, to są spadkobiercami romantyków.” (s.474).

Ujęcie to mogłoby posłużyć jako punkt wyjścia do wszechstronnej i beznamiętnej analizy ideologii i taktyki politycznej Ligi Narodowej, tym bardziej, że tak pozytywizm jak i romantyzm należą do przeszłości a kierunek polityczny na nich oparty staje się już też przedmiotem historycznych badań.

Nie ulega wątpliwości, że Liga może zapisać na swe konto doniosłe osiągnięcia. Była potężną tajną organizacją działającą poprzez kordony rozbiornicze w duchu ogólnopolskim. Położyła wielkie zasługi na polu kultury i oświaty. Przyczyniła się do rozbudzenia narodowego szerokiego mas społeczeństwa. Kierowała akcją wychowawczą, polityczną i kulturalną i wносиła element realizmu w polskie życie narodowe. Poprzez Zet, czy przez Towarzystwo Oświaty Narodowej, czy to przez Towarzystwo Opieki nad Unitami czy też przez akcję na Śląsku i w Poznańskim osiągała wielkie i pozytywne wyniki. Blaskom jednak zawsze towarzyszą cienie. Rozbudzając poczucie narodowe, Liga kładła podwaliny pod „integralny” nacjonalizm i egoizm narodowy, mające fatalne następstwa w wolnej Polsce, która nie była etnicznie jednolita, nie mówiąc już o złej prasie, jaką Polska zyskała w kołach postępowych Zachodu. Wychodząc z założeń monopolistycznych narodowych, Liga przyczyniła się do zaostrzenia konfliktów z innymi ugrupowaniami politycznymi, którym przez implikację, a czasem wprost, odmawiała charakteru narodowego. Podważając wiekowe tradycje indywidualizmu i tolerancji dawnej Rzeczypospolitej, nie zastępowała ich innymi wartościami o treści uniwersalnej. Ogromny wpływ wychowawczy Ligi na następne pokolenia był zarówno dodatni jak i ujemny.

Powyższe uwagi kreślone na marginesie *Historii Ligi Narodowej* nie pretendują ani do roli wyczerpującej recenzji ani do wszechstronnej analizy samego zjawiska. Być może pobudzą one

do dyskusji i wymiany myśli co mogłoby być tylko celowe. Na zakończenie parę słów o stronie technicznej książki. Układ jej jest niewątpliwie przejrzysty i dobry. W pięciu częściach, z których się składa, Kozicki traktuje o Lidze Polskiej w okresie 1887-1893 (I), o Lidze Narodowej w latach 1893-1904 (II), o Lidze w latach 1904-1907 (III), o działalności wychowawczo-politycznej, oświatowej i kulturalnej (IV), a wreszcie o organizacji i ideologii (V). Przypisy, obejmujące ważniejsze dokumenty zajmują przeszło sto stron druku. Książka zawiera nader cenny spis członków Ligi Polskiej i Narodowej oraz skorowidz nazwisk i organizacji. Ten ostatni ma dwie usterki. Primo, byłoby pożądane, aby pseudonimy działaczy podane były dwukrotnie, raz oddzielnie a drugi raz przy prawdziwym nazwisku, co ułatwiłoby szybkie identyfikowanie osób. Secundo, skorowidz tematyczny miałby niewątpliwą przewagę nad skorowidzem nazwisk, zwłaszcza, że wydawcy nie rozbili tematycznie długich kolumn z numeracją stron, które umieścili pod nazwiskami, co utrudnia sprawdzanie różnych rzeczy w książce. Ogólna szata graficzna jest staranna, a choć szkoda, że nie ma zdjęć działaczy Ligi, jest rzeczą zrozumiałą że warunki finansowe i techniczne na emigracji nie mogły na to pozwolić.

Piotr WANDYCZ

PRZEDWRZEŚNIOWE WOJSKO POLSKIE W KRZYWYM ZWIERCIADLE

„Jak to się stało, że 35-milionowy naród dysponujący ponad milionową armią i zdecydowany w obronie swego niepodległego bytu na każdą ofiarę, pokonany został w jednej błyskawicznej kampanii?” — zdanie to, właściwie pytanie, stanowi przewodnią myśl książki o wojsku polskim w latach 1936-1939 E. Kozłowskiego.

Odpowiedź autora na to pytanie jest ciężkim, krzywdzącym oskarżeniem polskich najwyższych władz wojskowych i samego wojska. Wynikałoby z niej, że wina za przegranie wojny 1939 roku powinna jedynie i wyłącznie spaść na nieudolność wojska polskiego.

Książka E. Kozłowskiego utrzymana jest w tonie dzieła ściśle wojskowego, aczkolwiek autor nie należy — zdaje się — do grona pisarzy wojskowych. Ponadto pomija on fakt, że zagadnienia polityki zagranicznej bezpośrednio i ściśle zająmą się z działaniami wojny i strategii. Zadaniem polityki zagranicznej jest jak najlepiej, jak najpewniej i jak najkorzystniej przygotować obronę swych państw. Sztaby Generalne na tej tylko podstawie mogą działać.

Eugeniusz Kozłowski. *Wojsko Polskie. 1936-1939*. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej. Warszawa 1964.

Kozłowski zdaje się zapomniać, że Polska sama — nie mając żadnych sojuszków przeciwko Niemcom na obszarze Środkowo-Wschodniej Europy — biła się z potęgą niemiecką, której nie mogła podołać także i Francja (Belgia, Holandia), a w ciągu trzech lat również i Rosja Sowiecka. Nasz sojusz wojskowy na Zachodzie był jednostronnym zobowiązaniem, dotyczącym wyłącznie Polski, to znaczy, że celem jego było, ażeby armia polska

chciała się bić. Strategom francuskim i brytyjskim to wystarczyło; sami oni nie ruszyli nawet palcem w bucie gdy polska armia z poświęceniem i bohaterstwem krwawiła się w nierównych bojach, najpierw przeciwko przewadze Niemców, a później i przeciwko Rosji.

Owszem, Kozłowski wspomina też o tym, ale czyni to mimochodem, półgębkiem, a należało to umieścić jako zasadniczy punkt jego pracy, jako „motto”.

Naszą tragedią narodową było właśnie to, żeśmy się bili przeciwko olbrzymiej przewadze Niemiec absolutnie sami, nie będąc w dodatku gotowi do wojny, a nie w towarzystwie innych naszych sąsiadów, na przykład Czechów, a może i Rumunów. W tym świetle odpowiedzialność za przegraną wojnę, a raczej za kampanię, i za zniszczenie całej Polski w latach 1939-1945, nie spada wyłącznie na marszałka E. Śmigłego-Rydza łącznie z generałem W. Stachiewiczem, a zupełnie na kogo innego.



Kozłowski wspomina kilkakrotnie imię Marszałka Piłsudskiego i pośrednio zarzuca mu trzymanie polskich sił zbrojnych w stanie archaicznym, na poziomie z końca pierwszej wojny światowej i nie przygotowanie ich do obrony Polski. Dotyczy to głównie lotnictwa, broni pancерnej i kawalerii.

Należy tutaj przypomnieć p. Kozłowskiemu wypadki, już dzisiaj historyczne, z roku 1933.

Otóż istnieją nieodparte dowody i świadectwa w postaci dokumentów i relacji, iż marszałek Piłsudski, będąc u schyłku swego życia, zamierzał w roku 1933 uderzyć na Niemcy (Hitlera!). Piłsudski sondował stanowisko Francji, proponując jej wspólną akcję przeciwko Niemcom, jako wojnę prewencyjną. W zrozumieniu Piłsudskiego taka akcja byłaby wówczas uwięzieną pełnym powodzeniem, nawet z niedoskonałą armią polską. Mężowie stanu Francji (Daladier, Paul-Boncour, Herriot) i generałowie (np. Weygand) odmówili swego udziału. *Ne vous orientez pas vers la guerre. Ce pays ne marchera pas!* — to była odpowiedź Francuzów w sprawie wojny prewencyjnej, proponowanej przez marszałka Piłsudskiego w roku 1933 przeciwko rosnącemu w siły hitleryzmowi.

Marszałek Piłsudski — nolens-volens — postanowił działać sam. W lecie 1933 roku nasz „Wicher” wpłynął do portu w Gdańsku, wycelował swe działa na miasto Gdańsk... Kompania, albo dwie, piechoty wkroczyły na Westerplatte... A pułk szwoleżerów Rokitniańskich, wzmocniony szwadronem cyklistów i baterią konną wysunięty w kierunku samej granicy Wolnego Miasta — w ślad za nimi stała cała Brygada Kawalerii Pomorskiej. Obyło się bez żadnego incydentu, aczkolwiek, jak wiemy ze znanych obecnie wypowiedzi, wywołało to piorunujące wrażenie na Niemcach, na Hitlerze i w szczególności na Sztabie Generalnym Niemieckim. Niemcy ówczesne, w roku 1933, były wojskowo o wiele słabsze od Polski. I dlatego „pakt o nieagresji” Niemiec z Polską, został podpisany skwapliwie przez przedstawiciela Hitlera. Piłsudski, według słów jednego z historyków zachodnich, zawarł swój *bargain* z Niemcami — myśląc z pewnością iż sytuacja się w porę wyjaśni.

Jednakowoż marszałek Piłsudski trawiony nieuleczalną chorobą powolnie umierał. Jeszcze przed śmiercią jego ujawniły się istotne zamiary Francji. Przyjechał do Warszawy minister Barthou. Celem jego wizyty był „pakt wschodni”, którego sens polegał na udziale Rosji Sowieckiej w stworzeniu sojuszu od wschodu i zachodu przeciwko Niemcom. Jeszcze przed śmiercią Marszałka kierownictwo polskiej polityki zagranicznej polskiej objął i prowadził ją tylko jeden człowiek. Wierzył on w obłudne zapewnienia niemieckie aż do ostatnich dni: do 1 września 1939 roku.

Faktem jest, że najwyższe nasze władze wojskowe były zaskoczone wybuchem wojny.



Marszałek Edward Śmigły-Rydz z miejsca tj. w 1935 r. podjął pracę nad przebudową naszej armii.

Przypomnijmy sobie warunki tej „rozbudowy”. W książce *Wojsko Polskie* p. Kozłowski sam wskazuje, że wszystkiego było brak, poczynając od surowców a kończąc na finansach; w dodatku zakupy za granicą były prawie niemożliwe z racji zbrojeń innych państw. W rezultacie nasz plan sześcioletni, zapoczątkowany w roku 1936 miał dawać wyniki dopiero w roku 1942. Można więc pisać o połowicznym niewykonaniu tego planu w rozbudowie polskich sił zbrojnych — motoryzacja armii, artyleria, lotnictwo, broń pancerna itd. — ale nie można pisać, że cały plan całkowicie zawodził. Były oczywiście poważne braki w wykonaniu nawet tego skromnego planu, lecz należy stwierdzić, że nasze władze wojskowe zrobiły wszystko, co było w ich ograniczonych możliwościach, aby chociaż w części ten projekt został wykonany.

Kozłowski w swej książce podaje plan, który miałyby uzdrowić 6-letni projekt rozbudowy wojska polskiego, a nawet skrócić go o 3 lata, a więc do roku 1939. Projekt ten polega na wydatnym zmniejszeniu tzw. „wydatków wegetacyjnych”, przeznaczonych na utrzymanie wojska (głównie na wyżywienie ludzi i koni) i użycie zaoszczędzonych kwot na zakup lub budowę potrzebnego nam sprzętu, przede wszystkim na lotnictwo, broń pancerną i na motoryzację armii. Kozłowski popełnia tu wielki błąd. Zmniejszenie naszej armii — bez tego bardzo szczupłej w stanie pokojowym, chorującej wечно na „anemię stanów” — do stanu kadrowego we wszystkich rodzajach broni, np. zupełne zniesienie kawalerii, nawet takiej jaką była, pozostawiłoby Polskę zupełnie bezbronną na wypadek niesprowokowanej agresji niemieckiej 1939 roku. — W odróżnieniu od Francji, Polska nie posiadała linii Maginota i stałej na niej obsady, pod osłoną której mogła być przeprowadzana mobilizacja. Czas zaś potrzebny na dokonanie podobnego eksperymentu jest bardzo długi: nie da się po prostu „przesadzić” pułków artylerii i kawalerii z koni na samochody i czołgi. Potrzebne jest przed tym gruntowne przeszkolenie wszystkich żołnierzy i niezbędny jest sprzęt. Jeśli Kozłowski bazuje swe plany na przykładzie polskich armii ludowych, które wzięły udział w ofensywie na Berlin i na Śląsk, to powinien pamiętać, że całe nowoczesne uzbrojenie i sprzęt motorowy dla tych armii dostarczyła armia sowiecka z nieograniczonych środków Rosji i z wydatnej pomocy dla niej Ameryki. — I tak się dzieje od roku 1945. Rosja Sowiecka zaopatrzuje w najważniejszą część wojska swych satelitów, w tym i Polski.

W latach 1936-1939, a tym bardziej przed tym, Polski po wieku rozdarcia i niewoli nie było stać na tysiące samochodów, czołgów, samolotów, armat i innego sprzętu.



„Wojsko Polskie” pisane jest na podstawie autentycznych dokumentów ze znajdujących się w Polsce archiwów różnych sztabów i instytucji woj-

skowych. I to stanowi dużą wartość książki. Zasluga jej autora byłaby tym większa, gdyby zdobył się na zupełny obiektywizm. Tymczasem widać w jego pracy wpływy partyjne. Na przykład w rozdziale o utworzeniu Korpusu Ochrony Pogranicza Kozłowski pisze, że KOP był pomyślany jako wzmożenie „kordonu sanitarnego”, opasującego od zachodu Rosję Sowiecką. W cytowanych przez Kozłowskiego dokumentach z pewnością jest powiedziane, w jakim celu w latach 1924-1925 stworzono KOP. Brałem udział w tych pracach. Nie chodziło bynajmniej o „kordon sanitarny” lecz o zabezpieczenie własnej granicy przed czerwonymi bandami przechodzącymi z Rosji Sowieckiej, które dokonywały gwałtów, mordów i rabunków wzdłuż całego pogranicza. A „elitarny korpus kawalerii polskiej”? Autor z pewnością pomylił się. Szkołę Podchorążych Kawalerii w roku 1938 np. według słów jednego z absolwentów tej szkoły, ukończyło co najmniej 7-8 oficerów pochodzenia włościańskiego.

Leon MITKIEWICZ

KAWALERIA SAMODZIELNA RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ W WOJNIE 1939 ROKU

Związek Kawalerzystów i Artylerzystów Konnych w Ameryce Północnej zdobył się z dużym wysiłkiem finansowym na wyczyn godny naśladowania dla innych zrzeszonych skupisk wojskowych emigracji polskiej, mianowicie na wydanie w pięknej i estetycznej formie książki płka dypl. Leona Mitkiewicza, stanowiącej opis działań i losy kawalerii polskiej w nieszczęsnym 1939 roku.

Książka ta ma tą wielką zaletę, że mimo iż faktycznie jest utworem o charakterze specjalnym, jednakże stanowi wysoce interesującą lekturę nie tylko dla kawalerzystów, lecz również i dla czytelnika nie należącego do „mafii” kawalerzystów. Bo nasza kawaleria, tak zresztą jak wszystkie kawalerie na całym świecie stanowiła zespół ludzi o naturze całkiem swoistej, ludzi fanatycznie przywiązanych do swojego rodzaju broni, zakochanych we własnych, zarówno wielkich jak i drobnych, tradycjach swoich oddziałów, ceniąc je ponad wszelkie przepisy i regulaminy i uważając je niemal za jakiś święty obrządek religijny. Choć wybitnie indywidualna, nie tylko w stosunku do każdego oddziału i niemal co do każdego jeźdźcy, jednakże równocześnie zwarta wewnętrznie. Choć jak całe nasze wojsko demokratyczna w ustroju wewnętrznym, przez swój tradycjonalizm bardzo ekskluzywna w stosunku do innych broni, a przez to samo zwarta i spoista w swojej dziwnie demokratycznej, a równocześnie rycersko-anachronicznej strukturze duchowej. Ta struktura podtrzymywała ją do końca jej istnienia jako broń „konną” i pozwoliła jej odrodzić się na emigracji w całkiem odmiennych warunkach walki i otoczenia.

Z tym właśnie uczuciem i sentymentem podchodzi do tematu swojej książki i do istoty byłej „konnej” kawalerii płk. Mitkiewicz i z tego punktu widzenia trzeba ją oceniać.

Określiwszy stosunek autora do tematu jego opracowania przejdźmy do

treści samej książki i jej ujęcia z punktu widzenia zwykłego czytelnika. Inaczej do niej podejdzie zwykły czytelnik, który książkę weźmie do ręki jako obiekt godny do przeczytania, a zainteresowany ułamkiem dziejów kampanii wrześniowej, inaczej kawalerzysta, który na jej łamach odnajdzie dzieje swych własnych przeżyć z tych czasów, odnajdzie nazwiska kolegów którzy wraz nim walczyli, a być może i obok niego zginęli, odnajdzie wreszcie sylwetki swoich przełożonych, którzy go do tych bojów wiedli. Jednakże i jeden i drugi będą z tej lektury zadowoleni. Pierwszy dlatego, że otrzyma dość dokładny wgląd w powikłane działania wrześniowe i zapozna się z całością tej kampanii ujętej w odpowiedzialnie zgrupowane działania operacyjne kawalerii. Drugi dlatego że w zestawieniach odnajdzie prawdopodobnie dzieje własnego oddziału. Działania wojenne ujęte jasno i przejrzysto świadczą o gruntownym do tej pracy przygotowaniu autora, dawnego wykładawcy WSW w Warszawie i członka sztabu ścisłego Naczelnego Wodza w latach drugiej wojny światowej. Autor jest dobrym stylistą, obiektywnym analitykiem, uwypuklającym nie tylko momenty chwały i bohaterstwa, ale również ujemne strony zachowania się niektórych oddziałów i krytykującym rozkazy dowódców, niezawsze realne w stosunku do zaistniałej sytuacji bojowej. Jako starszy oficer dyplomowany umie braki te uzasadnić i omówić ich powody.

Przechodząc od strony uczuciowej pracy płk. Mitkiewicza do jej układu i łatwości jej zrozumienia dla przeciętnego czytelnika, muszę od razu zaznaczyć, iż nie mogę się zgodzić z jej tytułem, który według mnie jest zbyt długi, zbyt skomplikowany, powiedziałbym nawet zbyt napuszony. Trzeba go parę razy przeczytać aby się z nim oswoić: przypomina bowiem tytuł referatu dla jakiegoś byłego szefa Biura Historycznego. Dlaczego nie krótko: „Kawaleria Polska w wojnie 1939 roku”? Poza tym już w swoim załączku tytuł jest niesprawiedliwy dla oddziałów kawalerii, znanych nam pod nazwą „Kawalerii Dywizyjnej”. Choć oddziały te miały inne zadanie niż „Kawaleria Samodzielna” jednakże nie różniły się niczym od oddziałów tej ostatniej, a Krakusi tak samo ginęli za Ojczyznę na piaskach Mazowsza i byli natchnieni tym samym duchem poświęcenia co szwoleżerowie, ułani i strzelcy konni kawalerii samodzielnej. Jest to niesprawiedliwe i niezgodne z duchem, który ożywia całą książkę płk. Mitkiewicza.

Dalej ujemną stroną książki jest brak szkiców orientacyjnych. Mało kto z czytelników zna dziś jeszcze tak szczegółowo geografie Polski aby na podstawie opisów działań bojowych móc je sobie obecnie umiejscowić. Ilu czytelników wie np. gdzie leży miejscowość Mokra, pole zwycięskiej walki Wołyńskiej Bryg. Kaw., albo Suchowola-Krasnobród, miejsce walk zgrupowania gen. Andersa? Ogólny brak na emigracji bardziej szczegółowych map Polski, utrudnia ten problem, który mógł być łatwo rozwiązany przez dołączenie do książki paru szkiców schematycznych, wyjaśniających w sposób prosty i zrozumiały najważniejsze działania większych ugrupowań kawalerii w czasie kampanii.

Dosyć słabo przedstawia się również bibliografia książki. Autor czerpał potrzebne mu wiadomości głównie z wydawnictwa Komisji Historycznej Sztabu Głównego i pamiętników poszczególnych wyższych dowódców, oraz z nielicznych wspomnień młodszych oficerów. Z natury rzeczy, mieszcząc w Ameryce miał utrudniony dostęp do oficjalnych materiałów w archiwach londyńskich oraz do innych pamiętników, które by wiele spraw spornych z kampanii wrześniowej wyjaśniły. Mam tu przede wszystkim na myśli działania w pierwszych dniach wojny na Pomorzu, bardzo negatywnie opisane w pamiętnikach płk. Zakrzewskiego i działania w dniach 22-24. IX. grupy gen. Andersa pod Suchowolą-Krasnobrodem, gdzie opinia publiczna przypisuje mu porzucenie na łaskę losu walczących oddziałów, na korzyść

ratowania dowodzonej przez siebie brygady Nowogródzkiej. Po działaniach tych gen. Anders prześlizguje się dosyć pobieżnie w swoich pamiętnikach „Bez ostatniego rozdziału” i co do działań tych nie mamy do dziś oficjalnego orzeczenia ze strony Komisji Hist. Sztabu Głównego. Pułkownik Mitkiewicz również dość krótko się z nimi rozprawia w swojej książce, choć był to ostatni wielki bój kawalerii polskiej w 1939 roku. Mam wrażenie, że autor nie wykorzystał dostatecznie „Przeglądu Kawalerii”, w którego numerach w ciągu ubiegłych sześciu lat ukazało się sporo artykułów związanych z historią tej kontrowersyjnej bitwy.

Zabrakło także w książce, tak starannie zresztą wydanej przez „Veritas” w Londynie, fotografii głównych dowódców kawalerii w 1939 roku. Fotografie te można było zdobyć i w książce stanowiącej niejako „śpiew łabędzi kawalerii polskiej” byłyby bardzo na miejscu, pozostawiając na wieczne czasy pamiątkę po naszych „konnych” wodzach z tej wojny. Jak mi wyjaśnił autor, początkowo był taki zamiar, lecz na przeszkodzie stanęły zbyt duże koszty, które by opóźniły wydanie tej cennej skąd inąd książki i cenę jej w sprzedaży nadmiernie podniosły. Ze swojej strony muszę jednak nadmienić, że kto był skłonny zapłacić za książkę £8.50 (co nie jest mało), to zapłaciłby również chętnie £10.00, gdyby książka była urozmaicona paru dodatkowymi szkicami i fotografiami. Książka mogła być zresztą wydana mniej luksusowo. Przypuszczam, iż w tym wypadku nie należy jednak winić autora, lecz raczej Związek Kaw. i Art. Konnej w Ameryce Północnej, który książkę wydał i od którego możliwości finansowych, jako „sponsora”, całość wydania jej zależała.

Autor oparł swoją książkę głównie na opracowaniu wojny 1939 roku przez Komisję Historyczną Sztabu Głównego. toteż zbędne są omawianie czy krytyka samych faktów. Można polemizować z podejściem autora do faktów. Choć przeznaczona dla szerszej publiczności książka płk. Mitkiewicza jest faktycznie „biblią kawalerską” i dlatego polityczne czy ekonomiczne uwagi czy wypowiedzi autora, nie związane z zasadniczą linią przewodnią jego pracy, to jest z historią i działaniami kawalerii, są tylko dodatkowymi akcesoriami, koniecznymi dla rozjaśnienia zamglonego obrazu, którym do dziś dnia jest jeszcze kampania wrześniowa. Niektóre z wypowiedzi krytykujące posunięcia rządu polskiego sprzed września 1939 roku, zostały nieprzychylnie przyjęte w Kanadzie, przez ludzi należących do byłej sanacji. Stały się one powodem do ostrych napaści na autora, zarzucających mu „nieuctwo polityczne”, wtrącanie się do rzeczy, które go jako oficera nie powinny obchodzić” i temu podobne inwektywy. Te tzw. „krytyki” czy „omówienia” książki płka Mitkiewicza mają z nią niewiele wspólnego, nie będąc w zasadzie krytyką lecz obroną przedwojennego systemu rządów w Polsce.

Reasumując mogę tylko jeszcze raz podkreślić iż płk. Mitkiewicz pisząc swą pracę przyczynił się do utrwalenia historii konnej broni w Polsce i tym samym wykonał pracę pożyteczną.

Jerzy GROBICKI

LISTY DO REDAKCJI

SPRAWA BRZESKA

Redakcja londyńskich „Wiadomości”, które zamieściły na ten temat cykl artykułów, dotyczących i mojej osoby, odmówiła zamieszczenia niniejszego tekstu. Przesyłam go więc Redakcji „Zeszytów”, sądząc bowiem, że może on być przyczynkiem historycznym nie tylko do sprawy procesu brzeskiego, ale i do sprawy obyczajów prasowych niektórych polskich wydawnictw emigracyjnych.

Witold GRABOWSKI

Pan Adam Pragier napisał kilka artykułów w „Wiadomościach” na ten temat. Zastanawiałem się przez czas dłuższy czy należy odpowiedzieć na te artykuły. Na terenie emigracji jestem na pewno jedynym człowiekiem, który mógłby to uczynić — brałem w tej sprawie udział jako oskarżyciel publiczny, wspólnie z Robertem Rauze. Przyjaciele moi, podczas mego pobytu w Londynie, jednogłośnie mi radzili uczynić to dla „historii”. Argument ten istnieje. Cztery książki, o których wspomina p. Pragier, i artykuły jego, jest to jedyne źródło, na podstawie którego przyszły historyk może pisać o sprawie brzeskiej, gdyż akta jej uległy zniszczeniu. Ale pisanie w oparciu się li tylko o to źródło byłoby wybitnie jednostronne.

Był jednak inny jeszcze aspekt, emocjonalny, który przemawiał za niepisaniem. Wolna i niepodległa Polska przestała istnieć. Polska istnieje w karykaturalnych formach komunizmu, narzuconego siłą, ze społeczeństwem sparaliżowanym i całkowicie biernym z powodu kompletnej beznadziejności. Jest to taki ogrom nieszczęścia narodowego, przy którym „sprawa brzeska” wydaje się marnością a pisanie o niej odstręcza tak jak np. ekshumacja zwłok. Ten to powód skłaniał mnie do nie pisania.

Ale, jak to się w życiu zdarza, przyszedł nowy, nieprzewidziany czynnik, który decyzję moją zmienił. Ukazały się urywki z pamiętnika Wincentego Witosa z czasów 1936-1939 (*Kultura* nr 1/195-2/196, styczeń-luty 1964). Ten pamiętnik mógłby być źródłem historycznym w tej sprawie. To co Witos pisze *ex post*, gdy jest na emigracji w Czechosłowacji, jest ilustracją

i dalszym ciągiem dowodu w tej sprawie. Wystarczy zacytować kilka ustępów z tego pamiętnika aby to jasno zobaczyć. P. Pragier pisze bardzo dobrze ale czy obiektywną prawdę? Szkodliwość jego artykułów tkwi w tym, że w formie poważno-felietonowej zarzuca 12-stu sędziom Rzeczypospolitej Polskiej ferowanie fałszywych wyroków. W rachunku tym figuruje p. sędzia Leszczyński ponieważ on także był za skazaniem wszystkich oskarżonych (z wyjątkiem Sawickiego) choć nie za spisek zawiązany w celu obalenia Rządu przemocą, ale za indywidualne przemówienia, zmierzające do tego samego. Czy można sądownictwo polskie i Polskę gorzej znieślić niż to czyni p. Pragier? I skąd w p. Pragierze jest aż tyle uporu! Przecież czyn, za który został skazany, stanowił przestępstwo polityczne. Mój drugi zarzut wobec autora jest, że przedstawia on sytuację bardzo jednostronnie: daje pełne przemówienia oskarżonych i obrońców a słów kilka — w felietonowy sposób — poświęca oskarżeniu. Milczy zawzięcie o sprawie przygotowanego zamachu na Marszałka Piłsudskiego przez Jagodzińskiego i innych, oraz o sprawie z 14-go września 1930, gdzie wielki pochód, zorganizowany przez Centrolew, ukazał się na ulicach Warszawy. Obydwie te sprawy były dowodem rzeczowym w „sprawie brzeskiej”. W obydwóch sprawach oskarżałem i uzyskałem skazujące wyroki. Do jakich granic musiały urosnąć namiętności, jeżeli piątka PPS, przewodzona przez starego bojowca Jagodzińskiego, przygotowała zamach na Marszałka, który to zamach nie doszedł do skutku tylko dlatego, że jeden z zamachowców Pórzycki uprzedził władze, za co został postrzelony z rewolweru przez nieznanego sprawcę. Jako wytrawny polityk i człowiek o wysokim poziomie intelektualnym powinien p. Pragier być rozumieć, że rewolucja jest to często rzecz przypadku, że zbieranie zbrojnych pochodów ludowo-socjalistycznych mogło z łatwością do niej doprowadzić, zwłaszcza gdy tłum był agitowany przez prasę, ulotki i przemówienia.

P. Pragier przyznaje Marszałkowi Piłsudskiemu cechy wielkości a przed nim całą książkę „O wielkim człowieku” napisał Marszałek Daszyński, ale po r. 1926 aż do r. 1939, partia p. Pragiera nie robi nic innego jak przygotowania do rewolucji, gdyż rzekomo ani opozycja ani kartka wyborcza sprawy nie załatwiała. Czymże było śledztwo i proces brzeski? Zebraniem z kilku lat całej prasy opozycyjnej, ulotek i bardzo gwałtownych przemówień poszczególnych oskarżonych, gdzie nie oszczędzano nikogo — ani Prezydenta, ani Marszałka Piłsudskiego, ani Rządu. Czyż to wszystko nie było przygotowaniem do rewolucji czy też spiskiem rewolucyjnym? Sejmowładztwo i sobiepaństwo poprzedzające majowy przewrót to była szkoła do przyszłych wypadków. Polska nie była Anglią i dlatego praktyki Centrolewu były bardzo niebezpieczne. Zarzut p. Pragiera, dlaczego ci byli oskarżeni a nie inni jeszcze, jest łatwy do wyjaśnienia. Byli to czołowi ludzie, którzy nie mogli nie kierować ruchem. Mogłoby ich być więcej. Proces był symbolem, aby przestrzec także tych innych. Na to wskazuje niska kara i odpowiadanie z wolnej stopy oskarżonych, z których każdy po wyroku mógł opuścić granice państwa. Co się działo w Brześciu — mówiąc najuczciwiej — nie wiem. Ówczesny minister sprawiedliwości dał mi słowo, że w więzieniu poza ostrym rygorem, nie działo się nic, że natomiast miał miejsce akt gwałtu na osobie pośła Libermana, który w drodze do Brześcia dostał biegunki i stale zatrzymywał samochód. Komisarz policji (nazwiska nie pamiętam) w końcu go uderzył. Jeżeli cokolwiek jednak tam się działo, nie miałem z

tym nie wspólnego. Gdy mnie polecono oskarżenie w tej sprawie wszyscy oskarżeni byli na wolności.

Główną słabością obrony było to, że oskarżeni przyznając się do walki z dyktaturą Marszałka Piłsudskiego, do bardzo ostrej kampanii prasowej, do jeszcze ostrzejszych przemówień, do sformowania Centrolewu w Sejmie, do zorganizowania kongresu w Krakowie, nie przyznawali się do sprawy zamachu, przygotowanego na Marszałka Piłsudskiego przez członków PPS i do zorganizowanego pochodu w Warszawie 14 września 1930 r. Ale przyznawali się natomiast do tego, że uważali wybory za beznadziejne dla siebie, albowiem były rzekomo fałszowane. A więc narzucało się pytanie: jaki był cel oskarżonych? Pytanie to zadałem świadkowi posłowi Niedziałkowskiemu, który po pauzie i refleksji odpowiedział, że celem oskarżonych była kartka wyborcza. Odpowiedź pozbawiona wszelkiej logiki wobec zarzutu o fałszowaniu wyborów. W umysłach oskarżonych musiał istnieć jeden cel, choć nawet alternatywny — doprowadzenie tłumu do zastosowania przemocy, z braku innego wyjścia. Zamach na Marszałka Piłsudskiego, przygotowany przez piątkę PPS jest tego najlepszym dowodem. P. profesor Pragier oczywiście nie brał w tym udziału bezpośrednio ale wraz z innymi spowodował to przygotowanie, jako jeden z czołowych ludzi PPS. P. Pragier nie był w pochodzie z 14 września 1930 r., gdzie wybuchły bomby, ale go spowodował dłuższą akcją. Tak niewątpliwie sądy rozumowały i dlatego wyrok był skazujący.

Wincenty Witos w swoim pamiętniku rzuca jaskrawe światło na swoje własne zamiary i stowarzyszonych z nim ludzi, gdy się znajdował na emigracji.

Pisze on na Nowy Rok 1936:

„...Sikorskiego spotkałem w hotelu „Sokolsky Dum”. Opowiadał o przygotowaniach, jakie *poczynił szczególnie w kołach wojskowych*. Uzgodnił się zupełnie z Hallerem, podporządkował Januszajtisa. Spodziewa się, że *przewrotu będzie można dokonać na wiosnę*. Może się to stać drogą masowego nacisku lub *gwałtu*. Trzeba być gotowym na jedno i *drugie*...”

Ze słów gen. Sikorskiego do Witos 1-go stycznia 1936 wynika, że przygotowania do zamachu w drodze gwałtu były niedwuznacznie przeprowadzone tak akurat jak w 1930 r.

Dnia 23 grudnia 1936 Witos pisze:

„...*(Bobek)* twierdzi, że on *(Sik.)* (nawias autora) *zakreślił akcję na wielką skalę*. Przestrzega ponownie przed braniem zobowiązań, gdyż Sikorski *więcej patrzy na wywindowanie swojej osoby, niż na załatwienie wielkich spraw*. Ma swoją konspirację, która *działa*...”

26. 12. 1936 Witos pisze:

„...Przyjechał Gruska. Uważa położenie za zupełnie dobre. Spodziewa się upadku reżymu w ciągu kilku miesięcy. Ułożyliśmy sposób roboty na terenie Małopolski i Królestwa...”

27. 4. 1938 Witos pisze:

„.....Była tu ważniejsza osoba z obozu wojskowego, która zajmuje dużą pozycję po stronie obozu Rydza. Za pośrednictwem trzeciej osoby dał on mi taki obraz sytuacji: nastrój rewolucyjny wśród mas chłopskich jest nadzwyczaj silny, niepokój z tego powodu w obozie rządowym bardzo wielki, zwłaszcza że nie są pewni armii na wypadek konfliktu z chłopami... Doły P.P.S. prą do strajku szczególnie w Warszawie. Gdy się chłopci ruszą one pójdą z nami, zmiotą CKW przez rząd przekupiony. Tę pewność uzyskałem po rozmowie z moimi informatorami, których tu kilku było w Paryżu”.

15. 6. 1938 Witos pisze:

„...Sikorski silnie zdecydowany...” „...Przybył polecony przez Ujazdowskiego niejaki Ciemiszyński, przedstawiciel organizacji „Falanga” z Warszawy... Uważa, że stosunki można zmienić tylko przez rewolucję. Do niej są przygotowani. Chcieliby ją robić z ludowcami...”

5. 8. 1938 Witos pisze:

„...Socjaliści to skorupa z jaja, z którego wszystko wyciekało a przy tym łajdacy. Rząd wie, że jedynym przeciwnikiem są ludowcy...”

24. 8. 1938 Witos pisze:

„Pułkownik Grzędziński twierdzi, że w roku zeszłym Noc św. Bartłomieja naprawdę przygotowano... akuratnie aresztowano tych, co mieli zamachem kierować i noc św. Bartłomieja w Warszawie urządzić”.

Oczywiście będzie wysunięty argument, że pamiętnik Witos datuje się z lat 1936-1939, a sprawa dotyczyła roku 1930. Jednakże ten argument będzie tylko formalnym uchYLENIEM się od odpowiedzialności. W okresie pisania swego pamiętnika Witos był w dalszym ciągu w ścisłym kontakcie z niektórymi b. oskarżonymi i ze świadkami obrony. Ten sam jest język, te same pobudki i cele. Nową okolicznością jest tylko rozczarowanie do socjalistów, z którymi jednak ma się pójść razem. Ten nastrój rewolucyjny trwał co najmniej od 1928 r. aż do samego końca. Sami oskarżeni to twierdzili na procesie, mówiąc, że oni na jotę nie zmieniają swego postępowania. Na tym polega ścisły związek pomiędzy rokiem 1930 a latami 1936-39, te ostatnie będą prawdziwą ilustracją tego pierwszego.

Gdy czytałem pamiętnik Witos a i przypominałem sobie ówczesną polską rzeczywistość, nie mogłem się nadszwić tym kontrastem. Politycznie sytuacja obiecywała konsolidację. Z polecenia Marszałka Śmigłego prowadziłem pertraktacje z młodymi narodowcami i z ludowcami, w osobie Marszałka Rataja, w sprawie przyłączenia się ich do OZONU. Marszałek Rataj zrobił na mnie duże i dodatnie wrażenie. Wiele godzin spędziliśmy na rozmowach. Moim celem było doprowadzenie do rozmowy Rataja ze Śmigłym. Do tej rozmowy w cztery oczy doszło. W jej wyniku Marszałek Rataj powiedział mi, że nie było ani jednego zagadnienia społeczno-politycznego, o którym opinia roz-

mówców byłaby różna, że osiągnięto kompletne porozumienie ideowe, ale na przeszkodzie stanęła osoba Witosa. Marszałek Rataj dowodził, że jego przystąpienie do OZONU podczas gdy Witos jest poza krajem byłoby potraktowane jako zdrada, że Witos można byłoby związać deklaracją nie mieszaną się do polityki, ale musiałby on być w Polsce. Marszałek Śmigły na to się nie godził. Cała ta sprawa została w zawieszeniu, ale nie była wcale beznadziejna. Wykluczam wszelką dwulicowość ze strony Marszałka Rataja, ale pamiętnika Witosa wtedy nie znałem i przemawiałem za jego powrotem.

Uporczywą negację winy przez p. Pragiera tłumaczę sobie w ten sposób: Mimo wszelkich kwalifikacji posiadanych przez niego w skarbowości i polityce, nie miał on ich w zakresie prawa karnego i nie doceniał treści artykułów kodeksu karnego 101 i 102. Pisze on na przykład, że oskarżonych skazano za spisek w przygotowaniu do rewolucji. Oczywiście jest to błąd prawny, gdyż spisek zmierzał nie do przygotowania zamachu ale do jego wykonania. Pierwszą formą działania jest spisek, polegający na uzgodnieniu planu i decyzji (art. 102 K.K.), drugą formą jest przygotowanie do zamachu, polegające na naszykowaniu środków do działania (art. 101 K.K.). Podburzanie tłumów czy większych zrzeseń przez prasę, ulotki i przemówienia, zdaniem prokuratury było przygotowaniem do zamachu. Zdaniem sądów oskarżeni byli winni tylko spisku w celu obalenia rządu przemocą.

P. Pragier nie widząc w sprawie ani przelanej krwi ani barykad na ulicach nie widzi swej winy.

Kiedyś, w 1932 r., przejmowałem się tą sprawą. Dziś prawie po 33-ech latach jest mi ona obojętna. Prokuratorzy nie odpowiadają za wyroki. Prokuratorzy oskarżają. Adwokaci bronią. A wyroki wydają sędziowie.

Dziś — sędziowie, oskarżani o fałszywe wyroki, bronić się nie mogą. Może z tej racji należało coś napisać o tej sprawie.

W. GRABOWSKI



Sao Paulo, dn. 29. 12. 1964

Szanowny Panie Redaktorze,

W niezmiernie interesujących ale jakże smutnych wspomnieniach min. Alfreda Ponińskiego „Wrzesień 1939 w Rumunii”, zamieszczonych Nr 6 „Zeszytów historycznych”, dwukrotnie, na str. 170 i 192, mylnie jest podana data śmierci ambasadora Rogera Raczyńskiego. Autor pisze że umarł on w Atenach w r. 1944, wówczas gdy w rzeczywistości zgon nastąpił w r. 1945, o ile mnie pamięć nie myli, 9 listopada.

Po cofnięciu uznania naszemu legalnemu rządowi w Londynie, zostało oficjalnie zlikwidowane nasze Poselstwo R.P. w Atenach a za nim i ataszat wojskowy. Rząd grecki przyłączył się tego bardzo niechętnie, pod naciskiem „alianckich” mocarstw, zwłaszcza że Grecja była „okupowana” przez wojska angielskie. Nieoficjalnie jednak wszystkim nam nie tylko udzielono gościny

ale nawet sugerowano abyśmy nadal pozostali w Grecji. Wiele lat upłynęło nim Grecja nawiązała stosunki dyplomatyczne z Polską ludową. To stanowisko rządu greckiego należy przypisać tradycyjnej przyjaźni Greków do Polski, ich wdzięczności za udział polskiego oddziału z Mierzewskim na czele w walkach o niepodległość Grecji i obronie Missolongi w latach 1820-27, świeżej jeszcze pamięci o krwawej rewolcie komunistycznej, jak też, w dużej mierze, osobie Amb. R. Raczyńskiego, który cieszył się wielką sympatią zarówno w sferach rządowych jak i w całym społeczeństwie greckim.

Chorobę serca u Ambasadora skonstatowano w czerwcu czy lipcu 1945 r. i od tego czasu zaczął on systematyczną kurację i trochę uważał na siebie, chociaż wydaje się, że raczej lekcewżył sobie swoją chorobę.

Byłem jedynym z b. ataszatu który na rozkaz gen. Andersa pozostał w Atenach oficjalnie i właśnie dn. 9 listopada miałem u siebie większe przyjęcie, na którym oprócz kilku attachés alianckich i oficerów greckich był wielki przyjaciel Polski, delegat apostolski mons. P. Tosta i poseł argentyński Mandelahu. Amb. Raczyński spóźnił się trochę, bo był przedtem na innym przyjęciu. Wszyscy znający go, jako zawsze rozmownego i ożywionego, byli uderzeni jego małomównością i spokojem. Po rozejściu się gości, już po północy, byliśmy już w łóżku, kiedy telefon z Poselstwa zaalarmował nas że Ambasador jest umierający. Kiedy przyjechalśmy z żoną do Poselstwa, skonał on przed chwilą. Okazało się, że mieszkający z nim pozostali członkowie Poselstwa, zamiast zawezwać lekarza z sąsiadującej z nim lecznicy, posłali samochód do leczącego go doktora, który mieszkał w położonej o kilkanaście km. podmiejskiej miejscowości.

Powiadomiony o śmierci amb. R. Raczyńskiego rząd grecki zarządził oficjalną żałobę i kazał opuścić sztandary państwowe do połowy masztu. To samo zrobiły wszystkie przedstawicielstwa dyplomatyczne. Tylko na budynku Poselstwa R.P., gdzie leżało ciało Jej przedstawiciela i tak zasłużonego Polaka, nie było sztandaru Rzeczypospolitej, bo nikt z otoczenia Ambasadora... nie domyślił się by to zrobić.

Jeszcze większą gaffa mogła się stać w kościele na egzekwiiach kiedy weszli, przedstawiciel przebywającego jeszcze przed plebiscytem w Londynie króla Jerzego II z przedstawicielem rządu. Nie znalazł się przez chwilę nikt kto by uważał za obowiązek ich przywitać i usadowić w pierwszym rzędzie, w specjalnych fotelach, tak że przez chwilę stali oni bezradnie.

Ambasador Roger Raczyński pozostawił po sobie nie zatartą pamięć wśród tych co się z nim kiedyś zetknęli, swoją wysoką kulturą, urokiem osobistym i, nade wszystko, głęboko ludzkim podejściem do każdego, niezależnie od jego stanowiska społecznego, inteligencji czy pochodzenia. Cześć jego pamięci!

Jerzy POMIAN

SPIS TREŚCI

<i>Franciszek Kalinowski:</i>	
POLSKOŚĆ BATTLE OF BRITAIN	7
<i>Tadeusz Katelbach:</i>	
AKT PIERWSZY DRAMATU (dok.)	29
<i>Jerzy Paszkowski:</i>	
WYBUCH DRUGIEGO POWSTANIA ŚLĄSKIEGO	107
<i>Kazimierz Bagiński:</i>	
CENZURA W POLSCE	129
<i>Jakub Hoffman:</i>	
ZE WSPOMNIEŃ O MARSZAŁKU RYDZU ŚMIGŁYM	153
<i>Michał Łubieński:</i>	
WŁODZIMIERZ ŻABOTYŃSKI	165

DOKUMENTY

<i>Adam Ciołkosz (opr.):</i>	
OSTATNIE DOKUMENTY POLSKI PODZIEMNEJ	168
<i>Piotr Wandycz:</i>	
NIEZNANE LISTY PETLURY DO PIŁSUDSKIEGO	181

POLEMIKI

<i>Z. S. Siemaszko:</i>	
ŁĄCZNOŚĆ I POLITYKA	192

KSIĄŻKI

<i>Tadeusz Nowacki:</i>		
MARGINESY HISTORII 2-GO KORPUSU	208	
<i>Piotr Wandycz:</i>		
O LIDZE NARODOWEJ	221	
<i>Leon Mitkiewicz:</i>		
PRZEDWRZEŚNIOWE WOJSKO POLSKIE W KRZYWYM ZWIERCIADLE	227	
<i>Jerzy Grobicki:</i>		
KAWALERIA SAMODZIELNA RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ W WOJNIE 1939 ROKU	230	

LISTY DO REDAKCJI

<i>Witold Grabowski:</i> (Sprawa Brzeska)	223
<i>Jerzy Pomian</i>	237

ACHEVE D'IMPRIMER LE 24 AOUT 1965 SUR LES PRESSES
DE L'IMPRIMERIE RICHARD, 24, RUE STEPHENSON, PARIS (18^e)

Dépôt légal : 3^e trimestre 1965.

**KSIĄŻKI HISTORYCZNE
W „BIBLIOTECIE KULTURY”**

- Józef Mackiewicz: Kontra (7 F)**
Tadeusz Katelbach: Rok złych wróżb (8 F)
Stanisław Kot: Jerzy Niemirycz (7 F)
Paweł Zaremba: Historia Polski, Tom I (20 F)
**Józef Czapski: Na nieludzkiej ziemi (Wydanie drugie)
(15 F)**
Bernard Singer: Od Witosa do Sławka (18 F)
Milovan Dzilas: Rozmowy ze Stalinem (9 F)
**Jerzy Mond: 6 lat temu... (Kulisy polskiego
Października) (10 F)**
**Maria Czapka: Polacy w ZSSR (1939-1942)
Antologia (16,50 F)**
Witold Jedlicki: Klub Krzywego Koła (10 F)
Stanisław Mackiewicz: Polityka Becka (12 F)
**Wincenty Witos: Moje Wspomnienia, Tomy I/II/III
(87 F)**
Wiktor Sukiennicki: Biała księga (12,75 F)
Gustaw Herling-Grudziński: Inny świat (13,50 F)
Borys Lewickij: Terror i rewolucja (15 F)

15 F (dol. 3,-; 22/-)